SZCZEPAN TWARDOCH

CHŁÓD

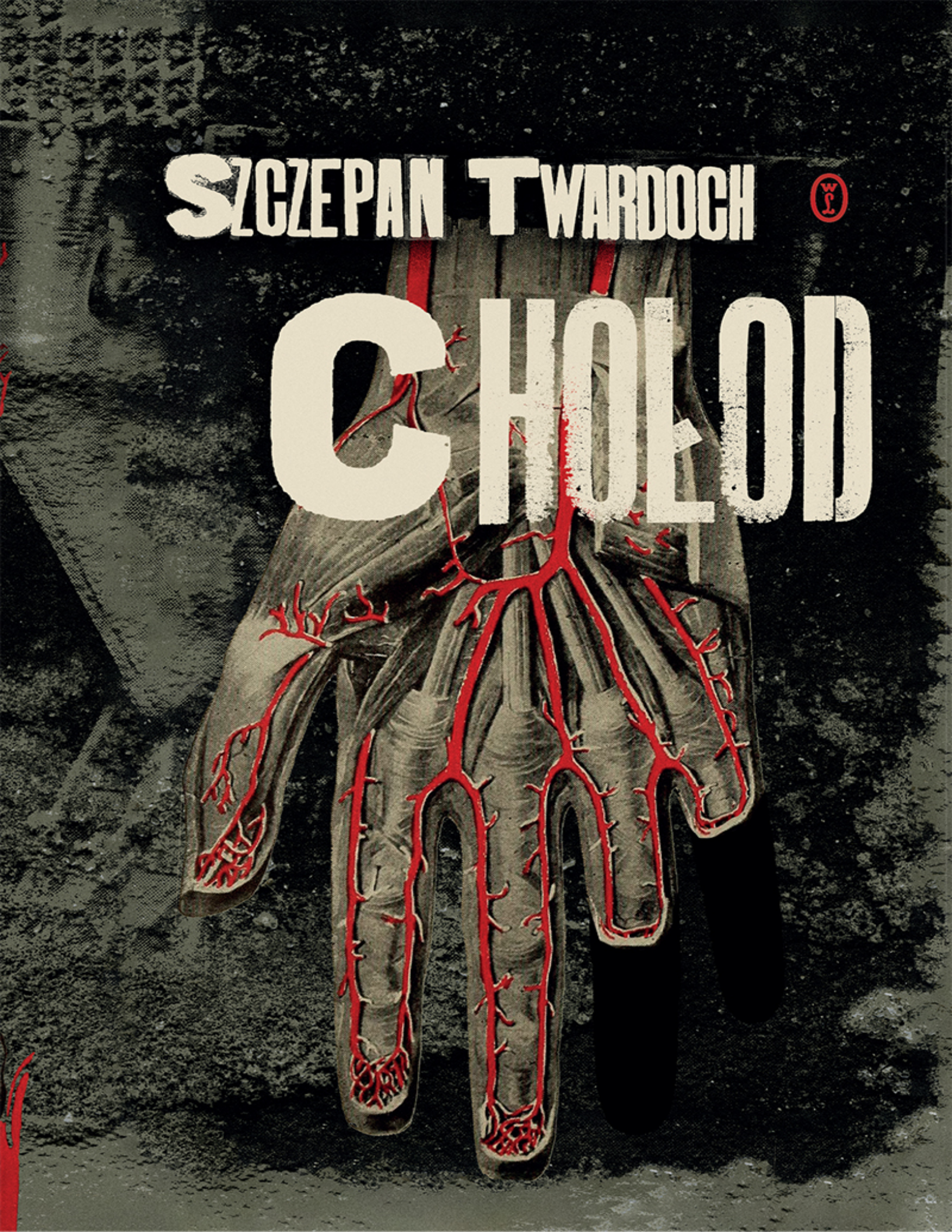

SZCZEPAN TWARDOCH

CHŁÓD

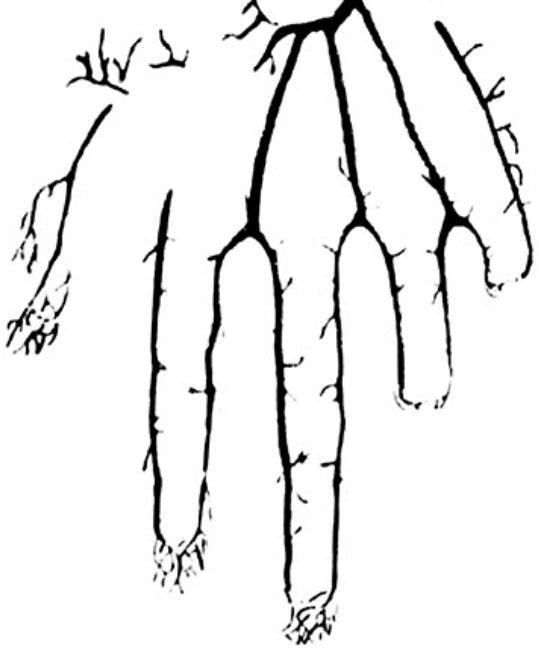

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

WSTĘP

NOTES KONRADA WIDUCHA

- 16 czerwca 1946
- 18 czerwca 1946
- 19 czerwca 1946
- 21 czerwca 1946
- 23 czerwca 1946
- 26 czerwca 1946
- 27 czerwca 1946
- 29 czerwca 1946
- 30 czerwca 1946
- 1 lipca 1946

NA POKŁADZIE „ISBJØRN”

DRUGI NOTES KONRADA WIDUCHA

- 7 lipca 1946
- Lipiec/sierpień 1946
- Sierpień, ale już nie wiem ja którego roku, nie wiem też, czy sierpień. Ale lato, i kończy się ono.

POSŁOWIE

Przypisy

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK
Redakcja: WOJCIECH ADAMSKI
Konsultacja filologiczna: MAREK MAJER
Adiustacja: MARIA ROLA
Korekta: ANNA DOBOSZ, ANETA TKACZYK, KRYSTYNA ZALESKA
Projekt okładki i stron tytułowych: RAFAŁ KUCHARCZUK
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Szczepan Twardoch
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07804-4

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

WSTĘP

Latem 2019 roku poczułem, że muszę uciec, i od tego zaczyna się ta historia.

Życie zaciskało się wokół mnie ciaśniejszą z każdym dniem pętlą, jak zawsze kiedy tkwię zbyt długo w świecie, do którego należę. Męczyły mnie ludzkie twarze i ludzkie głosy, na równi irytowali mnie przyjaciele i wrogowie, dosyć miałem ludzkiej miłości i nienawiści, dosyć miałem na równi miast, w których bywam przejazdem, i śląskiej prowincji, gdzie mieszkam.

Każdego poranka z łóżka wstawałem z coraz większym trudem, jakby ktoś nocą dokładał ciężarów do brzemienia, jakie zdawało się spoczywać mi na ramionach, krok miałem coraz cięższy i coraz bardziej skory byłem do gniewu; coraz częściej też widywałem gęby, które, jak sądziłem, gwałtownie domagały się mojej pięści, poczułem więc, że uciec muszę tam, gdzie uciekam zawsze od piętnastu lat, na Spitsbergen, aby, gdy wrócę, już mniej gniewać się na świat, na ludzi i na samego siebie.

Kupiłem bilet na samolot, spakowałem plecak i karabin i niedługo później wysiadłem na płycie lotniska w Longyearbyen. Zimne Wybrzeża przywitały mnie jak zwykle – chłodnym wiatrem i niskim, stalowym sklepieniem chmur. Zatrzymałem się na kempingu nieopodal lotniska, rozbiłem mój mały namiot, a potem siedziałem w mesie z oknami, piłem kawę i patrzyłem na fiord i na góry na przeciwległym brzegu, i na wydrzyka ostrosternego, uganiającego się za mewami, i na węszącego między kamieniami srebrzystego pieśca.

Następnego dnia wsiadłem na szybki prom płynący do Pyramiden, opuszczonego w latach dziewięćdziesiątych radzieckiego miasteczka górniczego, gdzie od paru lat kilkunastu Rosjan przebywa w odnowionym hotelu i obsługuje niemrawy ruch turystyczny. Kilkugodzinny rejs upłynął spokojnie, wysiadłem na prowizorycznej kei, zarzuciłem plecak na plecy,

karabin zaś na ramię i pomaszerowałem między zabudowaniami opuszczonego miasteczka, aby udać się w interior.

Odprowadzała mnie przewodniczka, rosyjskojęzyczna Ukrainka z Charkowa, która na kei czekała na płynącą tym samym statkiem co ja wycieczkę turystów z Moskwy – było to na trzy lata przed wojną i mimo zajęcia przez Rosję Krymu i Donbasu w 2014 roku w Pyramiden Ukraińcy i Rosjanie żyli raczej w zgodzie. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Przewodniczka miała może dwadzieścia pięć lat i grube warkocze, które wplątywały się w pasek przewieszonego przez plecy starego sztucera. Podobała mi się trochę i sądzę, że i ja jej się podobałem, chociaż pewnie tylko sobie pochlebiam. Rozmawialiśmy, idąc, może przez dziesięć minut, tak jak rozmawiają ludzie, którzy wiedzą, że zaraz odbiją się od siebie, aby się już nigdy nie spotkać. Mówiła, że pochodzi z Charkowa, ale mieszka teraz w Irkucku, w Rosji, odparłem, że byłem w Irkucku, nawet parę razy, ale dawno, dwadzieścia lat temu, mówiła, że Irkuck się nie zmienia, a potem pytała, chyba kpiąco, albo wyzywająco nawet, czy się nie boję samemu iść w interior, skoro nie dalej jak dwa dni temu widzieli tutaj niedźwiedzicę z dwoma młodymi. Odpowiedziałem, że owszem, boję się, ale to – tutaj zakreśliłem ręką horyzont – warte jest tego strachu. Spoważniała, odparła, że krajobrazy, tak, piękne, ale ona trafiła tutaj do pracy, płacą jej za to i nigdy nie zrozumie, dlaczego ktoś przyjeżdża tu w swoim wolnym czasie, na wakacje. Ona na wakacje zawsze wybiera Kretę.

Nie próbowałem nic tłumaczyć. Powiedziałem tylko, że ja również lubię Kretę, ale tutaj, tu – to coś zupełnie innego. Pożegnaliśmy się, życzyła mi powodzenia i niezdarnie ucałowała mnie w oba policzki, co sprawiło mi przyjemność. Dalej poszedłem już sam.

Chciałem przejść do Skanskbukty, omijając lodowiec Jontufonna, ale nie znalazłem drogi, jednak przecież to nie Skanskbukta była moim celem, lecz ucieczka od świata i życia, które pozostawiałem za sobą.

Uciekłem więc, przez tydzień nie widziałem ludzkiej twarzy, włóczyłem się po rozgałęziających się dolinach i kanionach, rozbijałem namiot przy strumieniach, jeśli udało mi się znaleźć jakieś pozostawione dawno temu przez geologów deski, to paliłem z nich małe ognisko i siedziałem białą nocą przy tych płomykach, odmierzając sobie starannie burbona z plasti-

kowej butelki z podziałką, tak by trzy czwarte litra alkoholu wystarczyło mi na cały wyjazd.

Milczałem. Nie medytowałem, niewiele myślałem nawet. Jadłem, szedłem, wybierałem miejsce na obóz, rozbijałem namiot, spałem.

Wieczorami dookoła obozowiska rozstawiałem tyczki alarmu, którego linka, przypięta do nabojów hukowych, potrącona przez nieuważnego niedźwiedzia powinna odpalić ładunki, by go spłoszyć, mnie zaś zbudzić, po czym kładłem się w śpiwór i białą nocą, pod niezachodzącym słońcem zasypiałem pełen pierwotnego strachu, zasypiałem, dotykając kolby karabinu, bałem się, śpiąc, i wstawałem szczęśliwy, gotowałem wrzątek na gazowej kuchence, zalewałem liofilizowany posiłek i kawę rozpuszczalną, jadłem powoli, ubierałem się, zwijałem obóz i szedłem dalej.

Jadłem, szedłem, spałem. Milczałem, aż w końcu, po siedmiu dniach wędrówki, skończyły mi się jedzenie i alkohol, wróciłem więc do Pyramiden, brudny, zmęczony, jakoś skrycie i tajemniczo szczęśliwy, uspokojony samotnością.

Statek, którym zamierzałem wrócić do Longyearbyen, przypłynąć miał dopiero za dwa dni, zatrzymałem się zatem w hotelu, jedynym zamieszkanym budynku tej opuszczonej górniczej osady, który Rosjanie z Barentsburga wyremontowali, gdy tylko po dziesięciu latach zorientowali się co do turystycznego potencjału dawnego miasteczka.

Hotel był dość paskudny, miał jednakże bar, do którego, wziąwszy prysznic i zmieniwszy bieliznę termiczną na ostatnią czystą bluzę z merynosa, zszedłem, aby się napić.

Nie szukałem towarzystwa, po tygodniu absolutnej samotności wcale nie byłem go spragniony, ani głosów, ani twarzy, usiadłem więc w kącie przy barze i zamówiłem podwójnego burbona, bez lodu. Zamierzałem wypić go w milczeniu, czytając książkę, może czyniąc też jakieś notatki, i udać się następnie na spoczynek.

Wtedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Siedziała naprzeciwko mnie, po drugiej stronie baru. Wyglądała na siedemdziesiąt lat, była niewysoka i krępa, odziana w znoszony, spłowiały, kiedyś czerwony polar, włosy miała zupełnie białe, krótko obcięte, twarz ogorzałą, inteligentne, bystre oczy, policzki czerwone od dziesiątek małych odmrożeń, układających się

w mapę popękanych naczynek, wijących się niczym rozlana w kanionach zmarszczek arktyczna rzeka.

Uniosła swoją szklankę w niemym toaście i uśmiechnęła się, odsłaniając starte, trochę pożółkłe zęby; uśmiechnęły się też jej oczy, małe, blisko rozstawione, jasnoniebieskie.

Poczułem irytację. Chciałem siedzieć i pić wśród barowych statystów, polarnych podróżników, naukowców i turystów, ale nieniepokojony przez nikogo, chciałem też powoli i delikatnie wychodzić z mojej samotności, skoro jednak złapała ze mną kontakt wzrokowy, to nie wypadało inaczej, uśmiechnąłem się niezręcznie i uniosłem też moją szklankę, wtedy ona, najwidoczniej spragniona rozmowy, podeszła do mnie od razu, usiadła na hokerze obok i odezwała się przyjaźnie:

– English, Deutsch, по-русски...? – zgadując najwidoczniej, że po norwesku na pewno nie mówię ani słowa.

Ona sama mówiła po angielsku doskonale, jedynie ledwie wyczuwalny ślad obcego akcentu kazał mi wierzyć, że nie jest to jej pierwszy język.

Odpowiedziałem, że English oder Deutsch, but rather English. Zapytała, co tu robię, więc w trzech zdaniach opowiedziałem o moim samotnym tygodniu na pustkowiu, o tym, że idąc w górę Tordalen, nie znalazłem drogi do Skanskbukty, kaniony mają zbocza zbyt strome, nie dało się przejść, na co odparła, że to jasne, trzeba iść przez lodowiec, bo to nie jest lodowiec, który schodzi, breen, tylko fonna, czyli czapa lodowa, w której nie ma groźnych szczelin, nie trzeba alpinistycznych raków, wystarczą takie łańcuszkowe, przypinane do butów. Zaśmiałem się, że dobrze, w takim razie za rok będę wiedział, co robić, i kurtuazyjnie zapytałem, co ją tutaj sprowadza, chociaż wcale mnie to nie obchodziło. Odpowiedziała zaraz, że od bardzo dawna na lato przypływa na Svalbard swoim jachtem i zostaje tak długo, jak na to pozwalają warunki lodowe. W tym roku chciała opłynąć cały archipelag, jednak okazało się, że tego lata lody nie odeszły, cała północ Svalbardu jest zamarznięta, łącznie z cieśniną Hinlopen, dlatego kręci się tutaj, między Longyearbyen, Pyramiden a Ny-Ålesundem.

Jacht mnie zainteresował, dlatego zacząłem wypytywać, odpowiadała tym chętniej, im bardziej szczegółowe pytania zadawałem, zapewne ucieszona, że jej rozmówca zdradza elementarne żeglarskie kompetencje. Mówiła więc, że jej „Isbjørn" to stalowy, wyprawowy kecz, pięćdziesiąt stóp

długości, grodzie wodoszczelne, odsalarka do wody, mocny silnik, generator prądu, prawie trzy tysiące litrów paliwa, kilka kompletów żagli, ogrzewanie, zamrażarka, telefon satelitarny, zabudowana sterówka, można sterować w cieple i tak dalej. Opowiadała długo, widać było, że jest dumna. Trudno się prowadzi go samemu, mówiła, bo to jednak kawał statku, ale wszystko tak sobie urządziła, że i sama daje radę.

– Nazywam się Borghild Moen – powiedziała w końcu, podając mi dłoń.

Uścisnąłem ją i przedstawiłem się moim imieniem.

– But you can call me Stefan, I know that „Szczepan" is impossible to pronounce – dodałem jak zwykle w takich sytuacjach.

Zaprotestowała, odparła, że spróbuje jakoś to dziwne „szcz" wymówić, i okazało się, że udaje jej się to perfekcyjnie. Zapytała, skąd pochodzę. Odparłem, że z Polski, chociaż nie jestem Polakiem, ale wątpię, aby chciała wysłuchiwać długich opowieści o zawiłych kwestiach złożonych tożsamości etnicznych dawnego polsko-niemiecko-czeskiego pogranicza. Uśmiechnęła się i zaskoczyła mnie, mówiąc – a więc jesteś Ślązakiem? Potwierdziłem i wyraziłem zdziwienie tym, że jest w ogóle świadoma istnienia mojej God-forsaken land. Machnęła tylko ręką, nie zamierzała tego rozwijać, gdy zaś ja zapytałem o jej pochodzenie, bo w końcu stąd nie jest nikt, machnęła szeroko ręką, mówiąc, że jest znikąd i zewsząd, pływa od czterdziestu lat.

– Ocean jest moją jedyną ojczyzną – dodała jeszcze.

Zaśmiałem się, że jednak nie jest dzieckiem syreny i trytona, w końcu powiedziała więc, że ma norweski paszport, ale nie jest do niego specjalnie przywiązana.

Spytała, czy żegluję. Odpowiedziałem, że tak, trochę żegluję, skipperowałem odrobinę latem na Bałtyku i Adriatyku, ale to oczywiście nic takiego, wakacyjne pływanie, żaden ze mnie wilk morski.

Wtedy Borghild Moen zaproponowała, bym popłynął z nią do Longyearbyen. Wysadziła tutaj cztery osoby, które zostają w Pyramiden, i mogłaby, rzecz jasna, płynąć samotnie, bo pływa samotnie od dziesięcioleci, ale przez to tym bardziej jednak docenia towarzystwo. Wypływa jutro rano, „Isbjørn" stoi zacumowana przy tej samej kei, z której odchodzi szybki prom, droga do Longyear zabierze zapewne kilka godzin.

Zgodziłem się, nie zastanawiając się wiele. Nie chciałem już dłużej siedzieć w Pyramiden, nie miałem powodu, a popłynąć wyprawowym jachtem to zawsze jakaś przygoda, jeśli nawet tylko na kilka godzin. Borghild zamówiła kolejne whisky, wypiliśmy, po czym pożegnałem się i poszedłem spać, nie chciałem bowiem pozwolić, aby zbyt szybko zużyło się we mnie wrażenie, iż jest całkiem miłym towarzystwem.

Rano przy burcie „Isbjørn" stawiłem się pierwszy, na kwadrans przed umówioną godziną. Rzuciłem plecak na keję, usiadłem na nim i zapaliłem pierwszego od kilku tygodni papierosa. Paczkę djarumów miałem ze sobą cały ten czas, nawet nie zerwałem z niej folii, a teraz poczułem ochotę, by zapalić.

„Isbjørn" stała burtą przy kei, solidnie umocowana dwoma cumami i dwoma szpringami. Była jachtem imponującym, zadbanym i świetnie wyposażonym. Burty potężnego stalowego kadłuba pomalowane były na czerwono, pokryty dobrze utrzymanym, w ciepłym odcieniu teakiem pokład starannie wyszorowany, grot i bezan zwinięte na ukrytych w masztach rollerach, na sztywnych sztagach zrolowane sztaksle. Przy koszu rufowym w uchwytach tkwiły długie, aluminiowe tyczki do odsuwania kadłuba od kry, obok nich dwie wędki, długa do trollingu i krótka, z pilkerem, zapewne na dorsza.

Borghild przyszła dobrą chwilę po mnie, z niewielką torbą i sztucerem na ramieniu, przywitaliśmy się, po czym dziarsko wskoczyła na swoją łódź. Czekałem, aż zaprosi mnie na pokład – i zaprosiła. Trafiłem do osłoniętego z trzech stron kokpitu, Borghild otwarła zejściówkę, w kokpicie zzułem buty i wszedłem do kabiny.

Wnętrze urządzone było po armatorsku, nie jak jacht czarterowy, a więc tylko trzy zamykane kajuty z łazienkami, dwie gościnne na dziobie, duża na rufie. W środku ani kawałek stali nie wystawał spod ciemnego mahoniu, w mesie bordowe obicia kanap, w przestronnym kambuzie duża kuchenka na kardanie, pod okienkami na sterburcie długa półka pełna książek, a na mahoniowej grodzi nad stanowiskiem nawigacyjnym obok wyświetlacza danych AIS-u i radaru zawieszone zabytkowe mosiężne i spatynowane czasem przyrządy: chronometr, barometr i higrometr. Na mosiężnej obudowie osadzonego w centrum tej trójcy chronometru wygrawerowany był ozdobny napis „Invincible", jakby pochodziły z innego jachtu.

Borghild poprosiła, bym wybrał sobie jedną z dziobowych kajut, wybrałem prawą, rzuciłem na koję plecak i karabin i wyszedłem do kokpitu. Kobieta stanęła za sterem, nacisnęła starter silnika, stalowy kadłub „Isbjørn" przeszedł delikatny dreszcz, z wydechu na prawej burcie plunęła woda i diesel pod podłogą zaczął iść równo na niskich obrotach. Borghild zapytała, czy poradzę sobie z cumami, co mnie trochę zabolało, dlatego odparłem, że żegluję od dwudziestu lat, więc chyba sobie poradzę, po czym natychmiast poczułem się głupio, bo przecież to tylko formalnie prawda, ileż tego żeglowania było w ciągu tych dwudziestu lat, poza tym tylko ktoś niepewny siebie na głos zapewnia o swoich kompetencjach.

Borghild uśmiechnęła się i poprosiła, bym ściągnął obie cumy i przytrzymał nas na chwilę na rufowym szpringu, czyli na linie łączącej kadłub z keją, idącej z rufy w stronę śródokręcia. Uczyniłem, jak chciała, wtedy dała całą wstecz i wyłożyła ster na burtę, szpring napiął się, dziób „Isbjørn" powoli odsunął się od kei, Borghild przełożyła manetkę silnika na luz, odczekała sekundę i następnie dała pół naprzód, ja zaś na jej komendę ściągnąłem na pokład szpring, i poszliśmy.

Nie pamiętam, o czym wtedy rozmawialiśmy. Na pewno nie o Chołodzie ani nie o zaginionym s/y „Invincible", ani o Konradzie Widuchu.

O tym wszystkim dowiedziałem się trochę później.

Chyba w ogóle nie mówiliśmy dużo, ale jedno w ciągu tych siedmiu godzin powiedziane być musiało, inaczej nie wydarzyłaby się historia, którą spróbuję tu opisać. Borghild musiała mnie w którymś momencie, gdy pokonywaliśmy te trzydzieści mil dzielących Pyramiden od Longyearbyen, zapytać, czy nie zechciałbym popłynąć z nią dalej.

Musiała, bo gdyby tak nie było, to nie popłynąłbym, a ja musiałem jej odpowiedzieć, że to miłe, ale absolutnie niemożliwe, mam już bowiem bilet na lot powrotny, a w kraju obowiązki, dzieci, praca. Borghild zapytała, czym się zajmuję, a ja, jak zawsze zawstydzony, odparłem, że jestem pisarzem. To ją zainteresowało, wypytywała dalej, co pisuję, prosiła, bym powtórzył nazwisko i powiedział, czy coś zostało przełożone na inne języki, kiedy zaś wspomniałem o przekładach angielskich i niemieckich, stwierdziła, że tak, teraz sobie coś przypomina, nazwisko wydało jej się znajome, czytuje niemieckie gazety, pewnie dlatego. Zdawało mi się wtedy, że kła-

mała, aby zrobić mi przyjemność, i uznałem, że to nie tylko miłe, ale również inteligentne z jej strony.

Albo może zapytała mnie o to dopiero w porcie, w Longyearbyen? Nie pamiętam. Czy powiedziała mi, jak długo chce pływać? Nie wiem.

W każdym razie nie, nie mogłem zostać. Nie miałem czasu. Za dwa dni odlatywał mój samolot, wcześniej jeszcze umówiłem się w Longyear na piwo ze znajomą pisarką Iloną Wiśniewską, a potem – tak wiele zawodowych i osobistych planów.

Nie mogłem zostać. Musiałem wracać do domu, do życia, do świata, do wszystkiego, od czego uciekłem.

Musiałem. A jednak stało się tak, że gdy stanęliśmy przy kei w zatłoczonej marinie w Longyearbyen, to zostawiłem w kabinie broń i plecak i poszedłem do miasteczka zrobić zakupy. W Svalbardbutikken kupiłem porządny oceaniczny sztormiak, po czym usiadłem w Svalbard, zamówiłem piwo, wypiłem i wykonałem sześć telefonów, z których dwa zakończyły się nieprzyjemną kłótnią, w wyniku jednego straciłem dużo pieniędzy, a pozostałe trzy zakończyły się pożegnaniami cokolwiek chłodnymi. Następnie zadzwoniłem jeszcze do moich synów i łamiącym się głosem powiedziałem im, że jeszcze nie wracam, że jeszcze trochę, tydzień, może dwa, może trzy. Może więcej. Nie wiem. Przepraszam. Miałem świadomość, że postępuję źle. Nie potrafiłem jednak nic z tym zrobić.

Młodszy nie chciał ze mną rozmawiać w ogóle, starszy powiedział tylko: „Widać musisz tam jeszcze trochę pobyć", ja poczułem, że pęka mi serce ze smutku, a jednak nie pękło, i tak z sercem ciągle bijącym wróciłem na pokład „Isbjørn", którą Borghild właśnie zaprowiantowywała, rozładowując spory wózek z zakupami. Zapytała, czy wszystko w porządku, widząc moją raczej posępną minę. Wzruszyłem tylko ramionami. Nie, nie wszystko było w porządku, w zasadzie nic nie było w porządku, ale nie widziałem powodu, by się skarżyć.

Dwie godziny później oddaliśmy cumy i wyszliśmy na wody Isfiorden, po czym Borghild, w końcu oceniwszy moje żeglarskie umiejętności jako wystarczające, uznała, że już czas, by pozostawić mnie samego na wachcie, wpiętego wąsami pasa asekuracyjnego w lajflinę. Poleciła mi trzymać kurs 250, prawie prosto na zachód, i poszła spać, ja zaś, odziany ciepło, popijałem herbatę z cytryną i powoli przemarzałem za sterem, mimo dwóch swe-

trów, wełnianej bielizny, sztormiaka, czapki i rękawic. Żeglując na Spitsbergenie, rzadko stawia się żagle, tym razem wiało jednak idealnie, ze wschodu, postawiliśmy więc na motyla dwa przednie sztaksle, grot i bezan pozostały zwinięte na rollerach, wielka genua i kliwer bez trudu rozpędzały „Isbjørn" do sześciu węzłów.

Po sześciu godzinach żeglugi „Isbjørn" minęła Kapp Linné, chwilę później byliśmy już na otwartym oceanie, dziób stalowego kecza wbijał się w wodę i rozcinał powoli wzmagające się fale, a w stalowej szarości zlewającego się z morzem nieba czaiła się straszna groźba, ta sama, której obawiam się zawsze, wychodząc w morze. Boję się i zawsze bałem oceanu, jego mrocznej, pogańskiej potęgi. Dlatego tak go kochałem. Stare angielskie przysłowie mówi, że tylko głupcy nie boją się morza.

Zlustrowałem horyzont przez lornetkę, spojrzałem na wyświetlacz AIS-u zintegrowany z radarem, upewniłem się, że nie grozi nam żadna kolizja, skoro na horyzoncie nie było ani śladu statku, poza zlewającym się z morzem szarym kadłubem okrętu norweskiej straży wybrzeża, patrolowca „Svalbard", który minął nas z daleka, idąc wolno do Longyearbyen. Włączyłem autopilota i zszedłem do kabiny obudzić Borghild, Borghild jednak już nie spała, krzątała się w kambuzie, zalewała wrzątkiem dwa talerze liofilizowanego gulaszu. Poprosiła, żebym jeszcze nie ściągał sztormiaka, zrobimy zwrot, pomogę jej wytrymować żagle, wróciłem więc do kokpitu. Borghild wyszła po chwili tylko w lekkiej kurtce, ale w porządnie zapiętej kamizelce asekuracyjnej. Pokazała mi, gdzie wpinać się w lajflinę do pracy przy żaglach, zwinęliśmy kliwra i genuę, którą do zwrotu trzeba było zwijać, następnie Borghild wzięła ster i zwrotem przez rufę przeszliśmy linię wiatru, ja pracowałem szotami, Borghild ustaliła kurs 180, zatem prosto na południe, wytrymowaliśmy żagle do baksztagu lewego halsu, szliśmy tak chwilę, założyłem kontraszoty, wiatr wzmógł się trochę, wiało może piętnaście węzłów, równo, bez porywów, Borghild włączyła autopilota, rozejrzała się dookoła widnokręgu i wróciliśmy do kabiny.

W dwóch zdaniach zdałem relację z ostatnich godzin mojej wachty, powiedziałem, że minął nas KV „Svalbard", Borghild zapytała, czy aby nie wywoływali nas przez radio, zgodnie z prawdą zaprzeczyłem, pokiwała tylko głową, jakby ten brak wywołania coś oznaczał, spojrzała na kabinowy wielofunkcyjny wyświetlacz plotera map, pokazujący również dane z AIS-

u i radaru, po czym podała mi talerz z dobrze już nasiąkłym wodą liofilizowanym gulaszem. Siedliśmy przy stole w mesie, jedliśmy w milczeniu, a potem Borghild zapytała, czego się napiję, ja z kolei zapytałem, co ma, wtedy otwarła drzwiczki obficie zaopatrzonego barku i odparła, że wszystko, łącznie z tysiące lat liczącym lodem z lodowca, świetnym do whisky. Poprosiłem o burbona i skoro z lodowca, to niech będzie z lodem, nalała mi do szklanki podwójną porcję, wyciągnęła tabliczkę czekolady, sobie nalała kawy.

Powiedziałem wtedy, że chciałbym dorzucić się do prowiantu, widziałem, że zrobiła spore zakupy, i byłoby mi niezręcznie, gdybym miał nadużywać jej gościnności. Zgodziła się, podała jakąś kwotę, było to chyba dwa tysiące koron, odliczyłem banknoty, wręczyłem, przyjęła, podziękowała, przeliczyła, schowała. Pomyślałem, że w zasadzie mógłbym teraz zapytać, dokąd płyniemy, na jak długo, ale nie zapytałem.

Chyba jeszcze nie chciałem wiedzieć.

Teraz zdaję sobie sprawę, że mustrując się na „Isbjørn", ciągle uciekałem, uciekałem dalej, niż uciec mogłem, koczując w interiorze Dickson Land. Mój telefon satelitarny spoczywał w bagażu, wyłączony, nie chciałem nawet tej ograniczonej formy kontaktu ze światem, nie byłem gotowy ani na rozmowy telefoniczne, ani na pracowicie wystukiwane na klawiaturze numerycznej esemesy, niczym w latach dziewięćdziesiątych.

Nawet tego było mi zbyt wiele.

– Nie chciałam ci tego mówić przed pierwszą wachtą, wolałam, żebyś się nacieszył morzem i moją ślicznotką, ale tak na przyszłość, to jednak wachty lepiej pełnić w kabinie, w sterówce, przy stole nawigacyjnym, póki nie płynie się wśród kry albo growlerów z lodowców, które z kabiny łatwo przeoczyć, a zderzenie z lodem to jak zderzenie ze skałą, oraz póki nie ma zbyt poważnego na autopilota sztormu. Ale ja nie lubię pływać w sztormach. Nie ma tu drugiego koła sterowego, masz tu jednak sterownik do autopilota, więc koła nie potrzebujesz dotykać, do tego manetkę i wskaźniki silnika, AIS i radar, a i widoczność jakaś jest dookoła, najgorzej tylko w stronę rufy, dlatego kurs można korygować w cieple, w tak nieuczęszczanych akwenach jak ten na zewnątrz wystarczy wyjść może raz na godzinę, no i kiedy trzeba trymować żagle – powiedziała wtedy Borghild i była to najdłuższa wypowiedź, jaką od niej do tej pory usłyszałem.

Oczywiście przyznałem jej rację. Ocean Arktyczny to nie Adriatyk, ani nie ma tu takiego ruchu, ani takiej temperatury, które nakazywałyby siedzieć osiem godzin za sterem w kokpicie, skoro ze stanowiska nawigacyjnego w kabinie można też korygować ustawienia autopilota, przeszklona zaś grubym, zbrojonym przeciwko polarnym falom szkłem sterówka zapewnia niezgorszą widoczność.

Powiedziałem, że tęskniłem do morza, do ogromniejącego w miarę odsuwania się od lądu widnokręgu, i przemarznięcie do kości było ceną, jaką gotów byłem za to zapłacić.

Pokiwała tylko głową i stwierdziła, że powinienem się wyspać.

Coś mnie w niej fascynowało. Była ode mnie starsza o dobrych kilkadziesiąt lat i tkwił w niej jakiś związany z tym spokój, pewność, że nie musi się starać nikomu podobać, w końcu jest armatorką i skipperką własnego, wspaniałego wyprawowego jachtu, na którym ja jestem tylko załogantem. Wydaje mi się dziś, że fascynowała mnie kryjąca się w niej tajemnica, bo zwykle ludzie stoją przede mną otworem, pochlebiam sobie, że czytam w nich jak w otwartej książce, Borghild zaś pozostawała nieprzenikniona, jej twarz poorana głębokimi zmarszczkami ludzi morza, jej silne, czerwone od mrozu dłonie o krótko ściętych paznokciach, zupełnie białe włosy nie mówiły mi nic, poza tym, co i tak było oczywiste, że morze jest jej domem.

Dopiłem burbona, zjadłem dwie kostki gorzkiej czekolady i poszedłem spać.

Zasnąłem od razu, kiedy tylko wślizgnąłem się w śpiwór, i zmęczony spałem w czerni, bez sennych marzeń, kołysany falą i cichym huczeniem morza, grającego ze stalowym kadłubem „Isbjørn”, wytłumionego lepiej niż jakikolwiek stalowy jacht, na którym byłem.

Spałem czarnym snem, a gdy się obudziłem, było jasno i szaro, spojrzałem na zegarek, wskazywał godzinę dziesiątą, i zrozumiałem, że nie wiem, czy jest dziesiąta rano, czy wieczorem. Wszedłem do mesy, nie myśląc o tym, że mam na sobie tylko czarną bieliznę termiczną, zakrywającą, owszem, całe ciało, ale niezbyt nadającą się do paradowania przed obcymi ludźmi, i gdy zdałem sobie z tego sprawę, to zrozumiałem jednocześnie, że wcale to Borghild nie przeszkadza.

Mogę sobie chodzić w kalesonach, jakbym był tutaj na rejsie z kumplami, nie z milczącą żeglarką, która mogłaby być moją matką, a nawet babcią.

Borghild siedziała we wznoszącej się trzy stopnie nad mesą sterówce, przy stole nawigacyjnym, na którym spoczywał otwarty pancerny laptop wojskowego typu. Przy laptopie leżało znajome mi urządzenie: podłączony kablami do zasilania i zewnętrznej anteny modem satelitarny.

– Sprawdziłam w internecie i w końcu udało mi się odcyfrować, jak zapisuje się twoje imię – uśmiechnęła się Borghild. – Rzeczywiście jesteś pisarzem – dodała, potwierdzając moje przeczucie, iż kłamała wcześniej, mówiąc, że kojarzy moje nazwisko z niemieckich gazet.

Potem jednak zrozumiałem, że przecież nie mogła sprawdzić tego teraz: byliśmy dawno poza zasięgiem telefonii komórkowej, a internet przez modem satelitarny ogranicza się do możliwości ściągnięcia e-maili i prognozy pogody, nie ma się przezeń dostępu do stron www, nie ma zatem szansy, żeby wpisać czyjeś nazwisko w wyszukiwarkę.

Może więc jak zapisuje się moje imię sprawdziła wcześniej? Nie wiem, odpowiedziałem po prostu uśmiechem i stawiając czajnik na kuchenkę gazową, zapytałem, czy nie jest głodna, bo ja chętnie coś ugotuję. Borghild odparła, że jasne, co bądź, kambuz należy do mnie. Przejrzałem zapasy i bez szczególnego pomysłu na cokolwiek innego usmażyłem omlet ze względnie świeżymi warzywami i szynką. Gdy gotowałem, Borghild założyła kurtkę i pas asekuracyjny i wyszła z lornetką do kokpitu, wróciła po chwili i siedliśmy razem przy stole w mesie, jedliśmy i piliśmy, ja kawę, a Borghild piwo.

Powiedziała, że gdy spałem, zrobiliśmy ponad pięćdziesiąt mil, wieje cały czas piętnaście do siedemnastu węzłów z północnego wschodu i jesteśmy już na wysokości Zachodniego Lodowca Torella. Za dwadzieścia mil, więc za jakieś trzy godziny, miniemy Hornsund, a za dziesięć godzin wyspy na południowym krańcu Sørkapp, gdzie wyostrzymy i pójdziemy tak daleko na wschód, jak wiatr pozwoli. Prognoza jest dobra, warunki lodowe dla nas idealne, to znaczy żadnego lodu, gorsze nieco dla planety.

– Dokąd płyniemy? – zapytałem wtedy i natychmiast poczułem, jakbym złamał niewypowiedzianą zasadę, którą bezgłośnie z Borghild przyjęliśmy.

– To żadna tajemnica, ale odpowiedź na to pytanie jest długa i skomplikowana i musiałabym ją rozpocząć ab ovo. Prościej będzie, jeśli coś najpierw przeczytasz. Nie będzie to łatwa lektura, ale myślę, że ci się spodoba, skoro jesteś pisarzem. Może nawet ci się do czegoś przyda.

Rozłożyłem ręce, dając do zrozumienia, że przecież nie mamy tu nic lepszego do roboty, chętnie.

– Dobrze widzę, jak ci do tego pilno, lubisz tajemnicze opowieści, w końcu wy, zawodowi pisarze, z tego żyjecie, z cudzych historii, prawda?

– Piszę powieści, nie reportaże – zaprotestowałem.

– Ale przeczytasz, prawda?

– Przeczytam. Tylko wiesz, ja tak często słyszę, że ktoś ma znakomity pomysł na powieść…

– Ja nie mam pomysłu, Szczepan – odparła przekornie. – Ja mam dla ciebie gotową historię.

Pozmywałem po śniadaniu, umyłem zęby, założyłem spodnie i polar, po czym w mojej kabinie wyciągnąłem z plecaka telefon satelitarny i przez chwilę rozważałem, czy go włączyć, czy nie odezwać się do tych, którzy czekają na mój telefon.

Nie włączyłem. Nie byłem w stanie. Schowałem telefon i poszedłem do sterówki. Być może już wcale nie czekają na telefon ode mnie. Borghild wskazała mi uprzejmie miejsce przy stole nawigacyjnym, na którym nie było już laptopa.

– To twoja wachta, jacht jest twój. Ja idę spać, a ty będziesz mógł czytać. Kurs sto sześćdziesiąt, aż miniemy Sørkapp, i zwracaj uwagę na echosondę i mapę, bo tu może być czasem płyciej, a mapy nie są najnowsze. To oczywiście ostrożność na wyrost, ale ostrożności nigdy za wiele.

Zgodziłem się, założyłem kurtkę, pas asekuracyjny, wziąłem lornetkę i wyszedłem na chwilę do kokpitu, gdzie przypiąłem się natychmiast wąsem do oka przy kole sterowym.

Zlustrowałem horyzont najpierw po prawej burcie. Morze było puste, stalowe fale po horyzont. Po lewej burcie daleko na horyzoncie rozpościerała się cienka linia nabrzeżnej równiny, za nią białe jęzory lodowca i ostre szczyty Kokkfjellet. W falach, kilkaset metrów od przecinającego je kadłuba „Isbjørn”, zauważyłem kilkanaście białych kształtów przewalających się

przez fale i po chwili zrozumiałem, że patrzę na stado leniwie płynących w stronę lądu białuch.

Przez jakiś czas obserwowałem je przez lornetkę, trochę z ciekawości, a trochę, by odwlec moment, w którym wrócę do sterówki. W końcu jednak zmarzłem, rzuciłem więc jeszcze okiem na żagle, sprawdziłem mocowania kontraszotów i zszedłem do kabiny.

– Widziałem białuchy – powiedziałem, siadając przy stole nawigacyjnym.

– To dobry znak – odparła Borghild. – Białuchy to zawsze dobry znak.

Siedziała przy stole nawigacyjnym, trzymając w dłoniach tom, czy może raczej notatnik, bez wątpienia stary, opasły, podwójnie oprawny w starą skórę – podwójnie, bo skórzane były grube okładki notesu, jak też spinane trzema paskami o mosiężnych sprzączkach etui, które, otwarte, leżało teraz na stole nawigacyjnym.

– To dla ciebie do czytania – powiedziała. – Oryginał, spisany po polsku. Ja czytałam tylko w przekładzie, który dawno temu zleciłam. Tłumaczył mi to pewien polski imigrant, w Londynie, podobno generał… Ale musiał najpierw podpisać umowę, że dochowa tajemnicy. Tak że rozumiesz, to poważna sprawa.

– Czyje to zapiski…? – zapytałem.

– Nie pytaj. Dowiesz się sam. Zrobisz z tym, co zechcesz. Po prostu czytaj. Ja idę spać. Porozmawiamy potem.

– Dobrze. Ale nie chciałbym, żeby to nakładało na mnie jakiekolwiek zobowiązania, w moralnym sensie, dobrze? – zastrzegłem, bo zbyt często zaczepiają mnie ludzie przekonani, że mają wspaniały pomysł na książkę, którą powinienem napisać.

– Zobowiązań? Żadnych zobowiązań, Szczepan. Zrobisz z tym, co zechcesz. Gdybym była młodsza, to w życiu nie oddałabym ci tej historii. Ale wiesz, mam osiemdziesiąt trzy lata i jestem chora.

– Ile masz lat? – zdumiałem się.

– No tak, osiemdziesiąt trzy, mój drogi.

– Sądziłem, że bliżej siedemdziesięciu.

– Najwyraźniej morskie życie mi służyło. Gorzej wspominam to, że na siedemdziesiąt zaczęłam wyglądać już koło pięćdziesiątki, ale teraz, jak widzisz, przegoniłam już latami wiek mojej twarzy. Poza tym mało mnie to już obchodzi.

– Nie powiedziałbym też nigdy, że możesz być chora.

– Tak, tak, rozumiem. Zostawmy to. Osiemdziesiątych piątych urodzin raczej nie dożyję.

Milczałem. Tak zostałem wychowany, co tu gadać. Zająłem się na chwilę ploterem i echosondą, jak przystało na pełniącego wachtę. Mój dziadek, kiedy był czymś przytłoczony, schodził do warsztatu w piwnicy i brał się do roboty. Moja mama zaczyna sprzątać. Mój tata pracuje w ogrodzie. Cóż więc miałem zrobić? Odczytałem pozycję z plotera i naniosłem na papierową mapę, co niby niepotrzebne, redundantne, skoro mamy na „Isbjørn" dwa niezależne systemy GPS, plus zapasowe ręczne, ale na kursie nauczano, że taka redundancja czasem może uratować życie. Potem uzupełniłem cogodzinny zapis w papierowym dzienniku: pozycja, kurs, prędkość, stan morza, prędkość wiatru, ciśnienie, temperatura. Dobra praktyka morska, tak to się nazywało.

Borghild przyglądała się z uśmiechem, jak manipuluję na mapie trójkątem nawigacyjnym, liniałem równoległym i przenośnikiem. Rozumiała, dlaczego robię to akurat teraz.

– No dobrze, dobrze, mogłam o tym nie wspominać, bo widzę, żeś się trochę skwasił. To nic takiego, nic, nie przejmuj się. Po prostu zacznij czytać. Potem zwyczajnie opisz to, co przeczytałeś, opisz w tych swoich książkach. Może komuś się spodoba ta historia. I daj „Isbjørn" płynąć. Kurs bez zmian. Nie przeszkadzaj jej. Doglądaj, ale nie przeszkadzaj, daj jej żeglować. To dobra łódź.

Tak o niej mówiła: she's a good boat, w rodzaju żeńskim, jak przyjęło się po angielsku. Kurs bez zmian. Steady as she goes.

Skończyłem z mapą, sięgnąłem po opasły notes i zważyłem go w ręku, nie śmiałem go otworzyć.

– No czytaj, czytaj – ponagliła. – I czytaj mądrze.

Borghild wstała, pogłaskała mnie po głowie, tak jak głaszcze się dziecko, i poszła spać.

Zostałem sam z powierzonym mi notesem. Otwarłem na chybił trafił – strony wypełnione były szczelnie drobnym, nierównym, pochylonym pismem.

Co z tych zapisanych drobną kursywą stron jest prawdą, co zmyśleniem, co nieświadomym przeinaczeniem faktów, co zaś ułudą, ani nie chciałem decydować czy rozstrzygać ostatecznie wtedy, ani nie chcę teraz, gdy piszę te słowa. Sam szybko uwierzyłem autorowi tych zapisków i wierzę do dziś, lecz wierzyć a rozstrzygać o prawdziwości to coś zupełnie innego.

NOTES KONRADA WIDUCHA

16 CZERWCA 1946

Ja czełowiek?

Był ja kiedykolwiek czełowiekiem?

Wyżej ja zapisał datę. Ja od ośmiu lat nie wiedział, jaki dzień tygodnia, miesiąca, nawet często jaki miesiąc. Tak tylko z grubsza. A teraz wiem. Kalendarz mam obok siebie. Dziś niedziela. Dzień Pański.

Patrzę ja na swoje dłonie. Jedną próbuję rozprostować, przytrzymać notatnik, lewą, bo ja praworęczny, w prawej trzymam ołówek. Obie poznaczone są bliznami po wrzodach, po dawnej chorobie, w prawej brakuje mi jednego paliczka małego palca, odmrożony dawno temu, w lewej nie mam całego małego palca i większości serdecznego, ale to akurat wypadek na wyrębie. Albo i nie wypadek, nie pamiętam już. Może Rebane zrobił to wtedy specjalnie. W końcu jego nazwisko po estońsku oznaczało lisa. Tak mówił. Może specjalnie. Lis. Może gdzieś tam jeszcze leżą te palce, to znaczy kości palców, po trzy paliczki na każdy, w ściółce, w próchnie zagrzebane, pod wiechciami puszycy, z jej szarpanymi wiatrem kłębkami białego puchu.

Nie wiem, jak puszyca po polsku nazywa się ani jak po niemiecku, ale po rosyjsku tak właśnie, пушица, to taka trawa z kłębkami jakby bawełny, rośnie w sendusze, gdzie drzewa już nie sięgają. W Chołodzie z tych kłębków robili knoty do kamiennych lamp na focze sadło, Jukagirka Ibisi nauczyła mnie, jak włókna skręcać w palcach, zawijać, aby powstał z nich zgrabny powrozik, za słaby, żeby służył za juzing, ale chłonny, na knot doskonały. Najlepsza zaś rosła na Siewierze, u stóp wielkiej, dymiącej góry, tam kłęby polarnej bawełny były największe, przędza tak mocna, że można było i nici z niej zrobić.

Ale tam, gdzie ja palce stracił, to nie mogła być puszyca, tam, gdzie ja stracił palce, tam jeszcze były drzewa i gęsty podszyt tajgi, skoro to było na wyrębie, senducha i senduchowa puszyca, i mchy, i płożące się po ziemi wierzby, to było później. Kiedy indziej. Na długo przed wszystkiem.

Może więc leżą pod krzaczkiem pełnym jagód, soczystych i słodkich, jedlimy je na wyrębie, ale trzeba było uważać, bo od niektórych można było pochorować się, a chory tam, w tem miejscu, którego nazwy nie chcę wymawiać, chory tam to był trup.

Może leżą. Żal mi ich nie było, i tak popsute były od ściskania trzonka, zgięte jak pazury, poza tem siedem i dwie trzecie palca ciągle mam, można się z ziemią podzielić dwoma. Wyciągnęły z nich jagody całą słodycz, z tych moich palców, co życie mi je odjęło. A te, co mi jeszcze zostały, wyglądają jak palce mojej prababki, które strawił gościec, powykręcane, połamane i pozrastane. Ale jeszcze mi służą. Na cyngiel nacisną.

Ale czy ja jeszcze czełowiek?

Piszę te słowa powoli, ołówek skrzypi. Wolałbym piórem, ale nie mam pióra. Zresztą tutaj, na siewierze, pióra zamarzają, a ołówek pisze i na mrozie. Chociaż teraz ciepło. Może już gdzieś na świecie mają takie pióra, które piszą i na mrozie.

Duży dał mi ten zeszyt i ołówek, kiedy odchodził. Powiedział, że już go nie będzie potrzebował. To było niedługo po tem, jak złamał mi nos, ale pisać zaczął ja dopiero teraz, po dwóch miesiącach samotności.

Duży nie nazywał się Duży, tylko jakoś inaczej, Jean, albo coś podobnego, nie umiał ja tego wymówić, chociaż mam zanotowane. Mały nazywał się Jules, jak Verne, com go tak chętnie w dzieciństwie czytywał po niemiecku, ale wolał ja na nich mówić tak, Duży i Mały, bo i tak wiele znowu nie pogadalimy, chociaż znam ja kilka języków.

Niemieckiego na przykład nauczył się ja w szkole powszechnej, polskiego później, na kółkach samokształceniowych polskich socjalistów, nie było trudno, bo w domu mówiło się raczej po naszemu, to polski łatwo ja łapał, angielskiego uczył się ja trochę jako dodatkowego w Marineschule i coś rozumiem, chociaż już pewnie wszystko ja zapomniał. Rosyjskiego ja nauczył się dopiero, jak przyjechalimy z Radkiem do Moskwy, no ale nauczył się ja przecież dobrze, siedemnaście lat w Rosyi z tem rosyjskim ja przeżył, z So-

fie też mówił ja po rosyjsku, chociaż znała niemiecki lepiej niż ja ruski. Trochę strach byłoby po niemiecku mówić, wiadomo.

Tak czy inaczej, Duży i Mały gadali po francusku, to znaczy gadał Mały, i znał też parę słów po angielsku i parę słów po niemiecku, i początkowo coś tam sobie opowiadalimy, to znaczy znowu głównie Mały opowiadał, ja słuchał, przecież nie będę mu mówił o miejscu, którego nazwy nie chcę wspominać, ani o Chołodzie, ani o Siewierze i jego wielkiej, dymiącej górze. Duży w ogóle prawie nic nie mówił, jakby zapomniał ludzkiego języka.

Może tak naprawdę ja już też w żadnem ludzkim języku ani słowa nie mówię, tylko powtarzam, jak papuga. Nasz komendant, w pierwszym z miejsc, których nazw nie chcę wspominać, wybacz mi to, moja nieszczęsna, bo nieistniejąca czytelniczko, miał taką papugę, zupełnie szarą, tylko z czerwonym ogonem, siedziała w klatce i krzyczała: „К черту Троцкого!" i „Ленин молодец! Сталин молодец!", ale potem osowiała, wyrwała sobie pióra i w końcu zdechła, i komendant na apelu oświadczył, że to spisek trockistowskich gadów i z tego powodu do roboty będziemy wychodzić godzinę wcześniej.

No i może ja już też jak ta papuga, co przecież nie wiedziała, kto Trocki, czemu tam siedzi sobie w tem Meksyku czy Paryżu, nie wiedziała, kto to Lenin i Stalin, może ja też już tylko słowa powtarzam ze słyszenia, może już nie wiem, co za niemi stoi.

A jednak piszę, prawda? Piszę ja po polsku. Po tem wszystkiem nigdy ja pisania cyrylicą nie polubił, a po polsku, chociaż wiem przecie, że niepoprawnie, to jakoś i tak ja polubił właśnie, bo i łatwo mi nauka przyszła, po tem, jak towarzysze z polskiego PPS-u nam organizowali na Zaborzu kółko samokształceniowe, to się okazało, że ten polski całkiem podobny do tej naszej godki, chociaż bardziej taki nadęty, trochę jakby taki śmieszny hrabia jakiś mówił, i mnie się zdaje, że przez to nadęcie bardziej do pisania zdatny, chociaż mówić po polsku strasznie głupio i mnie zawsze mówić po polsku było wstyd, bo jak czełowiek po polsku mówi, z tymi wszystkiemi panami i paniami, ą i ę, to brzmi od razu, jakby się nadął niczym jakiś polski szlachcic i jakby mały paluszek przy piciu herbaty odchylał niczym skrzydełko ptaszyny delikatnej, no groteskowo czełowiek brzmi, jak po polsku mówi, jak pajac zawsze, a po naszemu to jak trzeba, normalnie, bez nadymania się, jak swój czełowiek, normalnie. I po rosyjsku też normalnie,

bez nadęcia, bez panów i pań, i ą, i ę, jak chłop albo baba, normalni, a nie jakieś tam państwo chuj ich tam wie co.

Ale pisać po polsku dobrze, jakoś tak do ręki polski pasuje, nawet te ę i ą się piszą nie najgorzej. No tak to bywa z językoma i gadaniem, i pisaniem.

Nie pamiętam, kiedy ja ostatni raz pisał. Kiedy ostatni raz trzymał ja w dłoni pióro albo ołówek.

W Chołodzie nie było przyrządów pisarskich. Nikt ich nie potrzebował, bo nikt tam nic nie pisał, tylko więcej tak ludzie raczej pamiętali, niż pisali. W duszy wiedzieli. W miejscu, którego nazwy nie chcę wymawiać, też nie było czem pisać, ani po co, ani o czem, chociaż widział ja tam poetę, co na jakichś skrawkach byle gdzie znalezionego papieru zapisywał swoje wiersze, a potem uczył się ich na pamięć, co nie przydało mu się na wiele po tem, jak umarł, normalnie, z gołodu. Ja tam nic nie zapisywał ani niczego nie chciał pamiętać.

Więc jeszcze wcześniej. Dużo wcześniej pisał ja często, prawie codziennie, głównie listy, najpierw do Sofie z wojny i potem po wojnie, gdy nas dyslokowali na Kaukaz, gdzie gołodowalimy i my, i konie, żywione zaparzaną sieczką i słomą zgniłą, z chłopskich strzech dartą. Potem, gdy z Sofie mieszkalimy już razem w Moskwie, to ja pisał do starych towarzyszy, bo nowych ja nie miał, pisał nawet do Niemiec, co było raczej nierozsądne, ale wtedy jeszcze miał ja złudzenia co do wolności w Ojczyźnie Światowego Proletariatu, a potem, gdy po upadku Radka zamieszkalimy w komunałce w Murmańsku, żeby się jak najbardziej przyczaić, zniknąć prawie, to ja już się bał pisać, bo jedno głupie słowo to śmierć przecież. Lepiej było nic nie pisać, ani listu, ani kartki pocztowej, a już nie daj Boże dziennika.

Ale jeszcze lekcje się robiło z Wileną, więc coś się tam pisało z dzieckiem, bukwami w kajeciku, polskiego ani niemieckiego nie mielimy odwagi jej uczyć, chociaż Sofie zwykle mówiła do niej po norwesku, to było wtedy, kiedy urodziła się nam druga córcia, dalimy jej imię Ninel, czyli Lenin czytane od tyłu, wtedy już nic się nie pisało. Wszystkie zapiski, z całego życia, wszystkie notesy, karteczki, listy otrzymane i przez kalkę odbite kopie wysłanych, wszystko wtedy z Sofie spalilimy, a i tak nie pomogło, ale też nie zaszkodziło.

Pamięć niech pozostanie pamięcią, płynna i zmienna jak my, ludzie, materia w nas się wymienia, bo jemy, trawimy, cząstki materii osadzają się

w naszym ciele, a inne wydalamy, w naszych ciałach nie ma nic stałego, my z materii jak fala z wody, pojawiamy się, pęczniejemy jak fala i gaśniemy, a nasza pamięć z nami, zmienna, odbicie odbicia, więc dobrze, że wszystko, co mielimy zapisane, spalilimy. Nie było mi żal ani teraz mi nie żal. A to piszę tylko dlatego, że nikt tego nie przeczyta, moja droga, acz nieistniejąca czytelniczko.

Więc może ostatni raz ja pisał wiele razy, raz za razem, ledwie trzymając podane mi pióro w połamanych palcach, siedząc przy stole naprzeciwko tego miłego, życzliwego człowieka o wyglądzie dystyngowanego profesora albo chirurga, szpakowate włosy, okrągłe okulary w drucianych oprawkach na nosie, siwy, krótko przystrzyżony wąs, gładkie policzki i nawet zapach jakiejś dobrej wody kolońskiej. Angielskiej pewnie. Jak jakieś rzeczy dobre dla człowieka, to koniecznо angielskie one są. Tylko ich polityka chujowa. Więc on tak jak profesor wyglądał, angielski nawet, szlachetny z tym wąsem.

Tylko mundur mu jakoś nie pasował. Nie dlatego, żeby źle był odszyty, zieloną gimnastiorkę odszytą miał wspaniale, dopasowaną do sportowej zresztą figury jego, na pewno na miarę obstalowaną razem z niebieskimi bryczesami z wąskim czerwonym lampasem, jak to oficerowie za dawnych czasów sobie obstalowywali. Po prostu nie pasowała jakoś do spokojnej, życzliwej twarzy ta gimnastiorka z karminowymi patkami na kołnierzu i z dystynkcjami majora, i z godłem NKWD z mieczem i tarczą na ramieniu starannie wyhaftowanem i zapinana na trzy mosiężne knefle, które tak dobrze pamiętam, te knefle.

Ja trzymał w dłoniach ołówek albo pióro, człowiek o twarzy profesora podsunął mi papier, cały zapisany na maszynie w niby moje, chociaż nie moje, słowa. Zapytał, to co, Konradzie Wilgelmowiczu, zapalicie? Pokiwał ja głową albo i nie pokiwał, ale on wyjął z biurka ozdobne pudełko papierosów Trojka, drogich. Na zewnątrz miały wymalowaną staroruską scenę z trójkonnym zaprzęgiem, od wewnętrznej strony dekla wymalowany znowu pięknie widoczek Kremla. Odwinął ozdobny papier, wyjął z pudełka grubego papierosa o złotym ustniku, zapalił, zaciągnął się raz, żeby nie zgasł, po czem włożył mi w rozbite, spierzchnięte usta, wcześniej również samemu odkręciwszy śrubę mocującą do blatu biurka deskę, w której tkwiły obie moje ręce.

Sam to zrobił, ponieważ zwolnił już wcześniej starszynę, któren zajmował się takimi sprawami. Niech idzie do domu, dzieci ma, niech ojca pooglądają, bajki im poczyta, radia posłuchają, powiedział, uśmiechając się ciepło.

Moje ręce tkwiły wcześniej płasko na blacie, zamocowane do biurka deską z wycięciami, żeby czełowiekowi o twarzy profesora wygodniej było przekonywać mnie do tego, bym przyznał się do winy, czegom ja jednak zrobić nie chciał, przynajmniej przez jakiś czas, wierząc mocno, że Sofia, Ninel i Wilena są już bezpieczne.

A jeśli nawet nie były jeszcze bezpieczne, to inne im groziły niebezpieczeństwa niż taka piwnica, w której siedział ja razem z tem czełowiekiem o miłej twarzy profesora, i to go gniewało, że nie może się przez Sofie, Ninel i Wilenkę do mnie dostać, o to też pytał, gdzie są, gdzie, i to nie było mądre, że pytał, bo już nie mógł mi powiedzieć, że je złapali.

Zresztą wiedział ja, że nie złapali. No więc gniewał się na mnie major o twarzy profesora, to i dłonie miał ja płasko na blacie przytrzymane tymi zmyślnymi dybami na zawiasie, a towarzysz major walił w moje dłonie młotkiem, więc ja starał się zaciskać w pięści, zresztą wcale się nie starał, zaciskał ja je odruchowo, szarpiąc się i wrzeszcząc, na nic oczywiście, bo piwnica głęboko, a biurko towarzysza majora starannie przykręcone do podłogi.

Miły towarzysz major nie życzył sobie, żebym zaciskał dłonie w pięści, więc rozprostowywał mi jeden palec po drugim i każdy przybijał do blatu biurka, przez paznokieć, cienkimi, tapicerskimi gwoździmi, wtedy ja zemdlał i towarzysz major sam musiał wstać, wziąć wiadro i ocucić mnie tą lodowatą wodą, bo, jak ja pisał, starszynę już puścił do domu, niech tam dzieci ojca mają.

No i ja wtedy zdecydował, że co tam, podpiszę. Może już dość. Wszyscy w końcu podpisują, mówił major i miał rację, obcęgami powyciągał gwoździe, delikatnie, żeby nie bolało za mocno, jak wyciąga, odkręcił deskę, co trzymała moje dłonie na blacie, dał w te krwawiące i drżące dłonie papierosa o złotym ustniku, dał papier i ołówek i powiedział, no to podpiszcie, Konradzie Wilgelmowiczu, i na dziś będziemy mieli z głowy, no to podpisał ja, bo co ja miał nie podpisać.

Myślę, że chyba właśnie wtedy ja ostatni raz pisał. To znaczy potem jeszcze coś podpisywało się, na pewno, potem przecież wisiał ja jeszcze nagi pod sufitem, podwieszony za związane za plecami nadgarstki, i towarzysz major przekonywał mnie, żebym, skoro już się ja przyznał do bycia polskim szpiegiem, wydał jeszcze moich współpracowników. Zdawało mi się, że przyznawał się ja wcześniej do bycia szpiegiem niemieckim, ale przecież ja nie zwracał uwagi na tę nieścisłość, skoro ciężar mojego ciała wyrywał mi wykręcone ramiona z barków. Wydał ja w końcu, nie pamiętam już kogo, każdego, o kogo pytali, nawet że Sofie szpiegowała dla Norwegów, ale jeszcze nie wtedy, wtedy ja mówił, że tylko ja był szpiegiem, więc w końcu mnie odwiązał starszyna, którego akurat wtedy major do domu nie puścił, rozkrzyżowali mnie na kształt litery X, kończyny do przykręconych do podłogi żelaznych kółek przywiązawszy, i starszyna wziął lutlampę, po czem chwycił w garść moje genitalia, zacisnąwszy je tak, że mój chwost i jajca wystawały z tej jego garści, jakby już je od mojego ciała oddzielił. Ale nie oddzielił, o czem się przekonał ja, gdy lutlampy użył.

No i wtedy też jeszcze ja pisał, podpisywał, co kazali, a potem nawet własnoręcznie trzęsącą się ręką spisywał jakieś zeznanie, plastrem mi musieli kciuk z palcem wskazującym i środkowym razem z ołówkiem skleić, spisywał ja, plamiąc papier krwią trochę, za co mnie major dobrotliwie skarcił, palcem pokiwał jak belfer w szkole powszechnej. Do czego się ja przyznał, nie pamiętam, do wszystkiego.

Potem już jakoś nie było okazji pisać. I nie chciał ja.

Po co pisać, za dużo już napisane.

Uchodził ja potem za szczęściarza. Po pierwsze dlatego, że kiedy po mnie przyszli, to ja próbował uciec, przez okno. Jakże mi tego zazdrościli potem, jeden profesor, podobno entomolog i jakby tego nie było dość, to jeszcze Żyd, opowiadał mi na wyrębie, że jak przyszli po niego, to im jeszcze herbaty zrobił, i to po tem, jak mu już pasek i sznurówki zabrali, bo on przecież niewinny i to musi być pomyłka. Kiwali głowami, herbatę, owszem, wypili i mówili, że tak, tak, na pewno pomyłka, chodźcie z nami, wyjaśnimy, brać nic nie trzeba, u nas ciepło, nakarmimy, jak zgołodniejecie. No i poszedł, i dali mu paragraf 58-2 i dychę jak w pysk, a entomolog nigdy sobie nie wybaczył, że tej herbaty im zrobił, jak przyszli, że po dobroci po-

szedł, bo to przecież pomyłka i wszystko się wyjaśni. Wszyscy tak to wspominali, że przecież niewinni, więc cóż takiego, pójdą, wszystko się wyjaśni.

No i się wyjaśniało, jak im palce łamali, jak podtapiali albo jak bili bez przerwy, przez godzinę, zawiniętych w dywan, jeśli ich zeznania były na procesie potrzebne, gdzie musieli wyglądać przyzwoicie, a nie jak mięso na bitki tłuczkiem rozklepane.

A ja wiedział. I zazdrościli mi tego towarzysze moi w miejscu, którego nazwy nie chcę wymieniać, wiedział ja, tak że próbował ja uciec, a jednego z tych, co mnie aresztowali, nawet w pysk ja strzelił. Zrobił ja wszystko, co mógł. Ja nie poszedł po dobroci, o nie.

Ktoś mógłby pomyśleć, że żadna różnica, w miejscu, którego nazwy nie chcę wymieniać, siedział ja tak samo jak oni, a jednak różnica, jak się siedzi z dychą i w nocy człowiek pyta sam siebie, co by było, gdyby stawił opór. Ja sobie tego pytania zadawać nie musiał, a profesor owszem, co w zasadzie nie miało też specjalnego znaczenia, że sobie to pytanie zadawał, bo go w końcu dwóch worów, to wspomniany wcześniej Rebane i niejaki Gabaidze, o którem opowiem potem, otóż ci dwa urki go zgwałcili i zabili pewnej nocy, po tem jak na wyrębie procentu wyrabotki oddać nie chciał Gabaidzemu. Dwa dni wcześniej kazali zekowi, co się zajmował więziennymi obrazami, wytatuować profesorowi na czole słowo „петух" i gwiazdę Dawida, po tem jak zmusili go do uczynienia Gabaidzemu usługi ustami, do gardła nóż przykładając. Oczywiście był to tatuaż przymusowy, profesor nawet nie próbował się przed nim bronić, bo wiedział, co będzie, jak odmówi – Rebane powiedział, że jak będzie się rzucał, to mu toporem łeb odrąbie i na odrąbanym „петух" wydziarają, więc jak tam profesor woli. No więc wolał na głowie nieodrąbanej. I potem, następnego dnia, leżąc nocą ciemną na pryczach, wszyscy udawalimy, że wcale nie słychać, jak się Rebane z Gabaidzem śmieją i dyszą, i jak profesor wyje, jak go przełożyli przez ławę, ręce do nóg ławy przywiązali, ściągnęli z zadka spodnie, Gabaidze mu pętlę na szyję założył i zaciągnął, żeby profesor nogami nie kopał, że jak będzie kopał, to zaduszą, no to i nie kopał, przyduszony od razu, i Rebane, wielki, wytatuowany, z Leninem i Stalinem na piersi, z pagonami na ramionach, z babą rozkraczoną na brzuchu, z symbolami i literami na dłoniach, stanął za profesorem, chwycił go za biodra jak babę i gwałcił, i dyszał, a my wszyscy udawali, że nic a nic nie słyszymy, i tylko jak tak rano

entomologa zastalimy, kiedy trzeba było do roboty wstać, przełożonego przez tę ławę, chołodnego już, z zadkiem ciągle wypiętym, spodnie u kostek, z rękami do nóg ławy przywiązanego i z gębą siną zupełnie, i językiem wywalonym, sczerniałym, to nieswojo trochę było.

Ale tylko niektórem.

Ja to, przyznam szczerze, cieszył się, że to profesor tam chołodnyj na tej ławie leży, nie ja, bo ja wtedy miał jeszcze inne plany, a jak. Jeszcze ja coś tam sobie roił w głowie.

Gadało się potem, że go zabić nie chcieli, chcieli tylko pomęczyć, żeby ładnie procent wyrabotki na wyrębie oddawał dla worów w zakonie, co w ogóle do roboty nie wychodzili, po co im martwy profesor, tylko ten siestreńka Gabaidze, co mu pętlę na szyję założył, to trochę za mocno zaciągał, a Rebane za długo nie mógł skończyć, no jak wreszcie doszedł, to profesor entomologii już nie żył.

No ale, wracając, bo cóż tam po profesorze, może sobie już w innem świecie te motylki czy chrząszcze bada, wracając, to nie mógł ja mieć do siebie pretensji, że ja nie próbował bieżeć. Bo próbował ja, okno wywalił, żeby na dach szopki zeskoczyć i owszem, wyskoczył ja i chciał wtedy przez płot, i głupio myślał, że w stronę wody, w stronę portu, ale mi się spodnie o płot zahaczyły i już na płocie mnie chwycili. Opór też ja stawiał, jednego wyrżnął w pysk, owszem, tak że aż się zachwiał, wiedział ja dobrze, że przed wyrokiem zabić nie mogli, że przesłuchać muszą, a nieboszczyka nie da się przesłuchać, więc tylko kolbami stłukli za ten cios i przez cały mój czas w miejscu, którego nazwy nie chcę wymawiać, mógł ja sobie o tem ciosie pamiętać. I ludzie wiedzieli. I szeptali: a jak Konrada Wilgelmowicza brali, to żołnierza w pysk wyrżnął i nawet u worów podziw miał ja, a jak. Nieduży, ale miał. Tak jak profesora nikt mnie traktować nie próbował.

Nie po dobroci mnie wzięli. O tem pamiętał ja przez cały czas.

I o tem, że Sofia i dziewczynki były już poza ich zasięgiem. Ja musiał zostać, bo gdyby się ja rano nie pojawił w urzędzie, toby zwinęli całą naszą czwórkę jeszcze po drodze, raz dwa. Ja nie mógł jechać z nimi. Mnie by na wybrzeże, tak daleko od miasta, nie puścili, bo ja już wtedy był niepewny element. Radkowi też już się wtedy pod dupą paliło. A tak Sofie wzięła dziewczynki, zapakowała na sanie, wzięła propiskę, którą udało się uzyskać, motywując swą prośbę potrzebą odwiedzin u rodziców Sofii, wzięła

całą naszą gotówkę i całe złoto, którego dużo nie było, ale na łapówki musiało starczyć, i pojechała do Cypnawołoku, gdzie jej ojciec był zastępcą przewodniczącego w lokalnym sielsowiecie.

Na miejscu, w Cypnawołoku, miała ukraść łódź motorową i popłynąć nocą na zapad, do Vardø, a przy złej pogodzie przynajmniej na fińską stronę granicy, do fińskiej wtedy Pieczengi, co się po fińsku nazywa Petsamo.

Sofia, córka rybaka z Cypnawołoku, znała te wody lepiej niż jakikolwiek pogranicznik, znała morze, nie bała się płynąć nocą. Musiało jej się udać. Miała to we krwi. Nie wiem, czy takie rzeczy można we krwi mieć, ale Sofia miała. Pochodziła z Norwegów kolskich, którzy się na siewiernych brzegach półwyspu Kola osiedlili sto lat temu i życie spędzili, łowiąc ryby w Morzu Barentsa. Arktyczne morze płynęło w jej słonej krwi, znała je od dziecka, więc wierzę, że dopłynęła do Vardø, albo przynajmniej do tego kawałka fińskiego wybrzeża, do Petsamo, wystarczyły jej kompas i gwiazdy, zapasy długo my gromadzili, więc musiało się jej udać. Sofie nie bała się ani mrozu, ani fali, tam na pewno musiało być jej ciężko, ale dopłynęła, dziewczynkom dała nowe, już norweskie imiona, sama przypomniała sobie łatwo, jak po norwesku mówić, bo tak w domu z rodzicami mówiła, dziewczynki rosyjskiego, daj Boże, zapomniały, Sofie znalazła pracę może, miała jeszcze daleką rodzinę w Vardø, zawsze wspominała o tych prawdziwie norweskich kuzynach tam, może wyjechała dalej, do Tromsø.

Tak właśnie musiało być.

A jeśli było inaczej? Mogło być inaczej. Widział ja łodzie, które wywraca arktyczna fala, łodzie mocniejsze i lepiej nadające się na pełne morze niż ta szalupa ze słabym motorem, widział ja z bliska, jak umiera człowiek w wodzie, której temperatura niższa od zera.

Szybko się tak umiera, dobrą śmiercią. Widział ja dawno temu, jeszcze w cesarskiej marynarce, ludzi, co tak umierają. Nie było to złe umieranie. Widywał ja gorsze, gorsze nawet niż entomologa w zonie. Dużo gorsze ja widywał, owszem.

Więc jeśli nie dopłynęły do Vardø albo do Petsamo, jeśli zabrało je Morze Barentsa, to cóż tam, to przecież nic, lepiej, że moja Sofie nie zazna tego, co by ją spotkało w miejscu, którego nazwy nie chcę wspominać, w kobiecej zonie, a gdzie trafiłaby bez wątpienia, w końcu Norweżka, a do tego stara towarzyszka i rewolucjonistka, do tego żona obcokrajowca, i też starego

bolszewika. Stare bolszewiki to swołocz najgorsza, powiedział mi miły człowiek o twarzy profesora, w mundurze majora, i miał rację, zgodził ja się z nim, tak, towarzyszu majorze, powiedział ja, tutaj nie ma między nami sporu. Stare bolszewiki, jak wy albo ja, to swołocz najgorsza.

Odpowiedział mi na to szczerze, skoro bylimy sami. Ze mnie, Konradzie Wilgelmowiczu, żaden stary bolszewik. Za mołodu był ja kadetem, ale o tem nikt nie wie, a potem eserem, o czem już wiedzą. Całe Czeka esery robili, wie pan chyba o tem, to były najpewniejsze kadry. Prawie mnie rozstrzelali po eserowskim powstaniu, cudem się wywinął ja, wydał ja towarzyszy, uchował ja głowę, bo to były inne czasy, nie jak dziś. Bolszewikiem został ja trochę zbyt późno, żeby uchodzić za starego. Rozumiecie, Konradzie Wilgelmowiczu? Dlatego mnie trzymają. Bo ja lojalny.

Ja rozumiał. Zapał, z jakim przesłuchiwał mnie, bez wątpienia wypływał z tej przeszłości niepewnej. Zresztą nie było przeszłości pewnej. Każda była niepewna. Myślę dziś, że przybijając mi gwoździmi tapicerskimi palce do blatu, myślał przy każdem uderzeniu młotka o tem, jak to jemu będą przybijać. I pewnie przybijali, ale tego nie wiem. Zastanawiał ja się wtedy, do dziś się zastanawiam, czy wiedział, czy był świadom, że i na niego przyjdzie pora zasiąść po drugiej stronie stołu, bo że przyjdzie, tom był pewien wtedy, a i teraz też.

Ale pisał ja o tem, dlaczego dla Sofie lepiej nawet, gdyby spoczęła w lodowatej wodzie.

I lepiej dla moich słodkich córeczek, lepiej dla Wileny, która dziś albo ma już dwadzieścia lat i pewnie gdzieś łamie serca norweskim chłopakom w jakimś tam norweskim mieście tymi jej wielkimi oczętami w kolorze chabrów, bladą skórą i włosami ciemnymi, lśniącymi – tak pewnie teraz wygląda; albo i spoczywa na tem wielkim cmentarzu, pod wodą, to też lepiej, jeśli w ramionach Sofie poszły w wodę, ona i Ninel taka malutka, jeszcze przy piersi, niżby miały trafić do sierocińca, bo wiem przecież, jak te dzieci tam wyglądały, kości ledwie suchą skórą obciągnięte, zawszone, marły tam jedno po drugim, bite, gołodzone, gwałcone, lepsza śmierć w morzu, w ramionach matki, kilka sekund przerażenia, woda pali jak ogień, zachłyśnięcie, chwila walki i koniec, koniec, jakże lepszy niż to, co mogłoby się im stać, gdyby zostały.

Nie wiem więc, moja równie droga, co nieistniejąca czytelniczko, czy się Sofie udało i dziewczynkom, nigdy się nie dowiem, oczywiście, ale gdy mnie bił ten starszyna śledczy metalową rurką po goleniach, jak mnie pierwszy raz w koromysło na wywrót kajdankami skuli i zostawili w celi, przez swój wrzask cały czas tylko słyszał ja ich pytanie: gdzie one są, gadzie jeden, jebany synu, gdzie one są, gdzie twoja kobita i bękarty, gdzie one są? Koromysło na wywrót robi się tak, że lewą rękę człowiekowi ciągnie się nad lewym ramieniem za głowę w dół, jakby się chciał po plecach podrapać, a prawą do prawej od dołu do góry, pod pachą wykręconą, i przyciąga się nadgarstki do siebie, to już zwykle musi dwóch chłopa robić, bo jeden nie da rady, chyba że delikwent jakiś wygimnastykowany i jak się przyciągnie, to się dwie ręce razem skuwa sztywnymi kajdankami bez łańcuszka. Wrzeszczy człowiek, już kiedy mu te ręce ciągną do siebie, a jak skuli i zostawili, to czuł ja się, jakby miał się z przodu rozpęknąć, tak jak się upolowanego ptaka, jeszcze ciepłego, palcami nawet bez noża na mostku otwiera, żeby mu mięso z piersi wyciąć, więc wył ja, a jednak pod bólem zostało to ich pytanie i moja radosna świadomość: nie wiedzą, nie wiedzą, nie wiedzą!

Głupi śledczy. I ja głupi, ale oni głupi bardziej. Pytając mnie, gdzie one są, powiedzieli mi to, co było dla mnie najważniejsze: ludzie w bryczesach chabrowych i w zielonych gimnastiorkach z czerwonymi patkami na kołnierzach nie wiedzieli, gdzie Sofie i dziewczynki. Sofie i dziewczynki wymknęły im się z rąk.

Jak tak, to niech mnie tam męczą na zdrowie. No, nie na zdrowie, ale tak się mówi.

Głupi śledczy dali mi spokój i odwagę. Nadzieję nie, oczywiście, że nie, nie miał ja nadziei, że je jeszcze kiedykolwiek zobaczę od chwili, w której się pożegnalimy, od chwili, gdy wsiadły do sań przed domem, w którem my mieszkali, dwupiętrową, drewnianą komunałką, zbudowaną jeszcze za alianckiej interwencji, podobno jakiś amerykański oficer tam mieszkał, a teraz tyle rodzin, czasem po dwie w jednym pokoju, my, Sofie i ja, jako partyjni mielimy to szczęście, że nam cały pokój przysługiwał, tylko kuchnia i kible, i umywalnia były wspólne, i kiedy ja do tego pokoju wrócił sam, słysząc jeszcze stłumione końskie kopyta na śniegu i zgrzytnięcie, gdy cza-

sem płoza chwyciła kamień, to już wiedział ja, że już nigdy, nigdy ich nie zobaczę.

Wyjrzał ja jeszcze przez okno, wydawało mi się, że cień sań jeszcze dojrzał, ale pewnie nieprawda, i całkowicie nierealnym wydało mi się to, że pięć minut wcześniej stał ja przed domem w świeżym śniegu, że Sofie przylgnęła do mnie i nie puszczała, a ja nie rozwierał jej ramion, ja pozwolił, żeby trzymała, bo wiedział ja, że kiedy już będzie musiała, to mnie puści, i jak puści, to puści na zawsze.

Puściła. Nigdy tego nie zapomnę, tej pustki, gdy jej ręce nagle rozluźniły uchwyt wokół mojej szyi, puściły, zniknęły, a ja wiedział wtedy, wiedział na pewno: już nigdy.

Ibisi potem odeszła tak samo. To znaczy inaczej, ale tak samo. Ale to zupełnie inna historia. Później, Konradzie Wilgelmowiczu, później.

Wilenka nie wiedziała, że już tatusia nie zobaczy, nie mogła wiedzieć, ja po prostu wziął ją na ręce, podniósł, pocałował w czerwone policzki pod futrzaną czapeczką i posadził w sanie, i powiedział ja, że ma być grzeczna i słuchać mamy, powiedział to w języku, którego nie znała, tak jak się u nas w domu mówiło, w jakimś innem świecie, nie wiem dlaczego.

Chciał ja się pożegnać jeszcze z Ninel, ale spała, zawinięta w becik z króliczego futra, Sofie odsunęła moją rękę, nie budź małej, niech śpi. Słusznie. Jak się obudzi, to może hałasu narobić, kto tam wie, kogo hałas ściągnie. A co komu z pożegnań przyszło? Nic.

Ja wiedział, że Sofie sobie poradzi, nie zatrzyma jej byle patrol, nie chwyci jej byle pogranicznik, nie moją Sofie, bohaterkę wojny domowej, starą bojowniczkę obeznaną z bombą, sztyletem i rewolwerem, na dodatek swoich córek gotową bronić na śmierć i życie. Następnego dnia ja jak zwykle poszedł do urzędu, nic nie dając po sobie poznać, i tak chodził ja jeszcze przez dwa tygodnie, ciekawskim mówiąc, że Sofie z dziewczynkami wyjechała do rodziców w Cypnawołoku, a gdy nie było jej coraz dłużej, to już nie mówił ja nic, aż w końcu przyszli mnie zawinąć.

I tak by przyszli, to było oczywiste, i po mnie, i po Sofie, nawet nie wiadomo, po kogo pierwszego, bo towarzyszka Pażarska (taki sobie przybrała pseudonim, któren potem stał się jej nazwiskiem) jednak była dla przeciętnego czełowieka w niebieskich portkach i zielonej gimnastiorce bardziej

rozpoznawalna niż ja, skromny robotnik winnicy pańskiej, pierwsza do wzięcia.

To dało mi siłę, tę, która poprowadziła mnie przez śledztwo, transport, przez miejsce, którego nazwy nie chcę wymawiać, i potem do Chołodu, i w końcu doprowadziła mnie aż tu, na śmierć.

Ale nie narzekam, ciekawe miał ja życie, a co.

18 CZERWCA 1946

Pierwszy raz pisał ja przedwczoraj. Dziś wtorek.

Mam wrażenie, że kiedy przybył ja na „Invincible", to Duży i Mały sądzili, że wyjdą z tych lodów cało. Że będą żyć. Strasznie mnie to śmieszy, że można być tak głupim, a równocześnie jednak dotrzeć aż tutaj, nie wpaść pod tramwaj od razu, kiedy się opuściło mieszkanie w tem ich Paryżu czy tam innem mieście, co mnie niewiele obchodzi.

Chyba są tramwaje w Paryżu?

Na pewno są, jak by miało ich nie być, takie miasto i bez tramwajów. No więc jakim cudem tych dwóch idiotów nie zginęło, wychodząc z tych paryskich domów na paryski bruk, tego nie potrafię ja zrozumieć.

Spotkalimy się w zasadzie w ostatnim momencie. Dla mnie w ostatnim. Ja od dawna wiedział już, że śmierć blisko i że już niczego poza lodami nie zobaczę, oni jeszcze nie.

Och, Konradzie Wilgelmowiczu, wy to tak zawsze naopowiadacie głupot, wiedzieliście, że śmierć blisko, że nic poza lodami nie zobaczycie, to po coście się tak w życie wbili kurczowo tymi pazurami, które jeszcze macie w tych poharatanych, kalekich dłoniach. Tylko byście opowiadali, śmierć blisko, wszystko to musi być zawsze u was takie tragiczne, biedny Konradek, jak się sam nad sobą nie ulituje, to któż się ulituje? Tak go boli nosek złamany, biedaczynkę!

No taki ja właśnie, skłonny do dramatycznych słów i gestów, cóż innego mam od życia...

W każdem razie z mojego zimowiska ruszył ja, kiedy po długiej i zupełnie samotnej zimie wstało słońce. Nie miał ja już psów, polarną nocą zdechły mi z gołodu, te, które już nie miały siły zeżreć się nawzajem. Kilka zja-

dł ja sam. Na saniach zostało mi trochę foczego mięsa, w kieszeni miał ja jeszcze dwa patrony do berdanki i brak pewności, czy wystrzelą, tak stare i zaśniedziałe były, na pewno jeszcze przedrewolucyjne, czem nieźle pasowały do starej wintowki, którą w kupie trzymały tylko ciasno zawiązane, namoczone wcześniej rzemienie z foczej skóry. Należała kiedyś do Wesunasa, ale o tem opowiem ja później. Wszystko w swoim czasie, ma się rozumieć. No ale tęsknił ja do dobrej triochliniejki systemu Mosina wtedy! W lufie gwintu prawie już nie było, tak że strzelać do niedźwiedzia nie było sensu z odległości większej niż piętnaście metrów. Patrona żal, bokiem kula poleci. Żeby fokę – nerpę albo łachtaka – na tyle podejść to oczywiście szans żadnych, w Chołodzie to potrafili, jasna rzecz, od dziecka się tam uczyli czołgać powoli po krze, udawać, że się samemu jest foką, bo foka zwierzę czujne, ale głupie, oszukać się ją da, jeśli tylko podchodzić pod wiatr, więc byli podobno i tacy, co tak potrafili fokę podejść, żeby pętlę z rzemienia zarzucić na ogon, zaciągnąć, ale sam tego na oczy ja nie widział, historie tylko o tem słyszał.

No, ale co tu się rozpisywać, to było wcześniej. Teraz miał ja sanie, które ja sam ciągnął, na saniach focze mięso, starą wintowkę, krzesiwko, któregom obsługi nauczył ja się dopiero na Chołodzie, bo wcześniej człowiek miał zapałki, w końcu jest dwudziesty wiek, czyż nie? Miał też ja bańkę pełną przetopionego wielorybiego tłuszczu i kulik, czyli chołodzką lampę-piecyk, na której się ten olej wielorybi paliło, żeby śnieg roztopić, trochę w jarandze ogrzać, albo nawet mięso przypiec, jak kto wybredny. Taki prymus chołodzki poczyniony z kamienia, z knotem z puszycy.

Miał też ja żółtosiwą brodę prawie do pasa, co niewygodne zimą, bo się wielki lodowy sopel z niej robi, ale ja tak jakoś pozwolił jej wyrosnąć jak u popa, miał ja dobre, focze buty z podeszwami z niedźwiedziego futra, nogawice i koszulę długą z renifera, futrem do środka, nogawice nie jak spodnie uszyte, bo bez siedzenia, tak że ani tyłka, ani genitaliów nie zakrywały. Nauczył ja się tak chodzić, bo bielizny w Chołodzie też nie było, koszula futrzana sięgała prawie do kolan, nogawice jak dwie damskie pończochy trzymały się na pasie, to i nawet wygodne, bo za potrzebą wystarczy na chwilę koszulę zakasać, załatwić co należy i gotowe, a to na mrozie czterdziestostopniowym ma znaczenie. Na koszulę miał ja chołodzką bluzę do jeżdżenia na saniach, sztywną i ciężką, z futrem na zewnątrz i wielkim

kapturem, na którą w Chołodzie mówiono „malica", a słowo to chyba pochodziło z języka nienieckiego albo z jukagirskiego, ja nie wiem tego.

Co miał jeszcze ja? Miał ja nóż, dość dobry, chociaż często trzeba było go ostrzyć, harpun z długim rzemieniem, miał ja starą koszulę, jedyną rzecz, jaka mi została z życia przed aresztowaniem, kiedyś białą, teraz ciemną szmatę już raczej, bez jednego rękawa, ale ja nie wyrzucał jej, pamiętając, że kiedyś dotykały jej dłonie Sofie, kiedyś ją ze mnie delikatnie ściągała, gdy ja siadał na brzegu łóżka, a Sofie mówiła: chodź do mnie, chodź.

Czego ja nie miał? Nadziei. Wiedział ja, że focze mięso nie starczy na długo. Na to, żeby ja miał szczęście na twardym lodzie, daleko od wolnej wody niedźwiedzia znaleźć, to liczyć ja nie mógł, poza tem, cóż mi da niedźwiedź, skoro nie mam psów. Sam sań mięsem załadowanych nie pociągnę za sobą, więc co, będę konanie przedłużał, koczując przy mięsie?

Gdyby ja niedźwiedzia naszedł, kiedy jeszcze miał ja psy, to byłoby co innego, można by się zatrzymać na dwa dni, psom dać odpocząć, odkarmić je, potem ze dwieście kilo mięsa załadować na sanie, żeby psy miały co żreć po drodze, i liczyć na coś, nie wiem na co, że dotrę gdzieś, do lądu może?

I co bym na tem lądzie wtedy robił, dureń, sam nie wiem.

No więc ja nie miał nadziei na nic, szedł ja po prostu przed siebie, bo usiąść i pozostać na miejscu ja nigdy nie chciał, od kiedy ja dom rodzinny opuścił, więc ja szedł i szedł, klucząc między torosami, szukając gładkiego lodu, aż w końcu właśnie na małym kawałku gładkiego lodu, między wmarzłymi w pak górami lodowymi, które musiały tu przypłynąć nie wiem skąd, ale z daleka, może z Ziemi Franciszka Józefa, na tem kawałku gładkiego lodu zauważył ja łódeczkę, która niedługo później okazała się łódeczką Dużego i Małego.

Podszedł ja do niej, przekonany, że to omamy z gołodu albo z wychłodzenia, no ale podchodzę i stoi, płytko bardzo, wmarznięta, tak jakby ją lód na swój wierzch wypchnął, nawet nie przechylona, tylko solidnymi stemplami wsparta z obu burt, nieduża, może o pięć stóp dłuższa niż szalupy Marinekutter Klasse II, na których do znudzenia wiosłowalimy po Zatoce Kilońskiej, aż nam skóra z rąk schodziła, ale ta była zamknięta, z pokładem i małą kabiną, przysadzista i mocna, dziesięć metrów długości, z pękatym kadłubem tak zbudowanym, żeby płasko na dnie osiadł, na przykład gdy odpływ jest, śruba i ster bezpiecznie umieszczone za skegiem, jeden maszt

z bermudzkim – jak mi się wydawało – ożaglowaniem, takielunek cały pokryty lodem i śniegiem, ale widać było, że pod lodem porządnie sklarowany, nieopuszczony w pośpiechu, pinne przywiązany do relingu, na rufie zaś zamocowane było dziwne urządzenie, jakiego ja nie znał, jakby druga, mniejsza płetwa sterowa, przy niej w powietrzu na wysięgniku płat jak ster samolotu, na burcie nazwa „Invincible", na flagsztoku łopotały jeszcze strzępy banderki zielono-biało-pomarańczowej, czyli irlandzkiej, dziwacznie wyglądały te spłowiałe, ale wciąż intensywne zieleń i pomarańcz tutaj, na śniegu, a pod salingiem jeszcze inna, nieznana mi flaga w czarno-białe pasy. Śnieg dookoła „Invincible" był wydeptany, pełno ludzkich śladów. Na dachu kabinki, przed masztem, wystawał niedługi komin. Z komina unosił się dymek, raczej para, nie taki jak z węgla, tylko z jakiegoś czystszego paliwa.

Zamknął ja oczy, potarł je, poklepał się po policzkach i ponownie oczy otworzył: łódka dalej stała na lodzie. Berdankę z sań ja wyjął, załadował przedostatni patron, sam nie wiem po co, z przyzwyczajenia chyba, że człowiek wróg, szczególnie innostraniec.

Ja sam innostraniec, wszędzie, całe życie. Właśnie o tem pomyślał ja te dwa miesiące temu, dziś wiem, że w kwietniu, kiedy pierwszy raz zobaczył ja łódeczkę Dużego i Małego. Całe życie innostraniec, od kiedy uciekł ja z domu w wieku czternastu lat, kiedy mamulka wzięli sobie nowego chłopa, któren niezbyt mi się podobał, szczególnie po tem, jak pogrzebaczem złamał mi lewe przedramię, bo mu odwarknął ja, że ôn niy ma mōj tatulek i niy byda go nic suchoł, tak po naszemu właśnie mu ja odwarknął.

Był to zresztą jego wielki błąd, że złamał mi przedramię lewe, bo gdy mnie potem mamulka przywieźli z powrotem do domu od doktora, z lewą ręką w grubym gipsie, to prosto od drzwi poszedł ja do kachloka po ten pogrzebacz i korzystając z tego, że prawą miał ja zupełnie sprawną, a chłop siedział przy stole i żarł kluski ze skwarkami, i był tą czynnością zajęty całkowicie, to mu rozwalił ja pogrzebaczem łeb. Nawet nie wiedział, co go trafiło, zleciał z krzesła pod stół i noga mu tak śmiesznie drgała, jak se tak pod tem stołem leżał. Klusek nie dojadł. Mamulka zaczęli strasznie płakać, że ohoho, zabity, zabity, na co powiedział ja, że mogła se gacha do domu nie sprowadzać jak byle kurwa, toby zabity nie leżał, co było po pierwsze nieprawdą, bo aż tak mocno w ten siwy łeb nie dostał i przecież widzieli-

my, że nie umarł, a po drugie, z mojej strony niesprawiedliwe, bo też to nie jej wina, że tatulek mój się ulotnił któregoś dnia przecież, podobno do Ruhrgebiet wyjechawszy. Ale wtedy ja tego nie rozumiał i do niej miał o to pretensje, nie do mojego tatulka szaławiły i szałaputa. Bo też jak kogo brak, to i trudno doń pretensje mieć, bo gdzie je wykrzyczeć, w ciemność, w przestrzeń?

No więc jak jej tak powiedział ja, że mogła gacha jak kurwa nie sprowadzać, to mamulka wtedy się pogniewali i chcieli mi dać po pysku, ale nie dali, bo ja ciągle z tem pogrzebaczem w ręku stał, więc raczej chłopa zaczęli ratować, a on chyba powoli wracał do zmysłów. Na mamulkę nigdy bym ręki nie podniósł, ale mamulka się znad chłopa – imieniem Franz – podnieśli i kazali mi się wynosić, że nie chcą mnie widzieć i tak dalej. No to ja się wyniósł i żeby jej zrobić na złość, nigdy już nie wrócił się do niej, chociaż potem, jak ja wydoroślał, to zrozumiał ja, że niesprawiedliwy był, zostawiając ją tak z tem Franzem, bo nie miała przecież poza mną nikogo, bo po mnie nie mogła już mieć dzieci, coś się jej tam zepsuło w kobiecych sprawach, tak mówiła. A że tego Franza do domu skludziła, no trudno mieć pretensje, skoro robotę miał i pieniądze przynosił.

No, ale słowo się rzekło i od kiedy tak ja z domu wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, zostawiając mamulkę z okrwawionym chłopem, tak już nie wrócił ja nigdy. Było mi wtedy czternaście lat.

No i od tego czasu zawsze – innostraniec. Z innych stron człowiek. Z cudzych ziem.

Tak sobie właśnie ja rozmyślał, o mamulce i Franzu, biorąc z sań moją okręconą foczym rzemieniem berdankę, ładując przedostatni patron i mocując się z zamkiem, któren wyjątkowo trudno się domykał. Dodawało to osobliwej ekscytacji polowaniu na niedźwiedzia, do którego ze względu na braki w gwincie mojej berdanki strzelać należało z bliska i którego lepiej było zabić pierwszą kulą, bo zanim człowiek zamek otworzył, patron z kieszeni wyjął, do komory włożył i zamek zamknął, to niedźwiedź mógł już się człowiekiem zająć w sobie właściwy sposób. Ja raz był w takiej sytuacji, wielkiego białego samca naszlimy, gdy pożywiał się niedużą, acz upasłą nerpą, którą musiał chwilę wcześniej z jej otworu oddechowego łapą wygarnąć, bo do krawędzi lodu było daleko.

Wyczuł nas, gdy bylimy od niego na trzydzieści kroków, najpierw się przestraszył, gdy nas ujrzał, i przerażony rzucił się do ucieczki, bo strachliwe są białe niedźwiedzie, płoszą się jak wiejski kundel, gdy na niego z ziemi kamień podnieść. No więc zaczął uciekać, ale potem mu się nagle przypomniało, że foka smaczna, że jeszcze by pojadł, więc szkoda zostawiać, zwolnił, odwrócił się, zaczął iść w naszą stronę, gdy był blisko, stanął na tylnych łapach i wtedy ja strzelił, chociaż wiedział ja, że do stojącego na dwóch łapach źle, trudno, najlepiej strzelać pod łopatkę, z boku, gdy stoi normalnie na czterech, albo w pierś, gdy szarżuje, no i chybił ja, trafił ja w bark, szarpnęło nim, zwinęło i skoczył, i gdyby nie to, że mój towarzysz nastawił harpun jak oszczep i niedźwiedź sam się nam nabił, opadając, to drugiej kuli ja by załadować nie zdążył.

A możem wtedy jeszcze z triochliniejki wochrze odebranej strzelał, zanim ja ją utracił? Już nie pomnę.

Do niedźwiedzia w ogóle trudno strzelać, trudno dobry kąt strzału znaleźć, nie to, co do rena i pewnie do jelenia, ale do jelenia nie strzelał ja nigdy, bo przed Chołodem nie polował ja, ja prosty chłopak, nie jakiś pan, żeby sobie polować, no chyba że na ludzi, na ludzi się i owszem, polowało, ale o tem kiedy indziej. I za bajtla chodzilimy z kolegami z flowerem wrony mordować. No, ale do niedźwiedzia trudno strzelać, bo niedźwiedź elastyczny i ruchliwy, gnie się, czasem się po dupie poliże, czasem po jajcach, położy się z dupą wysoko albo siądzie na zadzie jak pies na komendę „siad". Ren albo stoi, albo biegnie i wystarczy podejść z boku, na komorę zmierzyć i od razu wiadomo, gdzie go strzelić, bo kręgosłup ren i każdy taki jeleń ma sztywny i zasadniczo w życiu albo żre, albo biegnie, gdzie, to czort znajet, albo stoi, durny taki, i patrzy przed siebie. Rena strzelić żadna sztuka. Choćby do karōwy[1] czełowiek strzelał. A niedźwiedź, jak gruby, to nawet nie wiadomo, gdzie się mu klatka piersiowa kończy, nieraz widział ja, jak kula przeszła mu dołem, przez sadło, przez futro, nawet żebra nie zahaczywszy, nic prawie nie zauważył, co go połechtało, a po krwi się niedźwiedzia nie dojdzie, nie to co ren, z którego się leje jak z wiadra, i można sobie wygodnie dojść spacerkiem, gdzie tam leży, a niedźwiedź, zwłaszcza kiedy gruby, na ziemię krwawi mało, sadło dziurę zatyka, nawet kiedy dobrze, przez płuca, strzelony, to jakby ta jucha w sadło i futro wsiąkała.

Dlaczego ciągle wpadam ja w te dygresje?

Dygresje! Proszę, jakich słów prosty towarzysz Konrad Wilgelmowicz używają!

Miał ja pisać o tem, jak ja znalazł łódeczkę Dużego i Małego, a opowiadam o tem, jak ja z domu uciekł, albo o polowaniu na miszkę, no, ale czyż życie właśnie nie takie, czyż nie taki los czełowieka, bo taka natura naszej pamięci, dygresyjna, a w pamięci i byciu się ten los nasz ziszcza i dokonuje?

Poza tem nikt tego czytał nie będzie, to mogę sobie pisać, jak mi się podoba. I tak nie mam nic lepszego do roboty. Ale na dziś już starczy. Muszę wyjść na lód, zobaczyć, czy nie puszcza.

19 CZERWCA 1946

Ostatni raz pisał ja wczoraj. Dziś środa. Ciepło, dwanaście stopni. Na lodzie wielkie kałuże. Widział ja niedźwiedzia przez lornetkę Małego, ale daleko. Lornetka marki Zeiss, podobna do tych, co je mieli oficerowie, kiedym służył na SMS „Helgoland". Niedźwiedź był może kilometr od „Invincible". Wskoczył do morza i tyle go było. Gdzieś tam już otwarta woda między krami.

Patrzę, coś tam wczoraj napisał, Konradzie Wilgelmowiczu, i żaden nauczyciel nie byłby z was zadowolony, wątki się urywają!

Poprawię się. Wracając więc do spotkania z łódeczką Dużego i Małego, bo o tem opowiadać ja nie dokończył, działo się to w kwietniu, ale nie pamiętam którego dnia. Załadował ja berdankę przedostatnią kulą i zapukał ja kolbą w burtę, okrzyknął się po rosyjsku i odsunął kawałek, mocno ściskając mój starodawny ruski karabiner.

Pierwszy wyskoczył Mały, dzierżąc w rękach piękny sztucer z lunetą, i wrzasnął coś po francusku, co mnie zdziwiło, bo biorąc pod uwagę banderę, spodziewał się ja angielskiego, i na dodatek jeszcze Mały bezczelnie we mnie wycelował, co nie było uprzejme, bo nie lubię, jak kto do mnie z wintowki celuje, ja za dużo luf w siebie wycelowanych w życiu widział.

I jakoś żyję, ciągle, a ci, co celowali, to już jakby niekoniecznie, przynajmniej niektórzy. Ja orużja nie podniósł do ramienia, żeby durnia z palcem na cynglu nie sprowokować. Jak ja karabiner podnoszę do ramienia, to po to, żeby zabić, nie żeby straszyć.

Więc tak ja stał i patrzył na Małego, którego już w myślach nazwał ja Małym, bo w istocie był nieduży, przekrzywiwszy trochę głowę, patrzył ja na niego i czekając, rozmyślał, cóż to los mi zechce z tego spotkania przynieść.

Po Małym wygramolił się Duży, ładując dubeltówkę, ale szczęśliwie dla siebie nie wycelował we mnie. Szczęśliwie dla niego, bo tego mogłoby być już dla mnie zbyt wiele. Nie lubię ja, gdy do mnie celować, pisał już ja o tem.

Powiedział ja więc po niemiecku, żeby do mnie nie celowali, że po dobroci proszę. Mały dalej coś gadał po francusku, że Allemagne, Russia, plótł i plótł, ale sztucer opuścił. Duży milczał, orużja nie podnosił, ja też nie podnosił i czuł ja, że już taje między nami nieufność, jak tają śniegi kwietniowe. Rzadko w końcu spotyka się drugiego, a tem bardziej trzeciego człowieka na środku zamarzniętego oceanu.

Dziesięć minut później siedział już ja w środku łódeczki, która nosiła imię „Invincible" i zdecydowanie nie powinna się tutaj, na lodzie, znaleźć. Mały był już moim najlepszym przyjacielem, nie przestawał trajkotać po francusku, machając rękami i zupełnie nie zwracając uwagi na moje wygłaszane po niemiecku i łamaną angielszczyzną zastrzeżenia, że nic nie rozumiem. Duży długo milczał, orużje odłożył, ale ja od razu zauważył, że zrobił to tak, żeby mieć je pod ręką. Przyglądał mi się bacznie, gdy Mały wykładał na stół konserwy, chleb, czekoladę.

Chleb.

Czekolada.

Konserwy.

Dobry Boże. Do dziś nie przestaje mną to wstrząsać, a ja na „Invincible" od dwóch miesięcy.

Ja niezbyt pobożny, a nawet wcale, ale dobry, dobry Panie Boże, chleb...!

Świeży. Wystawcie to sobie, dobrzy ludzie, to znaczy nie wiem kto, bo nikt tego czytał nie będzie, ale wystawcie sobie, ludzie dobrzy, źli czy tam zwykli, ile ja lat nie widział chleba na oczy.

Bo w Chołodzie chleba niet. Czyli ja ostatni raz chleb jadł w miejscu, którego nazwy nie chcę wspominać, ale co to tam był za chleb, czarny, z trocinami często albo i z piaskiem, jak na kuchni jakiś bardziej przedsiębiorczy

zek się znalazł. I tu nagle po siedmiu latach – chleb. Chleb, najprawdziwszy.

Świeży, bo już widzę, że ci dwaj radośni idioci w łódeczce mają piecyk, zdaje się, że na diesla, a w piecyku taki sprytny schowek, niczym piekarnik maleńki, w którem tutaj, na grubym lodzie, gdzieś na Oceanie Lodowatym, w miejscu, którego palcem na karcie nie pokażę, bo żaden ze mnie nawigator, tych dwóch radosnych idiotów piecze sobie świeży chleb.

Odłamał ja kawałeczek, maleńki, Mały już pcha w moją stronę mięsną konserwę, corned beef amerykański, dobry Panie Boże, a gdyby tak ich zabić obydwu idiotów i wziąć to całe dobro, i mieć tylko dla siebie, te konserwy, ten chleb, czekoladę, sztucer piękny z lunetą, taka myśl przemknęła mi przez głowę, aż mi wstyd to pisać, no, ale przemknęła mi taka myśl przez głowę, bo mnie życie zahartowało i utwardziło na kamień, na stal hartowaną w ogniu i oleju, ale zaraz przyszła myśl druga: czy ja człowiek, no, czy ja człowiek...? Nie będę zabijał dla konserwy i chleba, i sztucera, nie będę zabijał dobrych ludzi, co mnie pod swój dach na lodzie zaprosili.

Chociaż ja i z błahszych powodów zabijał, na przykład na wojnie, bo rozkaz był. Lepiej zabijać na wojnie jak rozkaz niż dla konserwy i chleba? A niby czemu? Niby inaczej to człowiek umierał, jak go ja kawaleryjską szaszką przez łeb ciął, tylko dlatego że u mnie był rozkaz ciąć, a u niego rozkaz strzelać? No dobrze, ja akurat szaszką nikogo nie ciął, tak tylko napisał ja, bo do szabli się nadaję jak świnia do baletu, ale z maxima w moim austinie siekł ja aż miło, aż się kładł łan polskiej piechoty, jakby ich kosą ciąć, i co?

Czemu na wojnie człowieka zabić na rozkaz to bohaterstwo i order dadzą, a za konserwę i chleb to źle, niełądnie, pan prokurator paluszkiem pogrozi i na stryczek poprowadzą albo kulę w tył głowy, z zaskoczenia, jak to u nas, w Ojczyźnie Proletariatu, było w zwyczaju, tak że człowiek nawet nie wie kiedy.

No i tak sobie rozmyślam, zagryzając chleb amerykańską konserwą, a Mały wyciąga butlę koniaku i stawia na stoliczek. W łódeczce ciepło, bo piecyk cicho szumi, zapasy mają, dzielą się chętnie. I koniak na stole, dobry Panie Boże, koniak... No, skoro koniak, to i zaczynamy rozmawiać. Pytam najpierw o datę, to mówią, że 14 kwietnia 1946 roku, że niedziela, i to na dodatek Niedziela Palmowa.

Niedziela Palmowa! Ile to już lat minęło, kiedym z mamulką palmy chodził święcić do naszego kościoła pod wezwaniem Ścięcia Świętego Jana Chrzciciela w Pilchowicach, farorz Scholtis szedł między ławkami i kropił, ale mi się to wtedy podobało, jak święcona woda na twarz spadła, a Scholtis lubił pokropić tak, że baby aż popiskiwały, a chłopy coś tam fuknęły, pospiesznie czyniąc znak krzyża na spotkanie ze święconą wodą.

Więc tak sobie rodzimą parafię wspominam, Mały coś tam plecie po francusku, nalewając koniaku do, uwaga, szklanych kieliszków wielkich jak granaty ręczne, a ja nagle uzmysławiam sobie, że skoro dziś 14 kwietnia 1946 roku, to oznacza, że mam już pięćdziesiąt jeden lat i nawet nie wiem, kiedy to minęło. Rachubę czasu stracił ja już dawno, w Chołodzie kalendarza nie było, wcześniej, w miejscu, którego nazwy nie chcę wspominać, czas też się zacierał, bo to ani niedziel nie było, ani świąt, więc ostatnie chwile z kalendarzem i zegarkiem były prawie dziesięć lat temu w Murmańsku, jako my się z Sofie żegnali.

Kiedy odjechała w tych saniach, zabierając Wilenę i Ninel ku lepszemu życiu albo ku chołodnym objęciom Morza Barentsa, bo przecież nie wiem dokąd, czas stracił dla mnie znaczenie.

No to mówcie, mołodcy, co też się takiego działo w tem czasie na świecie, mruczę sobie pod nosem po rusku, Duży wychyla kielich koniaku jednym haustem, Pantagruel łakomy a sprośny z niego, Mały zaś niemczyzną łamaną przez angielszczyznę pyta mnie wer bist du, who are you, mon ami? Allemagne? Russe?

No właśnie, kto ja? Mówię mu, że ja Konrad Wilgelmowicz Widuch, jakoś tak do tego otczestwa ruskiego ja przywykł przez te siedemnaście lat w Rosyi, że tak się właśnie przedstawiam.

Allemagne? – ciągle docieka Mały, jakby to miało jakieś znaczenie tutaj, gdzieś, zgaduję, w okolicach osiemdziesiątego równoleżnika, na lodzie. Niech ci będzie, że Allemagne, żabojadzie, ja, ja, Allemagne, Deutsch, ja. Na to następuje trajkotanie po francusku, machanie rękami, po czem w końcu wydusza z siebie pytanie, was machen du hier, podkreślone szerokimi gestami dłoni, że niby to hier to tutaj, na lodzie.

A w sumie co cię to obchodzi, co ja tu robię, Francuzie, lepiej powiedz, co ty tu robisz, mówię mu po niemiecku, ale nie rozumie, śmieje się, a mi nagle przychodzi do głowy myśl: no to przecież muszą być szpiony. Szpiony

mur-beton, kapitalistyczni szpiedzy infiltrujący Ojczyznę Światowego Proletariatu, aczkolwiek, przyznaję, od dość osobliwej strony, powiedzieć by czełowiek mógł nawet, że od dupy strony, skoro tak tu siedzą na lodzie, w łódeczce maleńkiej, koniaczek popijając, i czekają, aż ich lód puści.

A potem pomyślał ja sobie, że co się ze mną stało, że nawet po tylu latach poza Ojczyzną Światowego Proletariatu ciągle w głowie mam tylko tę spiskową logikę. Zapytał ja więc, jak to, że po francusku, a jacht z banderą irlandzką, ale tylko machnęli ręką, cóż tam, nic takiego, tak się akurat złożyło, że wypłynęli z Galway, Galway, wiesz, gdzie to? Ja odparł zaraz, że wiem, ja marynarz Hochseeflotte, więc no raczej wiem.

No i ten dalej, że w Galway zamieszkali po wojnie, na Long Walk, mieli trochę pieniędzy, to kupili jacht, no i chcieli takiego to wyczynu dokonać, aby przepłynąć Northeast Passage.

Ale mówcie, przyjaciele, co z tą wojną, przerwał im ja zaraz, ciekawy, bo co mnie tam jakieś Long Walk obchodzi.

Ostatnie wieści ze świata miał ja wiosną 1939 roku, jak się dobrze zastanowić. W miejscu, którego nazwy wspominać nie mam ochoty, czasem udawało się dostać egzemplarz „Prawdy" i dowiedzieć, co się wtedy działo, Herr Hitler zajął Czechosłowację, jakiś nowy papież był, ale już zapomniał ja, jak mu było na imię, pewnie głupio, bo też papież to nigdy się nie może normalnie jak czełowiek nazywać, tylko zawsze jakieś Piusy, co to za imię w ogóle Pius, Franz od mojej matki to był pijus dopiero, ladaco jeden. I z numerkiem. I że Mołotow został komisarzem spraw zagranicznych, zamiast Litwinowa. Ciekawe, czy ich już Koba wszystkich też wykończył od tego czasu, czy im się jednak upiekło. No i potem jeszcze był strzęp gazety w Chołodzie, w skrzynce z kupionym od Jukagirów bimbrem, z lipca 1941 roku, z gębą Stalina na okładce i że wojna wybuchła, więc że wybuchła, to ja wiedział, ale jak się skończyła, to ani ani.

No więc pytam Małego, co tam słychać na świecie, i mówię, że ja tutaj sieben Jahre, na palcach pokazuję, widzę, że trochę nie wierzą obaj, ale potem mierzą mnie wzrokiem, jak siedzę w mojej futrzanej koszuli z renifera, bo ja malicę ściągnął, patrzą na moje dłonie niezbyt kompletne, na moją brodę jak u starowiera, i chyba już wierzą, chociaż głowami kręcą. I nagle Mały mówi coś do Dużego, z czego rozumiem słowo „guerre", że wojna.

Aha, aha, no na wojnę to już się wtedy zbierało, tyle że ja to inne sprawy miał.

No to pytam znowu, Krieg? Na to Mały odpowiada, a jakże, wojna, Krieg, pięć lat, wydziera z zeszytu kartkę, rysuje, że Francja podbita, Polska, pół Rosyi, więc zapytuję, czy przypadkiem Stalina skurwysyna nie powiesili gdzieś na placu Czerwonym, ale nie, Mały zapewnia, że Stalin unfortunately mołodiec, za to Hitler kaputt. No, można się było domyślić, że starego źli nie wezmą, pewnie będzie tam siedział na Kremlu i rządził po wsze czasy. A Mały opowiada dalej, nagle podekscytowany, no bo też ile razy w życiu można człowiekowi zdawać sprawę z ostatnich siedmiu lat, więc opowiada, że bomby, że Japonia, Ameryka, że Hitler kaputt, że Polska, Czechy, Węgry, wszystko Stalina skurwysyna, że sowieckie tanki w Berlinie, cuda na kiju z pozytywką i dzwonkami, a ja nagle zdaję sobie sprawę, że w chuju to mam, te całe opowieści, w chuju, co mnie to obchodzi, że jakaś tam bomba w jakimś Nagasaki, że podobno Żydów wszystkich Herr Hitler w obozach zamknął i pomordował, i co z tego, w chuju to mam, jedyne, o co chciałbym go zapytać, to czy nie wie, czy aby nie słyszał o tem, czy dziewięć lat temu do takiego norweskiego miasta Vardø nie dopłynęła mała rybacka łódź z dzielną kobietą imieniem Sofie i z dwiema dziewczynkami, jedną maleńką. Jeśli wie, to niech mi to powie.

To jedyne, co mnie obchodzi. Resztę w chuju mam.

Ale on opowiada, rysuje jakieś fantastyczne samoloty, tanki wielkie i straszne, a ja pytam sam siebie, nie słuchając francusko-niemieckiego trajkotania Małego, pytam sam siebie, czy można było inaczej. Moglimy z Sofie wyjechać, kiedy się wyjechać dało, zaraz po wojnie domowej, jak ja wrócił z Azji, za NEP-u, jako my w Moskwie mieszkali, dziewczynek jeszcze nie było, chociaż my się starali tak, że aż sąsiedzi się skarżyli, że im się z sufitu sypie od tych naszych starań i że spać nie mogą, tak Sofie krzyczy. Ano krzyczała, krzyczała, nie da się ukryć, bo też po długiej rozłące, gdy ja się w końcu wrócił z wojny z Białymi z Dalekiego Wschodu, z Orderem Czerwonego Sztandaru przypiętym do zielonej gimnastiorki, to apetyt ja miał taki, że ho, ho, a i ona, wyposzczona, z łóżka mnie puścić nie chciała. Tak swoją drogą, to powinni mi byli dać ten medal za wojnę z Polakami, ale dali akurat wtedy, jak ja wrócił z Dalekiego Wschodu, podobno Radek się wstawił, żeby medal dali, no i dali.

Mieszkalimy wtenczas z Sofie w hotelu Lux, razem z całą resztą Kominternu, czyli organizacji złożonej z takich jak ja idiotów i takich jak Sofie ideowców, Bóg wie, czy od nas, durni, nie głupszych. Radek jeszcze miał coś do gadania, chociaż go tam przecież zbyt poważnie nikt nie traktował, bo dla ruskich bolszewików to on jednak był innostraniec, polski Jewriej, wiadomo. No jak ja, zawsze. W każdem razie bylimy z Sofie pod Radka podłączeni, ja w końcu razem z nim przyjechał z Niemiec do Ojczyzny Światowego Proletariatu w lutym 1920, jak go Niemcy wypuścili z Moabitu. Radek się tam nami opiekował, mielimy pracę, paszporty moglimy dostać i wtedy jeszcze moglimy wyjechać, do Berlina, do Warszawy, no gdziekolwiek, ale jakoś wierzylimy jeszcze, że trzeba zostać, Sofia bardziej niż ja, bo mnie jednak wojna domowa trochę z idealizmu wyleczyła, ale Sofie wierzyła prawie do końca, chociaż po tem, jak Radek zaczął się przed Stalinem skurwysynem płaszczyć w 1929, czem przecież uratował na jakiś czas nie tylko swoją głowę, ale i nasze, moją i Sofie, to już wierzyć przestała. Wtedy za radą Radka wyjechalimy do Murmańska, żeby zniknąć, żeby się schować trochę, bliżej rodziców Sofie, do mało istotnej pracy na końcu świata, przeczekać, przyczaić się.

No ale wtedy się nam wydawało, że jednak są pewne granice, że takich starych bolszewików, bohaterów wojny domowej, nawet Staliniuch skurwysyniuch nie będzie prześladował, a już na pewno nie tak nieznacznych jak Sofie albo ja. W ogóle dużo rzeczy nam się wydawało, w miejscu, którego nazwy nie chcę wymieniać, nie raz, nie dwa towarzysze niedoli mi to wyrzucali jako staremu bolszewikowi, żem sam te nasze kajdany przygotowywał, i oczywiście mieli rację, jak by na to nie spojrzeć, ale kto mi to wypominał, pop jakiś czy nawet podobno archijerej, taki to się świetnie zna na kajdanach. Na wyrębie często robił ja z białym pułkownikiem nazwiskiem Jegorow, któren, chociaż dobry kolega, nie przestawał mi wypominać, że ja stary bolszewik. Pytał ja go wtedy: a co, za cara dobrze wam tu było? Ja cara nie znam, bom do Rosyi przyjechał, jak już car był kaputt, ale miał ja cesarza Wilhelma i czy on lepszy od Stalina skurwysyna? Pułkownik odpowiadał, że za cara zony nie było, że Wilhelm jednak własnych poddanych gołodem nie morzył, machał ja na to ręką, chociaż, no co, rację miał, zony za kajzera żadnej nie było i gołodu też nie było. Były inne skurwysyństwa, ale zony ani gołodu, ani czystek, rozstrzeliwań akurat nie. Sądy za

kajzera były takie bardziej prawdziwe niż u Stalina. Za cara to nie wiem, ale takiemu Leninowi to całkiem wygodnie się żyło, jak go zesłali, chodził w tajgę polować na kaczki, książki pisał, no co mu się chciało, robił, zdrowego powietrza zażywał. Nam to raczej w miejscu, którego nazwy nie chcę wspominać, polować nie dawali. A Jegorow na to, żeby w ogóle Rosyi nie porównywać do Europy, bo Rosyja to osobny świat, osobne piekło, kto by nie był u władzy, więc żebym przeciwko mojemu przez Boga namaszczonemu władcy nie bluźnił, bo póki tacy światem rządzili, to wszystko było dobrze i się skończyło, jak przyszły rewolucje, ale daj Boże – tu przeżegnał się po prawosławnemu – pan Hitler już z tem zrobi porządek i królów i cesarzy Europie przywróci.

No taki był ten Jegorow. Było, minęło. W chuju to mam.

Więc jak się Mały już swoją łamaną niemczyzną naopowiadał o tem, co tam się na świecie działo, co, jak już pisał ja, mam zupełnie w chuju, to zaczął wypytywać o mnie, co niezbyt mi się spodobało, no ale niech tam. W sumie przecież i tak stąd żywi nie wyjdziemy, to czemu nie miałby ja im prawdy powiedzieć?

No ale ja rozejrzał się po tej łódeczce, tak jak teraz to czynię. Mają motor. Mają radio, model, jakiego ja w życiu nie widział na oczy, skrzynka wielkości zwykłego radioodbiornika, z głośnikiem i pokrętłami, i czarną bakelitową słuchawką, nie wiedział ja nawet, że na tak małej, niespełna dziesięciometrowej łódeczce można radio zamontować i je czemś zasilać. Takie radio to oczywiście zasięgu ma na kilkadziesiąt kilometrów, i to raczej trzydzieści, nie osiemdziesiąt, więc tutaj to sobie można wołać, ale jakoś możliwość przetrwania zwiększa, potem, dalej, gdyby się z lodów uwolnić. Chęć, z jaką dzielą się zapasami, świadczyła albo o tem, że mieli ich dość, albo o głupocie, tego nie umiem rozstrzygnąć.

Zamiast więc opowiadać o sobie, powiedział ja, że już mniejsza tam z wojnami, tankami i bombami, lepiej niech mi powiedzą, skąd się do cholery wzięli tutaj, gdzieś tak wedle mego wyczucia na osiemdziesiątym równoleżniku, między Siewierną Ziemią a Ziemią Franciszka Józefa, jeśli mi się wszystko nie pomyliło.

Mały znowu się ożywił, łyknął koniaku i zaczął opowiadać, trzech czwartych ja nie zrozumiał, bo z każdem łykiem koniaku mówił coraz bardziej po francusku, ale było w tem w każdem razie coś o „yachtingu", bo to słowo

pojawiało się nad wyraz często, a opisywać miało czynność dla mnie możliwą do wyobrażenia, owszem, ale niezrozumiałą. Przyczynkiem do tegoż „yachtingu" miał być wyczyn, jakiego ciągle zamierzają dokonać, to znaczy pokonanie Northeast Passage, bez zawijania do portu, na trzydziestostopowym jachcie, aby przyćmić osiągnięcie Joshuy Slocuma. Wiosną wypłynęli z Galway w Irlandii, przez Hebrydy i Szetlandy do Norwegii, wzdłuż wybrzeża do Tromsø, i potem dalejże na siewier i wostok. Liczyli, że zdążą to zrobić w jeden sezon, ale byli gotowi na zimowanie w lodzie – ich „Invincible" ma kadłub tak ukształtowany, że lód nie zgniótł kadłuba, lecz wypchnął go w górę, co pozwoliło na lodzie bezpiecznie spocząć w oczekiwaniu na odwilż.

No, znam ja ten kształt kadłuba, znam dobrze, ale o czem Mały mówił, zrozumiał ja dopiero, kiedy zaczął mi rysować przekroje i strzałki.

Sama koncepcja wspomnianego „yachtingu" wydała mi się z gruntu idiotyczna. Owszem, ja matros, swoje na SMS „Helgoland" ja wypływał, a i potem zdarzało się wodą przemieszczać, jak mnie delegowano na Daleki Wschód, bo to i najlepszy tam środek transportu, ale tak bez żadnego konkretnego powodu, żeby się wybrać na takiej trzydziestostopowej łupince na polarne morza? Żeby tak płynęli na przykład polować, no to owszem, tobym zrozumiał. Futra niedźwiedzie przywieźć, grosza zarobić, tobym rozumiał. Można ryzykować, kto nie ryzykuje, szampana nie pije, księżniczek nie jebie, można niewygody znosić. Albo to mnie wygodnie było zjeżdżać pod ziemię, albo się na SMS „Helgoland" gnieździć, gdzie by to nas nie rzucili, na Nordsee, na Ostsee? Albo jako my w Kiel postanowili się zbuntować, jak sobie admirały Scheer z Hipperem wymyślili, żeby na koniec wojny rzucić nas jeszcze na wielką bitwę z Anglikami, żeby my mogli się dać spalić żywcem w tej bitwie albo potopić w lodowatym morzu, albo jedno i drugie, ale zginąć z honorem niemieckiego matrosa, i po co, co trupowi po honorze? Honorowy trup z wojny nie wróci, baby nie przytuli, dzieci nie nakarmi.

No to my zaryzykowali i się zbuntowali, żeby się na koniec wojny nie dać pociskami z angielskich armat rozstrzaskać, a widział ja pod Skagerrakiem z bliska, jak to wygląda, jak pocisk z artylerii głównej angielskiego liniowca, kaliber 38 centymetrów, wyrżnął w dziób naszego SMS „Helgoland", gdzie my nie mieli więcej pancerza niż 15 centymetrów, i wyrwało nam tam

dziurę na dwóch chłopa, chociaż pocisk nie eksplodował. No nic fajnego stać pod ostrzałem takich dział, zapewniam. No więc się zbuntowalimy, chociaż pluton egzekucyjny tak samo niemiły, albo może nawet gorszy, bo też człowiek nie ma stalowego pancerza dookoła siebie, jak tam leutnant podniesie szablę do góry, zanim krzyknie „Feuer!". Ale my jednak uznali, że wszystkich nas nie rozstrzelają, a potopić albo żywcem spalić w boju spotkaniowym z angielskimi okrętami to, owszem, mogą nawet wszystkich. I zaryzykowalimy swoimi łbami, zaryzykowalimy pluton egzekucyjny, i co, nie było ani głupiej finałowej bitwy, ani plutonu egzekucyjnego. Była za to moja pierwsza rewolucja.

Gdy tak sobie rozmyślał ja o bezsensie czynności zwanej „yachtingiem", to Mały tymczasem zaczął opowiadać o zapasach, jak je zgromadzili i jak bez wątpienia wystarczą im na cały rejs, i wtedy nagle Duży mu przerwał i powiedział dwa krótkie, pełne gniewu zdania w języku, którego nie znam i nie rozpoznaję, ale któren bez wątpienia nie był francuski. Czyżby mówili po irlandzku, w tem celtyckim języku? Ale skądże u nich znajomość tego, skoro od razu widać, że Francuzi...?

To mnie zainteresowało; po pierwsze dlatego, że zawsze ucho miał ja dobre do języków, ich nauka przychodziła mi z łatwością i lubił ja czytywać książki i artykuły o tem, jak języki powstają, na przykład o tem, jak romańskie języki pochodzą z łaciny albo czem germańskie różnią się od innych indoeuropejskich. Że substratem, trudne słowo: substrat. Najbardziej podobały mi się w naukowych książkach o językach takie tabelki, gdzie były porównania na przykład sanskrytu, łaciny i języków słowiańskich, ile słów podobnych.

Nie najgorzej jak na chłopaka, któren oficjalną, cywilną edukację zakończył na szkole powszechnej, co nie? Substrat. Nie najgorzej. I że ciągle pamiętam, jak takie słowo napisać, też nie najgorzej.

No cóż, książki to ja zawsze lubił, chociaż czytać na serio zaczął ja dopiero w marynarce, wcześniej to nie było skąd książków wziąć, ani czasu też nie było. Ale jak się ja w marynarce znalazł, to czytało się już bez przerwy, po niemiecku, po polsku, a potem i po rusku. No a co, pamięć u mnie zawsze była świetna, jeszcze w marynarce to szybko zauważyli, jak się Matrose Widuch szybko uczy wszystkiego, zwłaszcza regulaminów, i posłali mnie na kurs podoficerski, i już ja był Maat Konrad Widuch na okręcie li-

niowym „Seiner Majestät" Schiff „Helgoland", i tak sobie pobył ja tym maatem, aż że my się z kamratami w Kiel zbuntowali przeciwko Seiner Majestät i tak się zaczęło moje życie komunisty, aż mi się trochę potem jednak ten komunizm przejadł, razem z połamanymi palcami, cienką bałandą i ogólnie wyżywieniem na tysiąc kalorii dziennie.

Chociaż wiem, że mielimy rację. Przynajmniej wtedy, kiedy my się w Kiel zbuntowali, i potem, w Berlinie, do którego przyjechał ja z Volksmarinedivision, i może nawet potem, na wojnie domowej z Białymi, jeszcze wtedy mielimy rację. Tylko później się jakoś popsuło trochę. Jak starych bolszewików Stalin skurwysyn zaczął zamykać. Potem się okazało, że w któremś miejscu musielimy się jakoś pomylić.

No, ale chodzi o to, że gdy Duży nagle dwoma zdaniami uciszył Małego w nieznanym mi języku, to najpierw zaciekawiło mnie, co to za język, że też go nie rozpoznaję, a potem zaraz pomyślał ja, że może jednak Duży nie taki głupi, może jednak Duży ma więcej w głowie niż ten paplający bez ustanku pajac, może Duży widzi chłopa odzianego w futra, któren wszystkiego dobytku ma dziesięć kilo foczego mięsa na saniach bez psów, bo też pewnie sam te psy zeżarł, co poniekąd prawda, i zaprawdę, powiadam wam, psie mięso lepsze niż focze, więc ja tam nie wydziwiam. Przynajmniej rybą nie zalatuje. Lepsze nawet niż niedźwiedź, delikatniejsze. Jakby jeszcze ten pies, co ja go jadł, taki chudy nie był i łykowaty, to w ogóle... No, ale w każdem razie Duży widzi chłopa wyglądającego jak dzikus, co jednak po niemiecku z nimi gada, ze starożytną flintą, zarośniętego, chudego jak szczapa, i Duży chyba rozumie, w przeciwieństwie do pajaca Małego, że może to nie najbezpieczniej opowiadać temu wyglądającemu jak jurodiwy, ale uzbrojonemu chłopu, o tem, ile się ma zapasów, no może nie.

Że tego ja świadom, oczywiście nie dał ja po sobie poznać. Jadł ja i pił ja, skoro dawali. Nie ma w życiu nic lepszego, niż kiedy dadzą jeść i pić komuś, kto dawno nie jadł i nie pił, zwłaszcza przy stole, nawet takim maleńkim jak stoliczek w ciasnej kabinie „Invincible", zwłaszcza po trzech tygodniach na lodzie.

W dzieciństwie u nas nie przelewało się, owszem, ale jeść zawsze było co, nawet kiedy była to strawa skromna. Mamulka na stole zawsze biały obrus kładli, z gołego stoła nie jadalimy, chleb był, w niedzielã jakieś mięso, może nie zawsze, ale ze dwa razy w miesiącu owszem, tak. Jak poszołech

z dōma weg, to na początku bywało gołodnawo, zawsze jednak był stół, a na stole chleb, pomieszkiwał ja trochę kątem na Kolonii B na Zaborzu, gdzie na Luizie robił mój kuzyn, któren zgodził się mnie przygarnąć, potem zaczął ja robić jako ślepер, trochę pokłamawszy co do wieku, bo był ja ponad wiek dobrze wyrośnięty, i było biednie, ale do syta, pan górnik musiał pojeść, nawet piętnastoletni ślepер. I jakoś dbał ja o to, żeby wszystko było do porządku, żeby był obrus czysty i wybiglowany, tak jak mnie mamulka nauczyli.

Potem, jak mnie za agitację socjalistyczną wywalili z Luizy, to pomogli dobrzy towarzysze, potem komórka partyjna opłaciła mi wyjazd do Ruhry, gdzie płacili lepiej niż u nas, potem mnie wzięli do Kaiserliche Marine, gdzie karmiono prosto, ale znakomicie.

Ech, Konradzie Wilgelmowiczu, co wy tu za bajki opowiadacie? Znakomicie was karmiono? Prosto, ale znakomicie? Mówicie jak pruski junkier jakiś, równie tępy, jak mocno pasem w talii ściśnięty, przekonany, że prostemu matrosowi wystarczy kartofli nasypać, jak świni, to się nażre.

No prawda. Znakomicie to nas karmiono, jako my jeszcze w 1914, przed wojną, popłynęli z kajzerem na jego kajzerowskim yachcie do Norwegii. Kajzer tak co roku pływał, Nordlandfahrt to się nazywało, no i my na SMS „Helgoland" płynęli jako eskorta, i to ostatni raz mu się tak popłynęło. Wtedy to my dobrze jedli. Jako my ubezpieczali bombardowanie Scarborough, to też, gdzieś tak do Skagerrakschlacht, gdzie trafił nas pocisk piętnastocalowy z angielskiego Valianta, było znośnie, ale pod koniec wojny? Te suchary z robakami? Zgniłe mięso? No, pod koniec wojny to my już znakomicie nie jedli. Bynajmniej.

Jakby my znakomicie jedli, toby my się nie zbuntowali. Ale człowiek im starszy, to tem bardziej lubi sobie tak napisać, że ho, ho, jako my tam w Kaiserliche Marine wojowali, wtedy to nas karmili, ho, ho. A gówno prawda.

Może póki człowiek jest w stanie pamiętać, że gówno prawda, to jeszcze niestary. No więc może ja niestary. Może się dopiero starzeję.

No więc w marynarce na początek było dobrze, a nawet znakomicie, a potem było źle i gołodnawo, ale oczywiście nie do porównania tamten gołod z tem, co później, w miejscu, którego nazwy nie chcę wspominać, moja droga, etc.

No, ale potem, jak my się już przeciwko kajzerowi z kamratami zbuntowali, to bywało różnie, owszem, ale co wam powiem: jak chłop ma łeb na karku, jak ma odważne i szczere serce, dwie silne ręce, dwie szybkie nogi, to nawet w Berlinie zimą 1918 roku znajdzie sobie coś do jedzenia i do picia.

Prędzej niż na paku lodowym.

W każdem razie od momentu naszego buntu w Kiel moje życie straciło na regularności, którą wcześniej organizowała mi gruba, to znaczy kopalnia, a później marynarka wojenna. Życie na kopalni niewiele się od marynarskiego różni, tyle że na okręcie się też mieszka, śpi i je, a to w istocie wielka czasu oszczędność. Wygodniej do swojego stanowiska przy okrętowym kotle zejść w pięć minut po stromych schodach, łączących pokłady, niż iść godzinę piechotą, wychodząc i wracając po szychcie po ciemku. Ale poza tem – i na morzu, i pod ziemią pracuje się z węglem i ogniem, i z maszynami, i na okręcie, i na kopalni są pompy, druk, czyli ciśnienie, zagrożenie pożarem, zasady, do których trzeba się stosować, jeśli chce się żyć, i okręt, i gruba to skomplikowane maszynerie, w których każdy ma swoją funkcję i zadanie, i miejsce, zarówno w hierarchii, jak i w porządku pracy.

Tak jak na grubie jebały nas bezwstydne sztajgry, inżyniery i cały nadzór, tak we flocie jebały nas oficery z „von" przed nazwiskiem, zwłaszcza że najlepsze i najinteligentniejsze poszły na kreuzery, na u-booty i kutry torpedowe, u nas najgłupsi zostali, najtępsze prusactwo, i tak jak na grubie owoc naszego znoju, naszego potu i krwi przywłaszczał sobie kto inny, jakiś tam gruby Donnersmarck czy inny, tak tutaj, w naszych pancernych, pływających fabrykach, krew i pot lalimy hojnie, żeby tego samego Donnersmarcka czy innego interesów pilnować. Żeby mu ich sprzed nosa nie sprzątnął taki sam Donnersmarck, tylko francuski albo angielski, ale dla nas, matrosów, żadna różnica.

Tak czy inaczej, Donnersmarck czy kajzer, sztajger czy Kapitän zur See tem naszem życiem zarządzali, panował w nim absolutny porządek, zakłócany tylko nieszczęśliwymi wypadkami, których unikać należało ze wszystkich sił. Kiedy się zaś w Kiel zbuntowalimy, ta regularność zniknęła, wraz z regularnością życia utracił ja też regularne posiłki, nawet jeśli podłe.

Tem niemniej jadał ja przecież nie najgorzej, zimą 1918 w Berlinie stracił ja, owszem, na wadze dobre pięć kilo, zrobił się ja żylasty, ale nie stracił nic

na wrodzonej sile i energii. Waga też potem wróciła, tak samo jak później w Chołodzie, na jukole, tolkuszy, mięsie foczym i reniferzym.

Ale o tem później, po kolei, Konradzie, po kolei.

Aby więc było po kolei, to zauważam tutaj, że regularności mojemu życiu nie przyniosła również Konarmia, regularnych posiłków też nie.

Z polecenia Radka do Konarmii dołączył ja w trakcie jej wielkiego marszu z Kaukazu na Ukrainę.

Partia dała mi papiery i listy polecające, opatrzone wieloma poważnie wyglądającymi pieczątkami, dała mi automobil, starego, przedwojennego mercedesa simplexa, dała mi też kierowcę, któren okazał się całkowicie niezdolnem do prowadzenia automobilu analfabetą, posadził ja go więc z tyłu, z mosinem i z nadzieją, że łba mi nie odstrzeli, i skoro partia kazała, to ja ruszył na poszukiwanie zmierzającej na zapad kolumny dzielnych wojaków Budionnego, bo też nic lepszego nie miał ja do roboty.

Znaleźć ich nie było trudno, bo kilkadziesiąt tysięcy kopyt podnosiło wysuszony majowym słońcem pył wysoko w niebo, unosił się nad nimi niczym żółtoszary obłok, kiedy szli, widoczny z kilku kilometrów.

Było coś przerażająco, a jednocześnie wspaniale starożytnego w tem ich pochodzie, niby mielimy rok 1920, niby aeroplany, zeppeliny w powietrzu, automobile na drogach, telegrafy i telefony, wojna totalna na Westfront, kulomioty, tanki i gaz, a tutaj szli tak samo, jak iść musiał Attyla, konie, szable i wozy, taki sam żółtoszary obłok musiały wzbijać w powietrze hordy Czyngis-chana, gdy parły przez step, pewnie zresztą w szeregach Konarmii niejeden by się znalazł późny wnuk Hunów, Połowców, Pieczengów, Mongołów, Tatarów, Madziarów, wszystkich tych ludów tureckich, uralskich, mongolskich i innych, które się przez Wielki Step przewalały ku lepszemu życiu, a co mi o nich opowiadał w miejscu, którego nazwy wspominał nie będę, na wyrębie, pewien młody człowiek, co mówił, że jest synem poetki Achmatowej i poety Gumilowa, ale nikt jemu nie wierzył, ani też ja.

Znaleźć ich więc było łatwo, tę kolorową zbieraninę w kozackich czerkieskach z patronami do mosinów powtykanymi w napiersne gazyry, w budionówkach z czerwonymi gwiazdami na głowach, albo w papachach, albo i w starych carskich mundurach z nowymi dystynkcjami, mało któren

z mosinem na plecach, a jak już, to często na sznurku ten mosin powiesił, za to każdy z szablą, maszerujący bezładną kupą, pomiędzy nimi taczanki z zarekwirowanych wozów i bryczek, z lufami maximów gapiącymi się w tył, i kozacka orkiestra dęta na konikach białych coś tam dęła w swoje waltornie i tuby. No i konie, dwadzieścia tysięcy koni każdej maści, każdej wielkości, ale większość chuda, mała, widać, że raczej do pługa, nie pod siodło, i cztery razy więcej kopyt, i żółtoszary pył podniesiony tymi kopytami, któren mi wchodził do oczu i ust, nawet gogle automobilowe i chusta na twarzy zawiązana nie pomagały.

Mój niby-kierowca idiota gapił się na ten pochód z szeroko otwartymi ustami, kazał ja mu oddać triochliniejkę, bo ja się tak bał i bał, że kogoś sprowokuje. Wyglądał ja wtedy poważnie: w czarnej skórzanej kurtce, w okrągłej czapce z czarnym lakierowanym daszkiem i lśniącą czerwoną gwiazdą na otoku, z drewnianą kolbą mauzera przy pasie oraz przede wszystkiem w automobilu prezentował się ja niczym poważna szycha. Po rosyjsku mówił ja wtedy jeszcze słabo, ale kawalerzyści, jak się okazało, 6. Dywizji Kawalerii, szybko skierowali mnie do sztabu, jechał ja więc, przedzierając się moim automobilem między zagonami konnych, aż napotkał ja człowieka długiego jak tyczka, w czarnych, kawaleryjskich butach z ochraniaczami na kolana, w zielonych szarawarach i gimnastiorce, i w białej papasze na łbie przystrojonym również cienkim wąsikiem. Dosiadał okazałego karego wierzchowca w pięknym, nabijanym srebrem kozackim rzędzie, przy boku u pasa z koalicyjką, również okutego srebrem, z kozackimi, srebrnymi troczkami puszczonymi luzem, wisiała mu szaszka, kaukaska szabla w równie strojnej pochwie, przy drugim boku na pasie na krzyż z koalicyjką kabura z mauzerem jak moja.

Tak poznał ja komdiwa Siemiona Konstantynowicza Timoszenkę, dowódcę 6. Dywizji. Zsiadł on wtedy z konia, przejrzał moje papiery i zapytał, na jakie konkretnie stanowisko skierowała mnie partia, a ja moją łamaną wtedy jeszcze ruszczyzną odpowiedział, że wybaczcie, towarzyszu komdiwie, ale nie mam pojęcia.

Natomiast, ja dodał jeszcze, warto wiedzieć, że z profesji ja górnik, szachtior, z wojskowej specjalizacji matros i nigdy w życiu nie siedział ja w siodle i koni nie lubię, i trochę się nawet obawiam, zwłaszcza w kupie,

a wszystko co z koniami ja do czynienia miał, to na dole, gdzie wózki z węglem ciągały.

I skierowali towarzysza koni nielubiącego do Armii Konnej? – zapytał Timoszenko, spoglądając na mnie z pogardą i zdziwieniem.

I co miałem mu odpowiedzieć ja?

Ja z wolą partii nie dyskutuję, towarzyszu komdiwie, ja powiedział tylko.

No to weźcie, towarzyszu, ten automobil i poszukajcie naszego oddziału pancernego, tam przy pancernych automobilach może się do czegoś przydacie, bo na kawalerzystę to nie wyglądacie. Zresztą Niemcy się do kawalerii nie nadają.

Jaki tam ze mnie Niemiec, towarzyszu komdiwie, chciał ja powiedzieć, ale nie powiedział, bo po co miałbym, skoro istotnie do kawalerii nadawał ja się jak świnia do siodła, więc jak towarzysz komdiw kazał, tak ja uczynił i został mianowany politycznym przy niezależnym oddziale pancernych automobili, dwuwieżyczkowych austinów-putiłowów detaszowanych z podlegającego bezpośrednio kierownictwu partii pierwszego automobilowego bojowego oddziału imienia Swierdłowa, opancerzonych blachą nitowaną małych lądowych krążowników, przy których ja czuł się całkiem swojsko, skoro mają i pancerz, i motor, i wieżyczki z lufami, prawie jak na statku, cóż z tego, że lądowym. Przy maszynie zawsze lepiej niż przy bydlęciu żywym a żwawym.

Ale, ale! Piszę o tem tylko dlatego ja, że w Konarmii regularnych posiłków nie było i przypomniał ja sobie jednak jeden, być może najważniejszy, i chciał ja jakoś wprowadzić, jak się ja w szeregach tej wspaniałej zbieraniny znalazł.

Było to już po tem, jak przełamalimy polskie linie pod Kijowem, jak rozgromilimy polską piechotę w niebieskich mundurach, ale, jak się to mówi, świadomość operacyjna dowództwa była ciągle ograniczona, bo nasze lotniki nie nadawali się do niczego, to znaczy jak lotniki, to nie wiem, ale samoloty im nie latały, a bez samolotu lotniki to tak raczej bezużyteczne, więc to nas wysłano na zwiad, patrolem, nasze dwa austiny i zug albo, po rusku, wzwod kawalerii, czyli, mówiąc normalnie, dwudziestu pięciu jeźdźców. Ja tem zasadniczo jakoś tam dowodził, bo komwzwod, jako ulubieniec komrota, właśnie pił z nim i z jakimiś dońskimi albo kubańskimi

Kozakami, którem nie sposób było ufać, bo bili się dla kogo chcieli i równie dobrze pojutrze mogli być u Ukraińców, u Machny albo u Wrangla, albo i u Polaków, nie wiadomo, więc trzeba było z nimi pić, żeby trzymać ich, gadów, blisko. Kozactwo to zawsze były gady najgorsze. A głupie jakie to to było, żaden ani piśmienny, o świecie nic nie wiedzą, tylko tyle co u siebie pszenicę siać i że rośnie im wielka, wyższa czełowieka, i na koniach się znają, i na szabli, i jak nakraść, a poza tem nic.

Kiedy miał ja pierwszą pogadankę, moim jeszcze wtedy łamanym rosyjskim, to ci jak jeden mąż w kudłatych papachach wstali i dalejże krzyczeć, że oni przystali do bolszewików, żeby Żydów i komunistów bić, a tu komrot mówi, że Żydów bić nielzia, i jakże to, czy to świat widział, żeby Kozak swobodny Żydowinowi nie mógł kieszeni przetrząsnąć?

No więc ja wtedy tłumaczę, że jakże to komunistów bić, skoro bolszewicy to właśnie prawdziwi komuniści, a Żydów nielzia, bo internacjonalistyczne wartości i zło nacjonalizmu, i zaczął ja coś tam pisać na tablicy, to ci w śmiech, ja nie wiem czemu, aż tu wchodzi komwzwod, pijany jak gach mojej matki co niedzielę, i dopiero on mi tłumaczy, towarzysz Widuch, toż to kozactwo przecie, u nich żaden pisać ani czytać nie umie, tylko szablą machać, pić i kraść. U nich bić Żyda to jak oddychać, ktoś by powiedział, że po to się Kozak rodzi właśnie, ku żydowskiemu utrapieniu i złodziejstwu, i jeszcze żeby konia bardziej niźli babę i diengi kochać, aż dziw, że oni tych kobył swoich sami nie kryją, a może i kryją, i aż dziw, że się tam na Kubaniu centaurowie z tego nierządu kozackiego nie lęgną. No tak to było.

Ale wracając do rzeczy, więc toczylimy się powoli po jakiejś polnej drodze, słońce grzało, jechalimy na bojowych kołach z pełnej gumy, w moim austinie była pełna obsada, czyli kierowca przedni i tylny, dwóch strzelców, po jednym na kulomiot, i ja jako dowódca obok przedniego kierowcy. Gołodni my byli jak zwierzęta, zmęczeni i spoceni jak świnie, bo słońce rozgrzewało pancerz bezlitośnie…

Co przypomina mi, że już nie pamiętam, kiedy ostatni raz było mi gorąco. Ach, nie, wiem, w miejscu, którego nazwy nie chcę wspominać, latem, na wyrębie, tak, wtedy. Lato, gorąc, meszki i komary, nie do zniesienia. Potem już tylko chłód.

Wracając. Jechalimy więc tą polną drogą, grzało, ja siedział obok kierowcy i próbował ja zobaczyć coś przez lornetkę w czasie jazdy, co było oczywi-

ście głupie, ale ja i tak próbował, albo to czełowiek czasem nie potrzebuje zrobić coś głupiego, skoro nic innego zrobić nie może? Próbuję sobie więc oczu nie wybić lornetką, kiedy nagle krzyczy do mnie strzelec, że komandir, Paliaki! I bez rozkazu zaczyna grzać z maxima. Podjeżdżamy właśnie pod górkę, powoli, ja jeszcze nic nie widzę, przecież strzelec wyżej ode mnie, drugi kulomiot nie strzela, bo się wieżyczka zacięła i chłopina się z nią biedzi, żeby odwrócić, znowu nie nasmarował, chociaż ja smarować kazał, i już widzę, krzyczę do kierowcy, że stój, a przed nami polski tabor, biedki, wozy, konie, popasem stali, żołnierze w samych koszulach albo i bez, teraz dziurawieni kulami z naszego maxima, jatka po prostu, a zza nas już wyjeżdża drugi automobil, a zza niego w cwał rzucają się nasze Kozaczki, skrzydłami, żeby nie wejść pod ogień maximów, wrzeszczę, że wstrzymać ogień, wstrzymać, ale zdaje mi się, że jeden z naszych kawalerzystów i tak od naszego ognia spada, gramolę się z austina, wyciągając mauzera z kabury, a tam już masakra, szable i rewolwery, Polaki uciekają, bo bronić się nie sposób, nie wiem, czy z dziesięć razy wystrzelili, ale jak im uciec przed naszymi konikami, więc dochodzą ich nasi kawalerzyści i nawet spoza łomotu kopyt i warkotu motorów słychać, jak tępo stukają o czaszki ostre głownie szaszek.

Rąbać szablami to nasi kawalerzyści lubieli.

A jak się jeszcze trafił Kozak, Doniec albo Kubańczyk, od dziecka do szabli przysposobiony, ci to dopiero potrafiali wywijać.

Ja już przechadzam się między wozami z mauzerem gotowym do strzału i nie wierzę własnemu szczęściu, taborów dostalimy, nie wiem, czy pułkowych, czy jakich, ale sześć wozów, przy których konie teraz niestety głównie postrzelane, dobijać było trzeba, a w wozach wszelkie dobro, wszelkie, na przykład mięso, i to nawet dość świeże, i nawet nie końskie, ale też boczki wędzone świńskie w wielkich połciach, ale także wódka oraz na przykład chleby wypieczone niedawno, może nie żeby jeszcze ciepłe, ale nie czerstwe i jak próbuję, to prawie tak dobre jak chleb, co nam w marynarce dawali, a już na pewno lepsze od tego zakalca, któren ja na wikcie Konarmii jadł, do tego znajduję dwie skrzynki solidne, wymoszczone trocinami, a w nich szampany francuskie w liczbie po sześć na skrzynkę, co daje dwanaście, i już wiem, że my jakiś wysokooficerski tabor naszli.

W kolejnym wozie obok worków z mąką znajduję przerażonego oficerka mołodziutkiego, podporucznika – siedzi tam, przerażony, ręce mu się trzęsą i napawa mnie niesmakiem, że tak się boi, czego tu się bać, ja nie zwierzę ani żaden okrutnik. No, gdyby kawalerzystom pozwolić, toby go z munduru odarli, na ziemi położyli albo podwiesili u drzewa i zawody w sieczeniu szablą urządzili, kto go tam lepiej utnie pieszo, albo z siodła, jeśli na drzewie podwieszony, z galopu. Albo, gdyby im się nudziło, to zdarzyć by się mogło, że by go i gorzej, i dłużej pomęczyli, jajca urżnęli, bagnet w dupę wsadzili i zaczęli kręcić. Fantazja u nich zawsze, a jak. Polacy tak samo: jak naszego politycznego chwycili, zwłaszcza Żyda, to ich strasznie ciągnęło do naszych portek i lubili chłopu urżnąć co mu tam dynda, więc najlepsze, na co można było liczyć, to szybka kula.

Trochę się więc nasi dzielni bojcy do męczenia spieszyli, gdym go jednak z wozu za kark wyprowadzał, uspokajając go po polsku, że nie bój, chłopak, nie bój, nic nie będzie, to wiedzieli, że towarzysz komwzwod męczyć chłopaka nie da, bo ja też się na takie bezeceństwa prawie nigdy nie zgadzał, nie tak mnie mamulka wychowali. Chłopak do mnie z płaczem, że pan Polak, pan Polak, pan rodaka oszczędzi i że narzeczoną ma, i płacze, a ja mu mówię, że nic nie bój, chłopak, nic a nic, bo ja nie zwierzę, nikt cię tu męczyć nie będzie.

Tak i męczony nie był, prowadził go ja przed sobą, lewą ręką za kark trzymając, przesłuchiwać mi się go nawet nie chciało, bo co też może podporucznik wiedzieć, poza tem gołodny ja był, więc odeszlimy tak na dziesięć kroków od wozu, on z uniesionymi rękami i z płaczem, ja z mauzerem w prawicy, po czem strzelił ja mu w łeb, aż mu kula z mojego mauzera lewym okiem wyszła, za co do dziś powinien mi być wdzięczny, bo jakby się do niego moi mołodcy dobrali, toby mu było dużo gorzej. A tak nawet nie wiedział, pechowiec, że umiera. Żył i nagle przestał, zniknął, czy to lepiej można? Miał ja litość.

Bo ja czełowiek.

No ale czy ja czełowiek?

Chłopaki tymczasem się sprawiły z resztą i zameldowali, że nie uszedł żaden, jeńców mamy zaś ośmiu. Jako polityczny i polskim władający, powinienem zapewne uczynić im pogadankę o tem, jaką wolność przynieść im może Ojczyzna Światowego Proletariatu, ale nie miał ja na to sił oraz jak

już ja pisał, gołodny ja był. Zwykłych żołnierzy jednak pozabijać ja nie pozwalał, więc ich tylko mołodcy rzemieniami od uprzęży powiązali, z rękami z tyłu, potem się ich puści, bo na prowadzenie jeńca nikt ochoty nie miał, i mówię do wszystkich, do moich zmotoryzowanych i do konnych ze wzwoda, że towarzysze, dostarczymy oczywiście całe to dobro do naszej aprowizacji, ale w naszej armii osiemnaście tysięcy ludzi i to się w tych ludziach roztopi niczym kropla wina w morzu. A my, nas tu trzydziestu pięciu, minus ten, co już nie żyje – o tem, że go mój strzelec z kulomiotu skosił, nie wspominał ja – my tu sobie możemy tak podjeść i popić, że nie zapomnimy tego nigdy. Całego tego dobra przecież nie przejemy za jednym posiedzeniem, więc teraz, towarzysze, każdy je i pije do woli, byle się potem w siodle utrzymał, a co zostaje, pakujem na wozy, konie zaprzęgamy i wracamy do oddziału.

Tak toczno, towariszcz komwzwod, zakrzyknęli mołodcy i dobry Panie Boże, dobry Boże, jak sobie podjedlimy. Ogień zrobili w trymiga, ognisko i pod kuchnią, na ogień poszło mięso i boczki też poszły, i pachniało, i do wódki się dali jak źli, ja zaś uznał, że jak komandir też wróci pijany, to kto wie, jeszcze się jakiś kombryg albo komdiw po drodze napatoczy w złym humorze i na przykład towarzysza oficera politycznego Konrada Wilgelmowicza Widucha rozstrzelać każe, nie licząc się z tem, że członka partii i politycznego tak po prostu rozstrzelać nie wypada. Potem się będzie gęsto tłumaczył, ale co mi z tego przyjdzie, że go nawet zamkną, jak już rozstrzelany będę? Nic nie przyjdzie.

No więc ja się do wódki nie dał i uznał ja, że szampan starczy. Szkoda, że ciepły, ale i tak smakował, dwie butelki ja wypił, jedząc mięso i zagryzając chlebem, i ciesząc się z moimi wesołymi towarzyszami, że ten dzień, co już nic dobrego nie miał nam przynieść, dał nam taką zdobycz. Bo my przecież mogli zamiast na te tabory na popasie wyjechać na Bóg jeden wie co, na przykład na pułk piechoty okopany, albo nawet, kto wie, na pociąg pancerny, bo też ja nawet karty nie miał i nie wiedział, czy za wzgórzem polana będzie, chutor, czy może tory. Taki był ze mnie zwiadowca, bez karty.

No ale my na pociąg pancerny nie wyjechali, tylko na tabory.

Był to piękny dzień. I kto wie, może dzień, w którem na lodzie natknął ja się na łódeczkę Małego i Dużego, okazać się może dniem równie pięknym?

Tamten albowiem dniem był pięknym, jednak nie bez zawirowań.

Tak to bywa na wojnie. Gdy my albowiem zajęci byli ucztowaniem, to z krawędzi stepowego wzgórza, z tego samego kierunku, z którego my sami przyjechali, nagle rozjazgotała się strzelanina. Zaskoczyli nas tak samo, jak my zaskoczyli tabor. Zagdakał stamtąd swoją niespieszną serią null-acht fünfzehn, trzasnęły wintowki.

Strzelali niestety w nas, co zauważył ja od razu, bo butelka szampana, którą odłożył ja na kamień z zamiarem jej wypicia, rozprysnęła się w obłok bąbelków i szkła, a kulomiot, jak zagdakał, to nie przestawał gdakać, rąbiąc po nas kulami jak na śmiercionośnym gradobiciu.

A my co – rozluźnieni, pijani, pasy porozpinane, orużje gdzieś leży, no dyscypliny to u nas za dużo nie było, nie da się ukryć, i nie tęsknił ja, bom się już w Kaiserliche Marine drylu, salutowania i trzaskania obcasami nażarł na całe życie. Pięciu naszych padło od razu, reszta rzuciła się w trawę orużje podnieść albo do koni i akurat to był błąd, bo tych, co do koni, polski kulomiot z lasu ściął od razu. Powiązani przez nas jeńcy z taborów też się kładą w trawę i krzyczą po polsku, że nie strzelajcie, koledzy, bo nas pozabijacie, i rzeczywiście kilku tam oberwało dobrze.

Ja bach na ziemię i ryczę do mojej załogi i do drugiej, że do maszyn, do maszyn, bo w maszynach i ich kulomiotach nasza jedyna nadzieja, więc sięgam po mauzera, strzelam parę razy w stronę walących do nas, chociaż ich nawet nie widzę, i myślę, czy już śmierć, czy już teraz, i rakiem w trawie usiłuję się wycofać do mojego austina-putiłowa, i jakoś się doczołguję, ale jakże tu do maszyny wsiąść, jak w pancerz walą null-acht fünfzehn, trawę sieką fragmenty rozpryskujących się kul, aż się wzdłuż pancerza w ziemi rowek taki robi i pryska na nas ten piach, i trawa posieczona, no ani głowy podnieść, tylko rękę z mauzerem podnoszę, strzelam ogólnie we właściwym kierunku, wyłącznie amunicję marnując, i w duchu przeklinam, że było się zachować jak żołnierz, nie jak watażka i chuligan, było warty wystawić przynajmniej, a najlepiej wozy zaprzęgać i ruszać do swoich, ale gdzie tam, gdzie, nam się przecież, jak pisał Babel, któregom zresztą poznał na popijawie u Timoszenki, wojna i życie jawiły nieco jak łąka w maju, po której przechadzają się kobiety i konie, no to co było robić gorącym popołudniem, kiedy my taki łup naszli.

No i teraz, jak to na wojnie, przyjdzie nam umierać, tak jak polskiemu oficerkowi od mojej kuli przyszło, i przecież nie on pierwszy był, ten, które-

mu ja łeb przestrzelił, oficerów brać w niewolę u nas zwyczaju nie było, rozwalalimy ich na miejscu od razu, Polaki naszych też żywcem nie puszczali, no taka to była wojna. A teraz, zdawało mi się wtedy, teraz przyszła moja kolej.

Postanowił ja, że jak zdychać, to przynajmniej pod pancerzem, waląc z kulomiota, a nie z brzuchem w trawie jak gad, więc zebrał ja całą odwagę, jaka mi została, i postanowił skoczyć do włazu austina, ale jak się tylko ja do skoku był podniósł, to dostał ja po pysku odłamkami kuli roztrzaskującej się na pancerzu, jakby mnie kto drobnem śrutem z daleka postrzelił, blizny jak po ospie mam do dziś, na szczęście oczy ominęło. Padł ja więc z powrotem w trawę i chęć do heroicznego zrywu jakoś mi przeszła, i do dziś sobie za to dziękuję, bo w tem momencie zaczął rąbać maxim, ale nie nasz, w pierwszym momencie pomyślał ja, że Polaki podciągnęły jakiś odwód i zaczynają nas oskrzydlać, ale wtedy widzę, że nie, to nasza taczanka z jakiejś eleganckiej bryczki przystosowana, z wielkimi gwiazdami na burtach, jedzie trawersem i wali do Polaków z kulomiotu skierowanego nie do tyłu, tylko akurat sposobnie ustawionego bokiem, wali niecelnie, bo bryczka podskakuje jak baba na chłopie, co z wojny wrócił, ale wystarczyło, bo oni z tamtej strony odsłonięci byli, więc zaczęli się przegrupowywać, przestali walić do nas z null-acht fünfzehn i tego wystarczyło, żeby my do austinów wsiedli, nie czekając na całą obsadę, skoro był mój kierowca, jeden strzelec i ja, to uznał ja, że wystarczy, kto do drugiego wsiada, nawet ja nie patrzył, więc do maszyn i pod pancerzem bezpieczni, dalej do ataku.

Po kwadransie było po wszystkiem. Ułanów był zug, czyli wzwod, jak się to po polsku nazywa, nie pamiętam, bom z polskim wojskiem nigdy nic wspólnego nie miał, poza tem żem do polskiego wojska strzelał. Większość cofnęła się do koni i w dobrym porządku salwowali się ucieczką do końskich karków przyklejeni, a konie mieli o wiele lepsze od naszych, pełnej krwi, a w stepie konia automobilem pancernym nawet nie ma co zacząć gonić, nasi konni zaś jakoś na pościg nie mieli ochoty. Kilku Polaków leżało zabitych, dwóch wzięlimy jeńców, ułana puścilimy wolno, bo co nam po nim, ale był też wachmistrz, stary wyga wąsaty, żylasty, o twarzy pooranej bruzdami, i zaczął nam brzydko bluźnić. Od razu z gołosu usłyszał ja, że wcześniej musiał w kajzerowskim wojsku służyć, ale nie z naszych stron, tylko raczej poznaniak, a poznaniaków to ja nienawidzę jak psów, bo mnie

jeden taki z polskiego PPS-u, kiedym pacholęciem z domu uciekł, w kółku samokształceniowym polszczyzny ładnej uczył, na zmianę po łapach bijąc linijką i łapę mi w spodnie wsadzając, co niezbyt mi się podobało, więc mi uraz do nich został. Do tego był ja w kiepskim humorze, bo zdaje się, że trochę ja sobie spodnie zapaskudził ze strachu, więc wachmistrza ja nie zastrzelił, nie miał ja dlań litości, dał go ja mołodcom Kozaczkom, ci zaś zabrali mu wszystko i gołemu kazali biec po stepie.

Że niby jak dobiegnie, to ujdzie wolno.

Ociągał się, głupi nie był, dostał harapem po plecach, to ruszył, chociaż wiedział przecie, co go czeka, mołodcy dali mu specjalnie więcej czasu, żeby se nadzieję wzbudził, żeby się żwawiej rozpędził, więc po pięćdziesięciu metrach zaczął biec naprawdę na tych swoich krzywych od siodła nogach, tylko pośladki na biało świeciły. Jak był na stu metrach, dwóch naszych najbardziej zażartych wskoczyło na siodła i ruszyli za nim rysim, wodze w lewej, trochę przekręceni w siodle tatarską albo i kozacką modą, szable w dole luźno na temblakach, po czem dali się w galop, wachmistrz goły jak go Pan Bóg stworzył zaczął kluczyć, próbował uskoczyć, ale kawalerzyści Budionnego stare wygi, bo ci to zresztą kozactwo jakieś było, więc go w wyciągniętym galopie pierwszy tylko końcówką ostrza, samym sztychem prawie, musnął, wachmistrz ręką się osłonił i szabla mu od ręki połeć mięsa ukrajała jak gospodyni szynkę kraje, padł, przekoziołkował, potknąwszy się, drugi dojechał go, zwiesił się z siodła i rąbnął potężnie z góry, cięcie przeciągnąwszy, i odrąbał wachmistrzowi całe ramię, krew chlusnęła strumieniem jak z sikawki. Tak strasznie już okaleczony mimo to dalej się podniósł, coś tam jeszcze wybluźnił, zataczając się, a pierwszy z mołodców pięknie koniem w galopie zawrócił, nogę w locie zmieniając elegancko jak na pokazie, szaszka wzniesiona błysnęła w słońcu, po czem w galopie spadła i za nią głowa wachmistrza zleciała na ziemię i dopiero po krótkiej chwili zwaliło się za nią bezgłowe i jednorękie ciało.

Rąbać szablami nasi mołodcy zaiste lubieli i na jeńcach sobie poćwiczyć zawsze byli chętni. No i oczywiście było widać, że to Dońce, nie tylko po koniach dobrych, ale większość kawalerzystów u nas to było chłopstwo woroneskie, żołnierz dobry, w siodle się każdy mocno trzymał, ale tak jak kozactwo to się na konikach uwijać nie potrafili.

No i tak to się zabawiali, kiedym ja wiechciem trawy sobie pospiesznie spodnie i rzyć do porządku doprowadzał, i widzę nagle, że taczanka, co nam, no może nie wszystkiem, a jednak żywoty poratowała, zajeżdża do nas, gwiazdy na burtach świecą tak jasno, jak jasno płonął wtedy w naszych sercach ogień rewolucji, póki Stalin skurwysyn z tego, czem była Ojczyzna Światowego Proletariatu może przez tych parę lat, nie zrobił zwykłej Rosyi, a zwykła Rosyja to jednak zawsze była bestia, Behemot w Euroazji ociężałym cielskiem rozparty, nienażarty, krwi ludzkiej nienasycony, gdzie pójdzie, po czem swoje cielsko przeciągnie, to nic nie zostanie.

Lenin i Trocki chcieli zrobić tu coś innego, Dzierżyński też, i jakby nie umarł, to pewnie by go Stalin też w 1937, jak nas wszystkich starych bolszewików mniejszych, średnich i większych, rozwalił. Albo to Dzierżyński nas by rozwalał, Stalina uprzednio rozwaliwszy, bo to w sumie nigdy nie wiadomo, kto po kogo w nocy jak złodziej przyjdzie, a jakby który miał mieć szansę ze Stalinem, to pan Feliks. A on by się carem czerwonym nie ogłosił.

Mały pokazał mi potem gazetę z 1945 roku, amerykański „Time", i paluchem w fotografie żga, i mówi, że pasmatri, krasnoarmiejce, udając, że gada po rosyjsku. No ale patrzę. I tam rzeczywiście, Berlin mój kochany, ale w ruinie, niczego innego po Hitlerze ja się nie spodziewał, a w Berlinie krasnoarmiejce, a na ich ramionach pagony. Tylko to widzę. W łapach oruże, którego nie rozpoznaję, bom takiego nie widywał, jakieś pistolety maszynowe podobne do naszych starych MP-18, ale bardziej mnie obchodzą pagony.

Pagony! Na krasnoarmiejskich ramionach!

No bo po co my białych i polskich oficerów rozwalali bez litości za te pagony na mundurach, tak konsekwentnie, że jak akurat szczęście było po naszej stronie, to uciekając, niejeden sobie te pagony obrywał, co oczywiście nic nie dawało, bo nie tylko po pagonach poznać oficera.

Zapytał ja wtedy Małego, po niemiecku, czy Stalin już car?

Nie zrozumiał pytania, no to pokazywał ja paluchem na zdjęciu, że ruscy żołnierze i pagony, ołówkiem na papierze rysował ja kajzera i cara, jak ich pamiętał ja, i pytał, czy Stalin już car. Czy sobie koronę, czy jakąś tiarę, czy co tam car na głowie nosi, na swoją główkę skurwysyńską gruzińską założył, swoich grafów i baronów mianował, Jeżowa z Sierowem, może im zamki podarował? Albo z Berii zrobił princa? Mały dalej nie rozumiał i nie

umiał mi odpowiedzieć, i myślę, że Stalin już, owszem, car. Skoro Krasnaja Armia ma pagony, to dlaczego miałby się carem nie ogłosić. Pewnie już do cerkwi chodzi, jak moja mamulka do kościoła w Pilchowicach biegali.

No ale pisał ja o czymś ważniejszym, o tem, jak zajechała do nas taczanka, po tej naszej nieszczęśliwie dla niektórych zakończonej uczcie na polskich taborach. Woźnica taczanki, którego z daleka widział ja, jak w zielonych szarawarach, wysokich butach i zielonej, spiętej pasem gimnastiorce stoi na koźle na ugiętych nogach i powozi jak szatan czwórką koni zaprzężonych do tej lekkiej asesorskiej bryczki, z bliska okazał się wysoką, postawną, chociaż wdzięcznie kibitną brunetką o niebieskich oczach, wielkich nieprzyzwoicie, i skórze tak białej, jakby ukraińskie słońce nie miało prawa jej dotknąć. Miała na sobie męski strój, jednak tak odszyty, paskiem w talii ściśnięty, że nie można było ani przez chwilę zwątpić w kształtność jej ciała. Przy pasie po lewej stronie, po niemiecku, kabura z długim parabellum. Na piersi czerwona kokarda.

Szarpnęła lejce, wstrzymując konie, zaciągnęła hamulec bryczki, zeskoczyła z kozła wdzięcznie niczym gimnastyczka. Była z gołą głową, włosy związała luźno na karku, wiele kosmyków wyzwoliło się z tych więzów i wiły się, czarnobrązowe, lśniące, ciężkie, jakby nie tylko słońce nie miało prawa jej dotknąć, ale jakby nie imał się jej też żółtoszary pył, wiły się dookoła najpiękniejszej twarzy, jaką ja widział kiedykolwiek w mojem pięćdziesięciojednoletniem dziś, a dwudziestopięcioletniem wtedy życiu, twarz jakby wyrzeźbioną z białych marmurów karraryjskich, idealnie symetryczną, z linią żuchwy jak od linijki, tak twardą, że prawie męską, z mocnemi kośćmi policzkowemi, wydatnem czołem, ale wszystko to zmiękczone kobieco oczyma wielkiemi, jakby sennemi, błękitnemi jak Berliner Blau, najpiękniejszemi, jakie ja widział w mym życiu dziwnem.

Zeskoczyła z kozła i zastała mnie przy austinie-putiłowie, zastała mnie, niestety, stojącego z opuszczonymi portkami, z ugnojonym wiechciem trawy w ręku, kiedym starał się doprowadzić do porządku po wywołanym polskim kulomiotem przykrym incydencie zapaskudzenia spodni.

Co towarzysz robi? – zapytała, na co ja łamanym rosyjskim odparł, że przepraszam, towarzyszko, ale ja się zesrał ze strachu zasadniczo, towarzyszka wybaczą, że się próbuję tu właśnie doprowadzić do porządku. Odpowiedziała po niemiecku, że tak to bywa, bolszewik nie ma się czego

wstydzić, rozpięła górny guzik gimnastiorki, sięgnęła za pazuchę, wyciągnęła gazetę, „Prawdę", oddarła stronę i podała mi, co potem byłoby dość ryzykowne, bo jak to tak, dać komuś organ partii, żeby sobie dupę wytarł, ale w 1920 roku jeszcze bylimy wolni, jeszcze się nie balim.

Miał ja ochotę tę stronę z gazety złożyć delikatnie i schować do pugilaresu, bo jeszcze pachniała jej potem i ciałem, bo tak blisko była jej piersi, pięknie rysujących się pod cienką bawełną letniej gimnastiorki, ale cóż, stał ja z opuszczonymi portkami, użył ja jej więc, jak należało, podciągnął spodnie i pomyślał ja, że nie mam tu gdzie umyć rąk i zaczęły mnie te ręce palić, jakby ja je w ogień włożył, rozglądał się ja bezradnie jak dureń, aż w końcu ja zauważył mojego kierowcę imbecyla, któren tymczasem służył jako drugi, tylny kierowca w moim austinie, zdziwił ja się, że przeżył, i zauważył ja, jak właśnie idzie z manierką. Przywołał ja go i kazał ręce mi polać, ten zaczął protestować, że kto to widział ręce dobrą gorzałką myć, po czem zauważył moje spojrzenie i zrozumiał, że jeszcze jedno słowo i będzie leżał martwy, bo już sięgał ja do drewnianej kabury po mauzera, więc przestał protestować i mi ręce wódką polał. Mył ja te ręce tak, żeby wstyd zmyć, no ale żeby wstyd zmyć wódką, to ją pić trzeba, nie na ręce lać, a pić już ja nie chciał, skoro ja taką spotkał kobietę.

I tak ja poznał Sofie.

Potem wszystko było tak, jak to zwykle wszystko bywa, przez tydzień chodzilimy na długie spacery w step, daleko od ludzi, a ciągnęło nas do siebie tak, że my bez siebie wytrzymać dnia nie mogli, co na wojnie z polskimi panami bywa niezbyt wygodne, potem pojechalimy bryczką, uprzednio ściągnąwszy z niej kulomiot, pojechalimy jeszcze dalej, daleko od wszystkich, no i było jak w romansie, albo w czemś tam, księżyc świecił, konie parskały, noc była ciepła, Sofie rozpięła pas z kaburą i koalicyjkę, ściągnęła przez głowę gimnastiorkę, rozwiązała włosy, po czem jęła się mocować z oficerkami, które tak łatwo nie schodziły, bo łydki miała mocne, więc powiedział ja, że teraz będę jej ordynansem, i zgodziła się, i pomógł ja jej buty zzuć. Wyrzuciła je z bryczki teatralnie, po czem zdjęła bryczesy i giezełko, co je pod mundurem nosiła, i tak w świetle księżyca stanęła przede mną naga, a ja patrzył, patrzył ja, obawiam się, że gębę rozdziawiwszy, patrzył i patrzył, na jej ramiona mocne, na jej piersi, na brzuch zarysowany, na ciemny trój-

kąt na podbrzuszu, na potężne uda, a ona na to, że co się gapisz, idioto, a po niemiecku my gadali, co się gapisz, rozbieraj się.

Noc nie była chołodna, więc rozebrał się ja owszem, i to żwawo.

Co jej się wtedy we mnie spodobało? – zapytałaby może czytelniczka tego zeszytu, gdyby jakaś się znalazła.

A co jej się miało we mnie nie podobać? – odpowiem zarozumiale.

Miał ja dwadzieścia pięć lat, ciało pracą i walką wyrzeźbione, żylaste, ale silne i rosłe, miał ja płową czuprynę bokami podgoloną, z góry dłuższą kozacką modą, bo czemu nie, żółty wąs piękny, obfity, któren pomadą na dwie strony niczym nasz kajzer rozczesywał ja, chociaż nie tak do góry, tylko bardziej na bok, więc może bardziej jak ruski car Mikołaj, tylko że bez brody. No a poza zarostem to, a jakże, ja odważny, silny, pewny siebie, swojego ciała, swoich pięści, mauzera i politycznego zmysłu, nie bał się ja nikogo – no chyba że ktoś do mnie walił z kulomiotu, to ja się jednak wtedy bał aż do obsrania – tyle że nikogo, bo przecież nie kogoś, kto z tego kulomiotu strzelał, tylko kul samych nad głową gwiżdżących, bo to zawsze nieprzyjemnie, jak kogo taka przedziurawi. Widział ja wielu, co ich przedziurawiła kula, i żadnemu to nie podobało się. Tak że nieprzyjemnie.

No ale nikogo ja wtedy nie bał się, ani kajzera, ani cara, ani Polaków, ani Białych, ani Zielonych, ani Machny, ani Wrangla, nie bał się ja kapitalistów ani Stalina, ani Lenina, ani Trockiego, bo kto ja był wtedy, ja był wtedy piękny, mołody i strasznie głupi i nie wiedział ja, że tylko bojąc się, człowiek staje się mądry.

No, teraz to ja mądry. Życie mnie jakby nauczyło, no nie?

Tacyście mądrzy, kurwa wasza mać, dosłownie powiedziawszy, Konradzie Wilgelmowiczu.

21 CZERWCA 1946

Ostatni raz ja pisał przedwczoraj i tak się rozpisał, że mnie ręka i tak już pokurczona rozbolała i wczoraj nie napisał ja nic. Dziś piątek. Dziś tak dużo pisał nie będę. Nie mógł ja spać, bo lód huczy i trzaska, ale jak okiem sięgnąć, nie widać otwartej wody. A nawet gdyby było widać, to przecież „Invincible" po lodzie sam nie przeciągnę, bo jak. Muszę czekać, aż puści pode mną. Jeśli puści.

Pisał ja przedwczoraj, żem mądry, bo nauczył się bać. Może to i prawda.

Na przykład, nawet Dużego ja się bał. Duży nie był głupi. Duży mi nie ufał, tylko głupek mógłby zaufać obcemu czełowiekowi. Na przykład Mały. Małego równie dobrze ja mógłby nazywać Głupkiem, ale niech już tam, niech już mu będzie Mały.

Pamiętam doskonale, jak sobie siedzielimy, tego pierwszego dnia. Jedlimy konserwy i chleb, co sobie Mały i Duży wypiekali w ich piecyku, i pilimy koniak, bo w końcu to święto spotkać czełowieka na tej szerokości geograficznej, na lodzie pakowym.

Po całym tem czasie.

Więc jadł ja i pił ja, i głównie milczał, i rozmyślał ja o moim życiu tak mniej więcej, jak tu piszę, rozmyślał ja, sycąc się pożywieniem i ciepłem, Duży też milczał i gapił się na mnie, jakby czekał, aż zedrę z siebie tę żółtą brodę jurodiwego razem z twarzą, tak że spadną ze mnie jak maska i spod niej wyłoni się moja prawdziwa twarz.

Sam ja byłby ciekaw, jaka to się twarz mogłaby spod tej brody wyłonić. I spod tych bruzd. I spod dziąseł obrzmiałych od pierwszych objawów cyngi.

Boję się, że nie najlepsza. Bo czy ja jeszcze czełowiek...?

No, a jako my z Sofie na tej bryczce się ku sobie blisko mieli, jak przedwczoraj ja pisał, blisko, to już tak nam zostało. Ciało koło ciała, dusza koło duszy, chociaż, wiadomo, komunista prawdziwy duszy nie posiada, no ale dusza koło duszy. Może tak i po Chołodzie już o duszy myślę. Zniknęły dla mnie nagle inne baby, nawet się ja na ulicy za żadną nie obejrzał, bo i po co, albo to jaka może być piękniejsza, silniejsza, mądrzejsza, lepsza niż moja Sofie?

No nie może. Tom się nie oglądał. Szkoda szyi, szkoda głową kręcić.

Dużo było rozłąki między nami, bo, wiadomo, wojna domowa, biały terror, nasz terror, jak nas Polaki w końcu mocno pogonili na Ukrainie, to nas wycofali bić Wrangla, potem dalej, potem wrócił ja, był NEP, było co jeść, potem Stalin wypędził Trockiego, NEP-manów popędzili na Sybir, i potem już nie było co jeść, były za to kolejki, kolejki, kolejki i kartki na chleb, jako my już do Murmańska się przenieśli, w nadziei, że tam nas przeoczą.

No, ale jak wiadomo, nie przeoczyli.

Ale i tak przez siedemnaście lat razem bylimy szczęśliwi, rozłąka czy nie, dostatek czy gołod, szczęśliwi, bo razem. Nawet kiedy daleko, to blisko. A kiedy blisko, to ciało przy ciele, najlepiej nam było w nocy, w ciemnościach, pod grubymi pierzynami, i miała taką gładką skórę na plecach, twarde piersi, brzuch i pośladki, i jej długie, rozpuszczone włosy pachniały w naszym łóżku wetiwerią, ja oczywiście nie miał pojęcia, że to wetiweria, bo co ja tam, proste chłopisko, o zapachach wiem, ale Sofie mnie objaśniła, że to wetiweria, taka orientalna trawa, i że takie ma perfumy, dlatego włosy jej pachną. Podobno męskie. No i na pewno nie naszej, radzieckiej produkcji. Francuskie.

Ważne, że pachniały. I jej usta, takie ciepłe i wilgotne, i jej dłonie zawsze na mnie, raz czule, raz pożądliwie, zawsze blisko.

Wcześniej żył ja w świecie mężczyzn. Na grubie, w marynarce – same chłopy, ciężkie, potężne, grubopalce, śmierdzące, a jakże, spoconym ciałem, drażliwe, rozgniewane, skore do zwady, więc każdy swoją gruboskórność uczył się kiełznać, nieświadomie, ale musiał, inaczej by go reszta w końcu rozszarpała, i tak się wszyscy w tych światach ucierali między sobą jak wściekłe otoczaki.

Nie żebym z babą nie spał, no wiadomo, że nie. Pierwszy raz spał ja, mając lat piętnaście, z żoną pewnego sztajgra, grubą Niemką, co to lubiła chłopców niezbyt starych zapraszać do siebie na kawa, jak mąż był w robocie, i wszystkie chłopaki na Kolonii B wiedziały, że jak się któryś jej spodoba, to można sobie dobrze poużywać, i śmiały się, że ôna niy ma aż tako żadno jak jōm ôd zadku ônaczyć. Co nie było prawdą, mnie się podobała z obu stron, ôd przodku i ôd zadku. W ogóle Kolonia B sprzyjała spaniu z babami i dziouchami, bo ich tam dużo było, samotnych, wyrwanych z takich wsi, gdzie jeszcze pan i ksiądz pilnowali porządku z dobrym dla siebie samych pożytkiem, wiadomo. A u nas, na Kolonii, dużo dziewczyn, dużo mołodych chłopaków, a starych brak, nikt nas wtedy nie pilnował, bo kapitalistę interesowało tylko, czy chłopaki będą na swoją zmianę w szoli, a że po szychcie gorzoła piją i dziouchy macają, to w ogóle kapitalistę nie obchodziło.

Jednak nasze światy, dziewczyn i chłopaków, były wtedy osobne. Wyruszalimy często do przeciwległych światów na wyprawę, ale potem wracalimy, i my, i one. Później, jak wyjechał ja do Ruhrgebiet, to się zmieniło, tam

mnie żadna nie chciała, tam był ja pariasem, a potem, w marynarce, no, wiadomo.

Same chłopy. Jakieś przypadkowe dziewczyny, tam czy gdzieś indziej, zawsze chciały wychodzić za mąż, a co mi tam po żeniaczce, takem wtedy sobie myślał. Kobiety były dla mnie stworzeniami z innego świata, przyjemnymi, tajemniczymi, niezrozumiałymi, i sam sobie wydawał się ja kimś takim samym dla nich, jakbymy do różnych gatunków ludzkich należeli, jak konie i osły, podobne, ale różne, żadnego porozumienia ani żadnego powodu dla porozumienia.

Sofie należała do tego samego ludzkiego gatunku co ja. Sofie pokazała mi inny świat niż ten surowy, grubiański, śmierdzący męskim potem. Sofie zrobiła ze mnie ludzi. Sofie nauczyła mnie czytać – to znaczy, nie w sensie, żeby ja był analfabetą wcześniej, oczywiście, że nie, u nas pruskie państwo by na to nie pozwoliło, żeby mołody chłopiec nie czytał, bo jak z niepiśmiennego zrobić dobrego żołnierza? U nas to nie tak jak w Rosyi, u nas żołnierz musi mieć mózg. To też w Konarmii było widać, jakie to było wojsko, kozackie, rozwydrzone, straszne w pościgu, ale w obronie żadne, jednocześnie szaleńczo odważne i bezdennie tchórzliwe, trochę jak niedźwiedź polarny, co nie boi się z morsem zmierzyć, jeśli gołodny, a poszczuć go można jamnikiem i będzie uciekał jak wariat, aż dobiegnie do morza i rzuci się w nie, i odpłynie jak najdalej, żeby jamniczka ujadania nie słyszeć. Takie trochę było to nasze wojsko, brawurowe w szarży, płoche w obronie, niepiśmienne, nieczytate. U Polaków oczywiście prosty żołnierz, zwłaszcza w piechocie, też często się podpisać nie umiał, ale u Polaków to była armia, zwłaszcza jak tam mieli starych austriackich i pruskich oficerów, to ci trzymali porządek. Jakoś bardziej to mi się podobało i czełowiek od razu rozumiał, dlaczego na początku rewolucję uratowali ewangeliccy z ducha i wyznania Łotysze albo matrosy, morska piechota, mariaki, bo do marynarki analfabetów nawet w carskiej Rosyi nie brali.

No, ale pisał ja, że Sofie nauczyła mnie czytać – w sensie takiem, że nauczyła mnie przyjemność czerpać z lektury. Wcześniej jakoś nie było okazji, a potem, już z nią, czytelnikiem okazał ja się pełnym zapału. Ale przecież nie to czytanie i gadanie o książkach przeczytanych było tu najważniejsze, tak zagaduję o czytaniu, analfabetach i mariakach, bo nie umiem pisać ani mówić o tem, co ważne.

Sofie wzięła mnie za rękę i poprowadziła w świat, któren naprawdę się między kobietą a mężczyzną pojawia, tak jak się między babą a chłopem nie pojawi, chociażby parzyli się jak króliki. Sofie zrobiła ze mnie człowieka, bo ona pierwsza w moim życiu pokazała mi, jaka może być między ludźmi bliskość, jakby już nie byli dwójką ludzi osobnych, ale jednością. Nawet w milczeniu. Nawet w rozłące.

Nawet po dziewięciu latach, gdy nie wiem, czy żyje ona i czy żyją dziewczynki, które się z tej miłości zrodziły, nawet teraz, chociaż Sofie nie ma blisko, we mnie, w mojej głowie jest, i zawsze była, cały czas, mądra, piękna i dobra, moja Sofie.

Nawet jeśli spoczęła na dnie oceanu razem z moimi słodkimi dziewczynkami.

A jeśli nie spoczęła, jeśli dopłynęła do Vardø, to wiem, że nawet teraz, po dziewięciu latach rozłąki, ja przy niej, tak jak ona przy mnie. Nawet jeśli wyszła za mąż za jakiegoś Norwega, ja sam ją do tego zachęcał, bo jakże tak jej samotnej. I chociaż wtedy odpowiadała, że nigdy nie potrzebowała chłopa, żeby przeżyć, potrzebowała mnie, żeby żyć ze mną, i z nikim tam się nie będzie schadzać, tylko poczeka, aż ja do niej przyjadę, ile będzie trzeba, poczeka, dziesięć lat, dwadzieścia, pięćdziesiąt, nieważne.

No ale wiem przecież, bom nie dureń, że takie rzeczy się mówi przy rozstaniu, a potem dzieciom trzeba coś do garnka włożyć. Więc nawet jak ją tam obejmuje w pościeli jakiś postawny Norweg, to jeśli Sofie żyje, ja z nią, tak jak ona ze mną, cały czas, przez te wszystkie lata straszne. Była świadkiem wszystkich moich strasznych czynów, których ja nie winien jako ich sprawca, ale ja winien jako jeden z tych, co ten świat stworzyli, i wiem, chociaż tyle lat minęło, że Sofie wybaczyła mi wszystko, wszystko też ja jej wybaczył, jej straszne czyny i zatwardziałe kiedyś dla wrogów rewolucji serce.

Nie mogę już o tem pisać. Będę więc dalej pisał, jak to tam było z moim jedzeniem, odsapnę sobie, łzy z oczu obetrę.

Więc jak to było z jedzeniem. No. Może zdziwiłoby to moją nieistniejącą czytelniczkę w jakimś tam Paryżu czy Londynie, że człowiek takie miał przygody, takie życie, a ciągle o jedzeniu pisze. No co ja mam na to powiedzieć, jakby tam państwo londyńczycy albo paryżanie widzieli to, co ja widział nad Wołgą w 1921, dzieci jak szkielety z brzuszkami rozdętymi jak piłki, o szarej skórze i wielkich, strasznych oczach, dzieci, które jak sądzę,

próbowały, owszem, ludzkiego mięsa. Jakby państwo paryżanie wystawali po dziesięć godzin w kolejkach po czarny chleb na kartki, tak jako my z Sofie wystawali w Murmańsku, polarną nocą, na zmianę, żeby cokolwiek mieć dla dzieci.

Jakby kiedykolwiek mieli w domu gołodne dziecko i nie mieli przy tem niczego, żeby to dziecko nakarmić.

Gdyby kiedykolwiek jedli kota albo szczura, toby wiedzieli, że o jedzeniu trzeba pisać najwięcej.

Albo jakby coś tam jeszcze innego jedli.

Jak wrócił ja z wojny, z Kamczatki, póki był NEP – żylimy, jak się dało. Czasem nawet nie było biednie, bo chociaż żaden ze mnie NEP-man, to jednak łeb do interesów mam, chociaż niby partyjnemu nie wypadało, ale co mnie tam ta moja partia obchodziła już wtedy, nic, tylko aby żyć, tylko Sofie i dziewczynki. Im dłużej ja w Rosyi żył, tem bardziej ja rozumiał, co ruskij mir i czem ja się od Ruskich różnię, i że to wszystko, ech, głupstwo, Ojczyzna Światowego Proletariatu. No ale już nas wtedy nie puściliby nigdy nigdzie, mnie, innostrańca, Sofie, Norweżkę z kolskich Norwegów…

No więc kombinował ja, jak mógł, kryszę jeszczem jakąś miał i tam się coś udało z wojny przywieźć, coś tam się udało sprzedać za czerwońce i za czerwońce ze sprzedaży coś tam się udało tanio kupić, a sprzedać drożej, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Żadnych luksusów, ale na przykład do Pitra, to znaczy wtedy już chyba do Leningradu, pojechalimy z Radkiem, spalimy nawet w Hotelu Europejskim, na co Sofie, z jej skromnością szczerej komunistki, nieco się wzdrygała, ale spalimy w bialuchnej pościeli i nawet kolację zjedlimy w hotelowej nocnej restauracji, z muzyką na żywo, z porcelanowej zastawy bliny z kawiorem wcinalimy, popijając chłodną wódką, i nawet tańczylimy, chociaż ja tańczyć nie potrafię wcale i Sofie też nie, bo gdzie my się niby mieli nauczyć, górnik i córka rybaka znad brzegów Morza Białego.

I nie było nam żal wracać do naszego pokoiku w Moskwie, bo przecież nie pożądalimy bogactw, ani Sofie, ani ja, wystarczyło nam, że siebie mielimy, swoje ciała każdej nocy, naszą bliskość, oczy i oddechy. To nam było za całe świata bogactwo. Mówilimy sobie o wszystkiem, na co w partii nie patrzyliby towarzysze przychylnie, gdyby wiedzieli, ale nie wiedzieli, my za to wiedzielimy o sobie wszystko, opowiadalimy sobie wzajemnie swoje życia

bez ustanku, aż stalimy się jakby jednym czełowiekiem, Sofie i ja, ja i Sofie, i pewnie w końcu zlalibymy się ze sobą i już nie wiedzieli, kim my są z osobna, ale w 1927 na świat przyszła Wilena, której imię dalimy oczywiście od Władimira Iljicza Lenina, bo też jakoś wtedy wierzylimy, że gdyby Lenin żył, to nie działoby się tak źle, jak się działo. Kiedy pojawiła się na świecie, wszystko się zmieniło. Nie, nie oddalilimy się od siebie, ale nie bylimy już dla siebie we dwójkę całym światem, bo w tem świecie pojawiło się to coś, bo jeszcze nie ten ktoś, to małe, spowite w beciki i szmatki ciepłe i miękkie stworzenie o zaciśniętych oczkach, co to nagle przemieniło się w biegającą po mieszkaniu małą dziewczynkę z cienkimi warkoczykami, której trzeba było dać jeść, a kolejka miała i pięćset metrów, i kilometr, ale trzeba było stać, bo ta malutka dziewczynka z warkoczykami mówiła: tatusiu, daj mi jeść.

Nas tymczasem wyrzucono z partii, i mnie, i Sofie, więc o jedzenie się zrobiło jeszcze trudniej. Ale nie o to chodzi. Nie moglimy już stać się jednym, Sofie i ja, bo bylimy Wilence potrzebne z osobna.

Zmienił ja zdanie potem, w miejscu, którego nazwy nie zamierzam wymieniać. Ale o tem nie chcę pisać. Starczy, że już o wojnie napisał ja i tak za dużo. Bo przecież potem jeszcze my Wrangla na Krym spychali, tam to się dopiero działo. Papier by tego nie wytrzymał.

Bzdura, na papierze można napisać wszystko, jeśli się ma ołówek albo pióro. Wszystko.

Papier by wytrzymał wszystko, i ja to wszystko wytrzymał. Jakby w środku ja był ze stali, starszy politiczeskij rukowoditiel towarzysz Konrad Wilgelmowicz Widuch, towarzysza Widucha nie dotykały masowe groby wypełnione chudymi trupami przez Białych, towarzysza Widucha nie dotykały masowe groby, które my sami wypełniali, rozwalając pod ścianą białych oficerów albo szpiegów, albo ich popleczników, albo popów, albo bogatych kupców, albo w ogóle kogo tam należało, towarzysz Widuch był i tak myślami przy liście, któren przed pójściem spać napisze do swojej Sofie, nawet wiedząc, że i tak go nie wyśle, bo przecież wojskowa poczta w naszym rewolucyjnym wojsku nie działała, trzeba było czekać, aż kto do miasta w głębi kraju pojedzie, nada. Czasem więc nadawał ja i trzydzieści listów z całego miesiąca i nie pisał ja ani słowa o tem, co ja widział, o dzieciach jak szkielety.

O tem wszystkiem opowiedział ja jej później, w Moskwie, szeptem, po niemiecku, gdy oboje przykryci kołdrą gadalimy do siebie po cichutku różne rzeczy, albo daleko za miastem na spacerze, kiedy ktoś nas na daczę zaprosił, bo jednak w pokoju w hotelu Lux strach było to mówić. Ale opowiedział ja o wszystkiem.

Gdy opowiadał ja jej o wygołodzonych dzieciach na Powołżu w 1921 roku, Sofie zabrała mnie do biblioteki, długo szukała jakiegoś albumu i w końcu znalazła, niemiecki album o sztuce japońskiej, i odszukała w nim rycinę przedstawiającą japońskie demony gołodu zwane gaki, które, jak głosił podpis, były duchami ludzi za życia chciwych, skazanych po śmierci na niezaspokajalny gołod i pragnienie pożerania ludzkich odchodów lub trupów. Gaki na rycinie wyglądały jak wychudzone potwory o ciemnoszarej skórze, wielkich okrągłych brzuchach, które ciągnęły się po ziemi, miały też szaleństwo w wielkich oczach i zmierzwione grzywy białych włosów.

Tak właśnie wyglądały te dzieci na Powołżu, powiedział ja wtedy Sofie, dzieci, które włóczyły się między chatami opustoszałych wiosek rosyjskich, udumurckich, czuwaskich czy maryjskich, włóczyły się w stadach, powolne i bezwolne, cienkorękie i cienkonogie, wyjąc i piszcząc. Gdy chciał ja dać chleb – nie pozwolili. Nie pytał ja dlaczego. Ale przecież te dzieci na Powołżu nie zgrzeszyły obżarstwem ani chciwością, nie miały nawet okazji, tak ja odpowiedział.

Sofie żachnęła się tylko, cóż to katolickie wychowanie robi z czełowiekiem, tylko grzech i grzech, cóż to grzech w ogóle.

Nie kontynuował ja tematu wtedy, ale rycina przedstawiająca japońskie gaki na dobre wryła mi się w pamięć.

Wiele razy widział ja potem żywe, chociaż już dawno martwe, a jednak ciągle jakimś cudem żywe gaki, szczególnie w miejscu, o którem nie chcę pisać i którego nazwy nie chcę wspominać. Widział ja, jak dotknięci klątwą łakną, łakną ponad wszystko, cali stają się łaknieniem, bo nie ma w nich nic więcej, widział ja czełowieka, któren ze śniegu wyciągnął i zjadł jedzenie z obrzydzeniem wyplute przez strażnika.

Widział ja w tem miejscu o wiele gorsze rzeczy.

I spędził ja w tem miejscu rok.

A potem ja uciekł, żeby samemu nie stać się gaki, w momencie ostatniem, i wiele mnie to kosztowało, ta ucieczka.

Ale musiał ja uciec. Chociaż ja wiedział, że to się przecież nikomu nie udaje, że w końcu wracają, najczęściej jako trupy, żeby my wiedzieli, jak to się skończy, jednego zabitego przy pojmaniu komendant powiesił za szyję i powiedział, że będzie tak wisiał, aż odpadnie, i wisiał, i nie wiem, czy odpadł, bo ja uciekł. Jak wracali żywi, rzadko, to wracali pobici, potem śledztwo, bicie, nowy wyrok. No to i mało kto chciał uciekać, zwłaszcza potem, jak z wyrębu przenieśli mnie i paru innych znajomych dużo dalej na siewier, w senduchę, gdzie my mieli w małych brygadach linie elektryczną i telefoniczną stawiać, bo jak wiadomo, władza radziecka plus elektryfikacja. Bo jak tu uciekać w senduchę, gdzie iść, gdzie spać, czem się ogrzać...?

Ja, uciekając, wiedział, że żywego mnie nie wezmą. Nie wezmą, bo ja już martwy. Uciekał ja bez nadziei na życie, nie wiem, jak to wyrazić, uciekał ja, żeby wrócić do samego siebie, zginąć od kuli, w biegu, na moment żywy, tak jak zginąć mógł ja tysiąc razy, na morzu, w Berlinie, na Ukrainie, na Krymie, na Kamczatce, uciekał ja, żeby wrócić do tego płowowłosego, wąsatego chłopaka w skórzanej kurtce, któren jak wyszedł z domu w wieku lat czternastu, to już do domu nie wrócił i niosło go życie, zanim w tem miejscu uwiązł. Ale na dziś już dość pisania. Trzeba się rozejrzeć po lodzie. Może puści. O tem uciekaniu to już jutro napiszę.

23 CZERWCA 1946

Wczoraj nic nie pisał ja. Nie chciało mi się. Dziś niedziela. Piszę ten dziennik już tydzień, bo też nic lepszego nie mam tu do roboty, gdy tak sobie czekam, aż lód puści. Wczoraj znalazł ja szczelinę, jakieś dwieście sążni od łódki, tak szeroką, że ja nie mógł jej przeskoczyć. Pomyślał ja, że nie mogę się już od łodzi oddalać, żeby mnie nagłe pęknięcie od niej nie oddzieliło. Więc już nie będę odchodził.

Miał ja pisać o uciekaniu.

Nieistniejąca, za to inteligentna i złośliwa czytelniczka mogłaby w tem miejscu zapytać: a dlaczego to stary bolszewik, były, a jednak członek WPK(b), ucieka z obozu, w którem go jego własna partia posadziła z para-

grafu 58? Czyż stary bolszewik nie powinien bezwzględnie słuchać partii? Czyż nie ma zawsze racji partia?

To słusznie zadane pytanie, słusznie, ale niecelnie.

Z obozu nie uciekał stary bolszewik, stary bolszewik umarł na długo przed aresztowaniem. Z obozu uciekł człowiek.

Ale czy ja człowiek?

Ja zresztą nigdy nie był dobry w tych frakcyjnych podziałach. Nie lubił ja tego gadania. Bolszewiki, mienszewiki, esery, trockiści, lewicowe odchylenie, prawicowe, ja nigdy nie był od tego.

Sofie zawsze się śmiała, że ja to tak naprawdę zwykły, ludowy anarchista, któren przez przypadek, przez Radka oczywiście, trafił do bolszewików, a powinien siedzieć z Machną w Hulajpolu, że ja tak naprawdę chcę tylko spalić świat i nie interesuje mnie budowanie nowego.

Może miała rację. Sofie interesowało budowanie nowego świata i wychowanie nowego człowieka, i co, jaki im ten świat wyszedł?

Tak, tak, oczywiście, posiedział w miejscu, którego nazwy nie chce wymieniać, i od razu mówi o bolszewikach w trzeciej osobie.

No nie on jeden, nie sam Konrad Wilgelmowicz Widuch się do nowego, lepszego świata w tem miejscu nieco rozczarował, nie on sam.

Były towarzysz Konrad Wilgelmowicz Widuch, w sensie, że no, ja sam, no, Konrad Wilgelmowicz Widuch, widział starych bolszewików, jak żegnali się po prawosławnemu i czołem bili przed ikoną, wyrysowaną wyżebranym od błatnych ołówkiem chemicznym na kartce z książki wydartej, i zeka popa prosili, ojczulku, tak módl się za nas grzesznych, a ten im mówił, że wy odpokutowali już, odpokutowali, tylko w Chrystusa wierzcie, i prosforę z chleba robił, dzielił, spowiadał i komunii udzielał.

No, mnie samemu też zdarzało się bezwiednie szeptać „Ojcze nasz", po naszymu, jak mamulka uczyli, i po niemiecku, jak w szkole, zdarzało się, ale to mantra była taka tylko, żeby mózg i wargi zająć, uspokoić.

No zresztą, czy to nie tak w ogóle z modlitwą, z religią? Żeby mózg i wargi zająć, uspokoić...?

No, że opium niby. Ale co ja tam wiem.

Nie będę pisał o miejscu, którego nazwy nie chcę wspominać, bo nie chcę opisać najgorszego miejsca, w jakim może się znaleźć człowiek, a widział ja kilka nie najlepszych, więc wiem, co mówię. Już tam w tem miejscu tylu spotkał ja inteligentów, profesorów, docentów, pisarzy, poetów, dziennikarzy, że któryś tam na pewno o tem coś napisze, jak mu z łaski Stalina dane będzie przeżyć. To już tam sobie poczytacie, jak ich kiedyś wypuszczą i oni tam napiszą, jak to było w tem miejscu, w którem nie człowiek umiera, ale jego dusza.

Ale napiszę ja o tem, jak ja uciekł, bo żeby profesorek uciekł z sukcesem, to ja nie słyszał. Chyba że w wieczną ciemność, jak nieszczęsny entomolog profesor na ławie przez Gabaidzego z Rebanem rozciągnięty.

No, po prawdzie, to nie słyszał ja, żeby w ogóle ktokolwiek z sukcesem uciekł z Dalstroju. Różni próbowali, kończyło się tak samo, zawsze tak samo.

Dlaczego udało się więc mnie, byłemu towarzyszowi Konradowi Wilgelmowiczowi Widuchowi?

No, udało się, bo ja się nie trzymał życia tak kurczowo, jak życia trzymał się każdy urka, ale nie stał ja się też dochodiagą, jak ci wszyscy wyciśnięci przez Dalstroj z żywotnych soków jak cytryna do czaju.

Cytryna! To przypomina mi o tem, że Duży i Mały mają cytryny na łódce i poczęstowali mnie jedną, gdy pokazał ja na moje dziąsła obrzmiałe od cyngi. Z dziesięć lat nie widział ja cytryny i nie smakował cytryny, więc w tę ja wgryzł się, wyssał, na ile pozwalały mi obolałe dziąsła. Mały się cieszył, Duży gapił się ponuro.

Zauważył też ja, że Duży prawie nie pił. Mały nalał mu koniaku, a Duży tylko trochę tak coś posmakował, wargi zwilżył i nic więcej.

No, ale wracając do mojej ucieczki na wpół udanej.

Mówił ja, że uciec skutecznie może tylko urka, błatnyj. Ja jednak nie wor w zakonie, ja nie urka, ja nie błatny. Ja był niby zwykła pięćdziesiątka ósemka i tak wszystko ja robił, tak ja żył, żeby urków do tej mojej zwykłości przekonać, a jednocześnie żeby widzieli, że ja silny, energiczny, że będzie ze mnie pożytek.

Silny, energiczny – jak na zeka, co już rok siedzi, czyli nie wedle tego, jaki był ja kiedyś, no ale. Oni, urki, też siedzieli, no nie?

Plan urków był taki, żeby wyruszyć zimą i iść na jug, a co dalej, mówili, to się zobaczy.

Uważał ja ten plan za idiotyczny, ale nic ja nie mówił, bo też po co gębę pruć. Robił ja swoje, oszczędzał siły, jadł ja, ile się dało, czyli niewiele. Urki kradli moje jedzenie, ja kradł słabnącym pięćdziesiątkom ósemkom i jakimś tam dochodiagom, którzy jedząc, tylko już to dobre jedzenie marnowali – ekspresem prosto po torach zmierzają ku śmierci i po co mają w ogóle jeść, skoro ich los już przypieczętowany.

No, prawda, każdego z nas los przypieczętowany od narodzin i do jednego końca zmierza, a jednak jak kto jedną nogą już w grobie, to nawet jak jeszcze gdzieś tam mu się wola życia tli, to przecież…

Ale, ale, Konradzie Wilgelmowiczu, były towarzyszu, po co to filozofowanie? Czyście, były towarzyszu Konradzie, byli kiedykolwiek czełowiek refleksji? Czyście, nawet czytając, jak już was towarzyszka wasza była partyjna, jak i życiowa Sofie nauczyli, czyście wtedy stali się czełowiekiem refleksji? No wiadomo, że nie, towarzyszu Konradzie Wilgelmowiczu.

Wy, towarzyszu Konradzie, czełowiek czynu, nie refleksji. Przez was, towarzyszu, były bo były, ale towarzyszu Konradzie Wilgelmowiczu, płynie życiowa energia strugą szeroką jak Angara, płynie i nie przestanie, póki oczu na wieczność nie zamknie wam czas…

No i znowu, najpierw filozofujecie o woli życia, a teraz te poetyckie frazy, towarzyszu Konradzie, skoro już to piszecie, nie wiadomo po co, siedząc w tej podpartej na lodzie łódeczce o dzielnym imieniu „Invincible”, to już tam piszcie o waszych licznych przygodach, a nie silcie się na filozofię i poezję, bo ani wam to jakoś specjalnie nie wychodzi, ani sensu nie ma, nawet kiedy się na to sili ktoś, komu wychodzi.

Do brzegu, towarzyszu Konradzie Wilgelmowiczu, do brzegu, jakikolwiek by on był, ten brzeg.

Takem sobie zresztą powiedział wtedy. Do brzegu, bracie, do brzegu. Do brzegu Oceanu Arktycznego.

Tak i pisał ja, że urki chciały iść zimą, to znaczy wiosną, jak wstanie dzień polarny, i to nie była głupia część pomysłu. Latem iść się nie dało. Łatwiej poruszać się po śniegu, nawet bez sań i psów – można sobie sprawić

rakiety śnieżne albo ukraść narty – niż po mokrej, odtajałej sendusze, w której człowiek zapada się po kolana w błocie.

A to jeszcze mniejszy z problemów – większym są komary i meszki gotowe pożreć człowieka żywcem. Jeśli komuś komary kojarzą się z czymś nieprzyjemnie dotkliwym letnimi wieczorami, kiedy na przykład jak gach mojej mamulki ktoś lubi sobie z porcelanową fajfką siednynć na laubie, zakurzyć, no i potym zaś te kopruchy bzyczą i żerōm, no nieprzyjemnie, no to ten ktoś nie ma pojęcia, co oznaczają komary i meszki w mokrej, letniej sendusze, które w kilka sekund pokrywają każdy kawałek nieosłoniętej skóry, próbują wciskać się pod ubrania, do nosa, do oczu; i oczywiście, jedno ukąszenie komarze nic człowiekowi nie zrobi, ale tysiąc, dziesięć tysięcy...?

Pracować latem dało się tylko w specjalnych zasłonach na twarz z drobnej siatki, podobnych do tych, jakie noszą pszczelarze, ale tego, jasna rzecz, brakowało, więc jak trzeba było pracować, to się otulało łeb szmatami i się pracowało, i tak, zek robił swoje, a komar i meszka swoje, zek pacnął się w czoło, komary marły, zeki też marły, jednak ja nie umarł.

Wracając więc do pomysłu urków, żeby iść zimą i na jug, to głupie w tem było chcieć iść na jug, bo gdzie, do Magadanu...? Zapukać gdzieś i zapytać, że przepraszamy, grażdanko, ucieklimy i chcielibymy bilet na statek do Władywostoku? Może nie na „Dżurmę", na której, jak powiadają, dwanaście tysięcy ludzi umarło, kiedy uwięzła w lodach i po zimie przypłynęła pusta, tylko załoga była i strażnicy, i ani jednego zeka, bo sobie spokojnie spłynęli do oceanu. Na „Dżurmę" to nie chcemy, da nam raczej miła towarzyszka kasjerka bileciki na „Jagodę", na „Feliksa Dzierżyńskiego" albo na „Indigirkę", bo nam się już zmierzło w tem tu Magadanie i życzymy sobie do Władywostoku się udać.

Śmieszny pomysł.

A inaczej to co, iść może tych kilka tysięcy kilometrów przez senduchę i tajgę, licząc, że się do Chin dojdzie? I w tych Chinach to niby co, do Kuomintangu się zapiszemy? Albo co innego?

Nic, bo się nie dojdzie. Więc co się tam zastanawiać, co w Chinach, Kuomintang czy nie.

A jednak urki chcą iść na jug, idioci. Ja oczywiście ani słowem się nie zdradzam z moją opinią na temat tego pomysłu, bo na ile ich znam, to nie za dobrze reagują na komentarze niepochlebne względem ich przekonań, no, najogólniej mówiąc, krytyki nie lubią. Poza tem, co bym niby jako alternatywę przedstawił, że chodźcie, bracia, na siewier, umrzyjmy w lodach jako wolni ludzie?

Urki tylko gadają o zakonie, ale tak naprawdę to nie widział ja jeszcze urki, któren by te ich prawa stosował, kiedy miałby na nich co stracić. Takie gadanie ten ich zakon. Pustota. I gadanie o wolności na pewno by ich nie przekonało. Urki lubią garować, a jak.

Tych, z któremi pracuję i którzy chcą iść, trzech. Pierwszy Rebane, niby Estończyk, ale z Moskwy i po rusku mówi jak każdy inny moskwianin. Tak, ten Rebane, co mnie na wyrębie pozbawił dwóch palców i razem nas przenieśli do obozu w sendusze, a ja trochę, zaczynając te notatki, udawał przed sobą, że nie zrobił tego specjalnie. Jasne, że specjalnie mi te palce odrąbał. Dla szutki, tak o.

Chłop był jasnowłosy, po pięćdziesiątce, wielki, wysoki, nawet w łagrze niezbyt wychudzony, bo wśród worów cieszył się wielkim autorytetem, co zapewniało mu, a jakże, jedzenie.

Kosztem mużyków i frajerów oczywiście, ale takie mużyki jak ja, silne, energiczne, raczej mogły swoją bałandę jeść. Oraz innemu mużykowi skraść.

Ale nie chcę o tem pisać, nie chcę.

Więc był Rebane, potężny, niewygołodzony, z płaskim nosem blondyn, mocno tuszem popisany, lokalny król błatnych, wielokrotny morderca, wielki wor. Na piersiach miał głowy Stalina i Lenina wydziarane, patrzyli sobie obaj w oczy jak namiętne kochanki, poniżej, na okrągłym brzuchu, dał sobie wykłuć kobietę nagą, z rozkraczonymi nogami, wyjątkowo jak na worowskie tatuaże nieobnażającą przyrodzenia, lecz kryjącą je za pomocą czaszki złowrogiej, po której czerepie pieszczotliwie przesuwała palcem z tuszu. Zaraz obok niej, po drugiej stronie wypukłego pępka, widniała kobieta bardziej obnażona, wykłuta zręcznie, rozparta w pościeli, prezentująca widzowi wszystkie swe wdzięki łącznie z kroczem i najwyraźniej śniąca sny piękne, albowiem fruwały nad nią wielkie, obdarzone anielskimi skrzydełkami kutasy.

Nad obiema znajdował się tłumaczący wszystko napis: mużyki, nie wierzcie bladziom, one mogą was utopić w swej piździe! Tyle że po rusku. Wytłumaczył mi kiedyś Rebane, w przypływie dobrego humoru, że jego kochanka, bladź, wydała go milicjantom, czego wyrazem tatuaż z czaszką, a o jej wierności nie ma Rebane najlepszego zdania i zamierza ją zarżnąć jak świnię, kiedy tylko na chwilę go puszczą z łagru, czego wyrazem tatuaż drugi. To znaczy niewierności wyrazem, nie planu zarżnięcia jak świnię, od tego był inny tatuaż. Któren? Nie pomnę.

Miał jeszcze wiele innych tatuaży, całe jego ciało było jak płótno, jedyny, jaki mi się podobał, miał na plecach zjeżonego kota, z napisem: „люди – звери". Ludzie to zwierzęta, mówił tatuaż i potwierdzał tem samym moje bogate w tem względzie doświadczenie życiowe. Niektórzy przynajmniej są.

Dalej był Gabaidze, mały, może dwudziestoparoletni, ciemny, z wąską twarzą cwanego szczura, szybki w nożu i skory do załatwiania spraw gwałtem, Rebanego przydupas, co oznaczało sześć kropek na palcu ręki prawej wykłute. To ten, co profesora entomologa udusił. Widział ja też, jak wbił człowiekowi zaostrzony trzonek kilofa w usta i pchał tak długo, aż mu wyszedł brzuchem. Nie wchodził ja mu w drogę. Jakby to on zrobił mi ten żarcik, co Rebane, to miałby ja ten topór wbity głęboko w czaszkę i w takiej sytuacji nic by tu wam raczej nie pisał, chociaż widział ja kiedyś na własne oczy, jak człowiek z toporem wbitym w głowę wrócił z roboty na zonę na własnych nogach. Oczy miał otwarte tak szeroko i usta też i szedł, nic nie mówiąc, bo też co tu gadać. W zonie brygadzista kazał mu topór oddać, bo przecież z narzędzi trzeba się rozliczyć, a ten stał z otwartymi ustami dalej, więc brygadzista sam ten topór mu z głowy wyrwał i wtedy dopiero chłop padł martwy.

Jemu to akurat nie Gabaidze wbił topór w czaszkę, ale tak mi się przypomniało. Jak ja napisał, że z toporem w głowie bym nie pisał. Tak że tak. Gabaidzemu schodził ja z drogi, z nim nawet żadnej rozmowy nie było. Kiedyś zażądał swetra, co go ukradł ja jednemu dochodiadze i nosił pod koszulą, na ciele, żeby mi nie ukradli. Jak zażądał, tak oddał ja natychmiast. Bez swetra można żyć, w niełasce Gabaidzego też, ale krócej. No więc dał ja Gabaidzemu sweter, a Gabaidze dał mi spokój. Uznał ja, że warto było.

Trzeci wor w zakonie pochodził z Leningradu, na nazwisko miał Sazonow, miał też miłą twarz rosyjskiego intelektualisty, niepozorną sylwetkę, na piersi wykłuty ikonostas pełen przepychu, na ramionach pagony generalskie z frędzlami, a na dłoniach kropki symbolizujące podobno siedemnaście trupów na koncie. Był mistrzem oszukiwania w kartach, szczycił się, że nie dał się przyłapać nigdy i nikomu, ołówkiem chemicznym wymalowywał od własnoręcznie przygotowanego szablonu piękne karty do gry, które się z kilku warstw kleiło krochmalem z przeżutego chleba.

Na roboty konserwatorskie przy postawionych już drutach wysyłano właśnie tych trzech urków i skromnego piszącego dla ciebie te słowa, nieistniejąca czytelniczko, byłego towarzysza Konrada Wilgelmowicza Widucha, i tylko dwóch strażników z Wochry, każdego z mosinem na ramieniu.

No i jak tu nie pomyśleć o ucieczce, zapytałabyś może, moja nieistniejąca czytelniczko. Czyżby kierownictwo Dalstroju nie pomyślało, że taka mała, czteroosobowa brygada może strażników przemocą obezwładnić i uciec?

Skoro czterech chłopa z toporami, drągami, szpadlami i tylko dwóch strażników z pięciostrzałowymi, długimi, nieporęcznymi mosinami, na które obowiązkowo musieli nasadzać bagnety, skoro na straży byli.

Otóż nie, kierownictwo Dalstroju wiedziało o tem lepiej niż dobrze, po prostu kierownictwo mogło zadać sobie pytania: A gdzie niby uciekną? Co żreć będą? Czukcze im żreć nie dadzą, zekom. W obozie, owszem, gołod, ale gołod od tego, że jedzenia mało. Poza obozem jak jedzenia dostać? Druty to tutaj tak bardziej dla fasonu zonę otaczały.

A jednak Gabaidze, Rebane i Sazonow postanowili uciec, chociażby dla mołojeckiej fantazji, oraz postanowili skromnego piszącego te słowa zabrać ze sobą i nie domyślali się ani trochę, że ja od początku wiedział, po co chcą mnie zabrać.

Czy moja droga hipotetyczna czytelniczka domyśla się może po co?

Jasne, że się domyśla. Czy może jednak nie?

No to napiszę. Moje urki, wory, błatni postanowili mnie zabrać z zamiarem mianowicie zeżarcia mnie, jak skończy im się chleb pieczołowicie uciułany. Tacy to byli mistrzowie intrygi ci trzej. Założyli sobie, że ja głupi, nie domyślę się.

Wysłano nas więc z misją odnalezienia uszkodzenia w linii telefonicznej prowadzącej do Magadanu, w tem celu strażnicy dostali konie, bo akurat był taki czas właśnie, że senducha już zmrożona trochę, a jeszcze niezasypana śniegiem po pas, komarów już nie ma, a dnia jeszcze trochę zostało, uszkodzenie podobno miało być niezbyt daleko, bo telefonista jakoś miał swój sposób, żeby to ocenić, niezbyt się na tem wyznawał ja, w każdem razie mielimy podobno drogi nie więcej niż trzy dni w jedną stronę. Zekowi konia oczywiście dać nie można było, tak samo jak orużja do ręki, nigdy, przenigdy, więc my czterej szli na piechotę, a strażnicy na tych małych kosmatych konikach jakuckich jechali.

Mój komitet centralny worów w zakonie uznał, że ucieczka odbędzie się trzeciego dnia naszej wyprawy. Nie będą czekać przez zimę do wiosny. Uciekną przed wielkimi śniegami, ważne, że nie ma już komarów i meszek. Kto to wie, co się przez zimę stanie, może wszystkich załadują na barkę na Kołymie, spławią do oceanu i wybiją zawory denne? Kto wie.

Uciekać więc będą teraz, jesienią. Senducha już zmrożona. Meszki i komary do latania nieskore. Można iść. Konie będą. Wtedy zabiją strażników, w czem ja miał mieć znaczny udział, bo urkowie mili uznali, że jak będą strzelać, to pierwszy z nas kulę weźmie, a reszta już gwałtem strażników poskromi.

Niezbyt mi się to podobało, zwłaszcza że to ja miał być tem pierwszem, ale Rebane powiedział, że tyś bolszewik, partyjny, przez ciebie zonę zbudowali, to ty kulę weźmiesz. Trudno mu było racji nie przyznać, ale i tak mi się to nie podobało.

Zatrzymywalimy się w pobudowanych wzdłuż linii schronieniach, prostych chatkach z przywleczonych tu po śniegu przez zeków bali. To znaczy w chatkach zatrzymywali się strażnicy, my przy ogniu marzli na dworze. Pierwszej nocy, kiedy moje wory w zakonie, przekonane o mojej bezwzględnej lojalności poszły spać, podszedł ja do siedzącego przy kociołku z wrzątkiem strażnika z Wochry. Drugi spał, zawsze jak jeden spał, to drugi czuwał, i na zmianę. No. Ten, co siedział, gdy tylko zauważył, że podchodzę, zerwał się na równe nogi, chwytając mosina długiego jak pika, jednak na szczęście bez słowa i nikogo nie zbudził, ja zaś mu wszystko pięknie opowiedział, jak to wory zamierzają ich zamordować i uciec, jak poczynili zapasy, a mnie chcą ze sobą zabrać w roli spiżarni na dwóch nogach, co

niezbyt mi się podoba, albowiem mam nadzieję poprzez reedukację w obozie zostać socjalistycznemu społeczeństwu przywrócon jako pełnowartościowy grażdanin.

Strażników było, wybacz, że powtarzam się, dwóch, obaj mołodzi, nie wiem skąd, bo ja ich nie pytał, już ich tam kierownictwo Dalstroju porządnie futrowało opowieściami o tem, jakież to straszne przewinienia poczyniły pięćdziesiątki ósemki, jak ja, ale w tem, co przy kipiatoku siedział, było niemało chłopskiego sprytu czy czegoś tam, tak zwykle o cwanych wieśniakach w książkach piszą, no więc było w nim pełno chłopskiego sprytu, po cichu swojego towarzysza obudził, zarepetowali triochliniejki i polecili mi wziąć topór. Ja wziął. Wochry wyszli z szałasu, zbliżyli się do śpiących worów, wory się pobudziły, a wochry kazali im opróżnić tłumoki.

A w tłumokach! Noże postrugane z byle czego, co się dało znaleźć w zonie, to znaczy w miejscu, którego nazwy nie chcę wymieniać, i dowód koronny w sprawie, to znaczy podkradnięte od frajerów jak ja zapasy chleba przewyższające dalece racje na sześciodniową naszą wyprawę.

O priedatiel zasrany, warknął na mnie Gabaidze, Sazonow patrzył na mnie łagodnie, obmyślając zapewne, co mi uczyni, jeśli przeżyje, i jak wolno będę umierał, Rebane zaś kombinował, jak sądzę, intensywnie o tem, jak własną skórę uratować. Wochry mołode nie wiedziały, co robić, czy rozwalić na miejscu, czy kazać uciekać i rozwalić zgodnie z regulaminem, tak żeby dziury w plecach wory miały, nie w piersi, a Rebane wiedział dobrze, nad czem rozmyślają, więc nagle wrzasnął, że niedźwiedź!, a wochra jeden był tak głupi, że się obejrzał, wtedy Rebane na niego skoczył, nóż więzienny w prawicy, wochra drugi strzelił w Gabaidzego i trafił go w ramię, gdy Gabaidze zrywał się do ataku, uderzenie kuli skręciło go i rzuciło na ziemię, Sazonow też skoczył, ale złapał ja go w locie toporem, bo akurat tego się nie spodziewał, i to tak złapał ja łajdaka, że mu skrajem ostrza czaszkę ja otwarł i zwalił się on jak rażony gromem w nasze nocne ognisko martwy, zanim dotknął polan i żaru.

Wiedział ja, że nie mam czasu do stracenia. Wochra, co strzelił do Gabaidzego, właśnie repetował mosina, żeby strzelić ponownie, bo Gabaidze próbował wstać, i nie patrzył na mnie. Rebane tarzał się po ziemi z drugim wochrą, próbując mu wyrwać orużje.

Wiedział ja, że teraz, albo już nigdy, kiedy więc wochra drugi raz wystrzelił, chybiając tem razem Gabaidzego, taki był z niego strzelec marny, to doskoczył ja doń i zdzielił zakrwawionym już toporem w łeb, zwalając wochrę na ziemię jednym ciosem, jak Sazonowa.

Nie na darmo człowiek od czternastego roku życia machał łopatą, najpierw ładując urobek do wagoników, a potem na statku do kotłów, nie na darmo na wyrębie dobrze się poznał z toporem. Nawet po kilkunastu miesiącach w miejscu, którego nazwy nie chcę wymieniać, została mi w ramionach jakaś moc.

Rebane i drugi wochra dalej kotłowali się na ziemi, więc bez zwłoki doskoczył ja do nich, najpierw rąbnął ja w plecy Rebane, ha, rąbnął Rebane, jak w wierszu prawie to brzmi, no ale tak ja i rąbnął, ostrzem wzdłuż pleców, i zaraz ja poprawił w poprzek, aż usłyszał ja trzask pękającego kręgosłupa i żeber i Rebane sflaczał, po czem, zanim drugi wochra zdążył się spod niego wyswobodzić, to siadł ja na nich, przyciskając wochrę ciężarem dwóch ciał, chwycił ja nóż Rebanego i zabił wochrę tem nożem, żałując trochę, że kożuszek krwią się zapaskudzi, no ale nie można było zwlekać.

Umarł on szybko, ja zaś toporem upewnił się, że Rebane też już nie żyje, nie tracąc ani na chwilę z oczu Gabaidzego, co się czołgał z zapałem w stronę mosina drugiego strażnika. Wiedział ja, że będę szybciej. Podszedł ja doń, to znaczy do Gabaidzego, nie do orużja, kopnął ja go, rannego, tak że się na plecy przewalił, i w świetle ognia siadł mu ja na piersi, kolanami przyciskając ręce do ziemi, i zapytał, czy pamięta profesora entomologii, co go z Rebanem zgwałcili i zabili. Oraz mój sweter, czy pamięta, owszem, ukradziony dochodiadze, ale już mój.

Gabaidze wyrzucił z siebie długi potok matu, nie życząc mi bynajmniej wszystkiego najlepszego. Uniósł ja topór, aby go tak jak resztę zgładzić, lecz potem odezwał się we mnie straszny gołos i wolałbym, moja droga nieistniejąca czytelniczko, żeby to nie była prawda, co ci tu zaraz napiszę, ale zdaje mi się, że jednak była.

Straszny gołos powiedział mi, że Gabaidze nie powinien umrzeć tak łatwo i szybko, na taką dobrą śmierć Gabaidze nie zasłużył. Nie rozpłatał więc mu ja czaszki, ja wstał i nie spuszczając go z oczu, sięgnął po wintowkę pierwszego strażnika, zarepetował, wycelował w Gabaidzego i powiedział: ściągaj sweter!

Patrzył na mnie wilczymi oczyma, ale ściągnął, krzywiąc się z bólu, szkoda, że przestrzelony i zakrwawiony. Wiedział ja, że tylko czeka, kiedy zaatakować, ale ja mądrzejszy niż jakiś tam urka, przynajmniej w tem zakresie, któren w danej nam sytuacji był potrzebny.

Rozkazał mu się ja na brzuch na ziemię kłaść. Uczynił to, nie przestając mi i mojej matce złorzeczyć. Wtedy odłożył ja triochliniejkę, wziął ja topór i siadł mu na chudych plecach. Kazał ja ramiona rozkrzyżować. Rozkrzyżował. Ja przycisnął je kolanami. Nie bał się ja, bo Gabaidze nie był już taki chętny do walki, skoro mu kamraci urki już nie towarzyszyli, a do tego mniejszy ode mnie był o wiele. Podniósł ja topór. On wierzgał. To za profesora, ja powiedział i odrąbał mu ja prawą dłoń. Poszła za pierwszym razem. Zemdlał, ja zaś odrąbał mu drugą.

Za sweter.

Obie dłonie miał wytatuowane całe, w worowskie symbole, com się ich nigdy wszystkich rozpoznawać nie nauczył: na wierzchu lewej miał skrzywioną głowę diabła, co podobno miało znaczyć, że się z władzą nie lubi, a to wydawało mi się dosyć, jak by to powiedziała Sofie, redundantne. Takie słowa nawet pamiętam. Redundantne, skoro o worze mówim. No ale. Poniżej diabła miał też napis ruski „СЛОН", czyli elefant, co miało też jakieś znaczenie, ale go nie znam, i miał na palcu wskazującym niczym pierścień wytatuowany romb dwukolorowy, co oznaczał, to wiedział ja, że posiadacz tegoż odmawia pracy, i tak było, Gabaidze do pracy nie wychodził. Na prawej uśmiechnięty kot w kapeluszu. I jeszcze liczne kropki w rozmaitych konstelacjach i miejscach, które miały tam swoje znaczenia, wory czytali w nich jak w książce, na przykład sześć oznaczających sługę króla worów. No to niech sobie te jego dłonie poczytają, jak znajdą.

Wstał ja, z bagaży wochrów wyjął dwa rzemienie do wiązania koni i dwa widelce i zawiązał ja Gabaidzemu oba kikuty, mocno, skręcając rzemienie za pomocą widelców, tak mocno, aż krew przestała ciec, i potem jeszcze widelec skręcony mocując końcówką rzemienia.

Jeszcze trochę pożyjesz, skurwysynu. Niedługo, ale jeszcze trochę.

Miał ja w końcu dwa koniki jakuckie, błatnego Gruzina jeść ja nie będę.

Co jeszcze wtedy ja miał? Nie uważajcie mnie tu za materialistę, ale zaprawdę, powiadam wam, że w sendusze, późną jesienią, która zaraz za-

mieni się w ciemną zimę, to, co człowiek ma, i to, czego nie ma, decyduje o jego być albo nie być.

Miał ja więc dwa koniki jakuckie z rzędami, dwa kożuszki krótkie, do pół uda, dwie tiełogriejki, dwie pary ocieplanych spodni, dwie pary walonek solidnych, dwie uszanki, jedną marną, a drugą wspaniałą, z grubego psiego futra, dwie pary solidnych syberyjskich rękawic, również z psa, lub może z wilka, szytych futrem na zewnątrz. I jeszcze jedyną rzecz, jaka mi została po Sofie, koszulę, co przetrwała aresztowanie i wszystko po nim.

Czego ja nie miał, to nadziei na przyszłość, ale też chwili do stracenia. Rozebrał ja więc martwych i szybko stygnących na mrozie wochrów, nie czekając, aż zesztywnieją, bo wtedy rozbierać trudniej o wiele, zewlekł ja się z moich łachmanów, z rozpadającego się buszłatu, potarganych, kiedyś niby watowanych spodni i powiązanych sznurkiem butów, i odział się ja w solidną, wełnianą, przydziałową bieliznę wochrów, zakładając od razu po dwie sztuki kalesonów i koszul, i na to spodnie, przydziałową tiełogriejkę, onuce, walonki i wreszcie kożuszek, któren spiął ja w talii wojskowym pasem, i jeszcze wdział ja rękawice i uszankę – i ja gotów.

Po raz pierwszy od aresztowania ciepło ubrany. Tyle dobra od NKWD na moich skromnych plecach!

Do tego jeszcze miał ja narzędzia: dwa topory solidne, jakucki nóż, kciukiem ja sprawdził: ostry jak brzytwa, włosy na przedramieniu golił, do tego miał ja pilnik do ostrzenia topora, dwie łopatki wojskowe, piłę, kliny do rozsadzania drewna, gwoździe, obcęgi, młot, dwie płaszcz-pałatki wojskowe, z których da się sporządzić coś na kształt namiotu, koce, zapałki i nawet kilka starych numerów „Prawdy", dobrych, żeby rzyć wytrzeć i na podpałkę, czajnik i kociołek do gotowania na ogniu i nawet stelaż z trzech grubych drutów, na którem dało się nad ogniem kociołek powiesić, luksus wielki. I jeszcze lampę naftową i bańkę nafty. I jeszcze zegarek, naręczny ıГЧЗ z naszym wspaniałym przywódcą Józefem Wissarionowiczem Stalinem, wskazującym prawą ręką godzinę dziesiątą, któren, uznał ja, całkiem się przyda, mimo tego diabła na cyferblacie.

Co miał ja dalej, to zapasy: a więc owies dla koni, chociaż jakut sam się wyżywi, to jednak warto mieć co zdrożonemu nasypać, dalej dla ludzi niemało chleba, dwie butelki wódki Московская z zieloną etykietą, konserwy mięsne, sól, dalej ryby, a więc wędzony tajmień i surowy, zamarzły na ka-

mień czyr na stroganinę i jeszcze najlepsze w tem konserwy ze skondensowanym mlekiem. Mróz był lekki, jakieś minus dziesięć, ale i tak już były zamarznięte, więc jedną wsadził ja na jakiś czas w popiół z ogniska, żeby odtajała, ciepłą ja wyjął, bagnetem z mosina zrobił w denku dwie dziurki, i przyssał się, i wypił ja całą słodką maź, i dobry Jezu, nic w życiu mi nie smakowało tak, jak to ledwie podgrzane, słodkie, tłuste mleko. Dostał ja oczywiście od razu diarei, czyli po naszemu durśfalu, czyli laksyry, bo wypił ja za dużo naraz, ale było warto, nie pamiętał ja, kiedy ostatni raz tak ja sobie pojadł. Laksyra, wielka mi rzecz. Wysrał się ja i jadł dalej, aż już więcej się nie dało.

Co do jedzenia, to nie zamierzał ja dać się złapać szybko, więc co ważniejsze niż konserwy, miał ja też dwie triochliniejki mosina i dwie podwójne ładownice, w każdej po cztery łódki, co dawało mi czterdzieści patronów, plus dziesięć w mosinach, półsta razem.

Dwóch mosinów oczywiście ja nie potrzebował, ale i tak zamierzał zabrać ze sobą oba, na wszelki wypadek oraz żeby drugiego nie zostawiać złym ludziom. Tak dla zasady, a co.

Wiedział ja, rzecz jasna, że orużje nie ochroni mnie przed pościgiem. Wiedział ja, że kiedy pójdzie za mną grupa pościgowa, a pewnie pójdzie, to liczyć będzie kilkudziesięciu ludzi z psami, jeśli spadnie już dość śniegu, to na saniach, jeśli nie, to konno, z kulomiotami, mieć wtedy jeden mosin nie zmienia niczego, bo cóż, że jednego czy dwóch zabiorę ze sobą, przecież nie o to mi chodzi, żeby kogoś zabić, tylko żeby samemu żyć. Najlepiej to samemu sobie w łeb strzelić, z długiego mosina niełatwo, ale da się, jeśli brak ręki, to na spust trzeba nacisnąć palcem u nogi, albo – drugi sposób – sznurek na cynglu zawiązać, poprowadzić do bączka od pasa w kolbie i z powrotem, i już.

Nie dlatego jednak mnie orużje cieszyło tak, że ja je z ręki wypuścić nie chciał.

Możesz sobie teraz pomyśleć, moja droga nieistniejąca czytelniczko, że no tak, kolejny, mężczyźni i ich chłopięce zamiłowania, jak nie automobile, to strzelby, tylko by biegali i strzelali do wszystkiego, co się rusza, jak chłopcy z flowerami czający się na wrony. No jak tak sobie życzysz myśleć, moja droga, to myśl sobie, cóż z tem zrobię. Może i masz trochę racji, nieszczęsna, ale jest różnica między trochę racji a racją zasadniczą, wierz mi.

Jasne, że orużje ja lubiał, jak każdy, kto się przez rewolucję przewinął, bo od rewolweru albo pistoletu, czy dobry, czy celny, to często zależało, czy człowiek żywy, czy trup. A i zawsze lepiej było strzelać, niż być strzelanym, no to trudno, żeby się człowiek z narzędziem fachu własnego nie polubiał.

Ale wtedy, nad tymi czterema trupami i jednym kaleką świeżym, to nie o tem wcale ja myślał. A o czem? – zapytasz, moja czytelniczko droga, której przecie nie ma i której nie będzie nigdy. No już tłumaczę, już, nie wołnujsia.

Siedział z nami tam, w miejscu, którego nazwy nie chcę wspominać, jeden geograf polarnik, podobno był na „Czeluskinie", a wsadzili go, bo prowadził korespondencję w języku niemieckim, głupiec. Albo może za to, że SS „Czeluskin" zatonął. Kto to wie. Spał też na pryczy obok mnie. I kiedy gołodowalimy i z gołodu się spać nie dało, i grzalimy się przy stygnącym piecu, to geograf chętnie się rozmarzał i mówił: ach, tylko mieć wintowkę, psy, sanie... Jeśli mieć psy, sanie, wintowkę, patrony i jeśli celnie strzelać, to Arktyka nie da człowiekowi umrzeć z gołodu. Ileż tu dobra przecież! No bo renifer na przykład. Albo nerpa. Łachtak. A także mors. Z morsa na przykład skóra na rzemienie doskonała! Oraz niedźwiedź. Ileż dobra z niedźwiedzia. Futro! A mięso, jakie dobre, lepsze niż focze, nic rybą nie smakuje. A jak niedźwiedzia dostać? Nerpę zabić, oprawić, zostawić mięso na lodzie, niech krwawi, miszka przyjdzie niechybnie, trzeba mieć dobre miejsce, żeby nas nie podszedł, zaczaić się, poczekać i przyjdzie, i co, jedna kula na nerpę, dwie na niedźwiedzia i z małej nerpy ma się od razu kilkaset kilo mięsa, zamarznięte na saniach dla psów się wozi, niczym paliwo w bańkach do automobilu. Arktyka nie da człowiekowi umrzeć z gołodu. Albo białuchę dojść, ale do tego trzeba też mieć harpun i najlepiej łódkę, i liny z wielokrążkiem, żeby taką wyciągnąć potem na brzeg, no i trzeba strzelić taką, jak się przez wodę przewala, strzelić łatwo, trudniej dostać, więc trzeba wtedy przebić harpunem, doholować na plażę, oprawić, ale jak się już białuchę dostanie i oprawi, to jeden zaprzęg można na jej mięsie i sadle tygodniami żywić, a jak dobrze odżywione psy idą do przodu...! Nie syte, syty źle ciągnie, pies musi być gołodny, żeby dobrze ciągnął, więc cała sztuka, żeby był dobrze odżywiony, silny, ale nie syty, i wszystko to Arktyka da każdemu, kto ma pewne oko i pokorę, i cierpliwość, dzięki którem nie tylko

zwierza wyczeka, ale przede wszystkiem dzięki którem miał możliwość nauczyć się wszystkiego, co trzeba, zanim Arktyka go zabije. Bo głupim, niecierpliwym, pewnym siebie pyszałkom Arktyka żyć nie daje. Arktyka takich nie lubi. Zabija ich przy pierwszej okazji.

Tak gadał ten geograf, w pryczy, marząc o ochocie na polarnego zwierza, a potem, któregoś dnia, po prostu poszedł, minął wiechciami trawy oznaczoną strefę, poza którą wychodzić nam nie można było, wochra miał dobry humor, więc pierwszy strzał padł rzeczywiście ostrzegawczy, geograf to zignorował, może marzył o tych arktycznych ochotach, polowaniach, może już szedł jakimś śladem niewidzialnym zwierza, może już piekł jego mięso na ognisku, może myślał, że to jego towarzysz strzela, drugi zaś strzał powalił go, jak kula niedźwiedzia powala, jak rena, jak fokę na lodzie spoczywającą podrzuca w śmiertelnym spazmie – i tyle było geografa, jak wszystkich.

Miał ja więc dwie triochliniejki, obie się przydadzą, bo jedna może się zepsuć, wiadomo. Jakże do tych solidnych wojskowych wintowek tęsknił ja, kiedym o mięso dla przeżycia na lodzie musiał się starać z marną berdanką, zużytą jak kurwie sumienie albo honor polityka. Chociaż i tak z berdanką było mi łatwiej, bom już o łowiectwie coś wiedział, nie jak wtedy, gdym uciekł.

Wtedy o polowaniu nie miał ja pojęcia, wtedy nigdym wcześniej do zwierzęcia nie strzelał, tylko do ludzi, ale uznał ja, że wiele się to różnić nie będzie. Jak zwierza oprawić, też nie wiedział ja za dobrze, no ale przecież za bajtla zabijał ja króliki na zupę, kury albo masorzowi barana zbijać i oprawiać pomagał ja, no to czem to się może różnić od oprawienia renifera?

Gabaidze coś zamruczał, odzyskawszy przytomność, oparł się na łokciu, przewrócił na plecy, usiadł, po czem podniósł do oczu kikuty przedramion i chyba mu się nie spodobał ten widok, bo zaczął dziwnie wyć, niezbyt głośno, skowyczeć raczej, jak męczony pies, rozglądając się, aż odnalazł na mchu dłonie, com mu je odrąbał, i próbował, nie przestając wyć, chwycić je w niebroczące już krwią kikuty. Nie spodziewał ja się, aby mógł je z powodzeniem z powrotem przymocować, więc w tem przedsięwzięciu ja nie przeszkadzał, zamiast tego zaczął się ja pakować: zapasy jedzenia, topory, wszystko. Siodłałem jakuckie koniki, dziękując w duchu dawnym towarzy-

szom z Konarmii, którzy w czasie mojej służby uznali za stosowne tego dziwnego Niemca czy Polaka, matrosa od automobili, czyli mnie, nauczyć jednak na koniu jeździć. Paliak ty czy Niemiec, kto ciebie tam wie, ale automobil, pancerny czy nie, w końcu się popsuje, to jak wtedy towarzysz Konrad Wilgelmowicz za naszymi konikami nadążą? Tych długich nóg nie nastarczy, towarzyszu!

No i nauczyli, mimo mojej niechęci i oporu, no i dzięki temu zdołał ja oba koniki osiodłać, uzdy założyć i nawet wiedział ja, jak bagaż spakować w zgrabne juki. Co ja też uczynił chwacko.

Gabaidze ciągle próbował siłą woli zespolić swoje odrąbane dłonie z przedramionami, kiedy podniósł ja go z ziemi, powlókł do konia i zmusił, by na siodło wsiadł, nogi włożył mu ja w strzemiona i związał pod końskim brzuchem, jak z wartościowymi jeńcami robili towarzysze Kozacy z Konarmii. Sam też wsiadł ja następnie na drugiego konika, nie bez odrazy, bo konie, musisz wiedzieć, moja równie droga, co nieistniejąca czytelniczko, to stworzenia wielce podstępne, zdradliwe i niegodne zaufania, psy wstrętne. To znaczy konie, ale psy, gady, zaraza... Już te jakuckie najlepsze, spokojne, wytrzymałe, nieskore do galopu, stateczne niby starowier, co się w czoło, pępek i ramiona dwoma palcami stuka. Ale i tak konie.

Chwycił ja w ręce wodze mojego konika i długą wodzę, co to na niej prowadził konika, na którem siedział mój jeniec łajdak. Ruszylimy.

Dłonie zostały na ziemi. Uznał ja, że Gabaidze już ich nie będzie potrzebował. Mnie też potrzebne nie były. Więc zostały.

Ruszylimy. Gabaidze pokładał się w siodle, ale spać nie mógł. Nie miał ja ani karty, ani kompasu, ani doświadczenia w polarnej przyrodzie. Teraz toby już inaczej było. Teraz, po tylu latach, to już ja wiem, jak w sendusze żyć. Wtedy ja nic nie wiedział.

Nic nie wiedział, a jednak przeżył.

Ruszył ja najpierw na jug, nach Süd, co kilka wiorst tnąc druty telefoniczne, i tak jechał trzy dni. Potem, napotkawszy potok jeszcze niezamarzły, zboczył ja z drogi i pojechał potokiem, żeby psy zmylić, tak ja to sobie wtedy wyobrażał. Potokiem jeden dzień. I potem zaraz na siewier.

Jechał ja i obozował spokojnie. Gabaidze bezdłonny milczał głównie, czasem tylko znajdując w sobie siły, aby mi wymyślać słabym gołosem, opisu-

jąc szczegółowo, kto i co tam teraz właśnie z moją matką wyczynia, a co z córką, a co z żoną. Nie zważał ja na to, wiedział ja, że po prostu chce, żeby ja go zabił, czegom uczynić nie zamierzał. Czasem też krzyczał w gorączce, że jak go będę żarł, to on mi obiecuje, że mi w brzuchu wzrośnie, spęcznieje, odrodzi się i rozerwie mnie od środka.

Żreć go ja nie zamierzał. No dobre, dobre, nie wykluczał ja, że gdyby mnie już strasznie przypiliło… Ale najpierw jednak zamierzał ja zjeść konie. A jeszcze najpierw miał ja zapasy. No więc po co chudego Gruzina miałby ja jeść. Gruzin mnie jakoś chyba nie smakuje.

Dlaczegom go wiózł ze sobą, nie wiem. Po pierwsze, chciał ja, żeby cierpiał, za profesora entomologa, co mu na czole pietucha wytatuowali i zabili potem, i za mój sweter, i za mój strach przed niemi, worami, za te wszystkie miesiące strasznego strachu i upokorzenia.

Nie przywykł ja do upokorzenia, o nie. Nie do takiego. Bo wiadomo, na grubie i na okręcie dyscyplina, sztajger albo bootsmann też wrzeszczą, ale w tej hierarchii jakiś porządek. Nie żeby mi, staremu anarchiście – to zdaniem mojej słodkiej Sofie – taki porządek się podobał, co to, to nie. Nigdy nie pogodził się ja z tem, że ze służby komu można dumę czerpać. Że ma być jakiś honor, którego treścią wierność i posłuszeństwo. Nie ma takiego. W to nigdy ja nie uwierzę. Jeśli kto wykonuje czyjeś rozkazy, to nie ma dumy ani honoru, chociażby był marszałkiem albo grossadmirałem i wykonywał rozkazy li tylko samego cesarza.

Nie znaczy to, że tylko władca może być dumnym. Stosować się do praw i zasad współżycia nie znaczy przecież korzyć się przed kimś…

Ale, ale, znowu filozofujecie, drogi Konradzie Wilgelmowiczu. Nie filozofujcie. Energia życia niech przez was płynie, Konradzie Wilgelmowiczu, i tak dalej.

Krótko rzecz mówiąc zatem, wielka różnica między takiem upokorzeniem, jakie wynika z hierarchii, ujętej w jakieś oficjalne ramy, a takiem, jakie było moim udziałem w miejscu, którego nazwy, moja czytelniczko droga i nieistniejąca, wymieniał nie będę, upokorzeniem wynikającym z podległości absolutnej, opartej wyłącznie na przemocy. Nie na sile, bom przecież od niejednego wora był silniejszy, jeśli nie od wszystkich. I fizycznie, i moralnie, i też już dobrze nauczony zabijania. Ich siła wynikała z jedności, z poparcia, jakiego przeciwko pięćdziesiątkom ósemkom udzielały im

władze i władza ich nade mną była absolutna. Mogli ze mną zrobić wszystko, więcej chyba niż komendant, nie mówiąc już o zwykłym wochrze z mosinem. Wochra mógł mnie zastrzelić, ot, tylko zastrzelić.

Wor mógł mi zrobić wszystko i mi się to nie podobało nic a nic. I za to jechał teraz Gabaidze na koniu, dłonie pozostawiwszy za sobą. Com na niego patrzył, to serce mi się radowało, bo przypominało mi, że władza worów nade mną się zakończyła i to ja zwyciężył, nie oni. Oczywiście nigdy się stąd nie wydostanę, umrę tutaj, myślał ja wtedy, no ale wszyscy przecie umrzemy, Konrad Wilgelmowicz Widuch, innostraniec, też niewyjęty spod tego prawa i wory również nie, więc to właśnie mój obszar wolności, ile by nie trwał, nawet gdyby potrwać miał parę dni. A że mnie żywego nie wezmą, to wiedział ja od dawna.

No i udało się dłużej niż parę dni, ale to już nie moja zasługa, nie moja. Że się udało.

A co by pomyślała o mnie moja mała Wilena, gdyby widziała, jak tatuś, pleców przeklętego Gruzina dosiadłszy, toporem mu dłonie odrąbuje? Wtedy też ja o tem myślał.

A cóż by pomyślała, gdyby zobaczyła nieszczęsnego profesora entomologii i jego smutny koniec? Co by pomyślała moja Sofie, najsłodsze wspomnienie mojego ciała?

Co pomyśleliby Duży i Mały, gdyby wiedzieli, czego się dopuścił ten, którego tak tu hojnie ugościli? A moja mamulka?

Nieważne. Nie było ich tam. Ja był. Co ja zrobił, to ja zrobił. Dotarł ja aż tutaj. Może dotrę i dalej. Dużo się tu zmieniło, w tej tkwiącej na lodzie łódeczce, odkąd zaczął ja pisać, ale o tem później. Ja im obydwu wdzięczny, Dużemu i Małemu. Uratowali mi życie. Wiadomo, na trochę, ale to zawsze na trochę.

Dali mi też nadzieję. Kiedy zaczynał ja to pisać, jeszcze tej nadziei ja nie czuł, zaślepiony rezygnacją. A teraz jednak czuję. Złudną, owszem, ale czyż nadzieja nie na złudności właśnie polega? Bo przecież gdy pewność, to nie ma już nadziei.

Ukryta nadzieja, może to mną powodowało.

Piątego dnia mojej ucieczki Gabaidze ciągle żył. Jechalimy powoli przez zamarzniętą senduchę, przykrytą pierwszym, świeżym i cienkim śniegiem

jak doktor białym kitlem. Konie kopytem rozgrzebywały śnieg, skubały trawę, jadły. Gabaidze odmawiał za to jedzenia, mówił, że woli, żeby z niego skóra i kości zostały, że się na jego ciele nie najem. Nie zważał ja na to, pilnował ja tylko, żeby zawsze miał związane nogi, pod końskim brzuchem i na popasie. Dużo gadał, przeklinał mnie, śpiewał – kiedy miał ja tego dość, to ja go kneblował starymi szmatami i paskiem, wtedy wył przez sen.

Mróz wydawał się przyjemny, było sucho, nie chłodniej niż minus pięć. Chciało mi się żyć. Miał ja ciepłe ubrania, jedzenie, orużje, konia. Pościg jeszcze, jak się mi zdawało, nie ruszył. Wielki ten kraj, ogromny i swobodnie w nim oddycha czełowiek, a tak. Dużo ja myślał o dziewczynkach i o Sofie, dużo sobie je wyobrażał, jak w porządnym europejskim mieście idą sobie porządnie ubrane na spacer nadrzecznym bulwarem, dziewczynki jedzą lody, a Sofie idzie i myśli o mnie.

Szóstego dnia rano obudziło mnie stłumione kneblem wycie.

Gabaidze siedział przy dogasającym ognisku. Między kolanami związanych nóg ściskał patyk, któren, jak się ja potem przekonał, zaostrzył o własne, wystające znad knebla zęby. Końcówkę patyka przytrzymywał kikutami rąk, za pomocą zaś ostrego końca wydłubał sobie oczy i siedział tak teraz, wyjąc i jęcząc przez szmatę knebla, a po policzkach spływała mu krew.

Podszedł ja doń, przyklęknął, wyciągnął mu knebel z ust, zapytał, po co to uczynił, po cóż pozbawił się oczu. W miejscu, którego nazwy nie chcę wymawiać, samookaleczenia były popularne wśród worów, ale po to, aby wochrom dać oficjalny powód, by takiego wora do roboty nie puszczać, żeby sobie siedział w baraku jak panisko, kiedy pięćdziesiątki ósemki na jego wyrabotkę harują. Więc obcinali sobie palce, czasem nawet dłonie, połykali szkło lub gwoździe, znał ja jednego, któren kazał sobie wbić gwóźdź w głowę i przeżył, cięli sobie przedramiona albo nawet pozbawiali oka jednego, była w tem wszystkiem pogarda dla ciała, jakby chcieli pokazać, że do niczego im te ciała niepotrzebne, gnostycy pełni wiary w to, że ciała szatańskie więżą ich dusze, te iskry boskości, niczym obozowe druty. Ciała były dla nich niczym zona – dlatego może nie bali się śmierci, nie bali się grać w karty o gardło, bo czymże życie? Udręką tylko.

No więc po coś tu się wzroku pozbawił, głupi Gruzinie? Czy ja cię lepiej potraktuję, kiedy nie widzisz...?

Żeby twojej mordy plugawej więcej nie oglądać, wychrypiał w odpowiedzi. No i dobrze, odpowiedział ja, to już mordy mojej nie ujrzysz, i zaś w milczeniu, w duszy mojej ja uznał, że w istocie była to próba samobójstwa, nie samookaleczenia. A dlaczego, zamiast oczy sobie wydłubywać, nie spróbował zerwać opasek, które założył ja mu na przedramiona? Wykrwawiłby się wtedy po prostu i tyle.

A dlatego, że był głupi? Możliwe. A może chciał mi pokazać, że nie cały on w mojej władzy, że jeszcze o sobie decyduje i że gotów on na wszystko, ślepy, ale ze złodziejskim honorem.

Jaki by nie był, wsadził ja go na konia i ruszył ja dalej, byle w dół strumieni i rzek, ku oceanowi. Jeszcze płynęły, chociaż w każdej wolniejszej odnodze nocami ścinał je cienki, przejrzysty jak szkło lód.

Był ja w zasadzie wtedy pewien, że Gabaidze niedługo umrze, a wziął go ja ze sobą ze względu na profesora entomologa, a więc ze względu na cały świat. Ukarał ja go za jego podłe czyny, i to tak, jakby ja wszystkich niegodziwców tego świata pokarał. Więc niech żyje, ile może, chociażby jeszcze trochę – no i się wtedy mylił ja co do tego, ile jeszcze żyć będzie, ale nie pierwsza to ani nie ostatnia pomyłka w życiu Konrada Wilgelmowicza, oj nie.

Dni robiły się coraz krótsze. Wtedy jeszcze ja miał zegarek, ale i bez zegarka bym to wiedział, że dzień krótszy – rok z okładem na tych szerokościach geograficznych wystarczył, by człowiek się z czasem polarnym oswoił. Nie obchodził się ja tak dobrze z czasem niezmierzonym, jak obchodzę się dziś, żyjąc bez zegarka, jak się okazuje, już lat dziewięć, ale i już wtedy ja wiedział, kiedy dnia przybywa, nawet na wskazującego dziesiątą Stalina nie patrząc.

W łódeczce Małego i Dużego kilka zegarów, obaj mają na nadgarstkach piękne, szwajcarskie, a w kabinie na ścianie, między higrometrem i barometrem, zamontowany w przegubie Cardana wisi prawdziwy żeglarski chronometr w mosiężnej oprawie, z nazwą jachtu wygrawerowaną na obudowie elegancko. Przyglądam się wskazówce sekundowej z niesłabnącą fascynacją: a więc to tak, to w tem tempie czas upływa…

A wtedy w sendusze dni robiły się więc coraz krótsze, a ja, cóż, jechał ja dalej, kiedy można było strumieniem, aby nie zostawiać śladów, dość spokojny jednak o te, które zostawały, niedługo zacznie padać śnieg i skryje

wszystko, wszystko, każde odciśnięte kopyto, koński nawóz, ognisko i puszkę po konserwie zapomnianą. Było pusto, ani człeka, ani zwierza, raz tylko widział ja wilki, pamiętał ja je dobrze z wojny, z Ukrainy i potem z Azji, jak szły, węszyły, szukały, mądre, inteligentne, okrutne. Wahał ja się, czy nie strzelić jednego, na postrach, ale bał się ja huku, w pustce niósł się zdecydowanie dalej, niżby się chciało, nie strzelił ja więc, wilki szły za nami jakiś czas, potem zniknęły, a poza tem nic, ani rena na ziemi, ani ptaka w powietrzu, parę razy widział ja tylko kuropatkę senduszą, niepodobną do takiej naszej normalnej kuropatwy, bo białą z łebkiem czarnym, tak się pa ruski nazywała, a jak by to było po polsku, nie wiem, po niemiecku podobno Schneehuhn, czyli kura śnieżna.

Poza tem nic, ani żywej duszy, aż pewnego wczesnego wieczora, jadąc powoli wijącą się doliną roztokowej rzeki, rozdzielającej się na dziesiątki wijących się strumieni, i wyjeżdżając za wał naniesionej lodowcem moreny, spotkał ja Ljubow.

Spotkanie było zaskoczeniem i dla niej, i dla mnie, tylko Gabaidze zwisał w gorączce nieprzytomny nad końskim karkiem. Przywykł ja do pustki. Ubiegająca spod końskich kopyt biała kuropatka była wydarzeniem, o którem myślał ja godzinami. Bo poza tem – nic. Tylko cienka jeszcze warstwa śniegu, przebijająca się spodeń wątła trawa, i pustka, pustka, pustka, a tu nagle czełowiek.

Wyglądała jak bezkształtny tłumok szmat, waciaków i gałganów, jak każdy zek, nie od razu zorientował ja się, że ona kobieta, pierwsza myśl była tylko – zbieg. Siedziała przy ogniu niedużym, sporządzonym z szczap odrąbanych od naniesionych nurtem dopływu Indigirki kłód szarego dryftowego drewna, wyszlifowanego rzecznym prądem i żwirem, w którem jej topór pozostawił żółtopomarańczowe żywiczne ślady. W zakolu rzeki nurt wyrzucił tych kłód wiele – miejsce więc na obóz znakomite. Sam by ja takie wybrał nawet teraz, kiedy o życiu w sendusze wiem już niemało, o wiele więcej niż wtedy.

Na ogniu stał niewielki, żeliwny kociołek, obok niego zaś, na rożnie sporządzonym również z odłupanych od kłody długich szczap, piekła się ludzka noga.

Dalej leżało jeszcze więcej czełowieka: nagie kobiece ciało na brzuchu, pozbawione obydwu pośladków, i jednej z dolnych kończyn, zapewne tej,

która właśnie się piekła. Długie, ciemne włosy nieprzyzwoicie rozsypane na śniegu. Kilka metrów dalej śnieg czerwony od krwi.

Patrzylimy na siebie przez chwilę w milczeniu, a ja wiedział, co widzi: konie, juki, kożuszki, uszanki, lufę triochliniejki nad moim ramieniem. Musiała brać mnie za wochrę. Jej ręka powoli zaczęła wędrować w stronę topora, któren miała blisko, co było głupie. Ścisnął ja kolanami jakuckiego konika, puszczając rzemień, na którem prowadził ja drugiego jakuta, odwrócił ja się i ruszył kłusem, zrywając z ramienia orużje, bo nagle przestraszył się ja, że toporem we mnie rzuci, więc wintowkę ja zarepetował, podrzucił do ramienia, w duszy dziękując staremu Kubańcowi, któren w Konarmii z cierpliwością dobrotliwego dziadziusia uczył mnie, jak się z konia strzela. Dopiero teraz zatrzymał ja konia, mając ją na muszce. Dzięki ci, dobry starzyku Griszko, żeś tyle cierpliwości miał dla mnie wtedy, chociaż wszyscy się śmiali, że głupi Niemiec marynarz nie umie do porządku nawet w siodle usiąść, a co dopiero z orużjem się odwrócić.

Ljubow, której imienia ani płci jeszcze ja nie znał, powoli podniosła ręce do góry, zrzucając jednocześnie z głowy uszankę, ukazując mi niestarą, zniszczoną twarz więźniarki, włosy odrosłe na całej głowie jednej długości, czarne i grube, zbite w kołtuny i kłaki, oczy skośne lekko, azjatyckie. Baba. Tego ja się nie spodziewał, chociaż przecież kobiece zony też tu bywały.

Widzi wochrę, to się boi, że ubiję na miejscu, pomyślał ja.

Ty nie wochra, powiedziała wtedy Ljubow, której imienia jeszcze ja nie znał.

Od razu widać, że ty nie wochra, powtórzyła.

Milczał ja. Przez głowę przebiegła mi myśl – zastrzelić od razu, nie zwlekać, nie ryzykować, bo a może nie sama, może zaraz ich więcej przyjdzie, kim by nie byli, więc może zastrzelić i bieżeć, bieżeć...?

Ty nie strzelaj, mówi na to moje milczenie, ja tu sama, nikogo ze mną, ty tylko nie strzelaj, to ja ci coś dam, czegoś ty na pewno dawno, dawno na oczy nie widział. Nie strzelaj ty, to będziesz miał jebanie prawdziwe, z babą, soki z ciebie wyciągnę, a nie tak jak żeś z tymi tam pederasty u was, w dupę tylko, u mnie prawdziwa pizda, kiedyś ty, kochanku, ostatni raz pizdę widział, co? – powiedziała Ljubow. Męskie dupyś lizał przez ile lat?

A u mnie pizda ciasna jak u dziewczynki. No, chodź, z konia zsiądź, mołodiec, pojebiem się.

Pojebiem? – zdziwiłem się ja. Tak od razu? A nie że najpierw na spacer do parku? Jesienina cytować, za ręce się trzymać, w oczy patrzeć, listy pisać, o tem, że tęsknota, tylko od razu jebanie, jakże tak, co my, zwierzęta? Wintowki ja nie opuścił.

O, ty nie Ruski, zauważyła, ale nie wiem, czy z akcentu, czy z tego, że na jej propozycję ja nie przystał zgoła. Ręce trzymała w górze, ale nie przestawała gadać. Jesienina chcesz? Dam ja ci Jesienina. Proszę uniżenie i uprzejmie:

Теперь любовь моя не та.
Ах, знаю я, ты тужишь, тужишь
О том, что лунная метла
Стихов не расплескала лужи.

Tego się sam potem ja na pamięć nauczył, to sobie mogę zacytować. Ale może wtedy któryś inny wiersz zaczęła, nie pamiętam, jednak na pewno był to Jesienin, i recytowała pięknie, gołos miała głęboki, niski, i mimo pewnej chrapliwości wydawał się aksamitny.

Przerwał ja jej i tak.

Topór ty weź dwoma palcami, a odrzuć od siebie daleko, bladź! czełowieka żre, szliucha...!

Patrzyła na mnie spode łba, ale nie miała złych oczu.

Nie miała też dobrych, miała wilcze oczy, zwierzęce. W zwierzu nie ma dobra ni zła, tylko instynkt przetrwania, czysty gołod, czysta żądza, czysty strach, taka emocja, którą rzeczywistość na zwierzu wymusza, nie ma wartościowania, ocen moralnych ani dylematów.

Takie właśnie miała oczy. Czyste. Bała się, gniewała i – widział ja – szukała wyjścia z trudnej sytuacji. Była przekonana, że ją zabiję. Ujęła topór, jak ja kazał, w dwa palce, odrzuciła.

We mnie kipiały gniew i obrzydzenie. Jakbyś sam kilka dni wcześniej czełowiekowi dłoni obu nie odrąbał, Konradzie Wilgelmowiczu!

No może i odrąbał ja, ale co to za czełowiek był, ten Gabaidze… Poza tem ja nie zjadł go. Może dlatego, że u mnie byli konserwy i konie, ale może dlatego, że by się do jedzenia człeka ja nigdy nie posunął? No, skomplikowana rzecz, Konradzie Wilgelmowiczu, skomplikowana.

Gabaidze pokładał się teraz w siodle, konik, na którem siedział, bez powodzenia szukał pod śniegiem trawy na łasze rzecznego żwiru.

Zsiadł ja z konia, cały czas celując do Ljubow. Idź, ja rozkazał, odsuń się od ogniska na dwadzieścia kroków. I tak zrobiła, co ja polecił.

Jak cię zwą?

Ljubow. Jak w tem wierszu Jesienina, „Теперь любовь моя не та"…

Dlategoś się, franco, na pamięć nauczyła. Cofnij się jeszcze. Dobrze. Teraz na kolana.

Uklękła powoli, stękając trochę z bólu, jak staruszka, chociaż stara nie była. Nie potrafił ja określić jej wieku. Mogła mieć dwadzieścia lat, mogła czterdzieści, to zależy, jak długo siedziała w miejscu, którego nazwy nie chcę wymawiać. Na palcach u dłoni pierścienie tatuaży.

Podszedł ja do ciała, dotknął ja. Było chłodne już, prawie bez plam opadowych, świeże. Musiała umrzeć niedawno, nieopodal, tam gdzie śnieg jarzył się czerwono świeżą krwią.

Cofnął ja się. Zdjął znad ognia poczerniałą nogę, odłożył obok trupa.

Chodź tu, ja rozkazał, odwróć ją na plecy. Ljubow patrzyła na mnie długo i ani drgnęła.

No chodź!, ja ponaglił. Zapytała: a nie strzelisz? Nie strzelę.

Podeszła, odwróciła ciało na plecy. Kazał ja jej cofnąć się znowu tam, gdzie wcześniej była, i na kolana, zrobiła to. Szła tyłem, nie spuszczając mnie z oczu. Podszedł ja do ciała. Było brudne, białe, mołode, bez tatuaży. Na piersi rana po nożu. Nie musiał ja pytać, czy pięćdziesiątka ósemka, od razu widać. W przeciwieństwie do Ljubow. Ona na pewno nie.

Zabiłaś ją? – zapytał ja głupio. Nie, sama umarła, odparła Ljubow ze śmiechem. Ja ją tylko nożem przekłuła.

Oddaj nóż.

Wahała się, więc groźnie ja uniósł wintowkę do ramienia.

Jeszcze nie wiedziała, co o mnie myśleć, więc po chwili wyciągnęła z któregoś zakamarka łachmanów nóż, wyszlifowany chyba z kawałka automobilowego resora, na pewno obozowej produkcji, rzuciła.

Podszedł ja do koni, orużje wkładając pod pachę, i szybko ściągnął nieprzytomnego Gabaidzego, koni ja nie rozsiodłał, przywiązał jeno do jednej z naniesionych rzeką kłód. Pomyślał ja, że ziemia jeszcze z wierzchu miękka, jeszcze nieskuta w lód, więc z juk wyciągnął ja łopatkę, podszedł do Ljubow, rzucił jej łopatkę pod nogi.

Kop, ja rozkazał. Trzeba ją pochować.

Ja kopała nie będę, chybaś zdurniał. Po co? Grób jej wykopię, ty mnie zastrzelisz, obie w nim się położymy. No to po co się mam przed śmiercią męczyć? Ja w zonie ani dnia nie przepracowała. Patrz, co tu mam wykłute!

Sięgnęła do łachmanów na piersi, rozerwała je, ściągnęła. Między małymi, wątłymi piersiami miała tatuaż, na którem uśmiechnięta worowskim oskalem naga kobieta w jednej dłoni dzierżyła kieliszek, w drugiej zaś chuja, do którego nie był zamocowany żaden chłop, po prostu samego wielkiego chuja z jajcami. Nad tatuażem widniał napis, ale zbyt małymi literami, żeby ja mógł go odczytać. Ljubow zrobiła to za mnie.

Wiesz, co tu pisze? Umiesz czytać? Umiesz, pięćdziesiątki ósemki zawsze umią! Ale i ja umiem, przeczytam ci. Tu pisze, żem w życiu nic cięższego od chuja i kieliszka nie trzymała! W życiu nawet godziny ja nie przepracowała, bo trzeba swój honor mieć, to i teraz, przed śmiercią, kopała nie będę.

Kop, suka! – warknął ja.

Wyciągnęła do mnie dłoń, gestem jakby chciała kogoś zatrzymać. Wewnątrz dłoni wytatuowany napis: „Каждая пизда мне не указ!”.

Sam sobie kop.

Poza tem, szkoda zakopać, gołodna ja. Strzelaj, jak chcesz. Kopała ja nie będę i ty poszedł na chuj, a już.

Wiedział ja już, że groźbą jej nie przekonam. Wrócił ja do koni. Gabaidze jęczał w malignie. Wyciągnął ja z juk zamarzniętego na kość czyra, woreczek soli, blaszane talerz i kubek, i flaszkę z wódką, podszedł ja do ognia, usiadł na kłodzie. Zajrzał ja do kociołka, aby się upewnić, czy aby nie gotuje się w nim rosół z czełowieka, ale nie – czysty kipiatok. Polał ja więc

wrzątkiem tłustego czyra, odrobinę jeno, żeby skóra odchodziła, dalej ja tę skórę zdjął, elegancko, jednym ruchem, nauczył się ja tego dawno temu na Kamczatce, po czem między kolanami postawił ja na sztorc długą na prawie arszyn rybę i zaczął jakuckim nożem wochry, którego ja zabił, strugać stroganinę jak należy, na cieniutkie, prawie przejrzyste, zmarzłe, szerokie na dwa palce wstęgi, zwijające się pod ostrzem noża niczym wiór spod hebla. Każdą wstęgę delikatnie odkładał ja na talerz.

Ljubow oczy zalśniły, zapaliły się, ale nie ruszała się z miejsca, orużje w końcu miał ja obok. Sam ja poczuł, jak mi do ust napływa ślina. Nastrugawszy ryby, ja posypał ją solą, ale oszczędnie, odkorkował butelkę, pociągnął maleńki łyk, byle nie za dużo, bo wiedział ja, że pół szklanki wypiwszy, byłby ja pijany w sztok, od aresztowania nie miał ja alkoholu w ustach, schudł, zmizerniał.

Wódkę ja zagryzł kawałkiem stroganiny, pozwolił zamarzłemu rybiemu mięsu odtajeć w ustach, poczuł, jak rozlewa się tłustym rybnym smakiem. Nic tak czełowiekowi sił nie przywraca w sendusze jak tłusta surowa ryba, nic. Czyr najlepszy, z tem mięsem białym, co się na języku wprost rozpuszcza jak masło.

Przywołał ja Ljubow, wskazał jej, gdzie ma usiąść, żeby nie za blisko mnie, po czem przesunął ja w jej stronę talerz ze stroganiną. Dopiero kiedy ja powiedział „jedz", to jeść zaczęła. Napchała sobie usta, aż zaczęło ją mrozić od środka, widział ja, przełykała nerwowo. Do kubka nalał ja wódki na dwa palce, przesunął ja w jej stronę. Napij się.

Wypiła jednym haustem, oddała kubek. Zjedlimy, co ja nastrugał.

A teraz idź grób kopać, ja powiedział.

A nie strzelisz mnie?

Nie strzelę.

No a ja i tak nie będę kopała. I znowu pokazuje mi dłoń – a tam to po rusku wypisane, że żadna pizda nie będzie jej rozkazywać.

Nie wiedział ja, co z nią zrobić. Strzelać na razie nie zamierzał, skoro ja nie zastrzelił jej od razu. Tak mi się zdaje.

Tak wam się zdaje, Konradzie Wilgelmowiczu? Żeście nie zamierzali? Ile prawdy w tem, co tu piszecie, co, towarzyszu? Bywszyj towarzyszu, jak wszyscy przed tobą бывшие люди, były czełowieku, liszeńcze, ile prawdy

w tem, co tu sobie ołówkiem w notesiku skrobiesz, samotny, sam jak palec w łódeczce Dużego i Małego?

Może należałoby już mojej drogiej, a nieistniejącej czytelniczce wyjaśnić, jak to się stało, żem sam tu pozostał, na lodzie, ale w łodzi o pięknym imieniu „Invincible", s/y „Invincible"? Lód w końcu już puszcza, niedługo nie będę już schodził z pokładu, czekając, aż mnie czerwcowe słońce w końcu z lodu uwolni, odpadną podpierające kadłub stemple i s/y „Invincible" znowu popłynie, chociaż z nową już załogą...

I wróci do Nowego Chołodu. Nigdy nie powinien ja był go opuszczać, nigdy.

Ale, Konradzie Wilgelmowiczu, co się stało, to się stało. Przestańcie się nad sobą użalać, w końcu czasu nie cofniecie, coście uczynili, toście uczynili. Kto został w Nowym Chołodzie, ten został. A wyście, Konradzie Wilgelmowiczu, ruszyli przed siebie i teraz siedzicie, i skrobiecie w tem zeszycie, w przeczuciu nadchodzącego już przecież krokami wielkiemi końca.

Bo nawet kiedy lody puszczą, to co wtedy...?

Należałoby więc wytłumaczyć, co tu zaszło. Ale jakoś mi wstyd o tem pisać. Nie wiem czemu, piszę przecież o różnych okropieństwach tutaj, i tak nikt tego czytał nie będzie, a jednak – wstyd. Nie umiem się zabrać do tych wyjaśnień. Jakoś – wstyd.

Dość pisania na dziś. Już starczy.

26 CZERWCA 1946

Dwa dni ja nie pisał. Dziś środa. Dziś znowu piszę. Ciepło. Wczoraj zastrzelił ja niedźwiedzia, mołodego samca, gdy szedł zaciekawiony do mojej – już mojej – łódeczki. Specjalnie go wyczekał ja, żeby z daleka mięsa nie taszczyć, i strzelił ja go na komorę ze wspaniałego sztucera Małego, gdy się jeno bokiem odwrócił, był może dwadzieścia metrów od łódki, padł po pierwszym strzale.

Od razu ja pożałował, że go ja strzelił. Trzeba było się zamknąć w łódce i strzelać jeno w ostateczności, gdyby próbował wleźć. Na dworze tak ciepło, że mięso się popsuje szybko, a zapach krwi i truchła ściągnie tu inne niedźwiedzie i będę musiał do nich strzelać, marnować patrony.

Głupi, głupi Konrad Wilgelmowicz, głupi był, głupi pozostanie.

Ściągnął ja z niedźwiedzia skórę, chociaż nie wiem po co. Ściągnął ja, bo tak należy, zjadł ja świeżego mięsa z łap i leży tak sobie, krwawy zewłok na lodzie. Na pewno przyciągnie inne. Mają węch jak nic innego na świecie.

Ale mięsko smakowało, świeże. Niedźwiedź w ogóle smaczny. Lepszy niż foka. A ja zaczął znowu nabierać ciała na zapasach z łódki, prawie jak niedźwiedź na zimę, który to już raz, że chudy najpierw, jak w zonie, potem wzbieram, jak w Chołodzie, potem znowu skóra a kości.

Słońce grzeje na okrągło, światło białe odbija się od śniegu, oślepia, wyjął ja moje okulary, z Chołodu, z kła morsa, z cienkimi szparkami, przez które się patrzy. Na łódce zostały ciemne okulary Małego, ze skórzanymi z boku klapkami, jak dla konia, ale ja wolę te z Chołodu, z morsa, na rzemyku.

Lody puszczają. Temperatura: dziesięć stopni, upalnie. Jak okiem sięgnąć pak pęka. Niebezpiecznie. Jak w końcu puści ta, na której stoi „Invincible", i jak się uda jakoś gładko zejść do wody, uruchomić diesla, to mogą takie kry nas ścisnąć, nigdy nie odpłyniemy. Ale gdy pojawi się w pobliżu otwarta woda, to kawałek powinno mi udać się po lodzie „Invincible" przepchnąć. Kotwicę wyniosę gdzieś, wbiję w lód, do kotwicy linę, linę na kabestan, jak nie da rady tak, to wezmę talię, zblocze poczwórne i tak będę ciągnął, i powinna „Invincible" ruszyć. Lód mokry, miękki, może się udać łódki nie popsuć, pociągnąć jak sanie po śniegu.

Jak Duży z Małym wyciągnęli „Invincible" na ten lód? Dlaczego ich nie zapytałeś, Konradzie Wilgelmowiczu? Pewnie właśnie tak. Albo też wmarzli, poczekali, aż lody same w górę wycisną kadłub przystosowany do tego tak samo jak kadłub Nansenowskiego Frama, chociaż mniejszy. Ale mogę spróbować, kotwica w lód, dodatkowo zakotwiona wkręcanymi w lód głęboko śrubami, które na „Invincible" są, i dalejże wielokrążek, i powoli na kabestanie, podkładanie stemplami centymetr po centymetrze, najpierw długi, wysmukły dziób łódeczki i potem najtrudniej, balast.

Tak to musiało wyglądać. Albo inaczej. Nie wiem, ja nie zapytał. Ale przecie szalupy nam się zdarzało sztrandować, Marinekutter Klasse II, a ta „Invincible" niewiele od takiej szalupy cięższa...

Nie, jednak cięższa, bo zabudowa, kabina, motor, paliwo do motora, zapasy, Taklung, więc może lepiej poczekać, gotowym będąc do drogi, aż po

prostu lód puści i któregoś dnia „Invincible" sama zsunie się do wody? A jak trafię na połynię i się okaże, że pływać sobie mogę jak gówno w wielkim przeręblu...? Kończy się czerwiec, ile mam czasu, zanim lody wrócą...?

Na „Invincible" dobre karty, sekstant, wiem, gdzie ja na tej karcie, ale na tych kartach nie ma Nowego Chołodu. Jak tam dopłynę, skoro nie wiem dokładnie, gdzie płynąć? Z pokładu „Invincible" gdy patrzeć, to horyzont będę miał odległy o jakieś trzy mile, gdy wyciągnę się na maszt, to dalej, może na dziesięć mil, w Kaiserliche Marine na kursie podoficerskim nauczyli mnie wzoru, według którego liczy się odległość do horyzontu w zależności od wysokości, na której znajduje się obserwator, ale ja go zapomniał. Pewnie znalazłby go ja w żeglarskich książkach z biblioteczki „Invincible", chociaż są po francusku, ale nie chce mi się szukać. No więc, skoro nie wiem dokładnie, gdzie Nowy Chołod, jak zaczęlimy mówić na Śēweras, bo nie ma go na kartach w stoliku nawigacyjnym, to mogę go minąć o dziesięć mil i nie zauważyć...

No, chyba że zdążę, zanim odlecą ptaki... Ale czy zdążę?

Wiele takich sobie pytań zadaję.

Na przykład: dlaczegoście z Radkiem przyjechali do tej zatraconej strany, Ojczyzny Światowego Proletariatu, anus mundi, więzienia narodów, Konradzie Wilgelmowiczu? Po co wam była ta rewolucja, po co? Czemuście byli takim idiotą, Konradzie Wilgelmowiczu, życie zmarnowane w tej dziczy, a co, macie go więcej niż jedno, macie więcej życia? Żeście to cisnęli na zmarnowanie jak gazetę usmoloną do haźla.

Nie można to było zostać w Niemczech, iść do roboty normalnej, babę normalną sobie znaleźć, nie rewolucjonistkę, dzieci narobić, starzeć się z godnością?

No, ale Mały opowiadał, że wojna była. Że miasta z powietrza zbombardowane, nasze bojce w Berlinie, Berlin zrównany z ziemią, no nie do uwierzenia wcześniej, że Berlin zrównany z ziemią, rzeczy takie, jakich na Wielkiej Wojnie nie widziano. Jakąś bombę specjalną Amerykanie zrzucili w Japonii, podobno jedna taka całe miasto ściera z powierzchni ziemi, jak moja matka okruszki ścierką ze stołu do zopaski ścierali, żeby kurom dać. Więc co by ze mną było, jakby ja w Niemczech został, w hitlerowskiej Kriegsmarine przyszłoby mi służyć?

No pewnie byłoby trzeba, ale czy to gorsze byłoby niż to, com ja tu przeżył, w miejscu, którego nazwy nie chcę wymieniać na tych kartkach?

Ech, bzdury piszecie, Konradzie Wilgelmowiczu, bzdury.

I skończylibyście już tak o sobie w trzeciej osobie i z otczestwem pisać, bo jeszcze wasza nieszczęsna czytelniczka gotowa pomyśleć, że się wam w głowie zupełnie pomieszało od tej samotności i niewygód, co?

Może jednak pisałby ja o sobie normalnie. Moje miano je Konrad Widuch, takech ôd dziecka godoł. Konrad Widuch. A tutaj przez te dwadzieścia prawie lat to czełowiek tak obruszczył się, że już z otczestwem do siebie mówi.

A może nieistniejąca moja czytelniczka miałaby rację, może mi się zupełnie w głowie pomieszało?

Piszę to na papierze, czy mówię do siebie?

Gadanie takie. Pisanie. Cóż mi innego pozostało, póki lody nie puszczą? A ciepło, ciepło. Na powierzchni paku z lodu robi się taka breja, że się czełowiek zapada po kolana. „Invincible" też już się trochę w lodzie zaczyna zapadać, przechylać, ale stemple jeszcze trzymają. Może jednak się jej nie uda pociągnąć.

Tu musiał ja pisanie przerwać, bom przez bulaj ujrzał samicę z dwoma mołodymi, jak zbliżają się do truchła niedźwiedziego. Wziął ja więc sztucer i wyszedł ja z kabiny do kokpitu i czekam, co zrobią – no i co miały zrobić, na mnie nawet nie spojrzały, i tak ot żreć zaczęły, nie zważając, że to może i ich tatuś. No i żrą. Nie strzelam ich. Zeżrą tatusia, to sobie pójdą, kanibale.

Co mi przypomina o tem, com pisał trzy dni temu, że kanibale, no że Ljubow, prawda? Znowuście urwali wątek, Konradzie Wilgelmowiczu! Pała! Proszę pisać od nowa!

Znowu mówicie do siebie w trzeciej osobie i z otczestwem, Konradzie Wilgelmowiczu.

To znaczy piszecie. Ech.

Tak że à propos kanibali, to wracając do Ljubow, bom o tem spotkaniu historię urwał w połowie, wracając więc do Ljubow, najedzonej już nie czełowiekiem, ale stroganiną, i nawet wódką napojonej. Nie wiedział ja, co dalej mam z nią zrobić. Nie chciał ja zabijać jej, chociaż przecież zarżnie

mnie, jak zasnę jeno, a sama co, błatna, cała w tatuażach, pewnie w niczym nie lepsza od takiego Gabaidzego.

Gabaidze tymczasem, oślepły i bezręki, odzyskał przytomność. Przyprowadził ja go do ognia, on usiadł, ja mu dał jeść, on zjadł, wypił.

Czemuś człowieka ubiła, suka? – zapytał ja i od razu zdał ja sobie sprawę z głupoty tego pytania. Głupiście, Konradzie Wilgelmowiczu, głupi, i znowu piszecie albo mówicie do siebie w drugiej osobie. No ale zapytał ja.

Nie miałam co innego jeść. Wiedziała, po co ze mną idzie.

Zapytał ja, kim była. I Ljubow wyjaśniła. Ja – maknasza. Wiesz ty, co to maknasza? No to tak jak wor w zakonie, jeno baba. A ona, no, kuroczka moja. Ładna była. Lubiła ja ją. Nadieżda miała na imię, no i widzisz, jak ładnie, Ljubow i Nadieżda. Ładnie. Dupkę miała kształtną, pizdę słodką, zdrową, jak to moskwianka, podobno żona jakiegoś profesora kontrrewolucjonisty, co mu też dychę dali. Wybrała ja ją sobie, innym jej bić nie dawała, podobała mi się. Na zamianę nie była oddawana, żadna jej nie mogła tknąć, tylko moja była. Szybko się nauczyła pizdę lizać, najpierw nie chciała, płakała, że mąż, potem, że grzech, to ja zbiła ją porządnie i powiedziała, że ją wochra sprzeda do męskiej zony i skreśli jako trupa, bo też jak ją cały barak worów obróci w obie dziury i w gębę, to do rana nie dożyje. Zęby jej wybiją, żeby po chujach nie gryzła. To będzie miała grzech wtedy. Taki jej ten grzech.

Albo to i Bóg istnieje, poza wszystkiem? Tu, w sendusze, na pewno go nie ma. A mąż, co mąż. Jak przeżyje, to sobie jeszcze jego chuja posmakuje, ale jak profesor, to marne szanse, żeby przeżył. A nawet jak przeżyje, to po łagrze i tak mu już stawał nie będzie, już ja to dobrze wiem. Widziała ja takich, co po dysze wychodzili, półtrupy i jebać to mogli co najwyżej palcem, bo zamiast chuja flak bezużyteczny. I zbiła ja ją jeszcze raz. Wiesz, jak się babę bije? Spódnicę się podnosi, zawiązuje nad głową i można po dupie lać. Ty chłop taki, a wyglądasz, jakbyś nie wiedział. No więc ja zlała ją porządnie, aż tyłek miała siny, no i się przestała stawiać, i potem się jej ze mną chyba spodobało nawet. I że grzech nie mówiła już, może ten jej Pan Bóg zdanie zmienił. I dobrze się lizać pizdę nauczyła, jak trzeba wszystko. A jak jęczała! Cały barak zazdrościł. Dobrze się ja opiekowała nią. No a jak ja ubieżała z zony, to ona mówi: weź mnie ze sobą. A ja jej na to, że jedzenia na dwie braknie i że jak ją wezmę, to będę ją musiała zabić i zjeść po-

tem. Nie wierzyła chyba, a ja prawdę mówiła. I prosi: weź mnie, ja tu bez ciebie jednej nocy nie przeżyję, i to też prawda, wszystkie były na nią cięte, że taka ładna, a ja jej nikomu nie pożyczam. Jedna taka starsza mówiła: no, Ljubow, daj posmakować tej twojej kobyłki, bo drugiej z tak białą skórą, z dupką pulchną to tu nie znajdziesz, to tak nie po chrześcijańsku, my tu jak w obszczinie żyjem, a ty się z nią cackasz, jakbyś była lepsza od nas. Powinna ja była oddać, a nie oddała. Tamtej starej, co tak gadała, w nocy gardło przerżnęła, wochry jej nie lubiły, to ja wiedziała, że nic mi się za to nie stanie, ja siedziała jej na piersi, jak marła, i ona widziała, że to ja, cały barak widział i nikt już mojej kobyłki uszczknąć nie próbował.

No i ta prosi mnie, weź mnie ze sobą, weź.

No to mówię jeszcze raz, podobasz ty mi się, pizda twoja słodka jak cukierki od babuni z Tambowa, z taką jak ty to ja bym nawet na wolności poszła, ale, mówię, jedzenia nie mam. A ona na to, że mnie miłuje i że jak chcę, to mogę ją zabić i zjeść, ona umrze dla mnie, bylebym ja żyła. W głowie się jej pomieszało, no nie ma co ukrywać. No i jak przyszedł już czas, to żal mi było, bo ja ją polubiła, ale co robić, wiedziała, na co się pisze.

Ljubow mówiła cicho, spokojnie, południowym rosyjskim i kiedy przestała mówić, to przez chwilę nie wiedział ja, co mogę odpowiedzieć.

Człowieka nie można jeść, czy człowiek to świnia, żeby go ze sobą prowadzić na zjedzenie, powiedział ja wtedy chyba.

A ty tego tu to co, niby nie jako cielaka prowadzisz, żeby go zjeść, jak ci się zapasy skończą? Ręceś mu urżnął, oczy wydłubał, chociaż ty nie wor, a on owszem tak, błatny. Więc widzę, że ty mocny mużyk, chociaż pięćdziesiątka ósemka i nie ruski człowiek. I ja ciebie obawiam się.

Sam sobie oczy wydłubał, mówię, a na to Gabaidze nagle odzywa się, żeby mi nie wierzyła, mużykowi, że podstępem gom rzekomo najpierw dłoni pozbawił, gad, a potem oślepił, a ja mu na to, o, ty sam gad, tak breszysz, że ci trzeba będzie jeszcze język urżnąć, byś nie breszył. Gabaidze na to w śmiech, że sam sobie język odgryzie, jak mu się zechce.

Ljubow uśmiecha się i tak siedzimy, Gabaidze, Ljubow, ja, Konrad Widuch, i trup Nadieżdy.

Miłość żyje, nadzieja umarła.

Trzeba ją pochować, mówię, i nie wiem, dlaczego tak mi na tem zależało, nie pomnę już, dawno to było, dawno. Może dlatego, że tak trzeba.

No to jak chcesz, to jej kop grób, bo ja kopała nie będę.

Idziesz ze mną, powiedział ja. Ten niech tu siedzi.

Wziął ja łopatę i poszlimy kawałek dalej, gdzie w sendusze płytki grób będzie się dało wykopać. Wintowkę na plecy i kopię, ale ciężko się kopało, ziemia już stwardła, pod warstwą traw same kamienie.

Trupa przynieś, mówię.

Całego? – pyta Ljubow. Tę nóżkę może by zostawić...?

Całego.

A dasz jeść jeszcze?

Dał ja wcześniej, to dam i później.

Grób wykopał ja niezbyt głęboki, na arszyn może, Ljubow przyciągnęła ciało, ja przykrył je ziemią i kamieniami. Toporem i klinami od szarej kłody odłupał ja długą szczapę, piłą pociął na krótsze, powiązał sznurkiem i gotowe – krzyż, prawosławny, ośmiokończysty, z dolną belką jednym końcem wskazującą, że dobry łotr do nieba się udał, a drugą, że zły do piekła, chociaż po mojemu to obaj tak samo skończyli na krzyżach. Taki jednak ja poczynił, zapytawszy uprzednio Ljubow, czy ta tu to Ruska, a Ljubow powiedziała, że Ruska, owszem. No to i ja zrobił krzyż. Jakoś bez krzyża grób nie grób, a tylko trup zakopany.

Po prawdzie należało jej głowę obciąć i w nogach ułożyć, aby z grobu nie wyszła, powiedziała Ljubow. Taka dusza może za krzywdę jej wyrządzoną żal mieć i potem człowieka nachodzi taki upir. Aż się ja zaśmiał, ale spojrzał ja na nią i nie, nie żartowała.

Zdecydował ja, że staniemy obozem tam, gdzie ja Ljubow spotkał: była woda, był opał, z płaszcz-pałatek sklecił ja namiot. Gabaidze siedział w milczeniu. Ljubow grzała się przy ogniu, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Dzień skończył się szybko. Jutro będzie jeszcze krótszy. Niedługo zapadnie polarna noc i zamiast znośnej jesieni przyjdzie zima, i wtedy umrzemy, tak wtedy ja myślał. I wszystko na to wskazywało, bo jak miałby ja niby przetrwać zimę? Zapasy zabrane martwym wochrom niedługo się skończą.

Na razie jednak miał ja co jeść, z dwóch kłód przygotował ja nocne ognisko, nodię, czego nauczył mnie na wyrębie pewien stary Sybirak, ochotnik z okolic Irkucka, którego wsadzili, jak twierdził, za to, że miał zawsze głupi wyraz twarzy.

Ochotnik? Tak się po polsku chyba nie pisze. Ochotnik to po polsku der Freiwilliger, prawda? Nie pamiętam, jak się mówi po polsku na kogoś, kto poluje. Po niemiecku der Jäger. Polownik? Polowacz? Niech już tam będzie ochotnik więc.

Dobry był to czełowiek, pobożny starowier, mówił po rosyjsku tak dziwnie, że mało co ja rozumiał, potem mnie objaśniono, że to z ksiąg religijnych stary język i dlatego tak. W ogóle mu nie przeszkadzało, że ja stary bolszewik. Każdy czełowiek myli się, mówił, każdy grzeszy, a tu każdy za swoje grzechy pokutuje i winnimy naszym prześladowcom wdzięczność, iże dzięki ich okrucieństwom prędzej dostąpim spasienia. Byle się czełowiek jeno nawrócić chciał. Nawet taki stary bolszewik jak ja. I zapytywał mnie, czy u mnie ojciec duchowny? A ja mu na to, że u mnie nawet normalnego ojca nie ma, bo ten, co mnie spłodził, to szaławiła, ulotnił się był i tyle go widziano, ale nie winię go ja, bo i mać moja to kawał kurwy była, niech tam spoczywa w pokoju. A na to on, że tak mówić nielzia, bo przecie matka a ojciec to świętość, nawet kiedy niedoskonali. I mówi, że patrz ty, mnie tutaj jak wielkiego Awwakuma ogolili i męczą mnie tak, jak jego nikonowski heretyk dał męczyć dwa i pół sta temu lat i u mnie taka wiara płonie, rozumiesz ty? Awwakumowi Bóg otworzył jezioro, kiedy on pragnienie miał, i mnie tak samo: kiedy mnie już tak pić się chce, że czuję, żebym umrzeć mógł, to wtedy i woda znajduje się. I ja piję. Ty rozumiesz to? Wszystko, co mi potrzeba, daje mi Pan Jezus mój kochany. Potrzebował ja pokuty za grzechy moje, tak i Jezus mi pokutę dał i ja nie ku diabłu, ale ku niebu zmierzam, pokutując. A przy życiu trzyma mnie Pan Jezus, żeby ja za grzechy me odpokutować zdążył, no i jaka to łaska? Najszczęśliwszy z ludzi ja. Ja niczym nie zasłużył na to, a Pan Jezus kochany i tak mi daje odpokutować za grzechy moje. Tak i ty się nawróć. Ty bolszewik, a to złe, prawie tak i złe jak nikońska herezja, ale od wszystkiego złego odwrócić można się. Ty odwróć się, ochrzcij się, bo ten rzymski wasz chrzest to nic niewart, ja wiary nauczę ciebie, tak żegnać się, patrz: kciuk, mały palec i serdeczny łączą się, jak Trójca złączona, ty rozumiesz? Środkowy zginasz i dwoma znak

krzyża czynisz, do głowy, do pępka, do prawego ramienia i do lewego. Nawet bolszewik stary się nauczy.

Jak to dziś brzmi niewiarygodnie, ja – stary bolszewik. Jakby przeszłość zniknęła zupełnie, jakby nigdy nie istniała, być jej nie mogło, bo jakże miała być taka przeszłość, w której ja, Konrad Wilgelmowicz, co w Chołodzie żył, na Siewier pływał, kholuty widział, myślę o sobie: ja stary bolszewik. To w ogóle niemożliwe, żeby taka przeszłość kiedykolwiek – a jeśli kiedykolwiek, to już na zawsze, na wieki – istniała.

A jednak to ona mnie tu doprowadziła, na łódź Dużego i Małego: z naszego buntu matrosów w Kiel do Berlina z Volksmarinedivision, z Volksmarinedivision z Radkiem do bolszewickiej Rosyi i do Konarmii, z Konarmii do mojej Sofie, z Sofie do Murmańska, z Murmańska na Sybir, na wyrąb, z wyrębu w senduchę, z ucieczki aż do spotkania z Ljubow, i potem dalej, aż tu, do tej otoczonej drewnianym kadłubem oazy cywilizowanego życia, z książkami, światłem, radiem nawet, ze wspomnieniami o wojnie, z gazetami z czasów, w których jakby nie było mnie na tej ziemi, jakby ja był gdzieś indziej, tam gdzie słychać gołos Boga.

Tamten ochotnik starowier, co nauczył mnie, jak robić nodię, również jakby już nie istniał, chociaż w Chołodzie ludzie byli doń jakoś odlegle podobni. Jeśli w ogóle do kogoś byli podobni, to do takich jak on. Nodię robili tak samo – no ale stroganinę też robili tak samo, a to nie dlatego, aby ich ktoś tego nauczył, i nie żegnali się ani o grzechu nic nie mówili. No tak. Tak, tak, moja droga nieistniejąca czytelniczko, wszystko to nad miarę skomplikowane, zwłaszcza dla takiej głowy jak moja, bystrej przecież, pojętnej, ale nieuczonej.

A może dla takiej właśnie łatwiej, kto to wie. Na pewno nie ja, Konrad Widuch. Ja tego na przykład nie wiem.

Gadanie.

Ale wracając do Ljubow i ówczesnego obozowiska na tajdze, gdzie rzeka wyrzuciła tyle drewna. Nałupał ja tam smolnych szczapek, kłody wypłaszczył ja toporem, tak jak mnie starowier ochotnik uczył, żeby można było jedną na drugą położyć, szczapki rozłożył ja równo na dolnej, dosypał ja żaru z ogniska, rozpalił, przykrył drugą kłodą. Będzie się palić całą noc, żarzyć raczej powoli, prawie bez płomienia, nic nie trzeba będzie dokładać,

położę się obok, z płaszcz-pałatek namiot zrobię i nocleg jak się patrzy, prawie jakby ja na zapiecku drzemał.

Tak właśnie wtedy było. Wydawało mi się, że są to ostatnie dni mojego życia, bo cóż mogło tam na mnie czekać, gdzież ujść mi dane? Do Czukczów? Zabiliby od razu, obrabowali albo, w najlepszym razie, odstawili wochrom z powrotem do zony, a tam, no już wiadomo, co tam z uciekinierami robiono.

Ja się tem nie martwił. Pracował ja toporem, rozpalał ogień, ja szczęśliwy – może i śmierć mi pisana i już widać koniec, ale przecież nigdy nie spodziewał się ja żyć wiecznie, a tu przynajmniej żyć będę może i tak krótko, ale to na własnych, wolnych zasadach. Tak jak Sofie mówiła – z ciebie to żaden bolszewik, Konradzie Wilgelmowiczu, ty anarchist, co się przypadkiem, z lenistwa intelektualnego, bolszewikiem ostał. Miała rację: taka przestrzeń wolności, którą ja tu znalazł, jawiła mi się wystarczającą, a jakże. Moja prywatna strefa autonomiczna, jak u Machny, tam moja wolność, gdzie sięga moje spojrzenie, najlepiej przez celik mosina. Jeśli mam umrzeć z gołodu, to nie umrę, życie sobie odbiorę. Jeśli dojdzie mnie jakimś cudem pościg, będę walczył, ostatni patron dla mnie, żywcem mnie nie wezmą. Uważał ja więc, że ja czełowiek wolny – i czyż wolny właśnie nie był ja?

Gabaidze bredził coś po gruzińsku, nie rozumiał ja ani słowa, dziwny to język, nie dla ludzi. Ljubow przyglądała mi się bacznie, kiedy ja rozpalał nodię. Powiedział ja, że na noc zwiążę jej ręce i nogi, bo jej ufać nielzia. Nie protestowała. Ja związał ją, położył ją po drugiej stronie nodii, przykrył kożuchem i sam położył się ja spać.

Długo nie umiał ja zasnąć, tak mi się zdaje, patrzył ja w czarne bezgwiezdne niebo i błogo rozmyślał: ile to dni jeszcze mi pozostało? Ile dni jeszcze słońce będzie wschodzić? Nie umiał ja tego ocenić. Czy to jeszcze dwa tygodnie, miesiąc? I co potem w ciemnościach mi czynić przyjdzie? W półnamiocie z wojskowych płaszcz-pałatek nikt polarnej zimy nie przetrwa. No więc przyjdzie się żegnać ze światem, ale cóż tam, tak swobodnie nie oddychał ja od lat. Bo przecież nie od czasu aresztowania. Więc jednak błogie to były myśli. Bo kiedy bramy więzienia, jakim stała się dla mnie i dla Sofie Rosyja, się domknęły, to przecież wiedzielimy oboje, że żyjemy w tym więzieniu. Mielimy naszą maleńką autonomię, samych siebie, naszą

dwójkę ukrytą pod piernatami w naszym murmańskim mieszkaniu, nasze ciała, słowa, myśli niedzielone z nikim, ale tę naszą autonomię zalewały potoki strachu: o siebie nawzajem, o dzieci, o przyszłość, zalewały i wzbierały, aż w końcu w 1937 zatopiły wszystko. Kiedy Sofie uciekła, wraz z rozpaczliwą tęsknotą przyszła ulga: a więc kiedy po mnie przyjdą, to ona będzie już bezpieczna. Bał się ja już jeno bólu, bo ja go wiele w życiu widział, na obu moich wojnach, i wiem, jak ból smakuje, słyszał ja polskich oficerów, jak wyli, kiedy ich nasze czerwone kozactwo a chłopstwo, na drzewie podwiesiwszy, umęczyć postanowiło, widział ja, jak umiera matros, paląc się żywcem, bo się kajzerowi zamarzyło mieć potężniejszą marynarkę wojenną niż brytyjska, wiedział ja, co mnie czeka, więc bał się ja, ale był to inny strach, niżby ja się o nią bał i o dziewczynki.

A teraz, myślał ja wtedy, zasypiając przy rozpalonej w sendusze nodii, nie boję się niczego. Śmierci się nie boję, myślał ja, patrząc to w niebo, to w czerwone węgle żywicznej, modrzewiowej nodii, bólu się nie boję, bo jeśli nawet przyjdzie, to go sobie skrócę, w łeb strzelając. Zasypiam błogo. Nic mnie nie interesuje ta dwójka worów, to znaczy wor oślepiony i maknasza związana, są, to są, ani mi oni bliźni, ani wrogowie już, nic, są, to są.

Obudził mnie ciężar na piersi, trudno było mi oddychać. Otworzył ja oczy i poczuł ostrze noża na szyi. Nie było to przyjemne. Nie lubił ja czuć ostrza noża na szyi. Jakoś nigdy. Mnie ostrze noża na mojej szyi nie podoba się.

Nóż był mój, jakucki, trzymała go zaś Ljubow. Czyli teraz jakby trochę już był też jej. Również to Ljubow siedziała mi na piersi, ale może tego nie muszę już pisać, może to oczywiste? No nie wiadomo. Na wszelki wypadek wolę napisać.

A więc to Ljubow siedziała mi na piersi i trzymała nóż jakucki mój przy mojej tętnicy, nóż, dodam, ostry jak radziecka sprawiedliwość, bo ja go ostrzył starannie, gładząc na kamieniu.

No i widzisz, mój miły, powiedziała Ljubow, nawet baby dobrze związać nie umiesz. Mogła ja cię zabić pięć razy. Ale tego ja nie zrobiła. Ty mocny chłop, widzę to. Łatwiej przeżyć we dwoje, bo ten tielonok, co go trzymasz, żeby go zjeść, to nie liczy się. I teraz będziesz musiał już ufać Ljubow. Mogła ja cię zabić, ale nie zabiła. Tak jak ty: tyś też mógł mnie zabić, ale ty nie zabił. Myślał o tem, ja widziała to.

Potwierdził ja. Bo ja i myślał o tem, owszem.

Ja też myślała. Że może jednak zabić. Pociągnąć nożem, odskoczyć, poczekać, aż się skrwawisz jak świnia. Ale ja nie zabiła. Widzisz? Teraz oddam ci nóż.

Oddała, odłożyła obok, na cienkie posłanie, na którem ja spał.

Nie chcę twojego noża. Oddaj mi mój. Sama ja go zrobiła. Lubię go.

W jukach on, ja powiedział.

Dobrze, potem wezmę, odparła.

Zaufasz mi? – pytała dalej, siedząc mi na piersi. Zaufasz Ljubow, złodziejce z Tambowa, maknaszy prawdziwej, honorowej, co zakonu przestrzega, chociaż jak widać nie zawsze, bo tu się z mużykiem dogadaje jak ze swoim. Ale ja widzę, że ty mocny mużyk. To zaufasz Ljubow teraz, prawda?

Zaufam, powiedział ja.

Ale tak naprawdę. Bo ja już oddała nóż. Ja mała, chuda, ty większy, już by ty mógł mnie z siebie zrzucić. Nie zrzucasz ty.

Bo ciepło. Jeno z piersi zleź, oddechu nie ma jak chwycić.

Zsunęła się niżej, na moje biodra. Ściągnęła przez głowę łachmany, jakieś strzępy buszłatu, tiełogriejki, wełnianej koszuli, wszystko brudne. Ona sama pod spodem też brudna. Między piersiami tatuaż kobiety z kieliszkiem i chujem, ten już widział ja, na obojczykach gwiazdy, na palcach tuszem wykłute piszczele, na brzuchu kot szeroko uśmiechnięty. W wątłym świetle ledwie tlącej się – tak należy – nodii nie było jednak widać brudu, było za to widać, że kobieta.

Nie była ładna, z tymi dwa miesiące temu ogolonymi maszynką włosami, twarzą wyniszczoną najpierw pewnie alkoholem, potem gołodem, z wątłymi piersiami, którem gołodowa dieta odebrała pełność, no ale co, ja też nie Don Juan, po tem co przeszedł ja, też brudny, zawszony. Co trochę ja poleżał przy nodii, to od razu poczuł, że wszy, rozgrzane, zaczęły się żwawiej na mnie ruszać.

No co, i co się gapi głupio, to nie wiesz ty co zrobić? Taki z ciebie chłop? – zapytała nieprzyjemnym tonem.

Ostatni raz z kobietą był ja z Sofie, ostatniej nocy przed jej ucieczką. Od kiedy ją poznał ja, czyli od 1920 roku, nie był ja z żadną inną. Nie było powodu, skoro u mnie Sofie była.

Ljubow odwróciła się, sięgnęła do mojego krocza.

Nie staje ci? Babyś ile nie widział, ja tu goła, choć mróz, goła, gotowa, a tobie nie stoi? Widać, że ty nie Ruski. Ruski mużyk toby mnie już tu dawno cztery razy wyłomotał, zanim by o trupa spytał.

A potem zabił, dodał ja. No i rację masz, potem zabił. Możliwe. Tak to u nas w Rosyi. Strasznie – ale i pięknie. Taka strana ogromnaja, to i ludzie straszni i piękni, i ogromni w duszach. Taki profesor albo inna pięćdziesiątka ósemka to nie, taki inteligent to zabija jeno, jak ma na to papier i pieczątkę, w bezpiece taki to wyśle i cały naród na zmarnowanie, zagołodzi, jak Chachłów w trzydziestym czwartym, u nas też było strasznie wtedy przez nich, więc papier podpisze, ale żeby babę wyłomotać, bo może, bo mu się chce, to nie. Tak to jeno mużyk prosty. Kozak albo chłop, za jedno, taki to jak może ukraść, to ukradnie, jak babę gwałtem wziąć, to weźmie, nawet nie zapyta, czyby po dobroci nie dała, bo po co, jak zabić nada, to zabije, pójdzie dalej i powiem ci, że ja i takich wolę niż tych inteligentów, co sami by się bali pobrudzić, ale proszę, powstanie tambowskie we krwi utopić, tak jak mojego tatkę rozstrzelali, zagołodzić pół narodu, to czemu nie, to jakieś Żydki uczone albo i Ruscy, ale uczeni, tacy to jeno papier podpiszą.

Mówiąc, nie przestawała gładzić mojego krocza, przez tkaninę spodni. Ściągnął ja ją z siebie delikatnie, gdy poczuł ja, że moje ciało zaczyna na tę jej pieszczotę reagować, a nie działo się z nim to, od kiedy mnie aresztowali.

Zostaw.

Przyjrzała mi się badawczo.

Co, ty pietuch? Nie wyglądasz.

Albo to trzeba wyglądać?

Nie, ty nie pietuch. Ty myślisz, że na ciebie jakaś tam czeka w domu i dla niej chcesz swojego chuja w czystości zachować, co? No, Nadia też tak chciała, ale widzisz, przeszło jej szybko. Pokaż, co tam masz, zobaczymy,

czy w ogóle jest o czem mówić, bo to i rzadko tak bywa, że chłop jak dąb, a w spodniach, wiesz…

Wykonała obraźliwy gest małym palcem.

Zostaw, bladź, powiedział ja, starając się przekleństwem pomóc słabnącej woli.

Odpinała już guziki mojego rozporka, mruknęła z zadowolenia, gdy w końcu spośród warstw bryczesów i kalesonów wytargała moje przyrodzenie, po czem przylgnęła ustami tam, gdzie… – moja równie nieistniejąca, co urocza i, mam nadzieję, że teraz mimo nieistnienia swego zapłoniona nieco i zgorszona, nieszczęsna czytelniczka sama już dobrze wie gdzie. No i tak już poszło potem, nie trwało to długo, ale trwało, wiedział ja, że to i nie zaszkodzi, że to nic, że i tak nigdy nie zobaczę już Sofie.

Dość była hałaśliwa, kiedy na mnie skakała. Gabaidze się obudził, przysłuchiwał się przez chwilę, po czem zaczął wykrzykiwać: O, jebią się! Jebią, jebią, jebią się! Jebią, chłop z babą się jebią, jebią się! Pan Bóg i święty Eliasz, i Bogurodzica patrzą na nich z nieba, a oni jebią się, o! Jebią!

Ljubow nagle zerwała się ze mnie, naga wyskoczyła w mróz, w dwóch skokach dopadła Gabaidzego, usłyszał ja jeno głuche uderzenie i Gabaidze zamilkł, Ljubow wróciła zaś do przerwanej czynności.

Potem spalimy razem, wtuleni w siebie, ona bliżej nodii, ja dalej, od strony namiotu.

Tak mi się wydaje, teraz, ponad siedem lat później, gdy piszę te słowa w moim kajeciku, na łodzi Dużego i Małego, powoli zapadającej się w topniejący lód. Ale ja nie pewien. Może jednak nie spółkowalimy wtedy, może dała spokój po tem, jak ją pierwszy raz z siebie ściągnął ja, a resztę już dopisała moja pamięć, która przecie nie odtwarza przeszłości, lecz ją tworzy.

Dziś zdaje mi się, że tak to właśnie wtedy było, że pomyślał ja o Sofie, że nigdy jej już nie zobaczę, ale może wtedy ja wierzył, że jakoś mi się uda, jakoś uda mi się uciec?

Ech, Widuchu, Widuchu usmolony, na co wy tak durś yno piszecie sam o tem, w co żeście wierzyli? Jak sie wōm już mowy mieszajom, jak już sami nie wiecie, co je po jakiymu…?

No tak właśnie, tak właśnie. Sam nie wiem, co je po jakiymu.

Spała wtedy ze mną ta Ljubow, bladź, czy nie spała? No więc może to było tak, że jak zrobiła tem małem palcem, że u mnie niby taki mały chuj, to może wtedy kazał jej ja wynosić się? Że raus, paszła, suka, bo ubiju? I poszła wtedy po drugiej stronie nodii położyć się. I co, ja zasnął, tak po prostu, nie martwiąc się już, że przyjdzie mnie w nocy zabić, skoro raz nie zabiła, gdy mogła? A nie martwiłbyś się, Konradku Widuchu, że obrażona odmową właśnie przyjdzie obrazę krwią zmazać, nie martwiłbyś?

Więc może ty ją tam jednak wyobracał, albo raczej ona ciebie, stary knurze, co?

Nie pamiętam. Wybacz mi, moja nieistniejąca czytelniczko, może tom jeno, aby sobie dodać męskich przewag, napisał, a może nie, nie wiadomo.

Jak by nie było, spalimy razem czy nie, to rano dalej żył ja, Ljubow żyła i nawet Gabaidze żył. Uznał ja, że chociaż miejsce obozowe dobre, to trzeba nam jechać dalej. Ljubow, spał ja z nią czy nie, zaczęła dopytywać, a niby czemu to trzeba, musiał ja więc wytłumaczyć: że jak ostaniemy dłużej, to nas znajdą wochry, trzeba nam być w ruchu. Że zimy tu nie przetrwamy, że trzeba być bliżej morza, tam łacniej można polować, mnie tłumaczył pewien polarnik z „Czeluskina", więc teraz ja jej tłumaczę, że Arktyka człowieka wyżywi, byle mieć wintowkę i celne oko, a jedno i drugie posiadam w liczbie dwóch, nie licząc pewnego zapasu amunicji, ale musimy dojść bliżej morza, tam będą foki, niedźwiedzie, wszystko to można zabić i zjeść.

Nie, żeby ja od razu w to wierzył, ale przecież trzeba mieć cel jakiś, czyż nie?

Zaraz będzie ciemno, mówi wtedy Ljubow. Będzie ciemno, długo ciemno. U nas schronienia nie ma. Zamarzniemy.

Tu też zamarzniemy. Drewno się skończy. A jak będziemy bliżej morza, to znajdziemy więcej drewna, co lasy rzekom oddały, można będzie jakiś szałas pobudować, w szałasie ogień, a może, gdyby my starą beczkę znaleźli, to i piec się poczyni, i będziemy żyć.

No, mużyk z ciebie niczego sobie, mocny, ale też głupi niemożliwie, powiedziała Ljubow i chybam nie zaprzeczał, bo to i prawda. Może dlatego ty worów przemógł, bo oni, sprytni, kombinowali, jakby grali w szachy, nie jeden szag do przodu, ale i pięć, a ty, buch, nie w szachy, jeno jak raz do czy-

nu. Aleś powiedział, że u ciebie dwie wintowki? Daj mi jedną i pokaż, jak strzelać.

Orużja ci do ręki nie dam, boś maknasza, boś błatna.

Gadasz jak wochry. Oni też – dobremu czełowiekowi nigdy ani konia, ani orużja nie dadzą, chociażby miał sam iść w tajgę albo senduchę, chociażby wilki, bo z koniem i orużjem, widać, ucieknie. Ja od ciebie uciekać nie chcę. Ty mnie wintowkę daj. Dwoje zbrojnych to nie dwa razy więcej niż jeden, dwoje zbrojnych to i dziesięć razy więcej. A ja ciebie nie ubiju. Tyś mnie nie, ja ciebie nie. Więc ty mnie daj wintowkę i pokaż, jak strzelać.

Ja zgodził się, bo miała rację.

Gabaidze wył: babie wintowku daje, a mnie oślepił, ośleeepił, ośleeepił. Ljubow kopnęła go w twarz, gdy ja wyciągał z juków drugą triochliniejkę.

Jego trzeba ubić, powiedziała.

O nie, on będzie żył, ile się go przy życiu utrzymać uda, bo to jego kara za to, co on robił tam.

Tam?

Tam.

To urżnijmy mu jajca i chuja za karę, co tak ślepy, a z chujem, chodzić będzie.

Nie, bo się wykrwawi.

Toś dłonie mu odrąbał i nie wykrwawił się.

Ale tam nie ma jak opaski założyć, krew uciecze – zgadywał ja, bo nie chciał ja go już bardziej męczyć, poza tem ucinaniem chwostów jakoś się ja brzydził, chociaż jako my na Ukrainie z Polakami się bili, to był to u kamratów moich sport lubiany.

To pokaż ty, jak strzelać.

Pokazał ja. Tu się wciska z łódki patrony, tak się zamek domyka, a tak celuje. Strzel na próbę.

Strzeliła, mosin kopnął ją w ramię, wstrząsnął jej chudym ciałem, zachwiała się, ale ustała. Huk wystrzału poniósł się daleko po sendusze pod sinym, niskim niebem. Padał drobny, lekki śnieg. Postawił ja puszkę po konserwie na kamieniu, na dwadzieścia kroków. Przeładuj, zamkiem do góry, do tyłu i z powrotem, to jeno z całej siły trzeba. Przeładowała. W put-

nię traf. Trafiła, kula jęknęła, gwizdnęła, rykoszetując, poleciała gdzieś. I starczy, nie będziem patronów marnować.

Dał ja jej dwie łódki, dziesięć ładunków.

A jak będziem jechać, jak konie jeno dwa? On przecie piechotą nie pójdzie, ślepy. Ubić go trzeba. Śmierdzi.

A tak, ubijcie, ubijcie, gady, wora w zakonie, ubijcie, jęczał Gabaidze, plując z ust krwią.

Śmierdział straszliwie, bo wypróżniał się w watowane spodnie, bez dłoni nie mógł inaczej, a ja go obsługiwać nie zamierzał. Pewien ja był, że niedługo wda się zakażenie, gorączka i umrze, ale ja przyspieszać tego nie chciał.

Pojedziesz z nim, powiedział ja. Ty lekka, koń uniesie.

Nie pojadę z nim, on usmolony cały, śmierdzi chociaż mróz.

Chcesz piechotą iść? Nie nadążysz.

To daj mi go umyć, przebrać. U ciebie więcej ubrań?

Tak.

To daj. Bo tak zgnije żywcem.

Niech gnije.

Jak go ubić nie dasz, to daj się zająć. Obmyć.

No i ja dał.

Na ogniu w moim kociołku zagrzała wody, po czem pochyliła się nad Gabaidzem, położyła go na ziemi przy drugim ognisku, Gabaidze coś bulgotał po gruzińsku, brzmiało to jak modlitwa, ale może recytował przepis na chaczapuri albo przeklinał nasze matki, bez różnicy, nie da się przecież nic zrozumieć, taki to język, że nawet sami Gruzini podobno nie rozumieją, co mówią. Uciszyła go jednym słowem wyszeptanem, co mnie zdumiało, bo czymże można zagrozić czełowiekowi, któren stracił wszystko?

Może zresztą wcale mu nie groziła. Rozebrała go delikatnie, jakby nagle mu matkowała, obnażyła jego wytatuowany brzuch, krocze i nogi i myła go z delikatnością i starannością, jakiej się ja po niej z nieznanego mi dziś powodu nie spodziewał. Gabaidze poddawał się jej dłoniom jak dziecko. Umyła go z przodu, cały parował na mrozie, gdy go ciepłą wodą obmywała, gdy zaś myła mu chwost, to ten zesztywniał, a Gabaidze zaczął jęczeć. Ljubow uśmiechnęła się, chlasnęła go ręką po rosnącym chwoście, Gabaidze

znowu zajęczał, Ljubow zaś przewróciła go na brzuch i umyła z drugiej strony.

Sztany jakieś dla niego dasz?

Ja dał i sztany.

Zasmolone łachmany wrzuciła do ognia, ubrała Gabaidzego, po czem przyjrzała się jego kikutom.

Gnić mu ręce zaczynają.

Niech zgniją, gadowi, wzruszył ja ramionami.

Ja rozumiem cię, że ty chcesz, żeby on cierpiał, a jakże. Ale to trzeba wiedzieć, gdzie zatrzymać się, mówiła. Daj topór, rozgrzać go w ogniu trzeba, kikuty przypalić, żeby nie gniło. Swoje cierpienie już ma. A skoroś go jeszcze nie ubił, to chcesz, żeby żył.

Ja zgodził się, Ljubow włożyła swój stary topór w żar, rozpaliła go, dmuchając, po czem, gdy ostrze nabrało wiśniowo-pomarańczowego blasku, przypaliła nim kikuty Gabaidzego, jeden po drugim, przyciskając jego kalekie przedramiona kolanem do kamienia.

I tak topór zmarnowała ty, powiedział ja, ale nie zwróciła na to uwagi. Gabaidze leżał nieprzytomny.

Pamiętam wyraźnie, com wtedy myślał: śmierć blisko, przyjdzie niespodziewanie, zamarznę, będzie błogo i dobrze, będę myślał o Sofie, Wilence i Ninel, aż przyjdzie ciemność i mnie ogarnie.

A potem ruszylimy dalej, w zbliżającą się szybko polarną noc i zimę. Choćby jeno...

27 CZERWCA 1946

Wczoraj zasnął ja z ołówkiem w dłoni i spał ja tak długo, na siedząco, z głową na stoliku nawigacyjnym, obudziło mnie dopiero skrzypienie drewnianego kadłuba „Invincible". Lód topnieje. Dzisiaj czwartek.

Spojrzał ja na wczorajsze zapiski – nie pamiętam myśli, którą ja rozpoczął. Co „choćby jeno..."? Nie wiem.

Siadam do pisania dziś w zupełnie innym nastroju. Mocno wieje, ciepły wiatr, piątka. Lód trzeszczy. Temperatura dwanaście stopni. Dwieście metrów od „Invincible" otworzyła się połynia tak wielka, że nie widać jej dru-

giego brzegu. Być może go nie ma, być może to już morze otwarte. Rozważam, czy nie próbować położyć łodzi delikatnie na burcie, sama się już mocno przechyliła, ale poczekam, ryzyko uszkodzenia poszycia zbyt duże. Jeśli łódź uszkodzę – to po mnie. A nie chcę, aby to był koniec mojej drogi, tutaj, w miejscu, które niczym więcej niż punktem na karcie.

Trudno je nawet nazwać miejscem, bo, jak się okazało po tem, jak użył ja sekstantu i tablic, razem z lodem przesunął ja się w ciągu ostatniego tygodnia o siedem mil na Nordost. To dobrze, właśnie na Nordost popłynę, kiedy jeno lody puszczą.

Niedźwiedzica z małymi zniknęła, zewłok niedźwiedzia, którego ja zabił, też.

Właśnie przed chwilą w połyni przez lornetkę widział ja białuchy. Jeśli są białuchy, to znaczy, że to już chyba nie połynia, to musi być otwarte morze. Przecież pod lodem nie przepłyną.

Już niedługo popłynę.

Tymczasem może powinien ja mojej drogiej nieistniejącej czytelniczce opowiedzieć tutaj, jak to się stało, że na „Invincible" został ja sam.

Bo może moja droga nieistniejąca czytelniczka podejrzewa mnie, bydlaka, co dłonie Gabaidzemu obciął, o co najgorszego.

Było to więc tak. Siedział ja z niemi już dwa tygodnie. Kończył się kwiecień, było mroźno i słonecznie, bez okularów można było oślepnąć szybko, tak świeciło. Mały powiedział, że pójdziemy zapolować na foki, cały dzień trzeba iść, na jug, ku granicy lodu. Weźmiemy moje sanie, żeby potem fokę wspólnie zaciągnąć do łodzi.

Więc poszlimy. Mały wziął swój sztucer, ja więc swojej prawie gładkolufowej berdanki nie brał. Foki znaleźlimy drugiego dnia, białą nocą obozując uprzednio we wspaniałym francuskim namiocie brezentowym z wyposażenia „Invincible", Mały miał też puchowy śpiwór, ja zadowolił się kocami, albowiem nawykły ja do chłodu.

Mały strzelił dwie nerpy, nieduże, załadowalimy je na sanie obok zapasów i sztucera i dalejże wracać, a wiedzieć musisz, nieistniejąca czytelniczko moja, że zamarznięte polarne morze w kwietniu w niczym nie przypomina gładkiego lodu na sadzawce za twoim domem, po którem dzieci twoje suną na łyżwach.

Lód na morzu bywa nie do przebycia, jeśli wiatr pak ścisnął, połamał, kry powyłaziły na siebie, pospiętrzały się, w lód wmarzają góry lodowe oderwane od schodzących do morza lodowców, gdy taką znaleźć, to ma się od razu świetne źródło słodkiej wody. Lód z wody morskiej po stopieniu też daje wodę pijalną, byle nie mołody. W mołodym lodzie są pęcherzyki ze skoncentrowanym roztworem solanki i jak stopić, to woda niepijalna. Ale stary, roczny lód z wody morskiej po stopieniu daje wodę o słoności ledwie wyczuwalnej, można pić na zdrowie. Lecz taka z góry lodowej smaczniejsza.

Ale, ale, Widuchu-najduchu, znowu te dygresje. Opowiadaj, jak żeście wracali z Małym z łowów!

No więc idziemy po lodzie, foki zostawiają za nami krwawy ślad, kluczymy między spiętrzeniami kry, ja ciągnę sanie, Mały pcha, biedzimy się z tem, bo co chwila trzeba sanie wpychać na lodowe zapory albo je omijać, Mały klnie, po francusku i w tem języku, którego nie rozpoznaję, i nagle słyszę głuche, ciężkie plaśnięcie za sobą, Mały wrzeszczy, odwracam się i wrzask Małego milknie, bo na jego twarzy zamykają się szczęki niedźwiedzia, któren następnie szarpie Małego i ciało Małego, jak sądzę już chyba martwe, leci, jakby ktoś szmacianą lalką rzucił, niedźwiedź odwraca się do mnie, czy raczej do fok, to wielki, gruby samiec, ja sięgam po sztucer do sań, podnoszę, ale pasek zaczepia się o płozę, szarpię, żeby go wyswobodzić, czuję smród niedźwiedzia, ten łapą ściąga z sań jedną z fok, mnie w końcu udaje się wyswobodzić pasek sztucera z płozy, nie mam pojęcia, czy w magazynku są patrony, zakładam, że tak, przeładowuję, podnoszę do ramienia, niedźwiedź idzie w moją stronę, na sztucerze luneta, niedźwiedź zbyt blisko, żeby przez lunetę dobrze wycelować, strzelam, gdy on metr ode mnie, trafiam w pierś, niedźwiedź podrywa się na tylne łapy, ja strzelam po raz drugi, trafiam, niedźwiedź przewraca się na bok, drgają mu nogi, strzelam raz jeszcze, w głowę, otwieram zamek, sprawdzam, został mi jeden patron. Czekam, niedźwiedź przestaje drgać, czekam jeszcze chwilę z palcem na spuście. Martwy. Ile ja ich wcześniej zabił? Wiele. Dwadzieścia trzy chyba.

Odwracam się, podchodzę do Małego. Leży na plecach, czaszka zgnieciona, twarz zniekształcona, jakby kto celuloidową głowę lalki zgniótł, złamana szyja, głowa pod nienaturalnym kątem do ciała ułożona, niby na wpół oderwana, umarł natychmiast.

Niedźwiedź musiał poczuć foki i zaczaić się na nas za złogiem kry spiętrzonej, może nawet czarny nos łapami przykrył, żeby go widać nie było. Tak one robią, gdy polują na foki, a że ludzi prawie nie znają, to i się nie boją i polują na ludzi tak, jak żaden inny drapieżnik na świecie nie poluje. Niedźwiedź syty, gruby raczej się człowiekiem nie zainteresuje, bo nie ma na człowieku prawie nic tego, co niedźwiedź ceni sobie najwyżej, to znaczy sadła, no ale widać tamto bydle było innego zdania. Słusznie może założyło, że my by mu fok po dobroci nie oddali, Mały po prostu stanął mu na drodze...

Położył ja ciało Małego na saniach i zaciągnął na „Invincible", zostawiwszy martwego niedźwiedzia i foki. Pomyślał ja, że trzeba będzie po niego wrócić. Jedzenie to przecież jest, jakże to tak dar Boży zmarnować?

Duży był na zewnątrz, w kożuchu, zobaczył mnie z daleka, przyglądał się chwilę, potem sięgnął po lornetkę, a potem już biegł co sił, dopadł do sań, głupio próbował ja go powstrzymać, odsunął mnie sobie z drogi z taką siłą, że poleciał ja w śnieg na plecy, wiedział ja, że człowiek tego rozmiaru musi być silny, ale to było, jakby ja się z rozjuszonym bykiem zderzył, odepchnął mnie z taką łatwością, z jaką niedźwiedź rzucił Małym, jak szmacianką, po czem dopadł ciała Małego i zaczął wyć, dziwnie wysokim gołosem, jak dziecko.

Ja wstał, odsunął się na kilka kroków, by uszanować tę miłość w takim czasie strasznym, ale sztucer ze śniegu ja podniósł.

Ja się bał, że kiedy skończy wyć, to wstanie znad trupa i mnie zabije.

29 CZERWCA 1946

Znowu ja dzień nie pisał. „Invincible" przechyliła się na burtę. Trudno pisać na pochyłym stole, ale piszę.

Wczoraj, przywiązany liną do łodzi, na wypadek, gdyby ja wpadł do wody, chodził ja dookoła i próbował znaleźć miejsce, w którem dałoby się wbić kotwicę, zamocować lodowymi śrubami. Ja nie znalazł, na powierzchni lodu breja, zapadał się ja po kolana.

Dziś sobota.

Niedługo popłyniemy, „Invincible" i ja. W końcu ja marynarz. Nic nie trzeba mi w tem celu robić. Po prostu lód puści, „Invincible" zsunie się do

wody i popłyniemy.

Tymczasem ja uznał, moja kochana nieistniejąca czytelniczko, że skoro wiesz już, co się stało z Małym, to należałoby wrócić do mojej podróży z Ljubow i Gabaidzem, która w końcu doprowadziła mnie do Chołodu.

Ale opowiadać należy po kolei, więc nie zapędzajcie się na razie zbyt daleko, Konradzie Wilgelmowiczu, powoli.

I znowu to otczestwo. Jak to człowiek zbudowany, że tak łatwo nawyknie do nowej ojczyzny, co okazała się finalnie niezbyt mu przychylną. Jak łatwo zapomni obyczaje domu rodzinnego. Czybym jeszcze potrafił pō naszymu co pedzieć, do szynku we Pilchowitz zajść tak, coby mie zaroski niy przegnali, patrzcie go, gorol! Niby nasz synek, a godo jak gorol.

Albo mnie tam kto jeszcze w Pilchowitz pamięta po tych wszystkich latach. Na „Invincible" mam atlas polityczny świata, nowy, z 1945 roku. Po francusku, więc nic nie zrozumiem z tego, co napisane, ale kartę przeczytać potrafię. Es gibt kein Deutschland! Wystawcie to sobie! Nie ma Niemiec. Są strefy jakieś, brytyjska, amerykańska na południu, mniejsza francuska i nasza, sowiecka, to znaczy już nie nasza, bo ze mnie już nie towarzysz. Polska za to aż po Odrę, ale zdaje się, z tego, co mi się udało od Małego wyciągnąć, to już jest taka że bardziej nasza ta Polska. To znaczy nie nasza, bo ja już nie Sowiet, ale sowiecka. No i moje Pilchowitz są w tej właśnie Polsce, razem z całym Śląskiem, łącznie z Breslau. Czyli to w Polsce się tak raczej po niemiecku dużo również mówi, jak rozumiem. Kto by pomyślał, jakich to czasów się dożyje. Nie ma Niemiec, za to Polska aż po Odrę, aż po Stettin. No pół Polski po niemiecku mówi, kto by pomyślał.

Mały pokazywał mi w gazecie zdjęcia, że Niemcy też mieli łagry takie jak u nas, ludzie wychudzeni jak zeki, ale ja niewiele z tego rozumiał, poza tem, że tam, no, Żydów zabijali i podobno w piecach palili. U nas w piecach nikt trupów nie pali, po co. U nas trupy do wody zrzuca się, niech do morza płyną. Ale może to i mądrzej trupami palić. Może cieplej tak? No ale zostawmy to.

Bo i ciekawe, czyby mnie kto tam w moich polskich teraz Pilchowitz pamiętał po tych wszystkich latach. Do matki listy przestał ja pisać w 1918. Jeszcze w Berlinie poprosił ja towarzyszkę jedną, miłą wtedy sercu memu i ciału, żeby list napisała, że ja zginął. Nie chciał ja wracać, już nigdy. Chciał ja dla nich umrzeć razem z całym światem, któren umarł, a którego śmierć

wywołało, niechże tutaj przypomnę, nic innego jeno nasza marynarska rewolta. My ten świat zabili. A ja, cóż ja tam miał z mojem dawnem Heimat wspólnego, jakżem zeń wyjechał za mołodu, ile lat wtedy ja miał...? Pisał ja o tem już, a teraz nie pamiętam, jak to było, jak ja był stary, kiedy mnie Parteigenossen wyekspediowali do Ruhrgebiet, no ale niedużo. I potem całe życie już z daleka. Ojca cholera jaka wzięła, do mamulki jeszcze czasem coś ja pisał, bo na okręcie za dużo czasu było, dni podobne jeden do drugiego, więc człowiek chociażby starej matce list napisał, chociaż jej na oczy nie widział, od kiedy się z domu w wieku lat czternastu wyniósł. Ale potem, w Berlinie, pomyślał ja – szlus, koniec z tem pisaniem.

Prawie o niej ja nie myślał. O mamulce. Ani o moich Pilchowitz.

No, ciekawe, czyby mnie kto tam w tych Pilchowitz poznał teraz jeszcze. Wiele to lat minęło? Wyniósł ja się z domu, mając lat czternaście, i zaczōn robić za ślepra na Luizie, przed wojną jeszcze parę razy ja do dom zajechał, zanim w 1912 nie poszoł do Ruhr, bo potem to już nie. Trzydzieści cztery lata mnie w Pilchowitz nie było. Nie tęsknił ja. Nie myślał o nich ja wcześniej wcale. Albo to jeszcze działa szynk U Augusta, gdzie się można było nawet za bajtla piwa napić?

A mamulka to żyjōm jeszcze...? Mogliby żyć. Porodzili mnie, jak mieli dwadzieścia lat, mam pięćdziesiąt jeden, to oni mieliby siedemdziesiąt jeden. Mogliby jeszcze żyć. No ale. Nie o tem mieliście pisać, towarzyszu Konradzie Wilgelmowiczu.

Mieliście pisać, jakeście to z tą przedziwną kompanią jechali ku swojej zgubie, a zamiast zguby znalazł się Chołod.

Ale pozwólmy historii toczyć się właściwym jej tempem.

Jechalimy z Ljubow i Gabaidze wzdłuż rzeki, nie pamiętam jak długo, kilkanaście dni, może dwa tygodnie, aż w końcu dojechalimy do zamarzającego już oceanu, a słońce przestało wyłaniać się zza horyzontu.

Ciemności zastały nas przy sporządzaniu schronienia, w którem mielimy nadzieję przetrwać zimę. Nie były to ciemności absolutne: słońce kryło się płytko za horyzontem i jeszcze przez jakiś czas było na tyle jasno w okolicach południa, że dało się nawet polować, z tem że nie było na co. Wybrzeże jak wymiecione, jakby tu nasza niezwyciężona Armia Czerwona przeszła, nic. Ani nerpy najmniejszej, ani niedźwiedzia, nic. Pod cienką

warstwą śniegu czarna bazaltowa plaża, szorowana wiecznym rytmem przyboju, bo ocean jeszcze nie zamarzł. Na plaży piętrzyły się sterty niesionej wiatrem siewiernym kry, sporo kołysało się jej też w wodzie. Morze – równa kreska. Na lądzie, jak okiem sięgnąć, przykryta śniegiem senducha. Morze ciemnoszare i czarne. Niebo – stalowe, a kiedy rozstępowały się chmury i słońce zbliżało się do horyzontu – granatowoniebieskie. Ziemia biała, jeno czasem spod śniegu, którego nie było jeszcze dużo, wystawały kępy puszycy i czarne głazy.

W rozlanej na setki strumieni delcie uchodzącej do oceanu rzeki znaleźlimy dość dryftowego drewna, aby spróbować zeń postawić schronienie. Znalazł ja dobre miejsce na obóz, w zakolu meandrującej rzeki, jakieś dwieście metrów od brzegu morza, tam niczym na wyrębie ściągalimy kłody z całej okolicy. Pracowalimy więc bez wytchnienia z Ljubow, co widać jednak i rzeczy cięższe od chuja a kieliszka podnosi, jak trzeba, pracowalimy, nie oszczędzając toporów i budowalimy coś na kształt małej kurnej chaty, w której moglibymy się w trójkę schronić przed chołodem. Brzeg był tu wyższy niż w okolicy, gdzie ziemia płasko schodziła do oceanu. W miejscu, które ja wybrał na obóz, było wypiętrzenie i nad wąskim paskiem czarnej plaży wznosił się podmyty falami klif, nie wyższy niż dziesięć metrów. Rzeka płynęła w przecinającej wypiętrzenie starej dolinie, której niezbyt strome zbocze kryło nasze schronienie przed oczyma postronnych. Nie wykluczał ja, że latem, kiedy przyjdą roztopy, dolina wypełni się rwącą wodą i będziemy musieli nasz dom przenieść wyżej, ale zakładał ja też, że do tego czasu już nas tu nie będzie.

Co do tego, że w naszej chacie moglimy się schronić w trójkę, wynikało to z tego, że Gabaidze ciągle nie umarł. Ljubow pilnowała jego spraw toaletowych i zajmowała się nim, oślepłym i kalekim, z czułością przynależną dziecku. Gabaidze to miotał swoje obelgi, to błagał o jedzenie, to czasem całymi dniami jedzenia odmawiał i leżąc przy nodii, opowiadał, co też widzi oczyma duszy swojej, bo cielesnych się pozbył. A potem jadł znowu, wył, aby go karmić, i gdy go Ljubow karmiła, to tulił się cały do jej ciała, jego głowa jakby wpełzała pod jej buszłat, usta znajdowały jej piersi i ssał je jak dziecko, jakby miał nadzieję, że znajdzie w nich mleko, a ona mu pozwalała, gładziła go po zawszonej głowie i nuciła niskim gołosem jej własną, przedziwną kołysankę, że mój ty, riebionek, mój.

Ściany chaty z obrobionych nurtem, niby wytoczonych na tokarce kłód postawić nie było trudno, między kłody pchalimy mech, gorzej było z pokryciem dachu, którego konstrukcję sporządził ja ze szczap od pni dryftowego drewna klinami oddzielonych, zbitych jako tako gwoździami z wochrowskich zapasów. W końcu się udało – na konstrukcję ze szczap rozłożylimy dwie wojskowe płaszcz-pałatki, ja przybił je przez oczka, starannie zważając na to, żeby nie uszkodzić brezentowej tkaniny, po czem na całości ułożylimy z Ljubow grube darnie polarnego mchu, pozostawiając u szczytu jednospadowego dachu otwór, którem uchodzić miał dym. Wnętrze mógł ja oświetlić lampą naftową, ale raczej siedzielimy w ciemnościach, bo ani nie było na co patrzeć, a naftę wolał ja oszczędzać. Komina nie było z czego sporządzić, a szkoda, bo funkcję pieca nieźle okazała się pełnić zardzewiała beczka po paliwie, którą morze wyrzuciło w swej wielkiej łaskawości.

Potem w Chołodzie dowiedział ja się o wiele lepiej, jakie łaski przynosi morze, ale nie uprzedzajmy faktów. Na beczce zachował się nawet napis „SHELL" i symbol muszli, chociaż blacha była już dość zmurszała, tem niemniej za pomocą noża i topora ja znakomite z niej wykonał palenisko, obłożone kamieniami, które nagrzewając się, trzymać miały ciepło. Chata była tej wielkości, że trójka nasza prześliczna się w niej mieściła, owszem.

Pamiętam, że gdy toporami wygładzalimy kłody na ściany naszego domu, o wiele lepszego niż baraki w zonie, bo wolnego, Ljubow zapytała, czy Gabaidzego zamierzam na śmierć zagołodzić przez tę zimę, czy będziem go karmić i potem najwyżej zjemy. Ja powiedział jej, że człowieka jeść nie będziemy, a jeśli jeszcze raz o tem wspomni, to rozpłatam jej głowę toporem. Odparła na to, że przecież to jedna gęba do wyżywienia więcej, a ze ślepego i bezrękiego pożytku żadnego nie ma. I po co ty go oślepił, Konradzie Wilgelmowiczu, pytała i żadne moje zapewnienia, iż tę krzywdę Gabaidze wyrządził sobie sam, nie zachwiały jej absolutną pewnością, iż to ja był sprawcą tych krwawych ran, jakie zostały mu po oczach, to zaś, że namawiała mnie, by Gabaidzego zgładzić, wcale w niczym nie zmniejszało czułości, z jaką się nim opiekowała, myła go, podcierała, karmiła. Nie rozumiał ja tego, nie, ja nie rozumiał jej, ale znowu mówił ja sobie wtedy, że jedyną kobietą, jaką ja w życiu rozumiał, była Sofie. Nie dlatego, żeby inne stanowiły dla mnie nieprzeniknioną zagadkę, nie. Wcześniej ży-

limy w osobnych światach, kobiety i ja, czy to w Pilchowitz, czy potem, kiedy ja się wyniósł robić na Luizie i zamieszkał na Zaborzu i tak dalej, a Sofie jako pierwsza była dla mnie nie tylko kobietą, ale i przyjacielem.

O tem już pisaliście, Konradzie Wilgelmowiczu. Owszem tak. Nie będę tego szukał teraz, na której kartce ja to zapisywał, ale istotnie tak było, powtarzam się, bo wraca ona do mnie, Sofie i ta myśl: czy żyje jeszcze ona i czy żyją dziewczynki?

I znowu te dygresje. Wracajcie do waszej historii, ex-towarzyszu! No więc Ljubow pytała, czy zechcę Gabaidzego zgładzić, a ja jej na to odparł, że każdy dzień jego życia powiększa jego karę. Będziemy go żywić. Gdy zapytała czem, ja powiedział, że końmi, które niedługo zabijemy.

Pamiętam, jak liczył ja w pamięci, na ile starczy nam mięsa z koni: nasze koniki jakuckie ważyły jakieś czterysta kilogramów każdy, czyli mięsa na nich mogło być jakieś sto sześćdziesiąt kilo na każdem, co daje nam ponad sto kilogramów koniny na głowę, jeśli uda nam się ją przed niedźwiedziem ustrzec. No a jeśli niedźwiedzia zwabi nam na głowę, to nasz zapas mięsa zaraz się powiększy, bo niedźwiedzia ubijemy.

Czy tak właśnie mi się wtedy wydawało? Jeśli chodzi o niedźwiedzie...? Czy to jeno teraz tak mi się zdaje, bom się z Arktyką oswoił jak kiedyś z podziemiem gruby, albo z wnętrzem tłustego brzucha pancernika SMS „Helgoland", teraz, po tylu latach, to mi już łatwo tak myśleć o niedźwiedziu jako o chodzącej spiżarni, nie licząc wątroby, której nawet psom się nie daje, ale wtedy przecież białego niedźwiedzia ja w życiu na oczy nie widział ani nań nie polował, to skąd by u mnie od razu takie myślenie...? Chybam wcale wtedy o niedźwiedziu nie myślał, gdy my nasze schronienie z Ljubow budowali.

Ale pomyślał ja o koniach. Wiedział ja, że trzeba je zabić, jak wie to każde dziecko, co się wychowywało w domu, gdzie się hodowało zwierzęta. Zwierzę trzeba zabić jesienią, przed zimą, żeby go zimą nie futrować, ale spożytkować to, co zeżarło zwierzę przez lato. No chyba że się chce go dłużej chować. Moja mamulka chowali barany i zawsze kupowało się małe jagniątko wczesną wiosną, chowało się na placu i ubijało na jesień, jak podrosło. Tak i konie trzeba było zabić, bo chociaż zimę by przeżyły, skoro to jakuty, to poradziłyby sobie może, wygrzebując mech kopytem spod śniegu, to my

bez ich mięsa by nie przeżyli, bo na łowy wtedym nie liczył wcale, zresztą na dwa miesiące zrobi się ciemno, a trudno po ciemku polować.

Schronienie budowalimy trzy dni. Wyglądało solidnie, a że nieopodal beczki morze wyrzuciło także trochę nieznanego mi pochodzenia desek, to nawet drzwi udało mi się sporządzić i zawiesić je na skórzanych zawiasach wyciętych z wojskowego pasa, któren na moje szczupłe lędźwie i tak był za długi.

I wtedy należało zabić konie, ale najpierw wpadł ja na pomysł wykucia w wiecznej zmarzlinie spiżarni, w której to końskie mięso po oprawieniu moglibymy schować, po czem przykryć kamieniami. Rozpalilimy więc w miejscu wybranym na spiżarnię wielki ogień i podtrzymywalimy go przez cały dzień, żeby trochę rozmiękczyć zamarzłą już ziemię, po czem zaczęlimy przy świetle lampy naftowej kopać. Nie mielimy kilofów, jeno małe łopatki wojskowe, więc kucie lekko jeno odtajałej ziemi szło nam powoli. Po dłuższym czasie, gdy jama była już głęboka na pół człowieka, ostrze mojej łopatki natrafiło na coś twardszego jeszcze od zmarzliny. Zaczął ja to okopywać, spodziewał ja się kamienia, a potem, gdy rzecz okazała się gruba jak męskie ramię i podłużna, belki, chociaż nie przyszło mi do głowy zapytać samego siebie, skąd miałaby się znaleźć belka pod ziemią w wiecznej zmarzlinie, aż w końcu, przy uderzeniu łopatki od rzeczy tej odprysnął wiór, i w świetle lampy naftowej coś zalśniło na białożółto, i zrozumiał ja, że wykopał ja kieł słoniowy, czy też raczej mamuci. Postanowił ja wydobyć go z ziemi, chociaż nie było ku temu powodu – ale właśnie dlatego. Pozostałości czaszki były zgniecione jakąś straszną siłą, zmurszałe, ja kieł łatwo od nich oddzielił, wyszarpał zmarzlinie i postawił przy drzwiach naszego szałasu. Aby go ozdobić. Żeby poczuć się bardziej człowiekiem.

A czy ja człowiek...?

Potem zabił ja konie.

Oprawialimy je długo, skórę zdartą z jednego z nich przybilimy z Ljubow do ścian naszej chatki, aby osłaniała nas przed wiatrami. Pamiętam, że pomyślał ja wtedy: przeżyjemy zimę. A potem? No, to już kto wie. Jamę przeznaczoną na spiżarnię wyścielilimy śniegiem i drugą skórą, do środka włożylimy mięso, przywalilimy największymi kamieniami. Wątroby zjedlimy świeże. Wątroba najsmaczniejsza rzecz we zwierzu.

Potem zaczął padać śnieg. I padał, padał i padał. Potem umilkły fale przyboju, ocean ściął się w lód, nie szumiał już, jeno trzeszczał i trzaskał, kiedy wiało, a wiało ciągle, i pokrył się śniegiem, i już nie było ni brzegu, ni senduchy zielonobrązowej, ni oceanu, jeno niebieska biel pod granatowym niebem i my.

30 CZERWCA 1946

Dziś niedziela, Dzień Pański. „Invincible" już na wodzie. Ja gotowy.

Było to tak: w nocy, oczywiście białej, obudziło mnie skrzypienie całego kadłuba. Wydostał ja się z przechylonej kabiny i zauważył ja, że lód rozstąpił się pod ciężarem dziobu łodzi i rufa tkwiła jeszcze w lodach, dziób zaś przechylił się już ku wodzie. Chwycił ja za bosak, próbował zepchnąć „Invincible" do wody, ale nie starczyło mi sił na to, by poruszyć sześciotonowy kadłub. Sam balast dwie tony waży, tak mi przynajmniej mówił Mały. Bał się ja o płetwę sterową, ale jedyne, co mi pozostało, to czekać.

Nie czekał ja długo. Po godzinie rozległ się trzask głośny jak wystrzał, lód rozstąpił się i „Invincible" powoli, drąc kadłubem po lodzie tak, że stanęło mi serce, powoli, powoli ześlizgnęła się do wody, plusnęła, zakołysała się i już, skończył się postój lodowy. Moglimy płynąć.

Skoczył ja na rufę – płetwa sterowa ocalała, co przyjął ja z ulgą, zsuwanie się po lodzie zerwało jednak samoster, bo tem było zamocowane na rufie dziwne urządzenie, którego ja, napotkawszy „Invincible", nie rozpoznał. Następnie wyrzucił ja na lód kotwicę, chwyciła, ja zaś rzucił się pod pokład przeglądać zęzy, czy po kilkumiesięcznym postoju na lodzie nie ma gdzieś dużego przecieku, na szczęście nic ja nie znalazł. Następnie wziął się ja do diesla. Nie miał ja doświadczenia z takimi motorami wcześniej, ale przecież naprawiał ja motopompy na grubie, na SMS „Helgoland", w naszych austinach-putiłowach też reperował ja motory, chociaż był politrukiem, ale się szybko okazało, że wyznaję się na tem lepiej niż nasi mechanicy, których kultura techniczna uprawniała może do bycia uczniem u wiejskiego kowala, ale na pewno nie do obsługi tak delikatnego i precyzyjnego urządzenia, jakim był czterocylindrowy, pięćdziesięciokonny, wodą chłodzony motor naszej pancerki.

Na „Invincible" pod schodami zejściówki znajdował się mocny, amerykański motor marki Kermath, czterocylindrowy i pięćdziesięciokonny, jak w austinie, ale na tem podobieństwa się skończyły, bo Kermath to diesel, a w austinie motor chodził na benzynę. Uniósł ja prowadzącą do maleńkiej maszynowni zejściówkę i zabrał się do przeglądu. Tak i ja układ paliwowy odpowietrzył, sprawdził filtr paliwa, ten wydał mi się czysty, to i przejrzał ja obydwa obiegi chłodzące, poziomy oleju w motorze i w getrybie, szczelność motorwelli, robił to wszystko z dużą przyjemnością, maszyny takie jak ta koją mnie i wypełniają satysfakcją. Tyle lat ja w maszynie nie robił, a nic czełowiek nie zapomina. Tyle lat w Chołodzie wszystko było tylko takie proste, drewniane i kościane, a tu maszyna i nic czełowiek nie zapomniał. Jaka to przyjemność smarem ubrudzić się. Śruby trzy odkręcić, co propeler obiegu cieczy chłodzącej trzymają, sprawdzić i zakręcić z powrotem. Jak to się wszystko czełowiekowi lepiej w ręce układa niż orużje albo harpun, albo wiosło.

Następnie przejrzał ja też instalację elektryczną jachtu, sprawdził poziom elektrolitu w akumulatorach, sprawdził ja też napięcie woltomierzem – prąd był. Tyle czasu na lodzie i prąd do rozruchu potrzebny utrzymywali. Czy wystarczy do odpalenia motoru – ja nie wiedział.

Wyszedł ja na zewnątrz, gdzie w ciasnej wannie kokpitu mieściły się starter i stalowa manetka, nacisnął ja przycisk świec żarowych, odczekał chwilę, pomodlił się w duchu do wszystkich znanych mi bóstw, do Pōnbōczka i do ojca niebieskiego, i nacisnął ja na duży knefel startera.

Starter zarzęził, motor szarpnął, kaszlnął z wydechu na burcie chmurą czarnego dymu, wszedł na obroty, po czem zgasł. Zastanawiał się ja, na ile prób odpalenia wystarczy mi prądu w akumulatorach, ale cóż mi było czynić? Zszedł ja jeszcze raz do kabiny, do komory motora, postanowił wymienić filtr paliwa na nowy, nie ryzykować drugiego odpalenia, i odkręcając go, ja tak zauważył ręczną, gumową pompkę do zalewania układu paliwowego, z angielskim napisem, że trzeba nacisnąć trzy razy przed odpaleniem.

Suka bladź jebana mać, Scheiβe, māterim jebtī, zaklął ja na głupotę własną w językach, co je znam, a żaden dobrze, ale kląć, owszem, umiem. Filtr ja wymienił, napompował paliwa, wyszedł ponownie do kokpitu, nacisnął starter.

Odpalił, kaszlnął, wszedł na obroty i zaczął terkotać. Nie wrzucał ja na razie biegu, słuchał ja, jak idzie na jałowym, obroty lekko falowały, ale to nic takiego, za burtę ja wyjrzał, chodził, no wspaniale. Pozwolił mu ja tak iść kwadrans, żeby rozgrzał się, zszedł ja z powrotem pod pokład, żeby sprawdzić, czy nie ma niepokojących wycieków paliwa albo smarów, nie było, sprawdził ja tak woltomierz, akumulatory miały ładowanie.

Wrócił ja na pokład, nie ściągał ja jeszcze kotwicy łączącej mnie z krą, jeszcze jedno musiał ja sprawdzić, więc ja wrócił do kokpitu i delikatnie, na najniższych obrotach, wrzucił małą naprzód. Gertyb trzasnął, szarpnął, motor prychnął, wrócił do równych obrotów, śruba zaczęła mielić wodę, drewniany kadłub „Invincible" przeszedł dreszcz. Cumy napięły się, przełożył ja manetkę na luz i pozwolił motorowi chodzić na jałowym biegu. Niech się akumulatory ładują, ja tymczasem, korzystając z bezwietrznej pogody i równego morza, postanowił wyznaczyć swoją pozycję, a następnie obrachować kurs, jaki muszę przyjąć. Poszedł ja więc po sekstant, zmierzył wysokość słońca nad horyzontem, zerknął na chronometr, zasiadł do tablic astronomicznych i oto moja pozycja: 75°31'35.18"N, 168°41'27.90E. Naniósł ja ją na kartę, szacunkowo narysował z pamięci zarys brzegu miejsca, do którego chcę płynąć, wyznaczył kurs nad dnem, a następnie obrachował ja zgrubnie kurs kompasowy, jaki zamierzam utrzymywać – wynosi on 72 stopnie.

Ja gotów, notuję więc teraz to, co powyżej, i niech zapiski te staną się już czymś na kształt dziennika okrętowego. W końcu „Invincible" już na wodzie, ja zaś jej kapitan. No proszę. Maat Konrad Widuch dowodzi swoją jednostką, co prawda niewiele większą od szalupy, ale dowodzi, więc powinien się nazywać teraz Herr Kapitän Widuch.

Muszę przyznać, że ja nieprzyzwyczajony do tego, żeby coś mi przychodziło z taką łatwością, a tu proszę, wszystko poszło gładko i pięknie, „Invincible" na wodzie, kurs znany, kończę więc tutaj tę notatkę i zasiadam do steru.

Podpisane: Herr Kapitän Konrad Widuch, s/y „Invincible".

1 LIPCA 1946

No to się napływał Herr Kapitän. To się napływał. Dziś poniedziałek. Specjalny dzień ten 1 lipca. Zawsze był specjalny.

Ech, pisać żal.

„Invincible" uwięziona w połyni długiej na dziesięć i szerokiej na sześć mil. Ja opłynął połynię wczoraj dwukrotnie, z nadzieją znalezienia drogi na otwarte morze, kluczył ja między krami, które w końcu stawały się tak gęste, że musiał ja dawać małą wstecz i odpychać się od kry tyczką, bo dla drewnianego kadłuba z lodem zderzenie to jak ze skałą i musiał ja ostrożnie cofać się do wolnej wody, pełen obaw, czy nie zamkną się za mną. Wcześniej, gdy „Invincible" powoli zsuwała się do wody, przestał ja oddalać się od łodzi i dopiero teraz, będąc już w zasięgu połyni przeklętej, mobilny, przekonał się ja, jak wokół jej brzegów rozwinęło się życie, rozkwitło całym polarnym bogactwem.

Na wielkich krach i na krawędzi paku gromadziły się morsy, setki morsów, a może i więcej, wielkich, tłustych, wtulonych w siebie, i w powietrzu aż dudniło od ich pochrapywania i krótkich, urywanych ryków, od ich pierdnięć i beknięć i czochrały się płetwami po pyskach i wielkich kutasach, zadowolone z siebie bryły sadła, na mniejszych krach widział ja potężne brodate lachtaki i małe, lecz tłuste nerpy, aż mi się ręce rwały do sztucera, do łowów, alem nie strzelał, bo strzelona foka idzie pod wodę, chyba żeby ja precyzyjnie w łeb przycelował i zabił, zanim skoczyć zdąży. Ale i wtedy to trudno byłoby mi łachtaka dostać, bo jak samemu przybić, wyleźć na krę, fokę oprawić, kiedy nie wiadomo, czy wbita w lód kotwica wytrzyma...

Nie było więc łowów, jeno terkotanie diesla i powolne sondowanie przesmyków między krami, wszystko nadaremno. Widział ja też ogromne stado białuch, co najmniej kilkaset białych zwierząt przewalających się jak biskup z boku na bok, jedno za drugiem, w spokojnych wodach połyni, co sprawiło, że nieco zwątpił ja w moją znajomość arktycznej przyrody, albowiem zdawało mi się wcześniej, że przecie białuchy pod lodem nie przepłyną, muszą oddychać powietrzem, a tu proszę. Może im wystarczy szczelina między krami, w którą strach by się było drewnianym kadłubem „Invincible" zapuszczać, i tak sobie przepływają, a wody w połyniach zawsze żyzne,

skoro jeno słońce świeci, to kwitną tam wodne ogrody, ściągają ryby, za rybami foki, za fokami niedźwiedzie. Tak to na świecie.

Oho, znowu mądrość taka, Widuchu-najduchu!

Tak to na świecie! Czy idzie sobie bardziej próżne zdanie wyobrazić, większy banał? A jak to miałoby na świecie być? Inaczej? Przecie w tem logiki nawet nie ma, poza tą oczywistą. Trzymajcie się lepiej, ex-towarzyszu, faktów, trzymajcie się historii, a nie że refleksje.

Tak to ze sobą czasem lubię porozmawiać, a jak. Trzymając się więc faktów, wydaje mi się, że powinien ja jeszcze mojej drogiej a nieistniejącej czytelniczce opowiedzieć, jak to się stało, że został ja kapitanem s/y „Invincible", chociaż armatorem pozostał Duży, dziś tu nieobecny.

Kiedy przywiózł ja trupa Małego, to ja słusznie podejrzewał, że Duży będzie chciał mnie zabić. Najpierw wczepił się w trupa i wył, tem swoim nieprzystającym zupełnie do postury kontratenorowym wyciem, i łkał, i szlochał, i trzęsło nim, jakby ktoś mu jajca do akumulatora podłączył.

Owszem, wiem ja, jak zachowuje się męskie ciało, kiedy ktoś niemiły przypnie elektrody do jajec i puści prąd. Właśnie tak. Drga tak, jak drgały plecy Dużego.

Więc, owszem, wył, a potem nagle zamilkł i znieruchomiał i wtem, zapewne po namysłu chwili, odwrócił się do mnie i wiedział już ja, że zdaję mu się winien śmierci Małego. Ruszył w moją stronę, ja zarepetował sztucer, wycelował z biodra w stronę Dużego, a on biegł w moją stronę, jakby wiedział, był pewien, że nie strzelę.

I ja nie strzelił. On dopadł mnie, wyrwał mi sztucer z rąk, a ja nie umiał wcześniej nacisnąć na cyngiel i nie nacisnął ja.

Nie umiał ja zabić człowieka, któren rozpacza nad śmiercią ukochanego, i czemuż, skoro przecież jeno kula zła przyniosłaby mu ulgę. Nie umiał ja zabić człowieka, co dobroć mi okazał.

Nie umiał ja zabić człowieka, bo zbyt wielu ich już ja zabił? Nie umiał ja zabić człowieka, któren chciał mnie zabić, chociaż tylu się już ja dopuścił zbrodni...

Wyrwał mi sztucer, cisnął, skoczył na mnie, obalił na plecy, na lód, twarz miał straszną, oczy otwarte tak szeroko, jakby widziały zbyt mało, uderzył mnie wielką pięścią w twarz i złamał mi nos, po czem złapał mnie wielkimi

łapy za gardło i jął dusić, ja chwycił jego nadgarstki moimi niekompletnymi dłońmi i próbował się ja uwolnić, ale zbyt silny był, zbyt silny.

Gdy ja odzyskał przytomność, to ja leżał na koi w kabinie „Invincible", a Duży, najwyraźniej przerażony, próbował mnie napoić koniakiem, którem ja się tylko zakrztusił. Kiedy już wyparskał ja z siebie koniak, kaszląc, spróbował ja głęboko odetchnąć – i oddychać ja mógł, a to wielka łaska móc zaczerpnąć tchu. Starowier, co mnie nodię uczył robić, zaraz by podziękował Panu Jezusowi, że tak i oddychać mu Pan Jezus daje, ja jednak nie czuł, aby ja za to jakie podziękowania winien był. Dotknął ja szyi, bolała, ale krtań nie była zmiażdżona.

Widział ja czełowieka ze zmiażdżoną krtanią. To było w pierwszym z miejsc, których nazwy nie chcę wymieniać, jeszcze na wyrębie, w tajdze i wochry nakazali tam błatnym zabawić się z jednym pięćdziesiątką ósemką, Polakiem nazwiskiem Siemiradzki. Był to stary czekista, raczej zły czełowiek, źle mu z oczu patrzyło, ale komu tam w baraku by z oczu patrzyło dobrze, nikomu. Podobno dobrze znał Dzierżyńskiego, ale wcale się tem nie chwalił. No więc jak wochry kazali błatnym z nim zabawić się, to go w nocy w czterech rozciągnęli w krzyż na podłodze, a piąty mu z całych sił nadepnął na gardło i powtórzył, i jeszcze raz, wszystko to było w ciszy, on też nie wył, bo nie był głupi, i w całym baraku było słychać chrupnięcie chrząstki i potem puścili go i jeno już charczenie było słychać, i charczał tak, dyszał do rana, jak trzeba było wstać, to był już cały spuchnięty i sinawy, na szyi miał pod skórą wielki krwiak i charczał dalej, i byłby tam umarł na podłodze, gdyby go nie wzięli do szpitala i nie zrobili tracheotomii, i tak to na podłodze nie umarł, jeno w szpitalu dwa dni później, bo się podobno w dziurkę w tchawicy wdało zakażenie albo może jeszcze co innego, dość, że i tak nie żył.

Nie skrzywdził mnie więc Duży, poza tem, że mi ten nos złamał, ale to nic takiego, bo to i nie pierwszy przecież raz, pierwszy raz to nos mi złamało dwóch lebrów, jakżech z szychty na Luizie wracał i chcieli mi geltak wziąć...

Ale bez dygresji, Widuchu-najduchu, giździe, mamlasie. Inakszyj trza ôsprowiać, niy tak skokać. Ôsprowianie mo być do porzōndku. Tak mamulka uczyli, pra? No.

Wracając więc do Dużego, co mnie koniakiem napoił i następnie, przez łzy, tak i mnie przepraszał, że się na mnie rzucił. I płakał. Płakał tak, jak płacze ktoś, kto nigdy nie płacze, krztusił się tem płaczem i dusił, kipiał od niego nieprzyzwyczajony, jakby z jego ciałem w żałobnej reakcji działo się coś niemożliwego i niespodziewanego. Potem trochę na migi, trochę po francusku zapytał mnie, czy pomogę mu Małego, czyli Youenna, pochować.

Ja tak i pomógł. Długo kulimy lód, toporami i potem piłą, zanim udało nam się wyrąbać przerębel do niezamarzłej wody. Duży z forpiku wyciągnął mały, pomarańczowy żagiel sztormowy i zawinęlimy Małego w ten żagiel jak w całun, zaszylimy go juzingiem i spuścili pod lód.

Duży stanął nad przeręblem, w ręku trzymał książeczkę do nabożeństwa w nieznanym mi języku, z której odczytał modlitwy, po czem wrócił na „Invincible" i zaczął pić, w milczeniu przerywanym jeno zgłuszonym przez zaciśnięte szczęki szlochem, w którem drgało mu całe ciało. W godzinę opróżnił butelkę koniaku i sięgnął po drugą.

Zapytał ja wtedy o książeczkę do nabożeństwa. Jaki to język? Language? Sprache? Zrozumiał po chwili, o co pytam, próbował tłumaczyć po francusku, nie rozumiał ja, więc bezradny sięgnął po atlas i pokazał mi półwysep we Francji. Musiał ja atlas od siebie odsunąć, żeby odczytać maleńkie litery: Bretagne.

A więc mówili po bretońsku. I owszem, słyszał ja o tem języku. Maat Konrad Widuch książki lubił czytać zawsze. Po polsku, po niemiecku, potem po rusku, jeno w tem języku prostym, co się u nas w domu mówiło, nigdym książki na oczy nie widział. Bretoński zaś, wiem to z pamięci, to celtycki język, najbliżej spokrewniony z kornwalijskim, którem dziś już nikt nie mówi, ale którem kiedyś mówiła cała Kornwalia, skąd przodkowie Bretonów wczesnym średniowieczem wyemigrowali do dzisiejszej Bretanii pod naciskiem Anglów, Sasów i Jutów.

Kiedy Duży dowiedział się, że słyszał ja kiedyś o Bretończykach, to nagle się zapalił i wspomaganym bazgrołami na papierze łamanym niemieckiem i angielskim, którem posługiwał się nawet gorzej niż ja, jął mi wyjaśniać, że Mały i on sam byli bretońskimi nacjonalistami i w czasie wojny mit Hitler, a potem Hitler kaputt i oni run, run to Ireland, celtic nations together, i tam „Invincible", oni obaj sailors, no i tam popłynąć, like Joshua Slocum, no i tyle.

Kiwał ja głową nad tem, co opowiadał, ale mówiąc szczerze, cóż mnie to tam obchodziło, Bretończycy czy nie, zainteresował się ja dopiero, gdy powiedział, tudzież narysował bardziej, że chciałby iść ze mną na Süd, szukać ludzi, że już nie wytrzyma tu dłużej, na „Invincible", że uważał, że trzeba to było zrobić wcześniej, ale Mały się nie zgadzał, bo wierzył, że lody puszczą i uda im się dopłynąć do Cieśniny Beringa i potem do Kotzebue na Alasce. Ale to się nie uda. Tutaj, na łodzi, zginiemy.

Słuchał ja go, gdy mówił, gdy tłumaczył, jak i gdzie trzeba pójść, i wiedział ja, że z nim nie pójdę. Nie mogę wrócić się do Rosyi. Minęło dziewięć lat od mojego aresztowania, pewnie wszędzie zaznaczyli mnie tam jako martwego, przecież ja nie mógł, nie miał prawa przeżyć, ale to nie znaczy, że o martwym lub żywym zapomnieli. Rosyja się nie zmienia. Rosyja pamięta. Nie mógł też ja wrócić się do Rosyi, bo Rosyja nie dla mnie już, niezależnie od mojego statusu zbiega, obiecał ja sobie, że moja noga na rosyjskiej ziemi nie postanie, nigdy.

Wytłumaczył mu to ja, wyłożył wszystko czarno na białym za pomocą ołówkowych rysunków na papierze. Zrozumiał, zgodził się, a ja wtedy powiedział, żeby on wziął moje sanie. Na nie Duży zapakował zapasy z „Invincible", wziął swój irlandzki paszport i paszport Małego, gruby plik dolarów, o którego istnieniu ja nie wiedział, a z którego oddał mi dziesięć studolarowych banknotów z portretem Benjamina Franklina, chociaż protestował ja, że nie będą mi potrzebne, czego na szczęście nie zrozumiał, co było głupie, ale ja przecież osiem lat pieniądza na oczy nie widział, wziął jakieś książki, które wcześniej spoczywały w zamkniętym na kłódkę schowku na karty, powiedział mu też ja, żeby on zabrał mój chołodzki piecyk-lampę na olej wielorybi i do niego bańkę diesla, też zadziała, a ja obiecał, że zostanę na „Invincible" i albo na niej umrę, albo odprowadzę do jakiegoś portu na Alasce, albo gdziekolwiek poza Rosyją, jeśli lody puszczą.

Kłamał ja jeno trochę, brał ja przecie pod uwagę ten powrót, dalej biorę, ale najpierw muszę popłynąć gdzieś indziej i marne szanse, żeby ja stamtąd wrócił.

No ale na to, żeby ja dożył tej chwili, w której piszę to wszystko, co tu piszę, to też szanse marne były, mógł ja przecież już i te trzydzieści lat temu znaleźć się po niewłaściwej stronie das Schott, nie wiem, jak się to po polsku nazywa, no chodzi o ścianę taką, która grodzi okręt, żeby się cały wodą

nie zalał, więc ja się mógł tam znaleźć po niewłaściwej stronie tej ściany, kiedy SMS „Helgoland" oberwał, mogli mnie zabić w Kiel, w Berlinie, mogli mnie zabić Polaki w 1920, albo ktokolwiek inny, na rozstrzał mogli mnie wziąć na Kommunarce lub Butowie, nie przeżyć mógł ja śledztwa, transportu, mogli mnie błatni zabić i zjeść, niedźwiedź mógł mnie pożreć chyba z tysiąc razy w ciągu moich lat tutaj, albo i zamiast Małego teraz, no ale ja żyję. Ja.

Pomógł ja Dużemu zapakować sanie, pokazał, jak używa się chołodzkiego pieca, po czem ja poprosił go, żeby jeszcze chwilę poczekał, i napisał ja list, po niemiecku, włożył ja go do koperty z papeterii, co na łodzi była, oznaczonej ładną winietką s/y „Invincible" i rysuneczkiem żaglówki, koperty ja nie zaklejał. Napisał ja na niej jeno nazwisko adresatki po niemiecku Sofie Pozarska, po rosyjsku Софи Пожарска i, po zastanowieniu, Sofie Moen, bo takie ojcowskie nazwisko nosiła Sofie, zanim przybrała rosyjski pseudonim, któren stał się potem jej nazwiskiem. Poprosił ja Dużego, wiele kreśląc po atlasowej karcie świata, żeby pojechał do Vardø w Norwegii i tam szukał kobiety o tem nazwisku, która w 1937 uciekła z dwiema córkami z Sowietskogo Sojuza i być może jeszcze gdzieś tam żyje, dziewczęta będą miały teraz siedemnaście i dziewięć lat. Niech je znajdzie, niech zrobi wszystko, co w jego mocy, aby je znaleźć i oddać im ten list, niech mi to przyrzeknie w tem jego bretońskim języku, a ja mu po mojemu przyrzeknę, że zrobię wszystko, żeby jego s/y „Invincible" z tych lodów wyciągnąć i mu zwrócić, chociażby ja miał świat opłynąć, co ogólnie nie brzmi źle, opłynąć świat.

Podał mi adres, na jaki mam pisać: Galway, Long Walk 24, Ireland.

Nadzieję ja jeno miał, że jego obietnica podjęcia próby dostarczenia Sofie mojego listu nie była równie lekka jak moja, dotarcia do jakiegoś portu na Alasce, niech to będzie ten zatracony Kotzebue nawet.

Nie powiedział mu ja, że nie wiem, czy Sofie i dziewczynki przeżyły ucieczkę. Wiem, że ich nie złapali żywych ani martwych, bo gdyby tak się stało, to ja dowiedziałby się o tem w śledztwie, użyliby tego przeciwko mnie, ale nie wiem, czy dotarły do Vardø, czy zginęły na morzu. Nie wiem. Ale nie powiedział ja mu tego, powiedział ja mu wręcz, wspomagając się niezgrabnymi rysunkami, że wiem, że dotarła do Vardø w 1937, ale nic wi-

ęcej. Tak i ja chciał, żeby on szukał do skutku, żeby nie zniechęcił się, łatwo usprawiedliwiając zniechęcenie podejrzeniem, że im nie udało się.

Mam więc nadzieję, że będzie jej szukał do skutku. A to dobre zdanie na zakończenie tych zapisek. To już ostatnia strona tego zeszytu. A co było w liście, i tak nie chcę tu pisać. Po co by ja miał. List to list, ma być u adresata. Nigdy nie miał ja nawyku pisania listów przez kalkę, to i tu nie będę z pamięci kalki robił.

Bo jaka pamięć, to przecież wiadomo.

A co to znowu, Widuchu-najduchu, nie miał ty nawyku pisania listów przez kalkę? A to, coś palił, jakeście się z Sofie aresztowania bali? Nie były to czasem kopie listów?

No prawda. Czasem to jest i tak, że ręka napisze nieprawdę – i dlaczego tak napisała? Nie wiadomo. Może to jest jej inna prawda, ręki. No ale.

Długo patrzył ja, jak odchodzi, ciągnąc za sobą moje sanie, słońce lśniło, blikowało w mosiężnej skorupie piecyka, patrzył ja, jak przeciąga sanie przez zwały kry i przecież wiedział ja wtedy, i wiem teraz, że nie dostarczy mojego listu, bo nie przeżyje. Umrze z gołodu, zabije go niedźwiedź albo sowiecki pagranicznik, albo Jakuci go zabiją, albo Czukcze, czy kto tam jeszcze mieszka. Bo żeby trafił tam, gdzie trafił ja, no to się dwa razy nie zdarza takie coś.

A nawet jeśli przeżyje, dojdzie gdzieś tam do rzeki, spotka Rosyjan, to co go czeka z tem irlandzkim paszportem? Aresztują go jako szpiega, to pewne, i powoli będzie się toczył w tem enkawudeckim konwejerze, wyżej i wyżej, aż może nawet samego Stalina kto zapyta, towarzyszu, złapalimy szpiega, a gdzie, a w Arktyce, mówi, że płynęli, wierzyć trudno, jachtem, jak to jachtem, my też nie wierzymy, towarzyszu, szpion to szpion, ale innostraniec i głupi, paszport ma irlandzki, a po irlandzku nie mówi ani po angielsku, jeno po francusku, więc czy na rozstrzał, czy może mieniać się będziem za kogoś z naszych?

No i co wtedy Stalin powie?

Nie, nikt za takim głupim Dużym do Stalina chodzić nie będzie, gdzieś, w jakim ciasnym pokoju na Łubiance, los Dużego się rozstrzygnie, jak każdego z nas.

Jeśli oczywiście wcześniej dotrze do ludzkich osad, zanim zemrze z chołodu, to znaczy z zimna i z gołodu, co oczywiście niemożliwe, żeby dotarł.

Tak samo jak niemożliwe, żeby go z Ojczyzny Światowego Proletariatu puścili. Nikogo nie puszczają, to i Dużego nie puszczą. No chyba żeby go najpierw przekabacili na swoje...

Ale nawet wtedy, czy on do Tromsø, do Vardø pojedzie, gdzież tam... Skąd i dienieg na to znajdzie, nie znajdzie.

Na nic to wszystko, ten mój list, na nic.

Kończyć mi trzeba te zapiski, bo się zeszyt skończył.

No ale, Konradzie Wilgelmowiczu Widuchu, powie moja nieistniejąca czytelniczka, wielka dziura zieje w twojej historii. Co się działo w ciągu tych ośmiu lat od momentu, w któremś z Ljubow zamieszkał w szałasie na brzegu Oceanu Arktycznego, do momentu, w którem, zjadłszy psy, ty wyruszył w podróż po lodzie, gdzie w końcu napotkał jacht „Invincible"?

No ale nie powie tego moja czytelniczka. Nie uczyni mi takiego zarzutu. Dlaczego?

Albowiem nie istnieje.

Nikt nigdy tych słów nie przeczyta, dlatego mogę je sobie pisać po polsku, „Invincible" zginie w końcu zgnieciona lodami, ja razem z nią, i pójdziemy na dno, i tam się te zapiski rozpuszczą w lodowatych wodach.

No i tak kończę te zapiski, skrobiąc ołówkiem już na okładce, 1 lipca 1946 roku.

Dzisiej je mōj gyburstak.

KONIEC ZESZYTU

NA POKŁADZIE „ISBJØRN”

Notes Konrada Widucha czytałem codziennie, bardzo powoli, przepisując go jednocześnie do pamięci laptopa. Pismo było trudne do odcyfrowania, czasem i kwadrans biedziłem się nad jednym zdaniem. Póki nie skończyłem lektury, nie rozmawiałem o nim z Borghild. Widziałem, że chce, żebym najpierw skończył czytać, chociaż momentami trudno było mi nie zadawać pytań o to, co łączy ją z autorem notesu. Nosi przecież nazwisko jego żony! I wiek się zgadza, jak szybko policzyłem.

To była jedna kwestia. Ale czy może być zbiegiem okoliczności to, że Widuch pochodził z Pilchowic, w których mieszkam? Na dodatek nosi nazwisko, które nosiła również moja praprababcia, Marianna Widuch z Przyszowic, po mężu Biela, urodzona w roku 1849 i zmarła w 1868. Czy Konrad był z nią spokrewniony? Był czy nie, jak to możliwe, że nigdy wcześniej nie słyszałem o takiej postaci? Na pokładzie „Isbjørn” nie mogłem tego sprawdzić.

Tak czy inaczej, nie zadręczałem Borghild pytaniami, bo nie umiem, nie mam natury reportera.

Dziś, kiedy piszę te słowa, w roku 2022, nie ma jej już między żywymi.

Chciałbym jednak, aby mogła na chwilę ożyć w mojej opowieści. Za jej zgodą nagrywałem potem nasze rozmowy na dyktafon w telefonie, niestety, któregoś dnia na wachcie, gdy koniecznie chciałem sfotografować wyskakującego nad fale humbaka, wychyliłem się przez reling zbyt mocno, niespodziewana fala zakołysała jachtem, wtedy telefon wyślizgnął mi się z mokrych rąk i koziołkując, zniknął na zawsze w szarych wodach Morza Barentsa. Nie połączył się w międzyczasie z siecią komórkową, bo na morzu żadnej nie było, nagranie głosu Borghild nie miało więc szansy trafić do chmury. Ze wstydem przyznam, że nie byłem wpięty do lajfliny i przecież mogłem wypaść razem z telefonem, pomyślałem więc, że lepiej telefon

niż ja, chociaż wcale nie byłem wtedy tego pewien. Ale to już temat na inną historię.

Nie żałuję jednak, że nasze rozmowy spoczęły na dnie oceanu i zniknęły, gdy tylko słona woda spenetrowała obudowę telefonu, gdy zgniotło go jej ciśnienie.

Gdybym miał teraz zarejestrowany jej głos, to Borghild nie mogłaby odżyć, żyłby tylko surowy zapis, w mojej zawodnej pamięci zaś zachowała się pełniej niż w cyfrowej pamięci telefonu. W mojej pamięci jest żywa, taką ją widzę, w czerwonym polarze, z puszką tuborga w dłoni – w pooranej głębokimi zmarszczkami twarzy inteligentne, bladoniebieskie oczy i uśmiech, bo mówiąc, śmiała się często. Taką ją pamiętam.

Lektura notesu zajęła mi tydzień. W tym czasie, minąwszy Sørkapp, położyliśmy „Isbjørn" na kursie 70. Wiał zachodni wiatr, kilkanaście węzłów, do dwudziestu, fala była umiarkowana, płynęliśmy baksztagiem, robiąc dobrych siedem, a potem i osiem węzłów z lekkością, której bym się po stalowym pięćdziesięciostopowym jachcie nie spodziewał. Po dwudziestu czterech godzinach dobrej żeglugi prawą burtą minęliśmy Hopen, po tygodniu i prawie sześciuset milach nieprzerwanej żeglugi zbliżaliśmy się do Ziemi Franciszka Józefa. Pięćdziesiąty południk przecięliśmy na siedemdziesiątym dziewiątym stopniu szerokości geograficznej północnej i wtedy pojawiły się pierwsze kry. Wcześniej morze było wolne od lodu. Wachty stały się teraz bardziej wymagające, trzeba je było pełnić za sterem w kokpicie, na zimnie, bo ze sterówki łatwo można nawet wielką krę przeoczyć.

Poza tym żegluga była koanem monotonii, medytacją nudy, epifanią jednostajności. Wachty pełniliśmy ośmiogodzinne, a więc osiem godzin uwagi, osiem godzin odpoczynku i snu i znowu osiem godzin uwagi. Dzień polarny sprawił, że dobowy rytm dnia i nocy zatarł się zupełnie, czas podzielił się na ośmiogodzinne odcinki.

Dwa razy uruchomiłem telefon satelitarny i napisałem do kogo trzeba esemesa z wiadomością, że żyję, płynę przez Morze Barentsa na pokładzie s/y „Isbjørn", możecie ją wyszukać przez AIS, ale jeszcze nie wiem, kiedy wrócę. Nie martwcie się. Wyłączyłem telefon, zanim ktokolwiek zdążył do mnie oddzwonić. Czułem się jak najgorszy człowiek świata i sądzę dziś, że słusznie. Nie wierzę w Boga, od dawna nie jest mi po drodze z Kościołem katolickim, wierzę jednak w grzech i to, co zrobiłem, znikając na tak długo,

było grzechem, wielkim grzechem, a grzechów nie można odkupić. Nie ma odkupienia, jest za to kara. Nie wiem, w jakiej formie ta kara mnie spotka, ale spotkać mnie musi.

Nie myślałem o tym wtedy, nie tak, jak myślę teraz, trzy lata później. Nagłe przyspieszenie historii, zaraza i wojna sprawiły, że zbladł tamten mój wybryk.

Tak czy inaczej, w końcu jednak skończyłem czytać i przepisywać notes Konrada Widucha.

Akurat niedługo mieliśmy zmienić się wachtami, Borghild czuwała w kokpicie, wyglądając kry, mieliśmy jakieś dwadzieścia węzłów wiatru, lądu nie widzieliśmy od pięciu dni, kiedy zostawiliśmy za sobą Hopen. Pogoda była stabilna, prognozy dobre, lodu niewiele, akurat tyle, że nie trzeba było między krą kluczyć, szukać drogi, wystarczyło wypatrywać z daleka i delikatnie korygować kurs o kilka stopni, żeby uniknąć kolizji. Znajdowałem w tym nawet pewną przyjemność i perspektywa wachty za sterem mnie nie przerażała, zwłaszcza że w takich warunkach zmienialiśmy się co cztery godziny. Do snu na raty przyzwyczaiłem się szybko i chociaż bezsenność była wtedy moją bliską przyjaciółką od wielu już lat, to porzuciła mnie, kiedy tylko wypłynęliśmy z Borghild z Longyearbyen. System wachtowy, skupienie na rytmie pracy i odpoczynku, zmęczenie robotą na pokładzie sprawiają, że po prostu się śpi, niezależnie od stanu morza, najwyżej trzeba się w koi zapiąć pasami, aby nie wylecieć.

Temperatura utrzymywała się stabilnie powyżej zera, zerknąłem na termometr, pokazywał trzy stopnie Celsjusza, ale dwadzieścia węzłów wiatru powodowało, że wychłodzenie przychodziło o wiele szybciej, niż wskazywałby termometr, założyłem więc pod polar norweski sweter, który kupiłem w Longyear z myślą o długich polarnych wachtach, dwie pary wełnianych kalesonów, grube skarpety, na to sztormiak i kalosze z pianki eva, na sztormiak kamizelkę pneumatyczną z uprzężą bezpieczeństwa i jeszcze rękawice.

Tak odziany wyszedłem do kokpitu, nalewając z termosu dwa kubki gorącej herbaty. Borghild uśmiechnęła się spod kaptura i wełnianej czapki. Szliśmy półwiatrem, w kokpicie było sucho.

– Skończyłem czytać i chciałbym porozmawiać – powiedziałem do Borghild, podając jej herbatę.

Pokiwała głową.

– Przejmij tylko wachtę, dobrze?

Przejąłem. Borghild usiadła plecami do dziobu, pod szprycbudą, opierając się plecami o ścianę kabiny. Ogrzewała dłonie o blaszany kubek z gorącym napojem.

– Skoro skończyłeś czytać, a widziałam, że czytasz uważnie, to zapewne chcesz mnie zapytać, czy jestem córką Konrada Widucha – uśmiechnęła się znowu.

Rozmawialiśmy po angielsku.

– Nie, chciałem raczej zapytać, ile z tych zapisków to konfabulacja, czy jest w nich ziarno prawdy, czy to raczej zupełne zmyślenie. I kim naprawdę jest autor?

Borghild spoważniała, milczała chwilę, zastanawiała się.

– Nie odpowiem ci na to pytanie, bo żadna odpowiedź nie będzie dobra – powiedziała w końcu powoli, nie patrząc na mnie. – W żadną nie uwierzysz. Więc to już musisz sobie, mój drogi, sam rozstrzygnąć. Ale jeśli chcesz dalej o tym ze mną rozmawiać, to musisz założyć, że to naprawdę dziennik Konrada Widucha i że pisze on tam prawdę, przynajmniej na ile potrafił. Inaczej ta rozmowa nie ma sensu. A jeśli ta rozmowa nie ma sensu, to i nasze żeglowanie tu sensu nie ma. Nie mówię o tym z obrazą, nie urazi mnie twoja niewiara ani nie sprawi mi przykrości. Rozumiem ją. Cieszę się z czasu, który razem spędziliśmy. Ale płynąć dalej nie ma po co. Zawrócimy zaraz i za dziesięć dni, może za dwa tygodnie, najdalej za trzy, to zależy od morza, będziemy w Tromsø. Wrócisz do swojego życia.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, i nie wiedziałem, co myśleć o zapiskach Widucha, nie wiedziałem, czy chcę płynąć dalej. Zbyt długo już uciekałem od swojego życia. Wszystko we mnie mówiło: wracaj, idioto. To i tak jeszcze dwa tygodnie potrwa. Już się napływałeś za wszystkie czasy, za wszystkie czasy wymarzłeś na tych arktycznych wachtach, masz już dość.

To prawda. Miałem dość. Zimna, stalowoszarych morza i nieba, samotności, bo przecież z Borghild mijaliśmy się tylko, w tej dziwnej relacji ni to zażyłej, ni to na dystans. Dość miałem liofilizowanego jedzenia, morskiej soli, wszystkiego. Tęskniłem do bliskich mi ludzi.

– Powiedzmy więc, że wierzę. I chcę płynąć dalej, gdziekolwiek by to było – usłyszałem słowa, które padły z moich ust, i od razu wiedziałem, że padły nieodwołalnie, czułem jednak, jakbym to nie ja je wymawiał, jakby to mój grzech mówił przeze mnie, nie ja. Ja nawet nie chciałem tego powiedzieć. Chciałem powiedzieć: wracajmy. To nieważne, czy wierzę, czy nie, ale wracajmy. Moi synowie mają tylko dwanaście i osiem lat, już zbyt długo mnie przy nich nie ma. Wracajmy. Moje usta powiedziały jednak co innego.

Tanie i niemądre usprawiedliwienie. To nie ja mówię, to moje usta mówią. Nawet dziś, trzy lata później, ciągle mi wstyd. Tak czy inaczej, powiedziałem, że chcę płynąć dalej, i popłynęliśmy.

– Dobrze. Możesz więc pytać, tylko trzymaj ją na kursie. Steady as she goes.

Trzymałem więc kurs, a w zasadzie trzymał go autopilot, ja tylko stałem z lornetką, wyglądając kry.

– Jesteś córką Konrada Widucha? – zapytałem w końcu.

– Jestem. Kiedy się urodziłam, rodzice nazwali mnie Ninel Widuch. Po rosyjsku tak się to pisze… – Borghild wyjęła z kieszeni na udzie sztormiaka notes i marker, nakreśliła litery: Нинель Видух.

– Czyli wszystkim się udało – powiedziałem.

– Wszystkim?

– Twojej matce się udało uciec z Sowietów w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. I Dużemu się udało, wbrew temu, co sądził Widuch. Udało mu się przeżyć i znaleźć twoją matkę. Stąd masz ten dziennik.

– Mój ojciec pisał ten dziennik już po odejściu Dużego. Więc nie, nie od niego mam ten notes.

Zamilkłem, zawstydzony własną głupotą, a potem nagle poruszony zapytałem:

– Skąd więc masz dziennik?

– Odnalazłam s/y „Invincible”. Ale może po kolei. Studiowałam marine biology na Uniwersytecie w Portsmouth, tam też zrobiłam moje PhD, wyspecjalizowałam się w badaniach fitoplanktonu morskiego, przeniosłam się do Oslo, po czym porzuciłam karierę naukową i zajęłam się zarabianiem pieniędzy…

– Wybacz, Borghild, ale to nie jest po kolei – przerwałem jej trochę roztargnionym tonem, nie odrywając lornetki od oczu. Daleko na kursie widziałem już białozielone plamy lodu.

– Co masz na myśli?

– Powinnaś chyba zacząć od tego, jak twojej matce udało się uciec z Murmańska?

– Nie udało się.

– Jak to? – nie zrozumiałem.

– Ach. No dobrze. No więc, o ile mi wiadomo, to zaczęło się mniej więcej tak, jak pisze Widuch. Wsiadła ze mną i z moją siostrą na łódź motorową skradzioną z rybackiego sowchozu i popłynęła, nocą, z ręcznym kompasem, bez mapy. Ale podobno znała te wody, pływała tam z ojcem jeszcze jako dziecko. W każdym razie nigdy nie znaleziono ani jej, ani mojej siostry. Tylko ja przeżyłam. Łódź znaleźli rybacy, na szczęście norwescy.

– I nie wiesz, co się z nimi stało, z Sofie i Wileną?

– Nikt nie wie. Może je zmyło? Ale łódź nie była zalana wodą i pogoda nie była ciężka. Może moja siostra wypadła, a matka niemądrze skoczyła za nią? W to trudno mi uwierzyć, że zostawiłaby mnie, żeby ratować moją siostrę, skoro przecież nie miała szans wyłowić jej z wody i wspiąć się z nią sama na łódź. To była solidna łódź rybacka, z wysoką burtą, widziałam zdjęcia. Więc nie wiadomo. Kiedy znaleźli mnie rybacy, silnik ciągle chodził, na jałowym biegu. Na łodzi były dokumenty, dlatego kiedy oddano mnie do sierocińca, to było jasne, kim jestem i skąd się na łodzi wzięłam. Zmienili mi tylko imię, na Borghild. A kiedy miałam dwadzieścia lat, studiowałam już wtedy w Portsmouth, odnalazł mnie Yann-Ber.

– Yann-Ber?

– Tak się nazywał Duży. Yann-Ber Hemon. W Irlandii zmienił pisownię imienia i nazwiska z francuskiej na bretońską.

– Więc przeżył – głupio stwierdziłem oczywistość, wyłączyłem autopilota i ręcznie, delikatnie odpadając od wiatru, ominąłem nielichą górę lodową, której rozmiary i kształt dowodziły, że oderwała się od lodowca, nie pochodziła z morza.

– Przeżył – po chwili odpowiedziała Borghild. – Szedł długo po lodzie, zbliżył się do lądu, ale nie mógł się na ląd dostać, bo na płyciznach otworzy-

ły się już kanały wolnej wody, szedł dalej wzdłuż granicy lodu, na zachód, i w końcu znalazł go radziecki lodołamacz „Krasin".

– I tak po prostu wypuścili go z Sowietów? – zdziwiłem się.

– Nie wypuścili. Aresztowali, przesłuchiwali przez pół roku i w końcu zamknęli w łagrze jako amerykańskiego szpiega. Wypuścili go dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym, wymienili na sowieckich szpiegów.

– Wymienili?

– No, w przeciwieństwie do Widucha i dziesiątek czy setek tysięcy innych wsadzonych z tym zarzutem, zdaje się, że Yann-Ber rzeczywiście był szpiegiem. Tak przynajmniej powiedział mi przed śmiercią. Oczywiście listu od ojca mi nie przywiózł, nie mógł, ale nauczył się go na pamięć.

– No i niby dla kogo szpiegował, bo przecież nie dla Irlandczyków...?

– Nie wiem. Wiele nie rozmawialiśmy. Pewnie dla USA. W czasie wojny służył w Bezen Perrot, bretońskiej jednostce Waffen-SS, potem razem z Olierem, czyli Małym, uciekli z dowódcą Bezen Perrot do Irlandii. Tam musiał ich ktoś zwerbować, kupić „Invincible" i wysłać na ten niemożliwy rejs. Amerykanie, może za pośrednictwem Gehlena, tego to się już nie dowiemy. Wiesz kto to był Gehlen?

Pokiwałem tylko głową, milczałem, próbowałem przeprocesować nawał informacji, które z nagłą, niespodziewaną otwartością dawała mi Borghild, jakbym dopiero przeczytawszy notes Widucha, na nie zasłużył.

Wiało i wiatr powoli się wzmagał. Wiatromierz pokazywał już stałe dwadzieścia pięć węzłów.

– To nie jest przecież niemożliwy rejs – powiedziałem w końcu. – W dwa tysiące drugim Eric Brossier przepłynął całe Northeast Passage w jednym sezonie.

– Siedemdziesiąt lat temu to wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Zwłaszcza jachty wyglądały inaczej, nie masz co porównywać drewnianego „Invincible" z s/y „Vagabond" Brossiera albo z moją „Isbjørn", zupełnie inne poziomy autonomiczności, pojemność zbiorników, generatory, odsalarki, chociaż moja „Isbjørn" nie nadaje się do wmarzania w lód, mogłoby urwać płetwę. A to, co budowano siedemdziesiąt lat temu...

– No a „Fram" Nansena? – przerwałem jej.

– Inna skala. W każdym razie siedemdziesiąt lat temu nawet Brossier na „Vagabond" nie przepłynąłby tego w jednym sezonie. Inne warunki lodowe.

– No to przepłynęliby w dwa sezony. Widuch pisał, że „Invincible" była przygotowana do przezimowania w lodzie. Zapasy i w ogóle.

Borghild wzruszyła tylko ramionami.

Milczeliśmy.

– Wiatr się wzmaga – powiedziałem w końcu i natychmiast poczułem się głupio, przecież widziała wskaźniki Tridata tak samo jak ja.

– Niż idzie. Będzie sztorm.

– Ale prognozy były dobre przecież – zdziwiłem się.

Rozłożyła tylko ręce.

– Pójdę już spać, Szczepan. Jestem zmęczona.

– Poczekaj. Opowiedz mi, jak znalazłaś „Invincible".

– Kiedy indziej – uśmiechnęła się.

– Jak wolisz, dobrze. Chcesz spać, to idź. Ale jedno nie daje mi spokoju. Jak to możliwe, że spotykasz mnie przypadkiem w barze w Pyramiden na siedemdziesiątym ósmym równoleżniku, wręczasz mi notes swojego ojca i nagle okazuje się, że pochodził z Pilchowic. Przecież ja pochodzę z Pilchowic.

– Jak to? Niemożliwe! Co za zbieg okoliczności! – zdziwiła się sztucznie i uśmiechnęła się do mnie figlarnie. Nie była dobrą aktorką, ale też nie bardzo próbowała. Miałem pewność, że niczego więcej już wtedy od niej się nie dowiem.

Zeszła pod pokład, a ja zostałem za sterem. Dwie godziny później wiało już trzydzieści pięć węzłów, fale miały jakieś pięć metrów wysokości i sto metrów okresu, „Isbjørn" robiła osiem węzłów, ja wziąłem cynaryzynę, żeby uchronić się przed skutkami choroby morskiej, zarefowałem żagle, jeszcze staranniej niż zwykle wpinając się do lajfliny i odpadłem do baksztagu, żeby nie być bokiem do rosnącej fali. Sterowałem tak, jak pamiętałem, że powinienem, chociaż sztormowych doświadczeń mam niewiele, więc idąc baksztagiem, ostrzyłem pod górę fali, dochodząc do półwiatru i odpadałem, schodząc, ale nie szło mi to za dobrze na początku, dopiero

po jakimś czasie wyczułem okres fali i reaktywność jachtu i „Isbjørn" w moich rękach nabrała lekkości, gdy unosiła rufę na doganiającej mnie fali, po czym zsuwała się z niej gładko.

Po czterech godzinach byłem wyczerpany. Gdy Borghild wyszła, aby zmienić mnie przy sterze, nawet nie miałem siły się ucieszyć, zmęczony i nieco otumaniony lekiem na chorobę morską.

– Na koi położyłam ci coś do czytania, ale z lekturą poczekaj do jutra, aż się uspokoi – powiedziała.

Mruknąłem coś w odpowiedzi chyba niezbyt grzecznie, zszedłem do kabiny, na mojej koi leżał gruby, zbindowany wydruk, czy raczej kserokopia zapisków znanym mi charakterem pisma Konrada Widucha poczynionych, byłem jednak tak zmęczony, że nie miałem ochoty nawet doń zajrzeć. Położyłem się spać, spałem snem czarnym, pozbawionym marzeń, i alarm, który zbudził mnie po trzech godzinach i trzech kwadransach snu, był wyjątkowo bolesny. Wstałem jednak, klnąc pod nosem morze, Arktykę, „Isbjørn", Borghild i przede wszystkim siebie samego, starego idiotę, po czym postawiłem wodę na kawę, kuchenka mocno pracowała na kardanie, przegryzłem coś na szybko, zalałem rozpuszczalną kawę wrzątkiem i wyszedłem na wachtę.

Wiatr zelżał, było może dwadzieścia węzłów.

– Do wieczora się uspokoi – powiedziała Borghild. – Uciekliśmy z niżu.

Kiwnąłem tylko głową, stanąłem za sterem.

Do wieczora się uspokoiło, z naszego kursu, wywiana sztormem, zniknęła kra. Na kolejnej wachcie usiadłem już w sterówce i zacząłem czytać. W wypadku pierwszych zapisków miałem w rękach oprawny w skórę notes, obcowałem więc z konkretnym przedmiotem, z jego wagą, pożółkłym papierem i śladem ołówka. Tutaj – zbindowana kserokopia. Czy dalej wierzę, że historia, którą opowiada, jest historią prawdziwą…?

Wtedy, latem 2019 roku, podczas lektury bardzo w to wątpiłem. Miałem nawet wrażenie, że jestem obiektem jakiejś wymyślnej prowokacji, że na „Isbjørn" zamontowane są ukryte kamery, Borghild zaś jest podstawioną aktorką, i gdy tylko złapiemy zasięg telefonii komórkowej, w moim telefonie pojawi się e-mail, w którym producent telewizyjnego programu przeprosi mnie za to, że padłem ofiarą tego żartu, i zaproponuje honorarium –

jeśli zgodzę się na udostępnienie mojego wizerunku. Następnie zaś uznawałem samego siebie za szaleńca, paranoika, który w spiskach znajduje lekarstwo przeciwko własnej dysocjacji.

Teraz nie jestem już taki pewien.

DRUGI NOTES KONRADA WIDUCHA

7 LIPCA 1946

Myślał ja, że już tak i pisania nie będzie, bo się skończył notes, ale tak i proszę, jednak piszę ja, niech to szlag trafi nagły, lśniący i morderczy, niech to wszystko spłonie, spoli sie do imentu wszystko.

Ale piszę.

Nic lepszego do roboty tu ja nie mam, to i piszę. Dzisiaj niedziela, Dzień Pański.

Jak moja mamulka żyją, to na pewno na sumie byli w pilchowickiem kościele, wystali swoje, bo w ławce się usiąść nie ośmielali, ławki nie dla takich jak mamulka ody mie, a potem już pewnie z kryką szli se powoli do dom. A zresztą co ja tam wiem, co z nią i u niej, jakie to ma znaczenie. Pewnie już nie żyją, taka wiejska biedota jak mamulka ody mie to długo nie żyją.

Znalazł ja wczoraj pusty dziennik pokładowy, z tabelą, jak przystało, opisany po angielsku, i tutaj będę sobie w niem pisał, chociaż oczywiście nie wygląda to tak elegancko jak w tem zeszycie, któren dostał ja od Dużego.

Ale będę, moja czytelniczko nieistniejąca, bo tak się mi podoba.

No bardzo się cieszę, Konradzie Wilgelmowiczu, bardzo.

Brakowało mi tego pisania przez tych pięć dni, com nie pisał. Myślę sobie, że jeno to pisanie jeszcze trzyma mnie przy zmysłach zdrowych, chociaż ta konstatacja – piękne słowo, konstatacja, prawda? – opiera się na założeniu optymistycznem, że ja tych zmysłów dawno już nie postradał. Bo czasem nie wiem, czy piszę, czy raczej mówię sam do siebie, albo do czytelniczki nieistniejącej. Konradzie Widuchu, Widuchu-najduchu, jak można mówić do kogoś, kto nie istnieje? Czyżbyś miał jednak nadzieję, że ktoś kiedyś te zapiski odnajdzie? Że będziesz leżał sobie gdzieś, trup zetlały, zmumifikowany jak on mamut, com go w sendusze, w zmarzlinie naszedł,

więc tak będę leżał, a w mych dłoniach te oto notesy, ten pierwszy w skórę pięknie oprawny i ten tutaj, w okładkach z czerwonego płótna, z wytłoczonym napisem „LOG BOOK", w którem piszę, nie zważając na podziały tabel, gdzie powinny znaleźć się pozycja, kurs, prędkość, więc tak będę leżał, na wpół zjedzon przez lisy, obgryzion, z resztkami brązowej skóry opinającej moje gnaty, i ktoś mnie najdzie, rozchyli moje palce, dziwując się, jak ich ja niewiele posiadał, i wyjmie z nich te notesy, które się znakomicie zachowają, i pozna z nich prawdę o Konradzie Widuchu, dowie się, że ja istniał, żył, chodził po tej nieszczęsnej ziemi i wiele grzechów popełnił, i wiele, jakże wiele, podjął złych decyzji.

A to przecież niemożliwe. Po pierwsze, jak wyście to, Konradzie Wilgelmowiczu, sobie pridumali, że w tych tu kajetach jakakolwiek się prawda o was zawiera?

No jakaś się zawiera, niech będzie, ale czy kto w ogóle sam o sobie prawdę może powiedzieć, pomyśleć? A skądże. Najmniej o sobie samym człowiek sam wie. Bliźni wiedzą więcej. Więcej prawdy by o mnie może i na ten przykład Duży opowiedział niż ja sam.

Po drugie zaś, Widuchu-kopruchu, nikt tych notesów nie najdzie, nikagda. Wszystko szlag trafi, jasny, lśniący, okrutny. Piszecie sobie na pociechę, a i jaka z tego pociecha...

Lepiej by wam było nie pisać, ale piszecie, no to se już piszcie.

Połynia, w której „Invincible" tkwi, ciągle się nie otwarła na tyle, aby ja mógł popłynąć. Może już się nie otworzyć nigdy, kto wie. Otwierają się nowe kanały, pcham się tam ciekaw, diesla marnuję, bo tak pod żaglami to nie bardzo mi idzie między tą krą, i potem się cofać muszę, bo się robi zbyt gęsto, kry napierają, kadłub trzeszczy, a przecie jak mi poszycie pęknie, to czy i załatam? Mam kliny, mam pompy, ale dwie ręce mam jeno, i to niekompletne, na ciesiołce coś tam się znam, ale ja jednak przecie raczej przez całe życie z pancerną płytą obcował, szwajsować umiem, nitować umiem dużo lepiej niż z drewnem.

No i tak się cofam, na wstecznym, chociaż „Invincible" na wstecznym biegu wcale dobrej sterowności nie ma i w końcu należałoby może już się przestać łudzić, diesla marnować... Jak się motor zepsuje, to naprawię, to potrafię, ale pustego baku magicznie nie wypełnię, żaden ze mnie Pan Jezus, żeby paliwo wyczarować.

No i tak to wygląda tutaj. Może więc powinien ja wrócić do tego, jak ja z Ljubow i Gabaidzem na wybrzeżu Arktycznego Oceanu zimował, w szałasie własnoręcznie zbudowanym, jedząc mięso końskie spod ziemi wykopane?

Niechętnie wracam do tych chwil, trzeba jednak o nich napisać, chociaż parę słów, dla porządku, dla sumienności jakiejś. Mięso końskie schowalimy więc do jamy, zjedlimy wątroby, większość na surowo, trochę podsmażając na kamieniu rozżarzonym, i co było robić dalej? Pamiętam, jak ten polarnik z „Czeluskina" mnie gadał: w Arktyce najważniejsza cierpliwość. Nic innego. Czasem potrzebny też pośpiech, ale nawet w pośpiechu trzeba być cierpliwym. Rozumiesz ty? Jak zaczajasz się na fokę. Albo jak urządzasz nodię. Jak jesz. Jak pijesz. Jak srasz. Wszystko cierpliwie. Starannie. Wiesz, jak ważne, żeby się wysrać dobrze? Bez tego kiszki nie będą pracować. A jedzenie polarne tłuste, mięsne, wszystko się trawi, nie ma czem kiszek przepchnąć, żadnego włókna niestrawnego, więc tem bardziej trza się postarać porządnie wypróżnić, żeby nic w kiszkach nie zalegało. Bo jak kiszki nie będą dobrze pracować, to człowiek z sił opadnie, odwodni się, więc trzeba jeść powoli, żeby Durchfall nie było, bo jak cię dopadnie, to koniec, odwodnisz się, pić nie nadążysz.

No tak mi gadał.

Czekalimy więc. Dzień, tydzień, miesiąc. Ljubow cierpliwości nie brakowało, miała w sobie ten spokój, ni to spokój, ni rezygnację, obojętność, gotowość na przyjęcie każdego losu bez słowa skargi. Gdyby Ljubow nabić na pal, sterczałaby nabita, i zapytana, jak się ma, odpowiedziałaby, że na początku ciężko, ale można się przyzwyczaić. Gdy się od życia nie oczekuje niczego, to nie sposób się rozczarować, a gdy oczekuje się najgorszego, wtedy każdy dzień, w którem najgorsze nie nadeszło, okazuje się świętem.

Na co to skarżyć się, mówiła, skoro i dach nad głową, i jeść co, i drewno na ogień, a ty mużyk taki stranny, na babę ręki nie podnosisz, to i nawet nic nie boli, skoro bicia nie ma. A czy ty w ogóle chłop, drwiła, skoro ty nie bijesz? A może tak i ci chuj już odpadł od mrozu? Nie zważał ja na te kpiny, a bić ją się ja brzydził.

Gabaidze, stary wor, zapewne też kiedyś nosił w sobie tę obojętność, jak w tym wicu o chłopie białoruskim, co go powiesili, no i on tak wisi, wisi i pytają go, jak się ma, a ten na to, że z początku ciężko, ale można się przy-

zwyczaić. Stąd ja tak o Ljubow napisał. Ten sam wic. Wory takie właśnie. I tak samo on, pozbawiony wzroku i dłoni, dotarł – tak mi się zdawało – do limesu czełowieczestwa własnego i przekroczył go, i znalazł się w miejscu, w którem nie obowiązywały już ludzkie kategorie obojętności czy entuzjazmu, gniewu czy smutku, Gabaidze stał się obcy, jakby spadł z Marsa albo innej gwiazdy i mózg jego, i dusza zjełczała błądzili w innych, czarnych światach, jakby wyli pospołu, albo i śmiali się w czarne niebo, jako że innego oczy wykłute ujrzeć nie mogły.

I takie to było nasze życie w pierwszych miesiącach zimy. Nawet we mnie, czełowieku pasjonarnym, wzrosła jak rak obojętność wobec świata, rozlała się we mnie i wypełniła mnie. Po raz pierwszy w życiu stał się ja cierpliwy i wielcem się tej cierpliwości dziwił. Nie przeszkadzały mi wrzaski, dochodzące z wypełnionego bólem świata Gabaidzego, i to nie dlatego, by się ja cieszył jego karą i pokutą – po prostu ja na nie nie zważał.

Nagle okazało się, że nie mamy wiele do roboty. Jedyne, o co my zadbać musieli, to gromadzenie opału, którego na wybrzeżu było, owszem, pod dostatkiem, jednak wydobycie go spod śniegu w ciemnościach rozświetlanych jeno lampą naftową wymagało sporo wysiłku. Poza tem nic my nie mieli innego do roboty.

Mróz był straszny, chociaż zdaje się, że bliskość morza sprawiała, że mniejszy był niż w tem miejscu, którego nazwy nie chcę tutaj powtarzać. Wykopując spod śniegu przyniesione rzekami albo morskim prądem kłody, odmroził ja sobie czubek nosa, zrobił się on czarny, ale jakoś to się potem, owszem, zagoiło, jakoś powlekło nową skórą, jak wszystkie inne rany w moim ciele i mojej duszy, czemkolwiek ta ostatnia.

Najstraszniejsze, co ja wtedy zrozumiał, w ciemnościach, to że nową, cienką, bliznowaciejącą tkanką obojętności pokrywa się też we mnie ropiejąca wcześniej rana rozłąki z moją żoną i córkami. Nie chciał ja tej rany zabliźnić. Ja chciał, aby ropiała, jątrzyła się, bo ta rana to wszystko, co mi po nich pozostało, mój ból to moja jedyna pamiątka.

A jednak obojętniał ja. Obojętnie patrzył ja na zielone fale zorzy polarnej przewalające się na niebie. Cóż mnie obchodzić mogło ich piękno, skoro nie obchodziło mnie już moje własne ani cudze cierpienie, skoro zniknęły u mnie tęsknota i smutek, jak wszystko inne.

Cała ta ciemność dziś zlewa mi się w jedną noc, noc, w której koniec nie sposób było uwierzyć, której koniec jakby miał już nigdy nie nadejść. Z Ljubow spalimy razem, wtulając się w siebie i razem trzęsąc się pod kocami i niewyprawioną skórą końską ściągniętą ze ściany, no i coś tam było między nami, nie da się ukryć, na ile mi moje męskie przyrodzenie zmarnowane lutlampą miłego starszyny pozwalało, niechże mi moja Sofie wybaczy, ale przecie wiadomo, że i nigdy się już nie zobaczymy, ale i jeszcze nawet nigdy się nie dowiem, czy żyją, czy nie, ona, Wilenka i Ninel. My dla siebie już umarli, ja dla niej też, tak jej ja powiedział ostatniej nocy w naszym murmańskim mieszkaniu, kiedy płakalimy oboje, ja dla ciebie jutro umrę, moja droga, moja kochana, moja dobra, tak ja mówił, a Sofie nie zaprzeczała, umrę dla ciebie, nie zapomnisz o mnie, ale żyj, jakby ja umarł, mówił ja i płakał, moje ciało całym ciężarem w jej ciele, jej nogi i ramiona mnie oplatają, odgarniam włosy z jej twarzy, całuję, umieramy dla siebie, Konrad, mówiła, ale żylimy i mielimy siebie, a to więcej, niż miał ktokolwiek.

Więcej. Kiedyś mielimy więcej, niż miał ktokolwiek, a teraz cóż mam, myślał ja sobie, co to za życie, z tą błatną, która z Gabaidzem też polegała, w ciemnościach słyszał ja go, jak jęczy, gdy go tam gładziła ręką albo i skakała po nim, albo pchała sobie jego głowę między nogi, nawet patrząc na mnie wyzywająco, jeśli akurat lampa się paliła, ale co mi tam, przecież nic mnie nie obchodziła, ani ona, ani on, niechże sobie tam z nim robi, co i jej się podoba, skoro go tam pielęgnuje. Była tem zawiedziona, bo nie była głupia i rozumiała, że po prostu mam ją za nic, czasem mi wymyślała, z głową Gabaidzego między udami, poczekaj ty, syczała, przyjdę, jak zaśniesz, i zarżnę cię jak barana, od ucha do ucha, poczekaj ty, okrutny, bez serca, ale wiedział ja, że nie zarżnie, skoro o tem gada, tacy błatni są, jak chce skrzywdzić, to nie zapowie tego, tylko spadnie jak krogulec na wróbla, znienacka, a jak gada, to gada jeno, nie skrzywdzi.

Zresztą było mi wszystko jedno. Jak ma zarżnąć, to i niech zarzyna. Może i ja któregoś dnia uznam, że już mam dość jej i ją w nocy jakuckim nożem po gardle połechcę? Ale wymyślała dużo, dwóch chłopów, jeden kaleka i mu nie staje wcale, a drugiemu ledwie czasem, dwóch chłopów, a jakby pół było.

No to tyle ja miał, moja droga nieistniejąca czytelniczko, sukę błatną, półtrupa, zdarte z wochrów łupy, końskie mięso i noc.

I trwała ta noc, tydzień albo trzy miesiące, nie wiem ile, zegarek 1ГЧЗ ze Stalinem na cyferblacie dawno przestał działać, nosił ja go tak ot, bo czemu nie, aż w końcu rozbił ja go o kamień, wyszarpując drewno spod śniegu. Była więc po prostu noc i trwała tyle, ile miała trwać.

Bardzo długo trwała i minęła w mgnieniu oka, i przyszedł dzień.

Na początku słońce lizało horyzont od spodu jeno i pluło niebieskofioletową poświatą na półkulę nieboskłonu, rozświetlając niebo na tyle, że na zbieranie drewna na opał nie trzeba było już zabierać lampy, i gdyby miał ja coś do czytania, to mógłby ja już bez lampy czytać, ale do czytania ja nie miał nic. Mróz nie ustępował ani na moment, zamarznięte morze i pokryta śniegiem senducha zlewały się w zastygły we wzburzeniu ocean lodowatej bieli.

Nie było zwierząt. W ciemnościach ich nieobecność nie była widoczna, ale kiedy wróciło pierwsze słońce i tygodniami nie widział ja niczego żywego poza Ljubow i Gabaidzem, chociaż ten był żywy inaczej, zupełnie inaczej, to wtedy ich nieobecność uderzała mnie najbardziej, aż że ja wątpić zaczynał: czy ja li to dalej na Ziemi, czy może los nas na jakąś inną zamarzłą na kość planetę zaniósł, zimną i bezludną?

Potem jednak jako pierwsze pojawiły się białe sowy, ich bezszelestne cienie, kiedy słońce już nie świeciło spod dalekiego horyzontu, ale w końcu wyszło, aby oświetlić naszą marność, i jakże oświetliło, jakimi się ujrzelimy, Ljubow i ja, ludzkie zwierzęta, brudne i kudłate, i pomyślał ja, że tak musieli wyglądać ludzie, gdy byli jeszcze dzicy, tak musieli żyć, że i całą treścią życia było im jeść i spać, i srać, tak jakby człowiek składał się cały z tej długiej, pozawijanej fikuśnie rury, prowadzącej z gęby do rzyci, jakby był niczym więcej niż ślepy dożdiewoj czerw, der Regenwurm, robok ziemię gryzący, i jeno na co, na co wyrosło nam to w głowach, ten zwój ludzki białożółto-krwawy, co się tak rozbryzguje, kiedy zaczepić o czaszkę toporem albo kulą, ten zwój, z którego całe zło wychodzi, strach i gniew, bo czy konie, com je zgładził, bały się kuli, gdy ja im lufę mosina do ucha przykładał? A czy koń drugiego konia wyśle za polarny krąg, żeby kopał zmarzlinę pod lufą wochry, czy koń konia rozstrzela…? No i kto tu głupszy w takiem razie, koń czy człowiek, czy deszczowy czerw…?

Kto głupszy? Wyście głupszy, Konradzie Wilgelmowiczu, bzdury pleciecie, jakoby to zwierzęta miały być od ludzi lepsze. W końcu jeno czełowiek przykłada moralne wartości do świata. Jeno czełowiek nazywa, że coś dobre, a coś złe, i jeden będzie myślał tak, a drugi inaczej w kwestii tego, co dobrym, a co złym nazwać, oczywista rzecz, ale jeno czełowiek to robi. U zwierzęcia nie ma tak. Zwierzę wie jeno jeść, srać i się parzyć, i uciekać.

Zamknij się.

No bo na przykład, jak już słońce wzeszło i gdzieś tam się pojawić musiały jakieś wody otwarte, to nagle pojawiły się niedźwiedzie. I nagle, i od razu dużo, a przez całą zimę jeno raz ślady wielkich łap odbitych ja w śniegu widział. A nagle – czasem i pięć dziennie, samce, mołodziaki, samice ze szczeniętami, te najgorsze, to mołode głupie i bezczelne, a samica ich bronić będzie chociażby nie wiem co.

No i zwąchały moje mięso. Jak – nie wiem, nie pytaj, moja nieistniejąca czytelniczko, nie pytaj. Cicho już bądź, nieszczęsna. Zamknij się. Ja wiem, że był mróz. Ale niedźwiedź i we mrozie mięso wywęszy. Od tego taki on biały jak śnieg, niewidzialny w świetle i w ciemności, żeby wywęszyć. Bez węchu jakby żył? O, z daleka niedźwiedź wywęszy krew albo żywe zwierzę!

Więc zwęszyły.

Wahał się ja, czy należy je raczej odpędzać od tego mojego mięsa, na przykład waleniem w kociołek, czego okazały się bardzo bać, czy raczej zwabiać doń, aby potem zabić, oprawić i zjeść, ale nie miał ja wtedy jeszcze żadnego doświadczenia z białym niedźwiedziem, zresztą z żadnem innem też nie, więc ze strachu po prostu uznał ja, sam strachliwy Widuch-najduch, Widuch-srajduch, że lepiej będzie odstraszać, aby nie marnować kul tak drogocennych.

Więc trzymalimy warty, wyglądali, a jak się pokazywały gdzieś, to bieglimy z Ljubow, wintowki na plecach owszem, ale w dłoniach orużje straszniejsze, kociołek i łyżka, którą w ten kociołek walił ja, no i zwykle, tchórzliwe takie, uciekały, a naszej kotłowej muzyce pięknie towarzyszyło wycie Gabaidzego, któren nie bał się już niczego, a walenia w kocioł się bał tak samo jak niedźwiedzie, taki był.

Potem raz przyszedł jeden wielki i gruby samiec, co się naszej kociej muzyki nie przestraszył wcale. Może się już poznał z ludźmi, może już miał do

czynienia i wiedział, że hałas żadnej krzywdy nie czyni, więc szedł spokojnie, człapał sobie bez pośpiechu, aż się doczłapał i zaczął kopać. Postanowił ja go zastrzelić. Ja pierwszy raz do niedźwiedzia strzelał, pierwszy raz go widział z tak bliska. Tak i ja wycelował, strzelił i nie trafił. Z dwudziestu sążni chybił ja niedźwiedzia, a jemu się strzał nie spodobał, może już do niego strzelano, więc najpierw wspiął się na tylne łapy, kiedy ja karabiner próbował zarepetować, ale zamka nie sposób było ruszyć, tak to czasem z mosinem, że trzeba rączkę zamka siekiery obuchem potraktować, żeby się otworzyła, niedźwiedź przyjrzał się mi, idiocie, uważnie, po czem ciężko opadł z powrotem na przednie i ruszył na mnie, jak pocisk wystrzelony z armaty, nagłym przyspieszeniem, ja dalej szarpał zamek jak mołodzian chwosta pod pierzyną i byłoby po mnie, gdyby w ostatniej chwili nie strzeliła Ljubow, trafiając go z boku pod łopatkę, trafiony potknął się, zarył łbem w śnieg, przekoziołkował, ja w tem czasie oparł kolbę o ziemię i kopnął rączkę zamka butem, aż odskoczyła, niedźwiedź już się podnosił, mosin Ljubow szczęknął zamkiem, strzeliła, trafiła ponownie, niedźwiedź znieruchomiał i dopiero wtedy ja zdołał podnieść swój do ramienia i głupio kulę zmarnować, martwemu niedźwiedziowi z bliska w łeb strzelając.

Ech, Widuchu-najduchu, zawsze na idiotę wyjść zdołacie.

Po czemuś nie trafił, durny, głupio Ljubow zapytała, a ja nie wiedział po czemu, póki nie spojrzał ja na swój celownik – szczerbinę miał ja ustawioną na cyfrze dwanaście, oznaczającej tysiąc dwieście arszynów, na plecach musiała mi się przesunąć, więc nie dziw, że celując do niedźwiedzia o piętnaście sążni odległego kulę posłał ja nad nim.

Ale może po prostu ręce mi się trzęsły, głupiemu.

Ljubow chciała się dać od razu do wątroby, i już kozikiem coś tam w niedźwiedzim brzuchu gmerała, no bo to też wiadomo, że nic lepszego na świeżo w zwierzęciu nie ma, ale ja sobie przypomniał, co mi mówił wspominany już w poprzednim, prawdziwym zeszycie polarnik z „Czeluskina", że wątroby niedźwiedziej nielzia jeść, bo trująca, nawet żeby psom nie dawać, a od razu do morza wyrzucić.

Morza tu nie było, ale powiedział ja to Ljubow, jednak mnie nie posłuchała, dokopała się tem kozikiem swojem do wątroby i zaczęła ją jeść, i powiedziała, że skoro ja nie chcę, to zeżre całą i w ciągu trzech dni zeżarła, owszem, no i przyszło mi się naocznie przekonać, że polarnik rację miał,

skoro najpierw zaczęła rzygać, potem straciła przytomność i leżała, drgając, jakby ją poraziło, potem odzyskiwała przytomność, raziło ją światło, kiedy wpadało przez drzwiczki naszej chatynki, i uciekała przed nim jak upiór, krzycząc, że niedźwiedź był złym duchem i ją przeklął, a potem wyzdrowiała i znowu wróciła do opieki nad Gabaidzem, któren podczas jej choroby był zdany na samego siebie w kwestiach osobistej higieny, więc żreć mu ja nie dawał wcale, aby siebie i naszego domu nie spaskudził, bo też sam mu ja matkować nie zamierzał, bo co, będę ja dorosłemu chłopu dupę podcierał dlatego jeno, że ja mu wcześniej dłonie odrąbał?

Za profesora należało mu się. I chuj z nim i jemu na grób.

Miesiąc później inny niedźwiedź wszedł nam do naszego schronienia, gdymy spali, rozbił drzwi i nieszczęsnego Gabaidzego, chcąc wyciągnąć go niczym fokę z przerębla, poranił w nogi, acz niegroźnie, poszło nam pięć kul, zanim niedźwiedź padł, i był to drugi niedźwiedź, jakiego zabilimy, i znowu my jedli świeże mięso, potem do truchła niedźwiedziego przyszła samica z mołodymi i go żarły, starannie z sadła obierając, bo tłusty był, ja nie strzelał ich, bo kuli żal, potem zaś, z pustki i ciszy, nagle pojawili się mołodzi wilkowie, pojawili się, gdymy spali, przycupnęli na zboczu przed naszą chatą, tak żeby ich było widać, i tak sobie czekali, aż wyjdziemy.

Trafiło tak, że pierwszy wyszedł Gabaidze, za potrzebą, a Ljubow za nim, aby dopomóc mu w wiadomej czynności, aby zbytnio nie śmierdziało, ja spał, i nagle Ljubow mnie budzi, sama w chatce naszej, bez Gabaidzego, i mówi, że wilcy przyszli, że się gapią i że one dziwne jakieś, ci wilkowie.

Wzięlimy więc oboje triochliniejki i powoli wyszlimy przed chatę, jeno po to, aby zobaczyć wilków otaczających Gabaidzego, stojących na dwóch nogach zupełnie ludzkich, albowiem byli to ludzie.

Wtedy pierwszy raz zobaczył ja Ljaudīs. Tak samych siebie nazywali mieszkańcy Chołodu. Chociaż ci, których wtedy ja zobaczył, stanowili pewną specjalną ich kategorię, ale nie uprzedzajcie faktów, Konradzie Wilgelmowiczu!

Zamknij się.

Było ich więc kilkunastu, może dwudziestu, sami mołodzi mężczyźni, dobrze zbudowani, dobrze odżywieni, co stwierdzić mógł ja łatwo, bo

odziani byli jedynie w wilcze skóry, z pyskami tak wypreparowanymi, że sterczały nad czołami, i z resztą białosiwego futra spływającego na plecy.

Musiał to być któryś z pierwszych ciepłych dni, więc zapewne czerwiec, nie pamiętam, ale na pewno musiała też być odwilż, bo w mrozach nago by nie wytrzymali przecież. Tem niemniej ciepły dzień oznaczał jakieś pięć stopni Celsujsza, a ci stali nadzy, nie zakrywszy nawet niczego w kroku, ciała i twarze wysmarowane mieli na czarno jakąś gęstą, tłustą pastą, którą, jak się ja potem dowiedział, sporządzali z wilczego sadła wymieszanego z roztartym w kamiennych moździerzach węglem drzewnym, i wyglądali w ostrym świetle polarnego słońca jak diabły, ewentualnie banda idiotów.

Niestety ta banda idiotów była zbrojna. Dwóch ściskało w ręce berdanki, i gdzie schowali dodatkowe patrony, to nawet nie chcę myśleć, jeden miał jakąś fuzję starożytną z zamkiem skałkowym, reszta zaś zbrojna była w chołodne orużje: włócznie z dużymi grotami w kształcie podłużnego liścia, topory i coś na kształt mieczy, w których głowniach łatwo ja rozpoznał złatouskie szable, oprawy były jednak zupełnie inne, nieprzypominające szaszek kozackich ani dragońskich, ani tych opraw w zapadnim sposobie, huzarskim. Niektórzy w lewicach jeszcze okrągłe tarcze dzierżyli, też z morsiej skóry przyszykowane.

Jeden spośród nich jeno był inny. Nie był nagi ani nie nosił na głowie wilczej skóry, miał porządną i zdobną, lekką malicę, nogawice z renifera, a na niej zbroję z pasów twardej i grubej skóry morsa, ułożonych tak jak w rzymskiej lorica segmentata, na które jeszcze naszyto w pionie gęsto kościane lamele z reniferzych łopatek, nieduże, szerokie na dwa palce, długie na dłoń. Na głowie nosił hełm też z morsiej skóry wyłożonej kościanymi płytkami, kształtem przypominający nasze budionówki, szpiczasty, z wiechciem białych piór na czubku i z osłonami policzków związanymi pod brodą, która kiedyś pewnie ciemnoruda, lecz dziś posiwiała, spod tego szłomu się wylewała, sięgając do piersi. Na plecach zaś i na ramionach niósł coś pośredniego między naramiennikiem a pawężem, duży parawan ze skóry, wzmocniony kościanym stelażem, wystający aż ponad głowę i paskami przypięty do ramion trochę powyżej łokci, tak by wraz z ruchami rąk zwijał się i rozwijał. W dłoni miał berdankę, a przy pasie ciężki, prosty miecz, z oprawą przypominającą te starożytne miecze i szable, com je widział w Ermitażu, gdymy go z Sofie zwiedzali w naszych najlepszych cza-

sach, za NEP-u, jakeśmy do Leningradu na wycieczkę pojechali. Obok miecza za pasem zatknął stary, łamany rewolwer, jeden z tych, co w carskiej armii używali przed naganami, a jakie jeszcze w pierwszych latach rewolucji czasem ja widywał, w zakrywającej zaś rękojeść pochwie po prawej stronie pasa zwisał duży jakucki nóż.

Zbroja, którą nosił, przypominała zbroje czukockie lub jukagirskie czy eskimoskie i dlatego pomyślał ja sobie w pierwszym momencie, że muszą to być właśnie Czukcze jacyś albo inni Jakuci, gdzieżby tam ja, Konrad Wilgelmowicz Widuch, odróżniał tych syberyjskich dziwaków.

No dobrze, trochę ja odróżniał, tak się jeno kryguję niemądrze, tak, tak, wiem, moja droga nieistniejąca czytelniczko, taka to poza, że niby Konrad Wilgelmowicz taki głupi i już. Prawda taka, że wiem doskonale, czem się te wostoczne, syberyjskie ludy różnią, odróżniam nawet Ewenka od Jukagira czy Czukczy, trochę się książek czytało, za NEP-u szczególnie, kiedy Sofie powoli robiła ze mnie człowieka, a ja też, powróciwszy z Azji, gdziem na przykład te zbroje Czukczów widział, nabrał zainteresowań różnych, bo mnie ci nieszczęśnicy, gnębieni na równi przez carat, jak i Rosyję bolszewicką, dziwnym sentymentem interesowali. W każdem razie tak sobie pomyślał ja w chwili pierwszej i nie powiem, zdjął mnie strach, bo wiedział ja, że Jakuci to takich zbiegów jak ja albo na miejscu zabijali, albo odstawiali władzom w nadziei na nagrodę. Co robili ze zbiegami Czukcze, to ja pewien nie był, ale wory mawiali, że Czukcze nadziewają człowieka na długi rożen, po czem pieką żywcem nad ogniem, co oczywiście było zwykłym, głupim błatnym gadaniem.

Potem jednak, po sekundzie wręcz, ja uznał, że ci tam wilcy na czarno wymalowani wcale nie przypominali ani Czukczy, ani Ewenka, ani Jukagira, ani Jakuta.

Zbyt rośli byli, mnie nawet wzrostem przewyższając, a ja przecie niemały, mamulka zawsze się śmiali, co mnie do grenadierów wziąć powinni. Byli więc rośli, nad oczami fałdę mongolską mieli owszem, ale nie tak wydatną jak u wspomnianych, same zaś głaza niebieskiego koloru, brody gęste i kędzierzawe, porastające też policzki, nie jak tych parę czarnych, prostych jak druty włosów na podbródkach i wokół ust u paleoazjatów, albowiem tak się Jukagir albo Czukcza u akademików nazywają, o tem mówił mi w zonie pewien kandydat nauk, z zawodu entograf. Poza tem czy to

ktoś słyszał, żeby Czukcze, Ewenkowie czy Ewenowie biegali półnadzy, wysmarowani na czarno sadzą, z wilczymi skórami na głowie?

No ale może to teraz jeno tak plotę trzy po trzy? Pleciecie, Widuchu-najduchu, jak zwykle, żeby wielosłowiem zaklajstrować, zakryć to, co ważne i prawdziwe, tylko byś gębą klepał albo pisał w tem dzienniczku pokładowym, byle załatać tę dziurę, przez którą wlewa się w ciebie strach, jak się w drewnianym poszyciu statku dziury klinami wypełnia, wbija się je młotem, a morska woda i tak się wdziera, wdziera, wdziera, tak jak w ciebie wdziera się strach, najduchu, że już nigdy z tej połyni nie wypłyniesz.

Tyle razy ja w bezpośredniej bliskości śmierci był, a teraz tak się boję.

Och, zawrzyj pysk.

Wybacz mi tę refleksję, moja nieistniejąca czytelniczko, ale gdybyś jednak już tu dotarła, tobyś już chyba przywykła, że takie dygresyjne to moje pisanie. Gdybyś dotarła, ale nie dotrzesz, bo czy nieistniejący ktoś może gdzie dotrzeć, nieszczęsna? Ja bym chciał jeno, żeby Duży gdzieś dotarł z tem listem mojem, com go do Sofie i moich córek napisał, albo nawet i niechby list utracił, ale niech się pofatyguje do Norwegii, do Vardø, niech jej przynajmniej poszuka…

Ale wracajcie już do historii, Konradzie Wilgelmowiczu, bo oto przecie trójka naszych bohaterów stanęła w obliczu niechybnej śmierci!

No tak się mówi jeno, że niechybnej, bo przecie gdyby ja wtedy umarł, toby tu dzisiaj nie siedział i nie pisał, po tych siedmiu, czy ilu tam latach, sam się dorachować nie umiem.

Do rzeczy, Widuchu!

Trzim pysk!

No to wracam do historii, stoją przed nami ci wilkowie, otaczają nas, ten starszy i ubrany nic nie robi, przygląda się jeno, ale bardziej wilczkom swojem niż nam. Więc zdaje się, żem się wtedy raczej jednak nad ich typem antropologicznym wiele nie zatrzymywał, skoro stało przede mną kilkunastu zbrojnych mołodzieńców, a zbrojni mołodzieńcy są czymś, czego zdecydowanie należy się bać, nie zaś prowadzić rozważania na tematy etnograficzne. Tłum zbrojnych wyrostków, karlusów, mołodzież męska do zabijania przysposobiona gorsza niż wilcy, w których skóry się poprzebierali.

Na dodatek zaczęli wyć.

Starszy i ubrany zrobił kilka kroków w tył, a wysmarowani na czarno wilkowie jęli potrząsać orężem, pohukiwać, wykrzykiwać coś, co brzmiało w mych uszach jak unźitan ślawas, unźitan ślawas!, bo mołodzież męska pobudzona zawsze bzdury chętnie wykrzykuje, i w końcu wyć niczym wilcy, my zaś z Ljubow stali niemądrze z triochliniejkami w dłoniach, w każdej po pięć patronów, i co tem zdziałać można, skoro napastników więcej niż u nas amunicji, a dopadną, zanim przeładujemy.

No to już pora się witać ze śmiercią, pomyślał ja, w końcu przyszedł mój dzień i żal jeno, że nie dowiem się, co to za cudaki mnie zgładzą, przebierańcy niby z cyrku, beboki polarne. I najpierw mocniej ja ścisnął w dłoniach wintowkę i pomyślał, że drogo sprzedam swoje życie, a potem znowu przyszło mi do głowy, że tak się mówi, drogo sprzedać, usta się same do tego układają, ale jak niby tę zapłatę odebrać, jak się już martwym?

Ljubow rzuciła wintowkę na mokry śnieg, daleko od siebie, i sama padła twarzą na ziemię, zaplatając dłonie z tyłu głowy, jakby napotkała wochrów, a nie wyjących jak wilki, na czarno wymalowanych mołodców, natomiast do wycia przyłączył się Gabaidze. Co myślał wtedy sobie w ciemnościach swoich, nie wiem, ale wył i to inaczej niż zwykle.

Mołodzieńców w skórach wilczych nagle to skonfundowało, zatrzymali się, ucichli, a Gabaidze wył dalej i nagle przyskoczył do niego jeden z nagusów, uniósł włócznię wysoko nad głową i wyglądał przez chwilę z tą włócznią wzniesioną nad głowę ponad łbem wilczym i z tarczą okrągłą niczym czarna postać z antycznej, greckiej wazy, niczym Herakles, lecz włócznią nie uderzył, albowiem stary wykrzyknął gromko: Stāne! – i mołodzieniec od Gabaidzego odstąpił. Stary machnął ręką, wilcy się rozstąpili, a ten ruszył w stronę nieszczęsnego Gruzina, chrzęszcząc lamelami swej skórzanej zbroi, po drodze oddając jednemu z mołodzieńców berdankę, nawet nań nie spojrzawszy, gestem tak władczym, z jakim, jak mi się zdaje, kajzer Wilhelm musiał koniuszemu oddawać wodze konia. Miecza ni rewolweru nie dotknął. Podszedł do Gabaidzego, za nic sobie mając wintowkę w moich dłoniach, absolutnie pewien, że nie wystrzelę, podniósł kalekę na równe nogi zupełnie bez wysiłku, postawił go i zaczął z ciekawością badać. Przyjrzał się kikutom rąk, uniósł opaski, jakimi Ljubow zakrywała Gabaidzego próżne oczodoły, po czem dobył noża, rozciął na Gabaidzem ubranie, zrzucił je zeń, obnażając jego chude, wynędzniałe i wytatuowane ciało,

i zaczął te tatuaże badać, dokładnie, jeden po drugim, oglądał je z bliska tak, jak antykwariusz bada autentyczność jakiejś starożytności przed zakupem, macał, jeden nawet polizał, odciągał i puszczał wytatuowaną skórę. Wszystko to działo się w zupełnym milczeniu naszym, starego i wilczków, i jeno Gabaidze pojękiwał swoim zwykłym, rzewnym ni to szlochem, ni to baranim beczeniem.

W końcu badanie się zakończyło, stary odwrócił się od Gabaidzego do swoich i wskazując nań, rzucił dwa słowa: Wolch est.

Wilcy wyraźnie się zmartwili, stary, nie zwracając na nich uwagi, podszedł do mnie i delikatnie wyjął z moich dłoni triochliniejkę i zaczął ją oglądać ze znawstwem kogoś, kto napotyka coś nowego w dziedzinie, w której on właśnie jest znawcą. Delikatnie otworzył i odciągnął wajchę zamka, wyrzucając patron, com go do komory wprowadził, przyjrzał się amunicji w magazynku, nacisnął kciukiem, pokiwał głową z uznaniem, że ten magazynek to taka praktyczna rzecz, porównując do berdanki jednostrzałowej, potem ze śniegu podniósł patron, co mu wypadł, znowu obejrzał, zamknął zamek, podniósł wintowkę do ramienia i rozejrzał się w poszukiwaniu celu. Tak i ja zmartwiał, że strzeli do mnie, zamiast tego jednak on rzucił kilka niezrozumiałych dla mnie słów jednemu ze swoich wilczków, ten zamachnął się swoją okrągłą tarczą i rzucił nią wysoko, niczym dyskobol. Stary poprowadził ją chwilę lufą mosina, strzelił, trafił, tarcza zakręciła się w powietrzu i spadła, wilczek przyniósł mu ją pokazać, wskazując na gładką, równą przestrzelinę.

Stary pokiwał głową z zadowoleniem, powiedział parę słów, których ja nie zrozumiał, po czem, ku mojemu zaskoczeniu, oddał mi moje orużje. Odwrócił się do mołodzieży wilczej, powiedział coś w tem dziwnem języku, z którego ani słowam nie rozumiał, ale którego brzmienie zdawało mi się jakoś bliskie, nie tak egzotyczne jak brzmienie tureckiego języka Jakutów czy gadanie Czukczów lub Jukagirów. Ten brzmiał śpiewnie, jakby ja słuchał perskiego, ale bez wątpienia nie był perski.

Mołodzież jak na komendę odwróciła się na pięcie i sprężystym truchtem, ustawiając się jak wilki w rozciągniętą kolumnę, pobiegła wzdłuż wybrzeża, na zapad, aby po chwili zniknąć za nieodległym od chaty naszej wzniesieniem.

Stary został z nami sam. Ljubow wstała, otrzepując się ze śniegu, Gabaidze siedział dalej na ziemi, stary zaś stał przed naszą chatką, do której drzwi ledwie co udało mi się nareperować, i jakby czekał na coś, przyglądając nam się spojrzeniem spokojnym, czujnym i pełnym tej neutralnej życzliwości, z jaką na dobrze odzianego klienta subiekt w składzie spogląda.

Inmen mej Wesunas sūnus Wesunjas, powiedział tak uroczyście, jakby co najmniej obwieszczał miastu i światu wybór nowego papieża, kładąc sobie przy tym rękę na piersi gestem poważnym, dystyngowanym i szlachetnym.

Ja nie odpowiedział.

Wy Ruskie, oznajmił raczej, niż zapytał, i brzmiało to, jakby po rosyjsku znał może pięć słów, ale to takie domysły moje wtedy były jeno, albo wrażenia, albo w ogóle było inaczej, w każdem razie dalej stał spokojnie, jakby cierpliwie czekał na coś. Przypatrywał się ja mu starannie, jego strojowi i nagle uderzyło mnie, że poza rewolwerem i berdanką, którą zabrali mołodzieńcy, nie ma w jego odzieniu i ekwipunku niczego, co mogłoby pochodzić od tak zwanej cywilizacji, określanej industrialną. Samo orużje pochodziło z lat siedemdziesiątych wieku ubiegłego. Poza tym – nic. Ani kawałka tkaniny, same futra, skóry i materiały, których ja nie rozpoznawał, ale ani kąska buta z fabryki butów, przemysłowego sznurka, nic ze świata fabryk i hut.

Nie tak wyglądali na przykład Jakuci, których ja na wyrębie widywał, mieli tam jakieś te swoje ubrania futrzane, ale często na to nasze sowieckie tiełogriejki, buty sowieckie tak marne, że ja aż do aresztowania w 1937 dotrwał w moich czarnych wysokich butach z Kaiserliche Marine, jeno zelować je było trzeba, a i tak były lepsze niż cokolwiek, co dało się dostać w Ojczyźnie Światowego Proletariatu i dopiero mi je w zonie pierwszej nocy zabrali. Walonki jak tam który miał, to jak u nas – bogacz.

Nie gap się no tak na niego, durak, powiedziała Ljubow.

Idiota, Konradzie Wilgelmowiczu Widuchu, zawsze idiota.

A co mam zrobić, ja odpowiedział, nie spuszczając ze starego oczu i uśmiechając się doń życzliwie.

No zaprośże go do środka, durny ty. Przecie na to czeka.

Miała rację. Ja zaprosił, gestem. Ten skłonił się, wszedł, rozejrzał się i zauważył ja w jego spojrzeniu pewien niesmak, który wcale mnie nie zdziwił, albowiem siedliskiem zepsucia, zgnilizny i obrzydliwości było nasze schronienie. Wszedł ja za nim, za mną Ljubow.

Wskazał ja miejsce. Zdjął z siebie parawanowy, otaczający mu głowę i barki naramiennik, siadł na ziemi przy ogniu, krzyżując nogi i odpinając od pasa miecz, który razem z rewolwerem położył obok siebie.

Ona wasze żena? – zapytał, wskazując na Ljubow, akcentując ruskie słowa, jakby nie od Ruskiego je usłyszał, tylko jakby na przykład mu je ze słownika jakiś Japończyk albo inny Francuz odczytywał.

Nie daj Bóg! – żachnął się ja, ugodzon do żywego sugestią, że błatna z łagru, stworzenie tak odrażające, mogłoby być moją żoną.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

Меня зовут Любовь Владимировна Захарова! – powiedziała Ljubow tym samym uroczystym tonem, jakim wcześniej przemówił stary, i dopiero wtenczas ja, idiota, zrozumiał, iż stary się wcześniej przedstawiał, Wesunas.

Powiedział ja więc głośno swoje imię i nazwisko, kładąc rękę na piersi tym samym co on gestem.

Wesunas, powiedział znowu Wesunas, kładąc sobie rękę na piersi. Wesunas sūnus Wesunjas.

Zrobiło mi się niedobrze od tych uprzejmości i pomyślał ja przez sekundę, czy nie porwać mego karabinera, nie zastrzelić skurwysyna, przecież on i taki sam, jak oni wszyscy. Ja podniósł wzrok na orużje i tak Ljubow spojrzenie ja spotkał. Wbiła we mnie swoje oczyska złe i tylko pokręciła głową, a ja odczytał w tem nieme: ani się waż, durak, ani się waż!

Miała rację. Gdzieżby ja go mógł wtedy przemóc.

Wesunas był starszy ode mnie, ale odkarmiony jak gęś na Świętego Marcina, mocarny, z brzuchem cudnie tłustem i okrągłem, zanim ja by się do wintowki dostał, to jednem ciosem by mnie zwalił, tego miecza starożytnego dobył, tyle by z tego było. Gdzie mnie tam do niego, mocarza. Ramiona ma szerokie, a grube jak konary, brzuch, jak ja skazał, pękaty, kark jak u wołu, a ja co, wcześniej to była we mnie moc i siła, od roboty pod ziemią i od ładowania węgla do kotłów na SMS „Helgoland”, też u mnie łapy gru-

be, potężne, plecy mocarne, pięścią ja świnię przed biciem jednym ciosem jak młotem ogłuszał, ale wtedy, gdy nas ci Chołodcy naszli, po zonie, po gołodowaniu na mięsie końskiem zepsutem i co najgorsze, po tej strasznej polarnonocnej gnuśności, to ja był słaby, słaby jak dziecina, nie rozbierał się ja w ogóle od miesięcy, bo zimno, ale potem, w Chołodzie, kiedy mnie poprowadzili do bani i tam ja swoje ciało ujrzał, to zapłakał nad niem: ręce u mnie były cieniutkie jak u wyrostka, co jeszcze prawdziwej roboty nie zaznał, brzuch wzdęty niezdrowo, ramiona wątłe, a w nogach kolana grubsze niźli udo a łydka. Gdzież grudy moich muskułów, co się pod skórą prężyły, a które Sofie tak lubiała, gdzież moje plecy szerokie, potężne, nawykłe do trudu, gdzież to wszystko, co ciału mojemu pozwoliło przetrwać wszelakie przeciwności: ślęperstwo na grubie, maszynownię liniowego okrętu?

No właśnie tam. Wszystko to moje ciało złożyło na ołtarzu przetrwania. W Chołodzie jednak dane mi było zbudować się od nowa. Dobrze tam ci Chołodcy moi rozumieli, jak się ciało buduje, i bardzo się o to starali, mołodzież i dorośli, mężowie i niewiasty na równi, aby dobrze jeść i ćwiczyć: dźwigali głazy, rzucali niemi w wyścigu takiem, że trzech stawało przed trzema głazami, na sygnał podnosili je i ciskali jak najdalej przed siebie, każdy do swojego podbiegał i rzucał dalej, i któren pierwszy do mety dotarł, tego dekorowano wieńcem uplecionym z polarnej iwy, tego słodkiego krzaczka, co wbrew przyrodzie i światu tak się płoży w sendusze i tka senduchowe zielone dywany. Po to też mieli banie parowe, jak sądzę, do których zachodzili bez względu na płeć, wszyscy jak ich Dejwas Patē stworzył, bo tylko w baniach mogli te swoje ciała, o które tak dbali, podziwiać, bo poza tym to wszędzie w futrach.

Dlatego może w ich baniach nie było tak ciemno jak w ruskich. Szyb w Chołodzie prawie nie było, w domach, zawsze piętrowych, w oknach rozpinali błony z rybich pęcherzy, zabezpieczanych na zimę solidnemi okiennicami, ale dla swoich wielkich bań, miejsca spotkań towarzyskich, zalotów, świąt, skądś te szyby zdobywali, zwykle małe ołowiowe gomółki, od kupców pomorskich, a czasem i z Chin, za pośrednictwem kto tam wie jakich ludów, i mieli w baniach okna, aby przez kłęby pary świeciło słońce i żeby mołodzież mogła tam te swoje ciała prężyć, i w ogóle każdy chodził w glorii swej płci i wieku: mołode dziewczęta gibkie, o piersiach twardych, mołodzi chłopcy z plecami jak litera V, smukli i rośli, matrony z dumą no-

szące ciężkie piersi, co wiele dzieci wykarmiły, niczym rosyjska matka order od Stalina za zrodzenie Ojczyźnie Światowego Proletariatu licznego przychówka, i starzy wojownicy, z brzuchami jak beczka, posiwiali, z ciałami pobliźnionymi od pazurów niedźwiedzich, od kłów morsa, włóczni jukagirskich i strzał czukockich, bo też z Jukagirami i Czukczami wojowali Chołodcy tak samo chętnie, jak handlowali. Bardzo mnie się to z początku podobało, ten cudowny świat bez wstydu, potem podobało mi się trochę mniej, kiedy pewnego dnia, był to mój drugi rok w Chołodzie, moja gospodyni Auszrā powiła dziecię, chłopca, o kończynach zdeformowanych, palce miał pozrastane w jedno, niczym skurczona focza płetwa, zamiast nóg smutne kikuty. Wesunas sūnus Wesunjas obejrzał noworodka starannie, po czem przyłożył ucho do jego usteczek i słuchał chwilę, wyprostował się i orzekł, iż dziecię nie powiedziało mu swego imienia, a więc martwe, bo żadna dusza nie zechciała się weń wcielić, a zatem należy je odnieść w senduchę, niech tam zostanie. A ja rozumiał już wtedy język.

Auszrā nieśmiało się sprzeciwiała, szlochając, trzykrotnie pytała, czy na pewno nie słyszał imienia, Wesunas za każdem razem zaprzeczał, ale był to sprzeciw jakby wpisany w naturę tej sytuacji, rytualny, chociaż jednocześnie autentyczny, wtedy Wesunas jął ją zapewniać, iż ona jeszcze młoda, a jej łono żyzne, i powije jeszcze wiele pięknych dzieci, w których dusze chętnie znajdą mieszkanie, a dziecię bezimienne i bezduszne trzeba odnieść. Zgodziła się, nie przestając szlochać, i oddała mu noworodka.

Myślał ja, że Wesunas weźmie dziecię i sam pójdzie, że to będzie moment uroczysty w swoim tragizmie, ale Wesunas, po trzykrotnym obwieszczeniu, że dziecię nie powiedziało mu swego imienia, stracił wszelkie nim zainteresowanie, wziął je bezceremonialnie, jakby chwytał kawałek mięsa, i podał mi. Wziął ja dziecko, zaskoczony, tak jak się podnosi noworodka, delikatnie, podtrzymując główkę.

Odnieś je na skałę, powiedział Wesunas, tam jego ciało wróci w koło życia.

Odnieś je na skałę, tam jego ciało wróci w koło życia.

Wiedział ja, co to znaczy: umrze z zimna, a potem zjedzą go pieśce albo wielkie morskie czajki, burgomistry, po niemiecku co się nazywają Eismöwe, a po polsku nie wiem jak.

Powiedział ja, że nie zostawię dziecka, żeby umarło. Auszrā zapytała z nadzieją, czy może ja usłyszał jego imię. Powiedział ja na to zaraz, że tak i że jego imię brzmi Ninel. Wtedy Wesunas, który już zbierał się do wyjścia z hallu, odwrócił się na pięcie, podszedł do mnie, wyrwał mi dziecko i warknął, że mam kobiecie w głowie nie zawracać, czy nie rozumiem, że w połogu kobieta ma specjalną więź z dziecięciem, które powiła, i nawet kiedy ono martwe, to chce je tulić i kołysać. A to dziecko martwe i jako takie nie mogło powiedzieć nikomu swojego imienia, a już na pewno nie mnie.

Auszrā zanosiła się płaczem i mówiła, że tautā powiedział, że słyszał imię, na co Wesunas, syn Wesunasa, odrzekł, dobrze już rozwścieczony, że tautā nie z Ljaudīs, więc dziecko Ljaudīs nie mogło mu powiedzieć swojego imienia, po czem zawołał najstarszego ze swoich synów, który zwał się, cóż za zaskoczenie, również Wesunas, ten niechętnie zwlókł się z barłogu, w którem miętosił się z jukagirską niewolnicą, ojciec podał mu dziecko i kazał zanieść na skałę. Wesunas mołodszy przewrócił oczami jak wszystkie nastoletnie dziatki świata i powiedział, czy musi on, bo akurat zabawia się z niewolnicą, a na przykład Baljaślāwas nic nie robi i wczoraj nawet nie popłynął na połów. Wesunas groźnie zaczął odpinać pas z morsiej skóry, Wesunas, chociaż wiedział, że lania od ojca nie dostanie, bo on już dorosły i miałby prawo oddać, gdyby ten nań rękę podniósł, to jednak nie odważył się spierać dalej, wziął dziecko i poszedł. Na skałę.

No i widzisz, moja droga, a nieistniejąca czytelniczko, obiecywał ja sobie, bo nie tobie przecież, bo nie istniejesz, że historię Chołodu opowiem po kolei, a tu nagle przeskoczył ja tak daleko wprzód, a tu przecież Wesunasa dopiero ja spotkał, nie mówiąc jeszcze ani słowa w jego języku, dopiero zasiadł on był na plugawej podłodze naszej chatki, dopiero my się sobie przyglądali, a tu tak wybiegam w przód, dlaczego?

Tak widać być musiało, tak mi się to jakoś w pamięci ułożyło, nasze pierwsze spotkanie i ten dzień wtedy, kiedy Wesunasowi urodził się syn, ale okazało się, że nie posiada on imienia, inmen, ani tej jego dauszji też nie ma, a więc nieżywy jest.

Wracając więc do tego, jak my go ugościli. Na ogniu położył ja kawałek niedźwiedzia, Wesunas z niejaką odrazą patrzył na to, jak prymitywnemi metodami przygotowuję mięso. Ljubow wyciągnęła ostatnią z dwóch bute-

lek wódki Московская z zieloną naklejką – jedną szybko wypilimy, drugą chował ja właśnie na taką specjalną okazję jak ta, jako najlepszą z walut. Wesunasowi na widok wódki oczy się uśmiechnęły jak księdzu do talara, sięgnął ja więc po kubki, rozlał ja sobie i jemu, Ljubow ja nie chciał nalewać, więc sama sobie nalała. Wychylił ja swój kubek naraz, Ljubow też, wódka paliła mnie w gardło i rozlewała się płomieniami w brzuchu, Wesunas swoją popijał małymi łyczkami, trzymając kubek w obu dłoniach, lecz nie tak jak burżuj koniak pije, przewracając oczami, jakby Bóg wi co w tym koniaku miał, a nie zwykłą gorzołę, tylko bez przerwy, łyczek za łyczkiem, mlaskając i siorbiąc, w czem mnie bardzo kotka pijącego z miseczki mleczko przypominał.

Gdy wypił cały kubek, zaczął zadawać pytania. Wy, wskazując na nas, Ruskie. W zasadzie nie pamiętam, czy brzmiało to jak pytanie, czy raczej jak stwierdzenie. Ljubow powiedziała, że my nastajaszczi Ruskie, a ja jednak nagle poczuł, że u mnie trzeba protestować. Zaczął ja więc po niemiecku – żeby Wesunas usłyszał obcy język – tłumaczyć, że ich bin kein Russe, na ziemi kawałkiem kości próbował ja wyrysować kartę Eurazji i pokazać miejsce, z którego pochodzę, Deutschland, ja? co w ogóle Wesunasa nie interesowało, nawet nie spojrzał, poza tym prawie nic nie było widać, zainteresowało go dopiero, gdy ja na zewnątrz wyszedł, uklepał śnieg i w śniegu narysował ja okręt wojenny, z działami i wszystkiem, i tłumaczył, że ja Seemann albo raczej że ja był Seemann, Matrose, matros.

On, moriak? – zapytał Wesunas, wskazując na mnie bezceremonialnie palcem. Potwierdził ja, da, da, ja moriak. Wesunas pokiwał głową, po czem zaczął tłumaczyć, że my – tu pokazywanie palcem na mnie, na Ljubow, która wyszła za nami, i na Gabaidze – jātī nada z nim w Chołod. Wtedy chyba pierwszy raz usłyszał ja to słowo, zwykłe rosyjskie słowo, холод, jednak użyte w tym kontekście, chociaż nie pomnę już, czy ja wtedy ten kontekst zrozumiał. Może i zrozumiał. Bo jak pamiętam, Wesunas jął na wygładzonym śniegu rysować domki dwupiętrowe nad brzegiem morza, potem zakreślać je, powtarzać, że Chołod, i kłaść rękę na piersi z wielką dumą, że owej, jak zrozumielimy z Ljubow, skromnej miejscowości przypadł zaszczyt bycia zamieszkiwaną przez postać tak znaczącą, wspaniałą i poważną jak on sam, Wesunas sūnus Wesunjas.

Ljubow, gdy tylko pojęła, o co chodzi Wesunasowi, szepnęła mi, że nigdzie nie jedziemy, bo nas wyda wochrom, a ja jej na to, żeby się mu przyjrzała, czy on wygląda, jakby kiedykolwiek wochrę z bliska widział. Milczała.

Wrócilimy do środka, do szałasu, i wypilimy szybko w trójkę całą flaszkę, mnie nawet niezbyt w głowie zaszumiało, Wesunas zaś, gdy tylko wychylił ostatni łyk, zaczął śpiewać jakąś pieśń, po czem łamanym rosyjskim dopytywać, czy nie mamy więcej. Więcej u nas nie było.

To go rozczarowało, wstał od ognia, wyszedł na zewnątrz i jął tańczyć, podśpiewując sobie, kręcił się jak derwisz, rozkładając szeroko ramiona i wdzięcznie przebierając nogami.

Wyszlimy znowu za nim, jak kurczęta za kwoką, ten, pijany, tańczył sobie i śpiewał, poglądalimy na siebie z Ljubow, nie wiedząc za bardzo, co zrobić, Wesunas w końcu zauważył pewną niezręczność tej sytuacji, podszedł do nas tanecznym krokiem, ukłonił się, pogrzebał w skórzanej sakwie, którą miał przy pasie, i podał mi dwa kawałki ususzonego grzyba, pokazując, że koniecznie mamy go spożyć i że pląsat budu, pląsat, co prawdopodobnie miało być po rusku. Odmówilimy, bojąc się trucizny, Wesunas dał więc grzyby Gabaidzemu, który zjadł je posłusznie, podczas gdy nasz gość machnął ręką rozczarowany i wrócił do szałasu, usiadł przy ogniu, następnie oparł się plecami o ścianę i zasnął.

Spał godzinę, my go z Ljubow obserwowali czujnie, nie bardzo wiedząc, co ze sobą poczynić. Po godzinie usłyszelimy z oddali rzadkie poszczekiwania psie, co sprawiło, że zbudził się natychmiast, westchnął i zaczął najwyraźniej gotować się do drogi, przypiął swój parawanowy naramiennik, wziął orużje i gestami zaczął nas zachęcać, abymy spakowali swój dobytek, bo już czas.

Ljubow zapytała mnie, czy jedziemy, niepewna, a ja ją w odpowiedzi, czy wydaje jej się, że naprawdę mamy wybór. Może i my wybór mieli. Ale jaki? Umierać tu z gołodu, kiedy skończą nam się patrony?

Wybór ma się zawsze, jak słusznie mawiali w miejscu, którego nazwy nie chcę wspominać. Można zrobić jeden szag w lewo w drodze na wyręb – i już. Dokonało się wyboru.

A jak nas wyda wochrom, jak Jakuci zwykle to robią, pytała, a ja jej na to, czy widzi na nich cokolwiek, co świadczyłoby, że w życiu wochrę albo so-

łdata sowieckogo widzieli na oczy własne. Niech go zapyta, czy wie, kto to był Lenin czy Stalin, bo mnie się zdaje, że on o Leninie nawet nigdy nie słyszał.

Скажите, вы знаете, кто Ленин? А кто Сталин? – zapytała, przyglądając mu się badawczo, z całą błatną przenikliwością i znajomością natury ludzkiej.

Wesunas ucieszył się i odpowiedział pytaniem, czy to zagadka, bo on zagadki ljubit, na co Ljubow, że owszem tak, zagadka, więc zgadujcie, na co on znowu, że spróbuje, ale musi się zastanowić. No więc zastanawia się, bardzo aktywnie, gładząc brodę i mrużąc prawe oko i dziwne miny w ogóle strojąc, i w końcu mówi, że Lenin i Stalin to budut ruski ljudie! No i przynajmniej w połowie racja, ale o to mi chodziło, mówię do Ljubow, która właśnie potakuje, że da, ruskie, on nie ma pojęcia o tem, to jak by miał nas wydać...

Wesunas ucieszony, że zgadł, wyszedł na zewnątrz, a my jęli się pakować.

Przed nasz szałas ze wzniesienia zsunęło się kilkanaście psich zaprzęgów, z psami parami przypiętymi do długich rzemieni, na saniach stali nasi wilkowie, których rozpoznał ja po resztkach czernidła na byle jak obmytych twarzach, bo też teraz kompletnie byli już ubrani, w ciężkie futrzane malice z nogawicami, rękawice i futrzane czapy. Kilku nosiło na futrach zbroje podobne do zbroi Wesunasa, syna Wesunasa, lecz skromniejsze.

Spakowalimy z Ljubow to, co my mieli, wzięlimy wintowki i wyszlimy przed szałas gotowi do drogi. Wilkowie tymczasem w swych ludzkich postaciach zapakowali na sanie Gabaidzego, bardzo troskliwie i delikatnie, co było o tyle łatwiejsze, że leżał nieprzytomny, nad kałużą wymiocin zaś, jaką po sobie pozostawił, kucał Wesunas w pełnej zbroi i grzebał w niej nożem, przyglądając się wymiocinom w wielkim skupieniu, kiwając głową, jakby coś ważnego właśnie zrozumiał, przeczytawszy artykuł w tołstym żurnalu wielce mądry.

Gdy zobaczyli mnie i Ljubow z wintowkami na plecach, umilkli wszyscy jak na komendę, aż Wesunas podniósł głowę znad rzygów i widząc nas, uśmiechnął się szeroko pijackim uśmiechem, podbiegł, chwycił oszołomioną Ljubow za ramiona i pokazał swoim wilkom z dumą i zadowoleniem, mówiąc bardzo dużo i szybko, i co mówił wtedy, to nie pamiętam, skoro ja

nie znał wtedy języka, to i pamięć nie zapisała, co mówione było, ale pewnie coś, że no patrzcie, jaka wspaniała, baba, a z wintowką na plecach, a więc wajā, wy myśleli, że to w pieśniach tylko się zdarza, bo nasze baby takie gnuśne i leniwe, że musieliby Jukagirzy albo Czukcze pod sam Chołod podejść, znalazłszy go uprzednio, żeby im się chciało babską robotę odłożyć i za orużje chwycić, jak to było za czasów mojego prapradziada Wesunasa, syna Wesunasa, kiedy żeńszczyzna Chołodu pospołu z dziatwą, mężczyzną i starszyzną poszła w bój ze strasznem Jukagirem, a teraz to im się nie chce, baby teraz to tylko pogardliwie ręką machną, wojować, gdzie tam, to mołodzież niech wojuje, my tu, kobiety, mamy poważne sprawy, a nie głupie wojowanie. A ta tu, dziwaczna baba o skórze wymalowanej jak Czukcze, chociaż inaczej, proszę, pierwsza z orężem na plecach wychodzi, więc patrzcie, bo o niej jeszcze wasze wnuki przy ogniach opowiadać będą!

No, tutaj przyznaję, że ja sam tę mowę Wesunasa wymyślił, bo przecież, co gada, ja nie rozumiał, ale tak jakoś brzmieć musiała była, tak sobie to wyobrażam po tem, co ja tam później przeszedł z niemi, poznawszy też chołodzkie kobiety i wielu mężczyzn chołodzkich, i całą resztę, wszystko, wszystko inne. A było tego wiele.

Ale po kolei, Konradzie Wilgelmowiczu, precyzyjniej należy to opowiadać, takie są w końcu reguły opowieści, wiecie to chyba?

A skąd miałby ja niby wiedzieć, moja droga nieistniejąca czytelniczko? Kto miał mnie nauczyć, sztajger na grubie czy feldwebel na okręcie…? Towarzysze moi partyjni?

No dobrze, wiem, cicho już, cicho, wiem ja, co odpowiesz.

Tak?

Tak, Sofie. Sofie mogła mnie nauczyć, że precyzyjniej należy opowiadać, ale teraz sam już nie wiem, czy nauczyła, czy nie, sam nie wiem, ile prawdą jest z tego, co mi się wydaje o naszem życiu tak odległem, o naszych siedemnastu latach razem, moskiewskich i murmańskich. Czytalimy przecież książki, razem, a ona tak cierpliwie objaśniała i porządkowała mój świat.

Nie musisz mi tego, moja droga czytelniczko, w akcie kobiecej solidarności przypominać, a nawet nie możesz, bo nie istniejesz. Dobrze? Proszę, umilknij. Ładnie proszę.

No tak, oczywiście, że Sofie była sufrażystką, w tym sensie, w którem prawdziwa, oddana komunistka sufrażystką być musi, na przykład jak Fanny Kapłan. Chociaż ona była eserówka. Ale potem, jak się NEP skończył, Sofie mówiła, szeptała mi do ucha, przykrywszy nas oboje kołdrą: gdyby my wszystkie były tak odważne jak ona, to nie byłoby Stalina. Ona wiedziała, co robi, a my głupi byli. Jak moglimy być tak głupi, Konradzie Wilgelmowiczu, pytała Sofie, i ja pytam sam siebie.

A jak kiedyś opowiedział ja Ljubow o tem, że moja żona była jak Fanny Kapłan, tylko piękniejsza i prawdziwa bolszewiczka, nie eserówka, to Ljubow powiedziała mi, że spotkała Kapłan, w miejscu, którego nazwy wspominał nie będę. To znaczy, jeśli chodzi o miejsce, w którem ją spotkała, a nie w którem mi o tym powiedziała. Bo powiedziała mi później, już w Chołodzie, a okoliczności tej rozmowy to ja już niezbyt pomnę. Może my w bani siedzieli, oboje już piękniejsi niż wcześniej, odkarmieni, ja już nabrał ciała, com go miał kiedyś, a i ona wypiękniała, zyskała na kobiecości i nawet do tych jej bazgrołów na skórze można było nawyknąć, a może i powiedzieć, że dodawały jej uroku...

Konradzie Wilgelmowiczu, najduchu-Widuchu, co wy znowu za dygresje tutaj! Ile tak można...

No dobrze, dobrze, tylko skończę, że Ljubow powiedziała mi, że spotkała Fanny Kapłan w zonie, że jej wcale nie rozstrzelali po zamachu, tylko trzymali najpierw w więzieniu, w ciemnicy, o chlebie i wodzie, i gdy już się postarzała od tego tak, że była nie do rozpoznania, to wysłali ją tam, gdzie w końcu wyślą wszystkich, każdego ruskiego człowieka, rzecz oczywista. I że tam ją spotkała Ljubow, i że sobie tak pogwarzyły, i że wielki mir się wokół niej roztaczał, i wielkie uważanie miała wśród osadzonych, no bo jak miała nie mieć, kobieta, która wpakowała w Lenina dwie kule. A czemuś jeszcze nam Stalina tak nie ubiła, pytały, a ona na to, że na niego to jej patronów w magazynku brakło, co prawdą być nie może, albowiem w magazynku browninga kul się mieści mianowicie osiem, to znaczy siedem, ale ósmą można w komorze...

Zamknij się!

Tak, dobrze już, już koniec dygresji, koniec.

A więc stalimy przed szałasem, Ljubow i ja, już gotowi do drogi, Gabaidzego nieprzytomnego tam gdzieś do sań troczyli, Wesunas swoim boj-

com coś tam pięknie opowiadał o zbrojnych niewiastach, bojce już wilków nieudające jęły wskazywać na miejsca na saniach, do siedzenia, tak samo jak Gabaidzego, widać uznali nas słusznie za fizycznie niezdolnych, żeby im tempa dotrzymać.

Dopiero później, wiele później, zrozumiał ja, że Wesunas uratował mi wtedy życie. Karjas zwykle wyruszali na swoje wyprawy bez opiekuna. Tem razem jednak wszystko zmienił walkwas, co oznacza chyba tyle co ruski ВОЛХВ i brzmi jakby sobie to słowo od Ruskich pożyczyli, więc tak go zwał będę, walkwasem. Był to karzeł imieniem Elēn, co oznaczało jelenia, chociaż zupełnie do jelenia był on niepodobny, nawet kiedy zakładał przebranie z reniferzym porożem na głowę. Przed wyruszeniem mołodzieńców najadł się on grzybów, opił kupionej za bezcen od Jukagirów ruskiej wódki, po czem skakał przez godzinę na jednej nodze, waląc w bęben, i w końcu padł na ziemię w konwulsjach, tocząc z ust pianę, i miał wizję, w której mołode wilczęta oddzielone od watahy wkraczają na lód i od lodu odrywa się wielka kra, i dryfuje z nimi przez ocean i tam z gołodu zmuszone są pożerać siebie nawzajem, aż w końcu ostatni, wielki już i spasiony na ciałach swoich współbraci, zaczyna od ogona zjadać sam siebie i wywija się przez odbyt na nice, i dusza z niego uchodzi, i staje się żywym-martwym wilkiem.

Niczego zaś Ljaudīs nie boją się bardziej niż tego, co ani żywe, ani martwe, tylko pomiędzy.

Gdy walkwas doszedł do siebie, oświadczył, iż to jasne, że tem razem karjas nie mogą wyruszyć sami, musi im towarzyszyć opiekun, bo Ljaudīs nie mogą pozwolić sobie na to, aby wytracić tyle mołodzieży naraz. Inni zaraz mu przypomnieli, że walkwasa rzecz gadać z duszami, ale nie jego rzecz tłumaczyć, co dusze powiedzieli, od tego są mężowie, żeby nad tym radzić, a nie, że walkwas powie. Ale co powiedział, jednak w dusze zapadło.

Karjas byli zrozpaczeni, najbardziej zaś mołody Wesunas, syn Wesunasa, bo perspektywa, że w jego pierwszej wyprawie ma mu towarzyszyć ojciec, była dlań równie atrakcyjna, co rok spędzony z kobietami na drapaniu morsich skór. Pierwsza wyprawa z karjas była dla mołodzieńca najważniejsza, podczas pierwszej wyprawy stawał się pełnoprawnym bojcem, wcześniej już, od trzynastego roku życia, pozostając według zakonu mężem,

a rozróżnienia dokładnego, kiedy on mąż, a kiedy bojec i czy na przykład walkwas też był bojec, tom do końca nigdy nie zrozumiał.

Podczas pierwszej wyprawy mołodzieniec przechodził inicjację, o której kształcie nigdy się ja nie dowiedział, albowiem na to, aby samemu wyruszyć z karjas, jako uczestnik takiej wyprawy, ja już o wiele za stary był, a kształt tej inicjacji otaczała najściślejsza tajemnica. Z pogłosek, powtarzanych przez nieustannie szydzące z wyruszających i powracających z karjas dziewczęta, wnoszę, że ważną częścią tejże wyprawy miała być kopulacja z ziemią, którą odbyć można było dopiero, kiedy wyprawa dotarła w tajgę; tam w ziemi dziurkę drzewcem włóczni poczyniwszy, mołodzieniec z ziemią spółkował i w niej składał swe nasienie, aby ziemne boginie nie wiem co – były mu wdzięczne, że je zapłodnił? No to już tak dopowiadam samemu. Może to raczej były jednak duchy, albo dusze, które zwali dauszjās, te same, z któremi rozmawiał walkwas, nie zaś boginie, to znaczy nie było ich, albowiem jak wiemy ze światopoglądu materialistycznego, stworzenia nadnaturalne istnieją jeno w bajkach, no ale chodzi mnie o to, w co owi mołodzieńcy wierzyli, w ziemię swoje kuśki wtykając. Różnica między duchami albo duszami a bóstwami taka, że swoją dauszjān, czyli duszę, ma wszystko, drzewo, zwierzę, kamień i morze; te dauszjās od ludzi ani potężniejsze są, ani niemi nie władają, należą po prostu do innego świata, czasem trzeba je przebłagać ofiarą, jeśli się je wcześniej obraziło, ale to tak samo, jak przebłagać trzeba urażonego sąsiada, jeśli się mu na przykład sieci podarło albo harpun popsowało.

W każdem razie dla każdego chołodzkiego mołodzieńca karjas to był trzon biografii, czyny wtedy dokonane opowiadało się w męskiem towarzystwie do kresu dni, wróżdy wtedy powstałe trwały do śmierci, podobnie jak braterstwa. Na pierwsze karjas wyruszał mołodzieniec czternasto- albo piętnastoletni, na ostatnie dwudziestoletni, chyba że się wcześniej ożenił, co się zdarzało rzadko, tak bardzo nikt żadnego karjas nie chciał stracić.

Starszym iść już nie wolno było, starsi, nawet jeśli nieżonaci, mieli obowiązki dojrzałych mężów, zarówno na morzu, jak i na wojnie, i kiedy szli na wyprawy, to były to zupełnie inne wyprawy niż karjas.

Karjasy szły bez specjalnego planu, wiedzione przez najstarszych śladami ich poprzednich wypraw, jeśli były udane, lub zupełnie gdzie indziej, jeśli się nie powiodły. Dorośli mężowie ani niewiasty nie mieli prawa pytać

o ich przebieg, ale w istocie jeśli poszło dobrze, to uczestnicy tak się tym przechwalali, że i tak wszyscy wszystko wiedzieli, nad czem ubolewali starcy, jęcząc zimą nad ogniem, że za ich czasów to było nie do pomyślenia, by o karjas opowiadać w gronie innym niż sami karjas i że mołodzież dzisiejsza za nic ma starożytne prawa i obyczaje Ljaudīs.

Czegóż więc mołodzieńcy owi na wyprawach dokonywali, zapytasz, moja droga nieistniejąca czytelniczko? Zdałoby się, że niczego dobrego, w naszem cywilizowanem rzekomo rozumieniu dobra i zła. Pierwszem zadaniem karjas było wojować. Mogli też kraść, jeśli na przykład w drużynie dwa tuziny bojców liczącej naszli obozowisko Czukczów o sile wielokroć potężniejszej, jednak nie mogli z wyprawy powrócić wcześniej, niż ostrza tych, którzy byli na niej po raz pierwszy, nie posmakowały krwi. Zdaje mi się dziś, że mimo wielkiej gadaniny nie musiało to oznaczać dokładnie, by ci najmołodsi musieli koniecznie zabić wroga własnoręcznie, szczegóły otaczał również nimb tajemnicy, ale z tego, co opowiadał mi pijany Wesunas starszy, czasem prowadzący zmęczoną, łaknącą już powrotu bandę, za wystarczający powód do tego, aby wrócić, uznawał to, że mołodzieniec kogo zwyczajnie zranił, chociażby z łuku, albo kiedy jeńca pojmał, albo kogo dobił, albo wykazał się wielką odwagą, wtedy najstarszy nacinał swój własny kciuk o jego ostrze i mogli wracać.

Oprócz walki celem karjas był, rzecz oczywista, rabunek dóbr, ale i ludzi też brali w niewolę, kobiety i mołodych chłopców. Kobiety, owszem, gwałcili, chociaż tym się nie przechwalano, bo wielką chlubę – ewentualnie marzenie – każdego chołodzkiego wojownika stanowiło to, by być postrzeganym jako ktoś tak piękny, że każda dziewka albo i żona chętnie z nim pójdzie za nic, i często obelgę słyszał ja taką, że jeśli ten i ów w życiu jebał, to chyba tylko na karjas, taki pysk ma paskudny. Tak że nikt z tego dumny nie był.

Perspektywa odbycia jednego z kilku w życiu karjas pod opieką starego bojca była więc dla wszystkich uczestników wielką tragedią, a już zwłaszcza dla syna tegoż Wesunasa, i nawet potem zwykli ten karjas, gdy Ljubow i ja, i Gabaidze spotkalimy się z Chołodcami, zwać karjas, jasa ne bū, czyli karjas, którego nie było.

Wesunas zwołał mejras, czyli zebranie wszystkich wolnych, dorosłych mężczyzn osady, na który przychodziły również żeny, ale niby bez prawa

gołosu, po czem oznajmił, iż na tegoroczny karjas z mołodcami udaje się dorosły bojec, albowiem walkwas w swojem widzeniu ujrzał śmierć całej mołodzieży, jeśli opieki będzie pozbawiona, na co nie mogą sobie pozwolić, albowiem jak nakazuje im zakon, ich zadaniem trwanie przy czystości krwi, a bez mołodzieży Chołod trwał nie będzie, ustąpi w końcu przed jakim najazdem jukagirskim albo czukockim i odwrócą się od nich przodkowie, których pamięć w ten sposób zostanie obrażona.

Na to starcy jęli rozpaczać, cóż to będą za mężowie z mołodców, skoro na karjas pójdą pod opieką, że niczym się już Ljaudīs nie różnią od Ruskiego albo Jukagira, skoro za nic mają sobie zakon starożytny, niedługo w namiotach z wielorybich kości będą mieszkać i już w ogóle łodziami ze skóry zaczną pływać, jak Czukcze, miast w drewnianych koczach, jak przystoi Ljaudīs, albo jeszcze wiarę Pomorców w zabitego boga przyjmą i się z niemi żenić zaczną, skoro zdaje im się, że mogą sobie prawa wymyślać, jak im się podoba. Na to odrzekła im trzeźwo Auszrā, że tamten zakon też ktoś musiał wymyśleć, jak mu się podobało, na co znowu starcy w zupełnej już histerii, że upadek obyczajów, niewiasta się na mejrasie odzywa, a poza tem zakonu nikt nie wymyślił, albowiem dany od bogów, w czasach, w których bogowie nie milczeli, lecz przemawiali do każdego, nie tylko do walkwasa, jak dziś wyłącznie doń przemawiają dauszjās, a na dodatek walkwas tak powiedział, bo go zapewne Auszrā i inne baby przekupiły darami, bo się po babsku lękają, że mołodzież nie powróci z karjas, każda baba o dziecko drży, bo się boi starości samotnej, że nikt nie zaopiekuje się nią, takie one są.

Wesunas na to rzekł im, że walkwasa można przekupić, ale nie dusze, które przezeń mówią, dusze nie słuchają się nikogo i nie zważają na dary, a starszyzna chyba nie próbuje tu powiedzieć, że walkwas nie dusz gołosem, lecz swojem własnem przemówił.

To byłoby straszne oskarżenie, a gdyby go dowieść, walkwasa trzeba by zabić albo wygnać, tego nikt nie wiedział, albowiem nigdy się tak nie zdarzyło, chociaż między sobą, po cichu, niezadowoleni z wizji, jakie walkwas miał, często mawiali, że to nie dusze przezeń mówią, lecz przekupstwo drugiej strony, trochę tak, jak się u nas w Pilchowicach mówiło o farorzu, że niy ma ôn taki zaś świytnu, chocia rynce tak pobożnie skłodo, a ôczy do nieba podnosi, to przeca bajtla Pokorowyj ze Nieborowitz ôn zmajstrowoł,

co zaś wszyscy wiedzōm, yno stary Pokora niy wiy, co cudzego bajtla chowie. A ludziōm taki grzysznik potym godo, jak majōm rzykać. I tak samo jak u nas – chętnie o tym plotkowano, że walkwasa da się przekupić, ale głośno tego nikt nie ośmielił się wypowiadać, bo powiedzieć, że walkwas nie dusz, lecz swojem gołosem mówi, byłoby rzeczą straszną. Jeśli to nie dauszjās przez walkwasa mówią, to czy w ogóle cokolwiek na świecie może mieć jeszcze sens?

W odróżnieniu jednak od naszego farorza, który jak nie tylko mnie się za mołodu zdawało, sam wcale w Pana Boga nie wierzył, widział ja na własne oczy, jak przez walkwasa dusze mówiły naprawdę i nie tylko siłą jego własnej autosugestii, a wiem to dlatego, bo ja na własne oczy ujrzał, jak przewiduje przyszłość, i przyszłość to potwierdzała, albo jak mówi rzeczy, których wiedzieć nie mógł, całe życie przeżywszy w Chołodzie, ani ujrzeć na oczy, ani nawet słyszeć o nich. Widząc walkwasa, wtedy po raz pierwszy zachwiał się ja w moim materialistycznym światopoglądzie – a dodam, że imienia Pańskiego ja nie wołał, ani jak mnie przesłuchiwali, ani w łagrze, gdzie przed ikoną na skrawku papieru przez gita wyrysowaną niejeden stary bolszewik czołem bił, nigdzie, to mnie od Ruskich i w ogóle Rosyjan odróżniało, że we mnie nie drzemała nigdy ta potrzeba transcendentalna, która tak mocno targała niewolniczą ruską duszą, że jeśli nie partia, to… Ale znowu dygresja. Darujże, moja droga czytelniczko, jeśli tylko w nieistnieniu swojem potrafisz darować.

Wracając więc do mejrā, co poprzedził nasze przybycie do Chołodu, i zarzutu starców, że się baby lękają – wstał na to ponownie Wesunas sūnus Wesunjas i tak im rzekł, że słusznie się lękają, skoro z ostatniego karjas siedemnastu mołodzieńców nie wróciło, a tych siedmiu, co wrócili, to też w nie najlepszym stanie i jakoś im wcale w tym roku już na karjas niepilnie. Że tak mogło być, kiedy Ljaudīs liczyli sobie kilkanaście tysięcy mężów, w dawnych czasach, w których nikt nie słyszał, żeby Ruscy ośmielali się tu zapuszczać.

Teraz już ruskich drewnianych koczy, podobnych do naszych, mówił Wesunas, nie widać, od dwudziestu zim ruscy Pomorcy na Wielkie Pomienianie nie przybyli, a to zły znak; proch się kończy – skoro go od nich za futra kupić się nie da, trzeba z Jukagirem i Czukczą handlować. A złych znaków więcej: staremu kowalowi Śwentaślāwasowi śniła się białucha – którą

nazywali bēlas swīnas, czyli biała świnia – mówiąca mu, że należy uciekać, bo nadejdą źli ludzie, żeby nie wspomnieć nawet o tym ogromnym korablu, który on, Wesunas, widział tutaj kilka zim temu i wraz z nim widziało go też trzech innych mężów, jak parł, ogromny, przez lodowe pole, bez wioseł i żagli, za to dymiąc tak, jak kiedyś dymiły pod żaglami chodzące, zwykłe korable tych, co polowali na walenie, a które ostatni raz widywał Wesunas sūnus Wesunjas, jednakże nie sam mówca przemawiający ani jego ojciec, ale dziad Wesunas, też sūnus Wesunjas, a żeby nie myliło się, zwany często Raudas, Czerwony, od rudych włosów. Ogromny korabl nie ma oczywiście tej wagi, co sen Šventaślāwā sūnaus Šventaślāwjā i ostrzeżenie białej świni, tem niemniej takie zjawisko również trudno zignorować, bo kto to wie, jakie duchy takim korablem ogromnem pływają.

Tutaj może czytelniczka nieistniejąca, acz spostrzegawcza, obruszyłaby się: hola, hola, Widuchu-najduchu, przecie to, jak sam piszesz, wszystko zdarzyło się, zanim ty przybył do Chołodu, czyżby ty znowu zmyślał, jak zmyślił sobie przemowę Wesunasa do karjas, kiedy ci życie uratował?

Wcale nie zmyślam. Zamknij się.

I przemowy też sobie ja nie zmyślił, tylko się jej domyślam ja, a to różnica, a o tem mejraj wszystko mi Wesunas opowiedział, bo to ważna historia była, a przy tem prowadzi do tego, jak to Wesunas, występujący w roli opiekuna karjas, życie moje i Ljubow ocalił, albowiem gdyby nas naszli karjas sami, toby nas zabili, ograbili, Ljubow może wzięli w niewolę, ale raczej też zabili.

A on nas przy życiu utrzymał, bo wyperswadował mołodzieńcom, że krwi z jego kciuka się ich ostrza napiją, a ludzi tych należy wziąć do Chołodu w gości. A dlaczego w gości, pyskowali mołodcy, a na to Wesunas, że aby to jeszcze trzeba nam niewolników? Do czego się w ogóle niewolnik nadaje? Żeby skóry skrobał? Jak są niewolnicy w domach, to tylko ludzie od tego gnuśnieją, a z gnuśnego bojca ani z gnuśnej baby, ani z gnuśnej dziatwy pożytku żadnego nie ma. Niewolnicę piękną na uciechę wziąć to jasne, ale starożytny zakon rzecze, że na niewolnice dla uciechy bierze się kobiety jukagirskie, ewentualnie z ich braku czukockie, chociaż czukockie gorzej, bo potem z Czukczami wojna, a wojowanie z Czukczami czasem się kończy źle, a nawet częściej niż czasem, bo Czukcza bojec srogi, groźny i bardzo do wojowania usposobiony i prędzej sam siebie i swoją rodzinę, i psy

zabije, niż w niewolę pójdzie, i znanym jest, że kobiety czukockie w niewolę wzięte przy pierwszej okazji zabijają swoich patins damōn, czyli panów domów, i same siebie. Ale ta wcale na jukagirską ani czukocką nie wygląda, a do tego patrzcie, jaka chuda, szpetna, kto by z taką pokładać się chciał.

Na to głupio mołody Wesunas odparł, że jemu się podoba i on by owszem, a za nim poszły i inne gołosy, wszyscy powiedzieli, że im się bardzo podoba, oni z tą tu, owszem, chętnie, mogą losy ciągnąć, bo to im przecież w domu która da? Żadna nie da, wszystkie tylko starszych chcą.

Wesunas sūnus Wesunjas stary przewrócił na to oczami i poradził mołodcom, żeby poszli lepiej ziemię jebać, albo sobie jajca nożem oberżnęli, bo też chujami myślą, nie głową. No i co mieli zrobić, skoro im to sam Wesunas rzecze? Nie wzięli Ljubow w niewolę ani mnie, ani Gabaidzego.

Pytał ja go zatem wtedy, czemu to nas zabić nie dał, ani w niewolę wziąć, a Wesunas na to, że duchy mu powiedziały, kiedy się upił, że ja człowiek ciekawy, który dużo wie i dużo opowiedzieć może, więc chce ze mną mówić dużo, może skamracić się, a z niewolnikiem Ljaudīs wolnym mówić nie wypada, że Ljubow mu całkiem podoba się i myślał może z niej sobie nałożnicę uczynić, gdyby się udało mu zgodę Auszry uzyskać, bo taka obca nałożnica, ale wolna, wielce by mu przydała powagi, którą Ljaudīs nazywają meźōs dūmas, co oznacza w ich języku kogoś o „wielkim oddechu" – kogoś poważnego, lecz również wielce zdyszanego, gdyż dyszenie kojarzy się, mojem zdaniem, Chołodcom z dymieniem, jako że i na mrozie z ust człowieka dym jakby się wydobywa, i dūmas to nie to samo, co dauszjā, dusza, dūmas to bardziej stan fizyczny albo i jeśli kto woli, emocjonalny, wzburzenia, w miłości, walce, strachu, taki, w którem serce walić zaczyna jak młotem i człowiek dyszy.

Aleście mądrzy, Konradzie Wilgelmowiczu, ale mądrzy!

Trochę się tutaj tak popisujecie, prawda? Że proszę, prosty chop ze guby, taki głupi Widuch-najduch, maat w Kaiserliche Marine, a tu nagle jakby się *The Golden Bough* Frazera naczytał, takie analizy!

Zawrzij pysk!

Sōm zawrzij pysk.

No dobrze, pora zawrócić, bo ja już wbrew obietnicy za daleko się zapędził, opowiadając tu o zwyczajach chołodzkich, a my tam przecie jeszcze

w mojej historii z Ljubow, Gabaidzem i nowo poznanym Wesunasem oraz jego nieszczęśliwemi wilkami nie dotarli. Po kolei więc.

Ale wpierw jednak skończę, jak Wesunas opowiadał mnie, czemu nas zratował i nie pozwolił zabić ani w niewolę wziąć, a więc, że ja się mu człekiem zdał interesującym, to znaczy duchy mu to powiedziały, że ja interesujący, a z Ljubow umyślił sobie uczynić egzotyczną nałożnicę, ale najważniejszy wydał mu się Gabaidze. Czełowiek oślepiony i bez rąk musiał w całości polegać na innych, sam do niczego im się nie mogąc przysłużyć w sferze fizycznej, a więc czemu my go przy życiu utrzymali tak długo, że i rany zagojone dobrze miał? Musiał posiadać jakąś inną właściwość, jakieś inne moce i zdał się Wesunasowi wielkim walkwasem, o ileż większym niż jego własny, rodzimy. Taki walkwas więc, przez którego dusze mówić mogą wyraźniej i głośniej, niż zbyt nieco do wygód codziennego życia przywiązany karzeł Elēn, to skarb wielki dla Ljaudīs, ale przede wszystkiem dla samego Wesunasa, który jako wadas, czyli, powiedzmy, przywódca wojenny, wodzący wojowników na wyprawy łupieżcze i wojny, bardzo dbać musiał o to, by wszyscy mieli jak najlepsze mniemanie o jego meźōs dūmas – bo tylko to czyniło go przywódcą. Status ten stracić mógł w każdej chwili i nie mieli Ljaudīs dla tego nawet żadnego rytuału: po prostu nagle albo stopniowo przestawali podążać za jednym znamienitym bojcem i zwracali się ku drugiemu, i ten pierwszy mógł, owszem, swoje meźōs dūmas odbudować, ale raz utracone zbudować od nowa było najtrudniej.

Wesunas był jednak jednym z tych, za któremi Ljaudīs szli chętnie i żywo, mało tego, naciskali go, aby podejmował nawet te decyzje, których podejmować nie chciał, ale właśnie dlatego, że był politykiem rozważnym i dalekowzrocznym.

Dlatego pozwolił nam żyć – uznał po prostu, iż sprawdzi, czy możemy mu się do czegoś przydać. Martwi bylibymy tylko kolejnym łupem karjas, z martwych nie miałby nic poza dobrymi dwiema wintowkami, których na dodatek jako opiekunowi wziąć by mu nie wypadało.

No i tak stalimy, nie wiedząc jeszcze tego wszystkiego, Ljubow i ja, a mołodcy przygotowywali nam miejsca na saniach, na których leżał już nieprzytomny Gabaidze, i cały świat czarny w jego głowie. Siedlimy i sanie poszły, i ja pierwszy raz wtedym takiej jazdy zaznał.

Jakaż to była jazda! Na karjas brali zawsze psy najlepsze, a chowają Ljaudīs psy inne niż się tam u nas w Śląsku trzymało, za to zupełnie podobne do tych, co Czukcze chowają: średniej wielkości, wysokie na łokieć z kawałkiem, półtora do dwóch pudów wagi, futra bardzo grubego, barwy wilczej, czyli raczej takie szare, podpalane, czasem i brązowy lub rudawy się zdarzył; taki pies nazywał się po chołodzku śwō, uszy miał stojące, ogon czasem zakręcony jak szpice, a czasem zwisły jak u wilka, i ciągnął te sanie, i żarł jakby nie psem był, tylko niedźwiedziem, i szybko ja dowiedział się, że pies musi być żerny, a taki, co żre mało, nic nie pociągnie, i tak też odbywała się pierwsza selekcja szczeniąt z miotu: bierze się te, co do foczego mięsa zamrożonego pierwsze się rzucą, a tym, co się ociągają albo dają się odepchnąć, dobry hodowca od razu karki łamie i skarmia je reszcie szczeniąt, bo psie mięso pies też musi jeść od początku z apetytem, bo i nierzadko to najsłabsze w zaprzęgu trzeba skarmić mocnym, żeby mocne ochotnika i jego łup z łowów nazad do Chołodu przywiozły.

I jak one ciągnęły! Kiedy psy parami do rzemienia uwiązane sannik do biegu wzbudzi, wyrywając ze śniegu kotwicę z kości albo modrzewia sporządzoną, i jak pójdą, to będą szły, aż padać zaczną ze zmęczenia, a siła to taka, że mocny zaprzęg i białuchę z wody zdoła wyszarpać – jak dobry brzeg znaleźć i dobrze linę z rzemieni na ogonie ubitej białuchy zawiązać, to wyciągną, takie to są psy.

Więc jechalimy, mołodcy na stojąco z tyłu, z rękami na uchwytach sań, albo biegnący obok, nam tylko złazić z sań kazali, kiedy był podjazd za ostry albo kiedy spiętrzony morski lód przejechać nie pozwalał, i jechalimy po zamarzniętym morzu, rachubę czasu wtedy stracił ja zupełnie i nie wiedział ja, czy jedziemy dziesięć, czy trzydzieści godzin, psy powoli, ale widocznie słabły, aż Wesunas zarządził postój, krótki, szybki, bez ognia, bez noclegu, tylko posiłek ze stroganiny, którą, jak się okazało, przyrządzali dokładnie tak samo jak wszyscy inni, tyle że wódką nie popijali, bo ta, jak teraz wiem, rzadka i cenna nad wyraz u nich była, a jedyny alkohol, jaki sporządzali sami, to było coś na kształt wina z czarnych arktycznych jagód, na które po rusku mówi się водяника, trochę jak naszo wodziōnka, ale pewnie jakoś inaczej, albo i wcale, bo też u nas w lesie nigdy takich ja nie widział. Za to wiem, jak się nazywają po łacinie, empetrum nigrum, tego się ja też od towarzysza niewoli, polarnika z „Czeluskina” dowiedział, jak

my je, gdzie tylko rosły, zbierali i pchali do gęby, ile wlazło, chociaż mdławe były i gorzkie trochę. W Chołodzie mówili na nie kirsznā ōgā, co jak się zdaje, oznaczało po prostu czarny owoc, i na przykład takie jagody zwyczajniejsze bardziej, z tajgi, też tak nazywali, a jak te chcieli odróżnić, to mówili na nie paurngait i robili z nich wino właśnie, z senduchowymi ziołami, słabe, bo i cukru, żeby się w alkohol zamienił, w tych jagodach zbyt wiele nie było, ale upić się dało, w smaku całkiem przyjemne, bo kiedy jagody tej wodianiki przemrozić, to dużo lepiej smakują. Nazywali to wino pīwan, chociaż w smaku do piwa niepodobne. Zresztą czegoż w Chołodzie się z kirsznā ōgā nie robiło! Zbierały to głównie dzieci płci obojga, pod koniec lata, a zbiory przechowywano długo, przez całą zimę, zawinięte w focze skóry, w nich zalane tłuszczem foczym albo reniferzym, jeśli był, reniferzym lepiej, bo smaczniejszy, no i zakopane w ziemi. Oprócz tego piwawina to jeszcze robili na przykład deser taki niezbyt słodki, z jagód wymieszanych z przetopionym reniferzym tłuszczem, wielki rarytas. Same jagody też dobrze na biegunkę robiły i jeśli człowiek zjadłby za dużo, to go zatka jak korkiem, dlatego jeść je trzeba z tłuszczem reniferzym albo z ikrą rybią i ziołami, co było u Chołodców uznawane za potrawę na specjalną okazję i nazywało się tolkusza, tak samo jak u Czukczów, którzy zresztą w ogóle to samo jedli, chociaż każda chołodzka kobieta wydymała na taką sugestię wargi i twierdziła, że żadna niewolnica jukagirska czy czukocka tolkuszy zrobić nie potrafi, a co gorsza, czasem zamiast z ikry ośmiela sugerować, że powinno się ją robić ze startej w moździerzu jukoły, co w mniemaniu Chołodców wielką obelgą jest dla milczącego boga, dusz i wszelkiego człowieczestwa.

Z gałązek sprężystych wyplatało się też maty, dobre jako materac do spania, napar z nich pomagał, jak komuś nerki niedomagały, no w ogóle ileż to człowiekowi Arktyka chętnie sprezentuje, jeśli tylko wie, gdzie szukać!

Kirsznā ōgā nie była przecież jedynym roślinnym pokarmem, co się go tu, na Chołodzie, jadało. Chołodcy z pogardą odnosili się do Inuitów, co dalej na wostok żyją i co żywią się jedynie mięsem i tłuszczem, jak zwierzęta. Chołodcom wiele dawała do jedzenia arktyczna flora: bo oprócz wodianiki na desery i pīwan kopali też kłącza gorca, co jak się po łacinie nazywał nie wiem, bo mi polarnik z „Czeluskina" nie powiedział, albo i powiedział, ale ja zapomniał, to w każdem razie roślinka niewielka, podobna trochę do na-

szego rdestu, z liśćmi podługowatemi i kłoskiem białych kwiatków, którego kłącze, chociaż cierpkie, to smakuje po ugotowaniu trochę jak migdały i całkiem pożywne. Mężczyźni na połów chętnie zabierali ze sobą korzeń rodioli, który podobno usuwać ma zmęczenie i senność, na mnie jednak nie działał. Chętnie robili też na niem nalewkę, jeśli tylko udawało im się od kogo wódki kupić. Były i inne korzenie: podobnej z pokroju do jakiejś fasoli albo innego bobu rośliny o fioletowych kwiatach, którą w Chołodzie może właśnie dlatego zwano babas i której na zimę czyniono spore zapasy, wykopywanie zaś jej korzonków stanowiło obowiązek i udrękę dziatwy płci obojga, i były jeszcze bulwy roślinki o kwiatku podobnym do tuberozy, też zbierane przez dzieci i gotowane potem z mięsem i sendusznymi ziołami, co dawało potrawę pożywną i smaczną, chociaż, jak wszystko w Chołodzie, za mało dla mnie słoną.

Najcenniejszy był zaś dla Chołodców muchomor, zwykły muchomor, który w sendusze rośnie nie tak często jak w pilchowickim lesie, ale rośnie – o muchomorze może jednak opowiem innem razem, bo też chociaż go spożywano, to nie traktowano przecież w Chołodzie jak pożywienia.

Czego natomiast w Chołodzie nie jedzono, to moroszki, której maliny są przecież pyszne, słodko-cierpkawe, a i obfitujące w witaminę C, więc jeśli tylko się natknęlimy na moroszkę na wyrębie, to pchalimy te pomarańczowe owoce w kształcie rozkosznych chmurek do gęby, ile się dało, aby wzbogacić trochę te żałosne tysiąc kalorii, na które pozwalała шкала питания, a i zratować się jakoś od cyngi. A w Chołodzie moroszką gardzą. Kiedy później ja pytał dlaczego, odpowiedź zawsze była jedna: moroszkę to Czukcze jedzą. Na moją uwagę, że czarne jagody też jedzą, owszem, reagowali zawsze, tylko przewracając oczami: tautā nigdy nie zrozumie.

„Tautā" po chołodzku znaczy obcy, ktoś, kto nie jest Ljaudīs, czyli zasadniczo każdy, Czukcza, Pomor ruski i ja, i Ljubow, tylko Gabaidze nie był tautā, bo Gabaidze był walkwas, a dobry walkwas nigdy nie tautā. To w zasadzie tak jak u nos, w Pilchowicach – jak przyjyżdżali do roboty z Rosyje albo ze Austryje do nas Poloki, to każdy gorol, a farorz nigdy niy był gorol. No.

I znowu te dygresje, Konradzie Wilgelmowiczu.

No i co z tego, że dygresje. Tak to przecież wygląda, jak się na saniach jedzie godzinami, pod grubym futrem niedźwiedzim, dokoła biel i jej białe

odcienie, i niebo białoniebieskie, i światło blade a rżnące po oczach jak nożem, już nam wtedy mołodcy chołodzcy dali okulary kościane z wycięciami na oczy i tako my jechali, i myśli odlatywały ku przeszłości, tak samo jak teraz, gdy to piszę, bez ładu i porządku, jaki czasem staram się w tej historii zaprowadzić, a czasem pozwalam im, myślom, uciekać, jak teraz do kirsznā ōgā i tolkuszy, i chołodzkiego pīwan, i kwestii, czemu moroszki nie jedzą. I jechalimy, z krótkiemi odpoczynkami, nie wiem ile, dwa dni, pięć, trzy, mołodcy wcale nie spali, nam dając na saniach płytkim snem drzemać, jechalimy, jechali, bez ustanku.

O czem ja wtedy myślał? O niczem. Już się tak człowiek przyzwyczaił w Arktyce, żeby za wiele w przyszłość nie wybiegać, że to trzeba raczej wyzbyć się ciekawości i nadziei, po prostu trwać w takiem oczyszczeniu, być tak pustym w środku, jak tylko się da, taka to strategia przetrwania, a jeśli się ja znam na czem, to na przetrwaniu właśnie, co mnie chyba moja czytelniczka nieistniejąca przyzna, skorom aż tu dotrwał i dożył, skoro siedzę tu ja na „Invincible", zamknięty w połyni, i spisuję ja moje niezwykłe przygody.

Jechalimy takoż, bez noclegu, bez rozmowy, z krótkimi przerwami na posiłek ze struganego czyra i dalej w drogę, przez lód, aż my Chołod ujrzeli po raz pierwszy.

Do zamarzłego teraz oceanu schodzą tam góry z czarnych, nawet teraz śniegiem niepokrytych, bazaltów, tak strome są ściany. Tam gdzie w nie uderzają latem fale, tam ciągnie się czarna i wąska plaża, czasem tak wąska, że dołem przejść nie sposób, morze zabierze, ani od wostoku, ani od zapadu, ale w jednym miejscu, u stóp bazaltowego klifu, rozciąga się piaszczysty przy plaży, a dalej rzadką senduchą porośnięty i skalisty, niski cypel. Na samym końcu tegoż cypla mieści się zaś Chołod.

Na Chołod składało się wtenczas trzydzieści domostw drewnianych, otoczonych palisadą, posiadającą dwie drewniane, zadaszone wieże. Poza palisadą, w pewnym oddaleniu, na samym końcu cypla od strony morza stał wkopany w wieczną zmarzlinę dom, czy raczej ziemianka walkwasa, który, jako walkwas, musi mieszkać w ziemi, od strony lądu zaś pokaźny dom kowala razem z kuźnią. Wszystkie zabudowania w osadzie postawili Chołodcy z drewna niesionego prądami i wiatrami, którego na cyplu wielka była obfitość, co, jak się mnie zdaje, powodem było, dla którego Chołodcy cypel

ów wybrali jako swoją siedzibę. Dalej, za palisadą, wyciągnięte na lichą senduchę i odwrócone do góry dnem stały liczne kocze – jak się potem ja dowiedział, przynajmniej po jednym na domostwo – pękate, solidne, drewniane łodzie – sześć, siedem, osiem sążni długie, pojemne, dzielne, dzielniejsze niż s/y „Invincible", zacumowana do krawędzi lodu. Na chołodzkim koczu zapłynąć można wszędzie, żadne morze mu niestraszne. Tak Chołodcy mawiali, ale ja tam wiem, że bywa różnie. Obok koczy maszty drewniane i reje, na których żagle z foczych skór wiesza się, i wiosła sterowe, bo w koczach ster niepowieszony na pawęży albo szpicgacie, jak to się robi normalnie wszędzie, a wiosło sterowe na sterburcie, na potężnym zawiasie rzemieniami umocowane wisi i z niego pod kątem prostem penne wystaje, prostopadłe do osi łodzi, i tak sternik od siebie do przodu pcha, to w prawo steruje, a do się, to w lewo.

Między koczami stały wielkie konstrukcje, co przypominały mi te, na których u nas chmiel rośnie – te jednak przeznaczone były na suszenie jukoły, a jukoła to takie syberyjskie jadło, co tu wszyscy robią, ryba łapana w rzekach, jak na tarło z morza płynie, potem rozcinana na paski i suszona, trochę tak jak w Norwegii sztokfisza suszą, ale lepsza, bo tłustsza i pożywniejsza. Jeszcze niżej podobne do czukockich bajdary, łodzie obciągnięte skórami, których Ljaudīs nie uznawali za pełnoprawne łodzie, ale używali do pływania na mniejsze dystanse niż koczami.

Latem, gdy puszczały lody, dostęp do Chołodu był jeno morzem i jedną ścieżką, pracowicie wykutą przez Chołodców w skalnym klifie, ale tak, że jej z góry ani trochę znaleźć się nie dało, trzeba było dokładnie wiedzieć, gdzie stąpać, i gdy ja pierwszy raz za kimś tą ścieżką schodził, to zdawało mi się, że mój przewodnik śmiało stąpa w przepaść i że drogi tam nie ma; a jednak droga była i ukazywała się tylko stopień po stopniu, nigdy w całości, schodząc w dół żlebem, potem trawersując do kolejnego i tak dalej, aż w końcu na sam dół. Sań sprowadzić się tą drogą nie dało, zimą w ogóle niebezpieczna, renifer też nie zszedł, ale tragarz chołodzki, na nosiłkach pakujący i sto funtów ładunku, owszem.

Chciałby ja nie wybiegać w tej opowieści w przyszłość, a opowiadać, opisywać to, co ja w Chołodzie widział, tak i po kolei, tak jak ukazywało się było moim oczom. Nie umiem jednak. Nie umiem czasowo odgrodzić w swojej głowie tego, co już teraz ja o Chołodzie wiem, wyprzeć się tego na

jaki czas na rzecz logiki opowieści, tak aby czytelniczka dowiadywała się o Chołodzie wszystkiego tak, jak i ja się dowiadywał, w tej samej kolejności.

Tak ja nie umiem, darujcie. Nie umiem ja budować tej iluzji niewiedzy, opowiadać ja umiem tylko tak, jak przychodzą do mnie myśli, nie potrafię ja układać opowieści, potrafię jedynie pisać, przelewając ołówkiem na papier to, co się w mojej głowie kłębi, wzbiera i opada, tak i nie chcę inaczej. Tak jakby ja w ogóle nie panował nad tem, co tu się pisze, jakby to się samo – ze mnie, ale samo – pisało. Tak oto i patrzę na moją prawą dłoń niekompletną, bez kawałka małego palca, dłoń ołówek trzyma, ile ja już tych ołówków tu stemperował nożem do zera, dłoń się porusza po papierze i ołówek zapisuje łacińskie litery jedną po drugiej, ale czy to i ja wiem, co ja piszę, czy się to mnie pisze samo, z mojej głowy, ale samo, żeby jakoś zabić tę samotność i pustkę, i nudę, w jakiej tu tkwię, połynia ciągle zamknięta, nie chce mi się już zapisywać dat, przestał ja już pilnować zegara i chronografu i zaznaczać dni w kalendarzu, nocy nie ma, więc to jeszcze nie sierpień, ale ile dni minęło, od kiedy zaczął ja ten drugi notes w starym bordbuchu tutaj pisać, to ja nie wiem, nie chcę liczyć czasu, chcę, żeby się skurczył, zwinął, tak jak i ja się kurczę tutaj, jak ślimak w muszli, co na burcie ma „Invincible" chyba tylko na szyderstwo wypisane, żeby drwić ze mnie, „Invincible", a tak pokonany zupełnie.

Więc tak tylko siedzę ja i piszę, co mi z głowy się samo do ręki przeleje, nic po kolei, tylko tak jak się jakoś mi głupiemu zdaje, i jaki z tego pożytek, skoro i tak nikt tego bordbucha nie przeczyta?

Tak to sobie sam mówisz, Widuchu-najduchu, pisz, jak ci się pisać podoba, nie ma to przecież znaczenia, skoro ta twoja czytelniczka i tak nie istnieje.

No tak i piszę ja.

Weźmy na przykład taką myśl, której wtedy, gdy my Chołod po raz pierwszy ujrzeli, ja nie miał wcale – że Chołodcy traktowali drewniane, stałe domostwa i drewniane statki ze spływających syberyjskimi rzekami kłód modrzewia jako to, co odróżnia ich od Czukczów czy Jukagirów. Nie myślał ja wtedy o tem, że Chołodcy to wolą w drewnianych domach mieszkać. Ale myślę ja o tym teraz. A skoro tak – to piszę. No więc wolą oni w drewnianych domach mieszkać. Chociaż przecież te czukockie albo jukagirskie lekkie domostwa, jarangi, pokryte skórami reniferzymi na lekkim drewnia-

nym szkielecie, zarówno te całkowicie przenośne, tych Czukczów, którzy żyli z reniferów, jak i te będące na wpół ziemiankami, w których żyli Czukcze morscy, dużo lepiej sprawdzają się w surowym klimacie wostocznej Syberii, we wiecznej zmarzlinie, podobnie jak ich lekkie łodzie na szkieletach z drewna albo i kości, obciągnięte skórami foczymi albo morsimi, a szczególnie chętnie skórą siwucza, wielkiej jak mors uszatej foki, której w Chołodzie dostać nie sposób, ale na którą polują morscy Czukcze dalej na wostoku. Taką lekką bajdarę dwóch mężczyzn bez trudu wyciągnie z wody i przeniesie po lodzie, kocze zaś przeciągać musi cała załoga – a jednak Chołodcy trzymają się swoich drewnianych domów i łodzi wbrew rozumowi, aby za wszelką cenę pozostać Chołodcami. I nie tak przecież, żeby jarangi nie znali, bo znali, bo gdy latem te rody bardziej reniferze niż morskie szły za stadami, to mieszkali właśnie w jarangach niczym od czukockich nieróżniących się, poza tym że je zwali mālas damas, czyli mały dom, w przeciwieństwie do daugjā damā, czyli potężnego domu – tego z drewna. I różnica jeszcze taka, że Czukcze morscy swoje jarangi kryją skórą morsią wyprawianą moczem ludzkim, przez co zapach w nich niezbyt sympatyczny. Mieszkając w jarangach, Chołodcy tylko rytualnie cały czas na to narzekali, że ach, żyjem tu w sendusze jak Czukcze, kiedyż nam to dusze pozwolą znowu żyć jak prawdziwym ludziom, wēramas Ljaudimas, kiedy to do naszych ludzkich domostw z tej tułaczki powrócim? Ja zaś zawsze znajdował jarangę bardzo wygodną, wygodniejszą niźli daugjas damas.

Gdy nasz karjas na saniach, z nami w postaci łupu, jadąc po zamarzniętym morzu, zbliżył się do otaczającej Chołod palisady, kiedy ujrzał nas wartownik na wieży, okrzyknął się, że liczba się zgadza, że nikogo nie brakuje, że wszyscy wracają i więcej ich też, wracają z łupem, wtedy brama, zawieszona na zawiasach misternie ze stali wykutych, otwarła się i na powitanie karjasu wybiegły kobiety, krzycząc radośnie dētimīs gān, wīrōjs wewartin, co znaczy, że wyszli dziećmi, wrócili mężami, i rzuciły się sprawdzać, czy ich rodzony przypadkiem nie ranion, czy nie okaleczon albo nie oszpecon. Wesunas sūnus Wesunjas kroczył jako pierwszy dumny jak paw, bo nie tylko chłopców do Chołodu z powrotem przyprowadził całych i zdrowych, ale jeszcze juridowego walkwasa przywiódł i Ruskich parkę, ale nie jako niewolników, arbōns, lecz jako gości, gastins.

Że to dopiero miało się zdecydować później, na mejraj, to nam wcześniej nie raczył wspomnieć, ani też my tego jeszcze nie wiedzieli, przyglądalimy się raczej chołodzkim kobietom. Stroje ich pyszne, na głowach wysokie czerwone kołpaki z filcu, które, od razu pomyślał ja, muszą skądś sprowadzać, bo tu przecie owca nie wyżyje. Musiały je w pośpiechu zakładać akurat na tę okazję, bo co chwila jakaś jeszcze przez bramę wybiegała, dopinając pod brodą pasek trzymający na głowie kołpak wysoki, wyszywany złotą nicią, a na tych haftach konie, jelenie o porożu układającem się w spirale, za końmi i jeleniami pantery na nie polujące, wilki i niedźwiedzie, a im starsza kobieta, tym więcej zwierząt złotą nicią wyszytych ma na kołpaku. Na ciele nosiły tuniki z reniferzego futra, pod nimi reniferze nogawice i futrzane buty o zakręconych do góry noskach, a na ramionach półkożuszki podbite futrem niedźwiedzim do wewnątrz, od zewnątrz z reniferzego zamszu, też na czerwono barwione. Włosy u prawie wszystkich kruczoczarne, zaplecione w dwa warkocze, dwie tylko spośród kilkunastu, co ku nam wybiegły, włosy miały jaśniejsze, brązowe i rude, wszystkie za to nosiły złotą biżuterię, liczne naszyjniki i pierścienie, i wielkie, ciężkie zausznice.

Dopadały matki więc swoich synków, obmacywały, dopytywały, czyś zdrów, a dziewczyny mołodsze, w kołpakach skromniejszych, trzymały się dalej, dając matkom pierwszeństwo, a widać było, że wilkom raczej do dziewcząt pilniej niż do matek.

Wjechalimy w końcu za palisadę przez otwarte wrota, ja zaś patrzył tylko ze strachem, czy gdzie nie zobaczę czerwonego sztandaru, gwiazdy albo wochrowskiego munduru – i nie, nic takiego nie było.

Żadnego śladu Ojczyzny Światowego Proletariatu, mało tego, żadnego śladu Rosyi – poza orużjem, które już wcześniej widział ja w rękach mołodzieńców na karjas, a które bez wątpienia z Rosyi pochodziło, jeszcze z ubiegłego stulecia, i tutaj też, na przykład w ręku zbiegającego z wieży strażnika berdanka, z kolbą nabijaną mosiężnymi ćwieki we wzory zupełnie nierosyjskie. Poza tem – nic. Ani kawałka szynela naszego czy carskiego, ani budionowki, ani czapki oficerskiej, ani nigdzie złachanej gimnastiorki czy tiełogriejki ruskiej proweniencji, a przecie jak czełowiek widział Jakutów na przykład, to widział też te grube pociągnięcia pędzla, jakie osadziły na nich warstwy rosyjskości, ich ubrania z rosyjskimi łachami zmieszane, tutaj zaś nic takiego.

Znajome za to wydały mi się domy – bo też całkiem podobne do tych starych domów Pomorców, które widywał ja w Murmańsku i okolicach, nad Morzem Białym, tam gdzie się takie stare jeszcze zdarzały. Podobieństwo było uderzające: domostwa Chołodców również były okazałe i piętrowe, z bali postawione, dachy spadziste z okapami, okna otoczone pomalowanymi na biało snycerskimi obramieniami, podobnemi bardzo do tych pomorskich, z tą różnicą, że naczółek wyrzynany był we wzory nie geometryczne, lecz zwierzęce, tak jak te na czerwonych filcowych kołpakach chołodzkich kobiet, a i poczyniono je nie z drewna, ale z pysznej, białożółtej mamuciej słoniowej kości.

Domy stały w dwóch rzędach, frontami do centralnego placu, zwanego tak samo jak zgromadzenia, które się na nim odbywały, mejras. Te bliżej placu, w pierwszym rzędzie, wyglądały strojniej, bo też – jak się ja później przekonał – zamieszkiwały w nich rody znaczniejsze, daugjaj radaj, w drugim rzędzie zaś te uboższe.

Na środku mejrā stał wkopany w ziemię i wsparty głazami oraz drewnianymi przyporami gruby słup, dwadzieścia arszynów wysoki, rzeźbiony w wymalowane na czerwono na czarnym tle sceny zwierzęce, na którego szczycie znajdowała się wyrżnięta w drewnie głowa ludzka, męska, o zamkniętych ustach i oczach.

Cały karjas, wraz z psami, saniami i nami na tych saniach, wjechał na plac, młodzieńcy natychmiast dali się do psów, odwiązując je po jednym z zaprzęgu, i przy pomocy domowych sług i niewolników odprowadzali je za drugi rząd domów, gdzie, jak się potem okazało, mieszkały przywiązane grubymi rzemieniami do wbitych w ziemię palików. Do domostw, niezależnie od pogody, wpuszczano tylko mające się oszczenić suki i trzymano, póki szczenięta nie dorosły.

Na powitanie karjas wyszli wszyscy, jednak naprzeciwko bramy stanęli tylko mężczyźni w sile wieku i podobne im kobiety, wszyscy odziani bardzo strojnie, w długie futra spięte w talii, mężczyźni też w szpiczastych kołpakach, lecz niższych niż te kobiece, i z mieczami podobnymi do Wesunasowego, niektórzy również z innym orużjem ręcznym za nabijanymi złotem pasami, starymi, jednostrzałowymi pistoletami z zamkami kapiszonowymi i skałkowymi, jeden ze starym rewolwerem za pasem i carskim winchesterem 1895 w ręku, najnowocześniejszym z orużja, jakie ja tam widział

– ten kołpak miał przystrojony świeżym wieńcem ciasno splecionym z gałązek wierzby polarnej. Był to rēźis, czyli można by powiedzieć król, tyle że wybieralny przez zgromadzenie mężów Chołodu, nie dziedziczny, którego władza miała charakter cywilny i bardziej ceremonialny niż praktyczny, w przeciwieństwie do militarnej władzy i wielkich wpływów Wesunasa. Ale tego to ja się dopiero później dowiedział.

Weketi nu Dejwas Patē? – zapytał Wesunas uroczyście, podchodząc do nich i stając plecami do posągu, słowa zaś jego oznaczały pytanie o to, czy przemówił Bóg Ojciec.

Dejwas Patē ne weketi! – odpowiedzieli chórem mężczyźni i kobiety, co oznaczało, że nie przemówił. Takie zapytanie, jak się ja później dowiedział, otwierało każdy mejras.

Wesunas odwrócił się ku posągowi, ściągnął hełm i stojąc, pochylił głowę, po czem zapłakał bardzo teatralnie jak na mój gust niewyrobiony, gust Widucha-złego ducha. Szlochał tak chwilę, spazmy wstrząsały jego szerokimi ramionami, cała reszta milczała, mołodcy z psami zastygli, trochę jak u nas w Pilchowicach zastygało się na klęczkach, kiedy farorz Scholtis szeptali po łacinie słowa konsekracji i trzeba było zastygnąć tak, że w kościele nie było nawet szmeru, no to na płacz Wesunasa też wszyscy Chołodcy zastygli w bezruchu i czekali, aż ten płakać przestanie.

Przestał, wyprostował się w końcu i wtedy o krok przed mężów oraz niewiasty witające nas przy posągu wystąpił chłop z wieńcem na głowie i głośno, uroczyście, tak aby go wszyscy słyszeli, oznajmił: Dejwas Patē ne weketi, ne ēsti ge, co oznaczało, że skoro Bóg Ojciec nie mówi, to i jeść nie będzie – i w tej chwili wszyscy stracili zainteresowanie posągiem, i zaczęło się uroczyste powitanie oraz prezentacja łupów, na które składali się gastīs, czyli my: Widuch-najduch, Ljubow Władimirowna Zacharowa i Gabaidze, którego, z czego właśnie ja sobie zdał sprawę, pierwszego imienia nigdy ja nie poznał, a i bardzo dobrze, bo czemu łajdak miałby być z imienia przeze mnie zapamiętanym.

Zanim jednak o tym, jak nas zaprezentowano na mejraj, to chciał ja opowiedzieć, coś, co nie wiem, czemu zdaje mi się ważnym, a jednak się zdaje. A może wcale nie ważnym, ciekawym jednak?

Opowiadajże już, Konradzie Wilgelmowiczu, a nie że…

Zamknij się. Mołczat! Maul halten!

Opowiedzieć chciał ja o tem, jak trochę później, jak Wesunas uczył mnie ich języka, a ja go uczył pa ruski, zapytał ja Wesunasa, czy oprócz Dejwā Pateres, jasnego Boga Ojca, mają też oni innych bogów. Bo że nie są chrześcijany, to ja wiedział już od początku. Wesunas nie zrozumiał czasownika „wierzyć", chociaż w chołodzkim języku jest i słowo podobne do naszej czy ruskiej wiary, wēras, co oznacza „prawdziwy", więc w końcu doszlimy z Wesunasem do tego, że inni bogowie, owszem, są prawdziwi, Wesunas wymienił mi ich imiona, na przykład Perkunas, jednak Chołodców niezbyt oni interesują, są czymś na kształt postaci z bajań dawno zapomnianych, dobrze sobie o nich i miło poopowiadać, gdy się siedzi prej ungnēj – jak Chołodcy mówili na ich długie, polarnonocne posiedzenia przy ogniskach i piecach na łój z morskich zwierząt, podczas których nudę zabijali właśnie opowieściami o bogach i bohaterach, niemających jednak żadnego wpływu na codzienne życie – co, jak zauważyłem, różni ich zasadniczo od dusz, z których humorami Ljaudīs muszą się zmagać każdego dnia i od których zależy w zasadzie wszystko. Zapytał ja wtedy, czy to dlatego prócz tego jednego posągu Dejwasa Patera nigdzie żadnych przedstawień bogów nie mają. Wesunas nie rozumiał w ogóle, o czem mówię, i odpowiadał, że innych bogów w Chołodzie niet, a Dejwas Patē tu, tylko milczy od pokoleń, a jego, Wesunasa ród sławny dlatego, że ostatnim, co gołos Dejwasa słyszał, był praprapradziad Wesunasa, imieniem – niespodzianka – Wesunas sūnus Wesunjas.

Tamten Wesunas miał meźōs dūmas, wielki oddech, był też wielkiem, strasznem wojownikiem, co do walki z Jukagirami wychodził zupełnie nagi, jak na karjas, chociaż to o wielką walną bitwę chodziło, i kiedy wzbudzał się w nim dūmas, i ów pradziad Wesunasa wpadał w szał, to wtedy przemawiał do niego Dejwas Patē i mówił mu był, jak ów wielki przodek postąpić ma. Mało tego, chociaż bitwa toczyła się daleko od Chołodu, na ziemi Jukagira, to Dejwas Patē wtedy wyszedł z mejrā i udał się na pole bitwy, i przodek Wesunasa nie tylko go słyszał, ale także ujrzał na własne oczy.

Kiedy wzbudzi się w czełowieku dūmas, mówił Wesunas, wtedy słyszy czasem jeszcze czełowiek gołos boga. Nie to takie popiskiwanie duszy, co słyszy walkwas, dusze mają mały gołos, nie zaś wielki – to prawdziwy gołos

boga, galsas dejwā, czasem nawet ich ujrzeć można, jak ujrzał wielki przodek Wesunasa, a tem różni się gołos ten od tego, co dusze mówią, że gołosu boga nie sposób nie posłuchać, gołos boga kieruje człowiekiem jak dziecko kieruje swoją kościaną lalką na rzemykach, podnosząc jej rączki czy nóżki. Gołos boga wydaje rozkazy, a człowiek ich słucha, bezwolnie, zapomina o tem, że sam istnieje, gołos boski w całości go wypełnia, powoduje nim, tak jakby człowiek nagle stracił swoją własną duszę.

Wtedy zrozumiał ja, głupi, głupi, że posąg na samym środku mejrā nie przedstawiał boga – on był bogiem. Inni bogowie, owszem, gdzieś byli, ale u nich, w Chołodzie, tylko Dejwas Patē. Pytał ja więc dalej Wesunasa: a czy teraz na przykład jemu samemu zdarza się usłyszeć gołos boga? Ten na to zasmucił się i odparł, że nie, już nigdy potem Dejwas Patē nie przemówił do nikogo, a ja na to, głupi, pytał dalej, dlaczego nie przemówił?

A dlatego że ludzie już nie są tacy jak kiedyś, opowiadał z goryczą Wesunas. Ljaudīs odchodzą od swoich świętych praw, dzieci, co je płodzą z jukagirskimi niewolnicami, traktują jak swoje własne i potem on słyszy, że idzie dziecię chołodzkie z drugim dziecięciem, i on, Wesunas, po jukagirsku je słyszy między sobą mówiące, zamiast w wōkis nas, czyli w naszej mowie, zwanej również inźūs – co oznacza po chołodzku tak jak u nas i język jako mowę, i język jako część ciała. I że oczywiście, jako że dziatki były to niewyrosłe jeszcze, to natychmiast porwał on rózgę i im siedzenia porządnie wybił, na śnieg obaliwszy, a potem na mejraj długo przekonywał innych patins damōn, patriarchów każdego z domostw, między któremi Wesunas był primus inter pares, chociaż to akurat po łacinie, bo tak ja zapamiętał ze szkoły jeszcze, a nie po chołodzku.

A tu się mi zdanie urwało i jakoś wątek ja zgubił, ale już nie będę gumkował, bo tylko papier się przeciera, więc napiszę po prostu, że na jakimś mejraj Wesunas przekonywał patins damōn do tego, aby zabronić jukagirskim niewolnicom mówić po jukagirsku do dzieci, co generalnie nie spotkało się z życzliwym przyjęciem, bo ci odpowiedzieli mu, że trzeba teraz ruszać na połowy, a nie zajmować się jakimiś domowymi głupotami, kogo to w ogóle obchodzi, w jakim języku do dziecka mówi jukagirska niewolnica. Wesunas rozpłakał się więc na to rzewnie, bo mężczyźni w Chołodzie w ogóle często i chętnie płakali, co było postrzegane nie jako objaw zniewieścienia, ale raczej posiadania meźōs dūmas, tak samo szanowano

wszelkie objawy odurzenia, pijany albo taki, co się muchomora najadł, traktowany był z rewerencją, jak ktoś chwilowo święty. No więc Wesunas płacze, a oni, patīs damōn, pytają go, czemu płacze. A ten na to, że cóż to za obyczaje, cóż to za czasy, w których mu żyć przyszło, i nad nimi samymi płacze, i nad tym, że niedługo już nie będzie Ljaudīs, skoro nie dbają o swoją świętą mowę, i że nic dziwnego, że Dejwas Patē milczy od pokoleń, odwrócił się od nich, bo porzucili starożytne obyczaje i język przodków, dlatego zamilkł.

Był ja tego świadkiem, na własne oczy ja to widział, siedział ja sobie z boku na tym mejraj, już w dobrem chołodzkiem ubraniu, i rozumiał wszystko, tak mi się przynajmniej dziś zdaje, ale może i to mi Wesunas opowiedział?

Ale zdaje się mi jednak, że na oczy własne ja to widział owszem.

No więc siedział ja, słuchał, jak to Wesunas płacze nad tem, że Ljaudīs nie dbają o swoją świętą mowę, i pomyślał ja sobie wtenczas, że przypomina mi wielce pana Krzemińskiego, mołodego nauczyciela z Galicji, członka PPS-u, co przyjechał do nas, śląskich górników, polskiego uczyć, po tem jak ten poznaniak, com o nim wcześniej pisał i co lubił chłopcom mołodym ręce w spodnie wsadzać, skradł kasę partyjną i się ulotnił, i okazało się, że to nie pierwszy raz u niego, bo wcześniej był wikarym w Rawiczu i stamtąd też uciekł, kasę parafialną kradnąc, po tym jak ministranta na chórze zbałamucił, nawet we gazetach o tem u nas pisało.

No nie mielimy szczęścia do nauczycieli polskiego jakoś za bardzo.

No a ten Krzemiński, co przyszedł po tem złodzieju kapelonku, co chłopców lubiał, to mi się przypomniał, jak ja wtedy Wesunasa słuchał, kiedy ten mówił, że jakie to straszne, że chołodzkie dziecka po jukagirsku ze sobą gadają, bo Krzemiński tak samo płakał, ręce załamując, że idzie on ulicą, widzi polskie dziecię, z polskiego domu, i to dziecię jawi mu się pięknym, póki buzi nie otworzy, bo jak już otworzy, to tak szpetnie mowa z tych ust wypływa, jakby w środku dziecię to pełne było plugastwa, cóż to za język popsuty, polszczyzna tak wykrzywiona, jakby ją sam diabeł popsował, a germanizmów pełna, cóż to za słowa wstrętne, czyż pradziadowie wasi, jęcząc pod germańskim knutem, świętą mowę polską zachowali przez stulecia po to, żeby teraz dziecię tak świętokradczo ten język brukało?

Ja się wtedy chciał języka polskiego, owszem, uczyć, bo ja to w ogóle języki różne lubię, ale tak mnie wtedy ten nauczyciel zirytował był, że jak się lekcja skończyła, to ja za nim poszedł po cichu i ja mu w bramie – bo to było, jak ja mieszkał na Kolonii, tam były takie ajnfarty – porządnie kości porachował, aż mu się druciane okularki całe potrzaskały i z wybitemi zębami na ziemi się szkło zmieszało, i tak się czołgał śmiesznie, i szukał tych okularków, rączkami białemi po ziemi macając, a szlochał przy tem, a zawodził, inteligent jebany, tak że ja ochotę miał go jeszcze bardziej sprać, ale zapytał ja się tylko, czy dalej się będzie tak troskliwie nad śląskim ludem pochylał, na odpowiedź jednak nie czekał ja wcale, tylko w brzuch go kopnął na pożegnanie, aż się zatchnął on i ja poszedł sobie, albowiem było to retoryczne pytanie.

Wywalili mnie potem za to z tego PPS-u, bo inteligencik zasrany oczywiście do partii naskarżył, zamiast po prostu pięścią oddać. Tacy to ludzie oni są. Czy z roboty na Luizie też mnie za to wywalili? Tego ja nie pamiętam już. Tak dawno to było. Taki inny to był świat niż ten, co teraz moim, że już nie pamiętam, pamiętać nie sposób. Czy mnie z Luizy za agitację jednak wyrzucili? Ja już nie pomnę.

A skąd to wspomnienie przyszło, to ja nie wiem. Tak mi to wszystko w głowie błądzi.

A na mejraj wtedy to wstał Mejraślāwas sūnus Ardaślāwjas, wierzbą polarną uwieńczony rēźis, a przy tem patis damā drugiego najbogatszego rodu, i powiedział, że Wesunas niech już swoje szlochy wstrzyma, bo wszyscy tu wiedzą, że jego babka macierzysta była z Jukagirów, co zresztą i u niego po gębie mocno widać, więc niech już nie zawraca głowy Dejwasem i radzeniem o głupotach, bo trzeba rybę na jukołę łapać, a nie dzieci chłostać za to, że Wesunas po jukagirsku nie rozumie i one mogłyby się z niego śmiać, jak to mu brzuch wywaliło od obżarstwa, bo jakoś za bardzo smakuje mu jukoła, a przecież każdy wie, że kiedy przybyli do Chołodu pradziadowie Ljaudīs, to jukołę, stroganinę, kopalgyn i inne tutejsze rzeczy jadać nauczyli się od Jukagirów i Czukczów, ale to jakoś Wesunasowi nie zdaje się przeszkadzać, sądząc po tem, że mu już dziurek w pasie brakuje. Kopalgyn to fermentowane mięso – zaszywa się mięso niedźwiedzie, morsie albo focze w foczą skórę i zakopuje w ziemi, gdzie ono fermentuje, i to

się całą zimę je. Ljaudīs nauczyli się przygotowywania go od Czukczów, z tą różnicą, że Czukcze nie używają wcale soli, a Ljaudīs owszem.

Na to Wesunas oburzył się wielce, że on się sam upasł nie po jukagirsku na kopalgynie, tylko tak jako ich pradziadowie czynili, na mleku gowiedzim, na co go wyśmiano, bo też ile to mleka gowiedziego w damasie Wesunsowym się miewa, jego genā więcej mleka daje niż jego gowiedź.

Nie skończył się więc ten mejras dla Wesunasa najlepiej i przez jakiś czas co poniektórzy mu nawet specjalnie dokuczali, rzucając jukagirskie słówka albo zagadując doń w czukockim języku, tak dla drwiny, Mejraślāwas sūnus Ardaślāwjas zaś przez długi czas cieszył się wielką popularnością i jego wpływy bardzo wzrosły.

Ale wracając do tego mojego pierwszego mejrā, gdzie nas przyjmowano i Wesunas miał nadzieję, że przyjmą nas jako gości, nie arbōns. Po tem jak Wesunas zapytał ojców rodów, czy Dejwas Patē przemówił, i popłakał nad jego milczeniem, i jak Mejraślāwas oświadczył, że w takiem razie Dejwas kuszat nie budiet, to wszyscy stanęli wkoło tego placu centralnego a okrągłego i zaczął się zgiełk i przekrzykiwanie, wszyscy gadali naraz, a każdy był najmądrzejszy, i potem dopiero ja się dowiedział, że radzili sobie oni, co to z nami począć.

Że walkwasa wielkiego a ruskiego Wesunas z karjas przywiózł, to wszyscy bardzo szczęśliwi byli, a kiedy Wesunas Gabaidzego z sań wyjął i im pokazał, rozdziawszy go zupełnie, w całej jego nędzy, pozbawionego oczu i dłoni, o ciele pokrytym więziennym tatuażem, to aż z zachwytu oniemieli i okrzyknęli od razu, że oto odwiedził ich wielki walkwas, kerējas, co było starym, chołodzkim słowem oznaczającym czarownika, bo samo słowo walkwas, jak ja już pisał, to od Ruskich wzięli, pewnie w czasach, w których jeszcze takich słów Ruscy używali, a nie że jak teraz, электрификация.

Na dowód tego, z jak wielkim czarownikiem mają tu do czynienia, Wesunas dał już wcześniej Gabaidzemu z sakwy grzybów, a dał mu ich dobrze, i kiedy go tam rozdział, to Gabaidze był już grzybami zrobiony i słysząc ludzkie gołosy, jął wyć, machać kikutami, a potem śpiewać *Internacjonał*: Вставай, проклятьем заклеймённый, Весь мир голодных и рабов! – co się niezwykle Chołodcom spodobało, więc nagrodzili to pokrzykiwaniami bardzo radosnemi, nie podobało się to jedynie staremu Elēnowi, walkwasowi miejscowemu, który musiał poczuć się bardzo niedo-

ceniony, skoro sprowadzają tu mu jakiegoś obcego, co nie zna dróg ani obyczajów.

Gdy Gabaidze w końcu przestał wyć i śpiewać i zmęczony padł na śnieg, skąd go zaraz troskliwie podniesiono i odziano, Elēn założył na głowę swoje reniferze rogi, wyszedł na środek mejrā i z całych sił swojego niedużego ciała wykrzyczał, że każdy, kto chciałby słuchać dusz przez usta tego nędznego przybłędy, złamie starożytne prawa Ljaudīs i gorszy on od najgorszego Czukczy i Jukagira, a nawet od Ruskiego, i zasługuje jeno na to, aby go wygnano.

Zakrzyczano go i wyśmiano, i obrażony zrzucił z głowy swoje reniferze poroże. A skąd ja wiem, co Elēn mówił o Gabaidzem, skoro wtedy ja języka nie znał? Ano stąd, że co innego miał o nim powiedzieć? Nienawidził go od samego początku, i to z dobrego powodu przecie. Chołodcy, jak mi się teraz po tylu latach wydaje, od swojego walkwasa chcieli słyszeć to, co chcieli, a nie to, co się mogło walkwasowi wydawać. Dlatego walkwas ślepy, nieznający ich języka, był walkwasem lepszym niż Elēn, któremu los walkwasa naznaczono razem z imieniem, a którego dziecięciem kupili Chołodcy od ruskich kupców, bo te siedemdziesiąt lat temu jeszcze handlowano z ruskimi Pomorcami, wiedzącymi dobrze, jak wielką estymą cieszą się wśród Chołodców ludzie naznaczeni jakąś osobliwością: czy to kalectwem, nabytem albo wrodzonem, czy karłowatością, czy czemkolwiek, co odróżniałoby ich od innych. Narodzone z kalectwem dzieci jednak, jak już ja pisał, Chołodcy zostawiali w sendusze, żeby umarły sobie, skoro nie posiadały duszy, dlatego naznaczonych walkwasów musieli szukać pomiędzy innymi, kupując ich od Pomorców albo porywając, gdy najeżdżali wioski jukagirskie albo czukockie.

Zapytał ja kiedyś głupi Auszry, było to już po tej historii, jak syn Wesunasa odniósł swojego kalekiego brata na skałę, dlaczego nie mogli dziecięcia odchować, aby zostało walkwasem, na co ona, już dawno zupełnie pogodzona z tą stratą, odparła, nie rozumiejąc: jakże to odchować dziecko, które urodziło się martwe, bez duszy? Czy ty głupi? Na co ja – głupi – mówię, że przecież nie urodziło się martwe, żyło, oddychało. Auszrā przewróciła na to tylko oczami i uznała, że pewien poziom głupoty interlokutora na dalszą rozmowę nie pozwala; tak samo w dawnych czasach robił Radek, jak mu czasem zadawał ja różne pytania związane z woprosami marksizma-

leninizma. Ljaudīs wszyscy są piękni, wśród nas nie rodzą się kaleki, ponieważ tak nas stworzył Bóg Ojciec, powiedziała tylko, jakby było to zwykłe prawo natury, nie zaś efekt brutalnej eugeniki.

Stary walkwas Elēn nie polubił się więc z Gabaidzem.

Tem bardziej że mejras Gabaidzego zakwaterował w jego ziemiance, bo przecie walkwas nie może mieszkać wewnątrz osady. Kazano też Elēnowi znaleźć imię dla nowego kerējasa, co nieszczęsny karzeł oczywiście poczytał sobie za kolejne upokorzenie, zażądał drogocennej wódki, wypił w swojej ziemiance pół litra, po czem pijany jak bela przyszedł na mejras i oświadczył, że dauszje powiedziały mu, że w kerējasa duszy mieszka klacz, a więc jego imię, jak i opiekuńcza dusza nazywać się będzie Eświ – a eświ po chołodzku znaczy klacz właśnie. Było to trzy dni po naszym przybyciu, Elēn mówił nieźle po rusku, chociaż bardzo dziwny to był ruski, więc objaśnił mi, co to znaczy. Zapytywał ja go wtedy, czy konie hodują, odparł, że w Chołodzie nawet konie Jakutów nie wyżyją, ale że Chołodcy bardzo konie kochają, jeszcze z czasów, kiedy mieszkali na Augu, jak się tutaj nazywało wszystko na południe od samego Chołodu, i chociaż chować ich nie mogą, to czasem kupują klacz, kiedy nowy król, rēźis obejmuje władzę.

Dopytywał wtedy ja, po co im ta klacz, jak rēźis obejmuje władzę, i po co ja dopytywał, głupi, skoro jak jak ja się dowiedział, to nawet mnie, co sporo w życiu widział, słabo się zrobiło nieco. No więc Elēn powiedział mi, że klacz potrzebna, bo aby rēźis mógł być rēźisem, to sam on musi stać się koniem, konia mieć duszę. Prowadzą mu więc białą klacz, on z nią jak z babą na oczach wszystkich spółkuje, potem klacz się zabija i jej mięso w wielkim garze gotuje się, a kiedy ten to rosołek nieco ostygnie, to rēźis naguśki w tym garze zasiada i siedząc w rosole, trochę z niego upija i wtedy pomiędzy wszystkiemi się kawałki mięsa klaczy rozdaje, i wtedy dopiero rēźis jest rēźisem, a jak klaczy kupić nie mogą, to ostatecznie szukają białej samicy rena, ale to się bogu gowiedzi nie podobać może, więc to ostateczność.

No nie musiał ja tego wiedzieć, ale dowiedział się ja i tak to wiem.

Elēn dał Gabaidzemu nowe imię i duszę i tak Gabaidze stał się Eświą. Był w tem oczywiście również element przebiegłej strategii: jeśli duszą Gabaidzego była klacz, czyli zwierzę zasadniczo rzadko tutaj widywane, tylko przy intronizacji nowego rēźisa, to w zamyśle Elēna miało osłabiać pozycję

nowego walkwasa, bo on, Elēn, zawsze mógł zobaczyć rena, który, tak samo jak po rusku, nazywany był po chołodzku po prostu jeleniem, elēn, chociaż tylko dorosły byk, bo jako całość, szczególnie na swoje udomowione renifery, Chołodcy mówili gōwis, a to słowo, zanim przyszli tu na Chołod, oznaczało bydło, o którem zresztą pamiętali i do którego tęsknili. Kiedy Elēn znalazłby się w bliskości jelenia, czyli rena, to dusza jelenia mogła mu coś powiedzieć, pozwolić ujrzeć przyszłość. A żadna klacz nie znajdzie się blisko Gabaidzego, to zdawało się mu pewnym, więc waga jego proroctw, uleczeń i w ogóle kamłania będzie mniejsza.

Żyło się jednak Gabaidzemu wspaniale. Elēn rozumiał, że na parafii nowy farorz i że sam został zdegradowany do pozycji kapelōnka. Rozumiał też, że na jego głowie spoczywa troska o dobrostan Eświ – Gabaidze więc przez pierwszy rok swojego pobytu w Chołodzie żarł i tył, przybrał na wadze dwa pudy albo i więcej, do tego był cały czas upojony – Elēn poił go drogocenną, kupowaną od Jukagirów wódką, podłym bimbrem na pewno niejukagirskiego przemysłu, ale też niepochodzącym z państwowych gorzelni, bo pozbawionym, jak ja widział, etykiet i przemysłowych zamknięć. Skąd go brali Jukagirzy? – mówiło się, że kupują od Jakutów, a skąd Jakuci, tego już nie było wiadomo. Oprócz wódki podstawę Gabaidzowego upojenia stanowiły grzyby, przede wszystkiem zwykły, czerwony muchomor. Rēźis Mejraślāwas sūnus Ardaślāwjas uroczyście poprosił wielkiego walkwasa Elēna, aby ten wyświadczył nowemu czarownikowi Eświe tę przysługę i nie dawał mu grzybów wprost, ale raczej grzyby sam zjadał, Eświe zaś dawał do picia swój mocz oddany po spożyciu grzybów, aby uchronić daugjan kerējan, czyli wielkiego czarownika, od niestrawności i nudności, jakie zwykle jedzeniu surowych muchomorów towarzyszą. Było to kolejne z upokorzeń – wśród Chołodców panował zwyczaj taki, że najbiedniejsi zjadali suszone muchomory, aby potem bogatym sprzedawać swój mocz, który upajał i powodował wizje jak same muchomory, jednak bez przykrych wymiotów. Elēn jednak rēźisowi odmówić nie mógł. Uczył też Gabaidzego języka i tłumaczył zasady kamłania, których tu nie opiszę, bo to była wszystko wielka tajemnica i nie dopuszczano do niej zwykłych ludzi, a tem bardziej tautās.

Ja wtenczas Gabaidzego prawie nie widywał, bo ja mieszkał w domostwie Wesunasowem, a Gabaidze, jako walkwas, do osady miał prawo przy-

jść tylko zaproszony na mejras albo skryć się przed bojcami wrażymi, a tych akurat przez pierwszy rok nie było wcale. Siedział więc w ziemiance albo pętał się po sendusze, przewracając co chwila o kamienie i miękkie pagóreczki mchu i trawy, co się zawsze w zmarzlinie formują, i tylko Elēn zaniepokojony wołał za nim: Eświa!, Eświa!, bojąc się, żeby jego farorz się do morza na śmierć nie rzucił, co stawiałoby Elēna w bardzo niekorzystnej pozycji.

To, że zamieszkalimy z Ljubow w domostwie Wesunasowem, damas Wesunasow, to wcale tak nie musiało być. Tego ja się później dowiedział, ale na tem pierwszem mejraj, po tem jak już Gabaidzego radośnie wszyscy Ljaudīs zaakceptowali jako nowego walkwasa, to my z Ljubow aż takiego entuzjazmu wcale nie wzbudzili. Wyciągnięto nas z sań, podano nam nasze wintowki, abymy oboje z orużjem stali, ale od razu ja zauważył, że naboje zniknęły. Mosiny nasze wzbudziły wielkie zainteresowanie, było wskazywanie palcami, kiwanie głowami, cmokanie z podziwem, jeden mołodzian nawet chciał podejść i obejrzeć, ale go Wesunas jak psa odpędził, że niby tak gastīs traktować nie wolno.

Potem zaś była długa i swarliwa dyskusja, co to z nas są za Ruskie, bo przecie ci ostatni raz widziani dwadzieścia zim temu w niczym nas nie przypominali. Z tamtemi, których ja w opowieściach później rozpoznał jako Pomorców starowierów z Ruskiego Ujścia, co tam od stuleci mieszkają, gdzie Indigirka uchodzi do morza, to my nic wspólnego przecież nie mamy, argumentowali, język niby podobny, a inny, wszystko u nas inaczej. Tamci mówili, że uciekli przed złym carom, czyli ruskim rēźisem, co z ancykrystem Nikonem się sprzeciwił prawom ich boga martwego, no dużo było gadania, aż w końcu wystąpiła Świentamejrā duktē Dabramejrjā, bardzo stara mātē damā Mejraślāwjā, czyli dosłownie matka domu Mejraślāwasowego, czyli genā rēźisa Mejraślāwasa, i powiedziała głośno bardzo archaiczną ruszczyzną, że ona przecież ruski język dobrze zna, najlepiej z wszystkich Ljaudīs, i ona przybyszów przepyta.

Wtedy wydała mi się bardzo starą, chociaż rosłą i wyprostowaną niewiastą, mocnej budowy, spod czerwonego kołpaka spływały zupełnie białe, cienkie i bardzo długie warkocze, w pooranej głębokimi zmarszczkami i śladami odmrożeń twarzy kryły się inteligentne, jasnoniebieskie, bardzo spostrzegawcze oczy.

Widział ja wtedy wyraźnie, że Wesunasowi nie było to w smak, że ktoś będzie jego zdobycz przepytywał, ale też starej genie, czyli żonie rēźisa, przeciwstawić się nie mógł. Cały mejras pokiwał głowami, pomruczał z szacunkiem, a Świentamejrā wystąpiła na środek i niezgrabną, ale o wiele lepszą niż Wesunasowa ruszczyzną archaiczną zapytała, co my za jedni.

Przedstawilimy się oboje, najpierw ja, potem Ljubow.

Następnie Świentamejrā zwróciła się do Ljubow, zapytując ją, czy pochodzi ona z ludu Unwīrān. Oczywiście ani Ljubow, ani ja nie wiedzielimy, co to Unwīrās, wtedy Świentamejrā objaśniła nas cierpliwie, że nazwa ta oznacza Bezmężne i że dziwi się naszej niewiedzy, albowiem każdy głupi wie, że to naród kobiet wojowniczek mieszkających w Scytii, nad rzeką Dānus.

Odezwał się wtedy ja, najmądrzejszy z mądrych, że chodzi jej zapewne o Amazonki, ale to było tysiące lat temu i dziś już nie ma żadnej Scytii, tam gdzie była Scytia, dziś Украинская Советская Социалистическая Республика, czyli, no, Ukraińska Sowiecka Socjalistyczna Republika, co mi się trochę pomyliło, albowiem jak sobie potem ja przypomniał, w Ukrainie to bardziej starożytna Sarmacja raczej, a Scytia to Kubań i Kazachstan, ale niech tam, w każdem razie Świentamejrā zwróciła się do mnie uprzejmie, żeby ja zawarł swój pysk, albowiem nie ze mną ona rzecze, na co Wesunas próbował protestować, że do gościa tak nie można, na co znowu ona, że do gościa nie, ale czy to gość, to się jeszcze okaże, na co wajawadas Wesunas sūnus Wesunjas aż się skurczył, a Świentamejrā znowu do Ljubow, że skoro ona nie pochodzi z Unwīrān, to czy ona sama wajā, wojowniczka, skoro chodzi z orużjem.

Ja się odezwać już nie śmiał, ale Ljubow potwierdziła, że ona owszem wajā, wojowniczka, i do tego błatna, i w zakonie, na co znowu Świentamejrā robi minę, jakby rozumiała, o co chodzi, pyta ją dalej, czy jest też Ruska i czy wśród Ruskich tako waje, jako i kiedyś w Chołodzie niewiasty wajami bywały, ale potem uznały, że wojowanie jest zajęciem zbyt głupawym, aby miały się nim zajmować, i pozostawiły je mężczyznom. Bo gdy oni na pomieniania jeździli, to u Ruskich bab nie widzieli, bo na pomieniania przypływali sami mężowie, chyba że kobiety niewolne na handel ze sobą wieźli albo jakieś dziewczynki, takie co je dusze na walkwasów naznaczyły.

Na to Ljubow odpowiedziała, że to nie ona jedna, bo jeszcze taką wają była Fanny Kapłan, co prawie zabiła Lenina. Na to Świentamejrā pyta się,

a kto to Lenin. No i się zaczęło.

Najpierw przerwał jej wadas Wesunas, żeby nie opowiadać tutaj jakichś bajek o wajach, bo to wiadomo, że w Chołodzie kobiety kiedy trzeba, kiedy mężowie na morzu albo na łowach, albo z renami, to orużje wezmą i bronić się będą, ale nigdzie indziej takich obyczajów nie ma, bo też tylko Chołodców Dejwas Patē stworzył lepszymi, piękniejszymi i potężniejszymi niż wszystkie inne ludy, co chodzą po ziemi, i to do tego stopnia, że w Chołodzie nawet niewiasty potężniejsze są niż mężowie innych plemion, nie licząc być może Czukczów, którzy bardziej diabłom, złym duszom podobni są niż ludziom. Ta tutaj Ruska wajā niech sobie będzie i wają, ale przywiódł ją do osady, albowiem zostanie ona – za pozwoleniem czcigodnej Auszry, tu ukłonił się w stronę swojej geny – jego wolną nałożnicą. Auszrā duktē Dabramejlastijā przewróciła na to oczyma, bo czy też ona potrzebuje jeszcze jednego darmozjada do wyżywienia? Oto jątrew jej mieszka u nich z czwórką dzieci nieletnich od dwóch lat, od kiedy czcigodnego brata Wesunasowego zabrało morze, synów ma leniwych, co się żenić nie chcą, wolą się z niewolnicami zabawiać, i jeszcze tego im brakuje, żeby nałożnicę sobie Wesunas do swojego damā wziął. Co innego ten tu wīras – tu wskazała na mnie – ten wygląda na takiego, co na swoją jukołę zapracuje, Wesunas twierdzi, że on i do kocza zdatny, i wajas, na Czukczę może pójść, takiego chętnie ona w daman weźmie, ale ta tu, jaki to pożytek z geny takiej, chude toto, nieurodziwe, na jałową wygląda z daleka nawet, a jak dzieci porodzi, to albo bez dauszji, albo i gorzej, ze złą duszą, co się z zębami rodzą i co prosto z łona uciekają pod łóżko, i jeśli ich nie zabić od razu, to bieżeją do morza albo do Źemijās, do ziemi i nieszczęście z powrotem przynoszą.

Tutaj, gdybyś chciała zapytać mnie, moja droga nieistniejąca czytelniczko, co Chołodcy czynią, kiedy im się dziecię narodzi z zębami, czy je również ostawiają na sendusze, to spieszę odpowiedzieć, że nie, na sendusze ostawić można jeno dziecię, co urodziło się bez duszy, a więc już martwe. Dziecko z zębami narodzone duszę, owszem, posiada, jeno złą. Naradzają się wtedy odbierające poród waidimy, podczas gdy matka, jeśli przytomna, szlocha i prosi duszę o pomoc. Waidimy wtedy radzą, czy dziecko należy zabić, i jeśli tak, to wynoszą je, dają ojcu i każą nieść do walkwasa, aby ten złą duszę z dziecka wyjął i przebłagał ją, aby zechciała wstąpić w mołodego rena albo psa, którego następnie puszcza się wolno i nigdy nie można za-

bić, dziecko zaś, duszy pozbawione, wynosi się na senduchę i zostawia. Czasem jednak waidimy stwierdzają, że zła dusza w dziecku zbyt jest potężna, aby oddać ją walkwasowi, biorą wtedy szczypce i zęby usuwają, i to, że było dziecię urodzone z zębami, wie wtedy tylko matka i one wiedzą, i to jest tajemnica, którą się zabiera do świata umarłych, czasem tylko wymieniając spojrzenia z wtajemniczonymi, gdy dziecię takie dokonuje wielkich czynów, albowiem zasadą jest, że z takich dzieci wyrastają ludzie niezwykli.

Na to dictum Auszry o dzieciach z zębami odezwać się chciał Mejraślāwas, ale ubiegła go genā jego Świentamejrā i powiedziała, że skoro ta tutaj dziwna ruska wajā ma być Wesunasa wolną nałożnicą, nie niewolnicą jak Jukagirki, których ten ma już chyba dość, to musi sama najpierw taką wolę wyrazić, a potem błagać Auszrę, aby ta zechciała się zgodzić.

Wtedy Ljubow zapytała, że a co, jeśli woli bycia nałożnicą wolną u Wesunasa nie posiada ona. Na to Świentamejrā powiedziała, że jako wolna może iść precz wraz z wszystkiem, co posiada, i pościg za nią nie pójdzie, ale to Wesunas ją przywiódł do Chołodu i żaden inny damas jej przyjąć nie może.

Wesunas spojrzał na Auszrę. Auszrā pokręciła głową i założyła ręce na piersi, odwracając wzrok, a ja zrozumiał, że los Ljubow zależy od tego, czy Auszrā zgodzi się ją przyjąć do swojego damā.

Wystąpił ja wtedy i powiedział, że Ljubow nałożnicą Wesunasa być nie może, albowiem ona żena moja. Wesunas zaprotestował, że nic takiego mówionego nie było, Ljubow powiedziała, że to, że legała ze mną, gdymy zimowali, nie znaczy jeszcze, że ona żena u mnie, i że ja głupi, we łbie mi się miesza. Wszyscy pokiwali głową, a jej na to ja, no to jak chcesz, szliucha, niewdzięczna, teraz cię przegnają precz, a ja i z tobą nigdzie nie pójdę i śmierć ci pisana, a chciał ci ja życie zratować i powiedzieć, że jeśli mnie chcą do tego ich domu przyjąć, to tylko z tobą. Ale jak tak, to idź i precz i będziesz miała, zamarzniesz albo cię niedźwiedź zeżre. A na to Ljubow, że ona to woli już być nałożnicą u tego brzuchatego jazycznika, niźliby miała za moją, bladź, żonę tu robić, i powiedziawszy to, teatralnie orużje odkłada na śnieg i do nóg pani Auszry się rzuca, i dalejże prosić, pani Auszro, weźcie mnie do was na nałożnicę, a Auszrā na to, że dobrze, będziesz u nas za nałożnicę, ale u syna mojego Wesunasa, nie u mojego męża.

Mamo, ale ja nie chcę..., jęknął mołody Wesunas sūnus Wesunjas, ponieważ miał słabość do jukagirskiej niewolnicy imieniem Intael, co po jukagirsku znaczy noc. Wesunas starszy milczał skrzywiony, wściekły na samego siebie za to, jak łatwo dał się ograć własnej genie, Ljubow zaś wstała, podeszła do mołodego, obejrzała go sobie bezczelnie, pomacała po szerokich barkach, co spotkało się z pełnym uznania śmiechem żeńskiej części mejrasa, po czem pokiwała z uznaniem głową i powiedziała, że i podoba się jej, bo i mołodiec zawsze lepszy niż stary, u starego to chwost wisi i ile się czełowiek narobi, żeby do czegoś się przydał, a mołodca palcem starczy dotknąć i od razu mu ogonek bryka. Wesunas starszy poczerwieniał ze złości, a ci z Chołodców, co rozumieli ruski język, chichotali radośnie, bo komedia u nich zawsze w cenie.

Postanowione więc, powiedział uroczyście Mejraślāwas, kończąc chichoty, po czem wskazał na mnie i powiedział, azaliż ten Ruski również przyjęty zostaje do damā Wesunjā? Auszrā skinęła głową.

A ja dalej chcę usłyszeć o tem Leninie, powiedziała na to Świentamejrā. Czy to walkwas wasz?

U Ruskich walkwasów już niet przecie, zaprotestował rēźis, Ruskie mają boga Isusa, umarłego boga, u nich nikogo, kto umiałby rozmawiać z duszami, gadają głupio, że tylko u czełowieka dusza, ale jak my mówili, że nasz walkwas może w takim razie z ich duszami rozmawiać, to oni durnie nie chcieli, tylko mówili, że przyślą nam mnicha, że on nam wszystko wytłumaczy.

No i przysłali mnicha przecież, trzydzieści zim temu, przypomniał Wesunas, zgrabnie przejmując wątek rēźisa, ale jak tylko przyjechał i naszego Dejwasa Patera ujrzał, to zaczął coś wygadywać o jakimś diawole, dwa dni pościł, obrazek sobie postawił i do obrazka pokłony bił, i potem nagle jakby co w niego wstąpiło, topór wziął i biegnie do naszego Dejwasa Patera, topór unosi i uderza, i gdyby ja akurat nie przechodził w pobliżu, i go nie położył kulą z tego oto lewōlesa – tu poklepał się po rękojeści starego smith & wessona – toby jeszcze i naszego Dejwasa zrąbał. A pamiętacie, Wesunas zwrócił się do całego mejrasa, opowieść o tem, jak naszym dziadom, co mieszkali na Augu, gdzie mieli gowiedź zwykłą, nie jak nasza, i mieli konie, i na nich jeździli, nie na saniach z psami, i było ich więcej gardōn, czyli grodów, niż jeden, i każdy gardas swojego miał dejwan, bo to jeszcze byli

czasy, kiedy Ljaudīs słyszeli wyraźnie galsas dejwā i nie tylko ci, co mieli wielki oddech, ale każdy, i kiedy na jeden gardas najechali wargaj, wrogowie, Rus najechał z ich bogiem Isusem, obalił im ich dejwasa, co stał na ich mejrasie, a dejwasem tym był Perkunas, obalili więc Perkunasa, końmi z mejrasa wyciągnęli, porąbali i zgorzał on, na co tamci Ljaudīs, nie słysząc już gołosu dejwasa, stracili wolę życia, rozeszli się bezładnie po stepie, ich gowiedź i konie poszły wolno, a oni nie jedli, nie pili, nie spali, porzucili swój gardas i swoje domostwa i chodzili tak jak martwi za życia, jakby poza gołosem dejwa nie mieli swoich dusz, i chodzili tak, aż wszyscy pomarli, męże, geny, starcy i dziatwa, wszyscy. Tak było, jak mówię.

Wesunasowi pociekły łzy i cały mejras wzruszył się tą historią, przez chwilę zapanowało ogólne szlochanie i lament.

A dacie im powiedzieć, kto to ten Lenin, czy sami będziecie się mądrzyć, chociaż my Ruskiego tu od dwudziestu zim nie widzieli? – zapytała cierpliwie Świentamejrā, gdy wzruszenie opadło.

Mejras umilkł, z szacunku do starej geny rēźisa i z ciekawości.

Ja powiem, ja uczony – tak i ja zaryzykował, chociaż przecie nieprawda, gdzie ja tam uczony, ledwie ja szkołę ludową skończył. Niech mówi, łaskawie zgodził się Mejraślāwas, więc ja zaczął mówić, że te Ruskie, co oni z nimi spotykali się, to Pomorcy, co przed carem od trzech stuleci uciekali, ale teraz już cara niet, od dwudziestu lat, ruski naród zbuntował się i cara zabił, i nowe rządy były, socjalistyczne, i jest elektryfikacja i korable na parę, co tak dymią, wielkie jak miasta, i puszka, co strzela raz za razem, babababach, tu udawał ja pulemiot Maxim, i automobile jeżdżą na olej, hałasując przy tem wielce, jak wóz bez konia sam jedzie, kołami się odpychając, i zamiast cara teraz Stalin jest, i on włada stu milionami ludzi, i armia u niego milion bojców, i nikogo on nie boi się, taki to on, ten Stalin, potężny.

Patrzcie, jak Stalina bladź chwali, powiedziała Ljubow, a sam pięćdziesiątka ósemka.

Co to znaczy, że on pięćdziesiąt osiem? – zapytał się nagle zmartwiony Wesunas.

No że on temu Stalinowi służył, dopomagał mu tę tiurmę narodów budować.

Co to tiurma? – zapytała Świentamejrā.

No tiurma…, zaczęła Ljubow, tiurma, to jak się człowieka przymusem gdzieś zamyka i trzyma, za karę, albo i tak po prostu. I on wyjść nie może, nawet gdyby chciał.

Chołodcy zaszemrali, poszeptali między sobą, pokiwali głowami.

No i ona rację ma, ja przytaknął, my z Ljubow uciekli z tiurmy strasznej i przed bojcami tego Stalina bieżym.

Czyli wyście arbaj, raby, niewolnicy Stalina, i wy z jego niewoli ubieżali? A czy on tu swoją własność odzyskać aby nie przyjdzie? Kiedy komu ubieży gowiedź, to czy kto za nią nie idzie tak długo, aż znajdzie?

On już dawno myśli, że my pomarli, że nam zimy przetrwać się nie dało, powiedział ja. Czułem jednocześnie, jak to śmiesznie brzmi, kiedy powiedzieć, że wielki Stalin miałby myśleć o jakimś zeku politycznym i jednej błatnej, i jednym worze, mimo że też Gruzinie. Ale może wielki Stalin to nie tylko on sam, może na wielkiego Stalina składa się każdy, kto wykonuje jego wolę, jak cząstki naszego ciała składają się na nasze ciało, może i ja był wielkim Stalinem, jego częścią, kiedy jeszcze pracował ja w Murmańsku, ale może i potem, jak mnie wzięli, razem z wszystkiemi, jak ja siedział i rabotał na wyrębie i w sendusze, może i wtedy ja był wielkim Stalinem i ręce moje, i palce moje były rękami i palcami wielkiego Stalina, i dopiero kiedy ja uciekł, to ja samego siebie wielkiemu Stalinowi odebrał i samego siebie odzyskał?

Niech zostanie jako człowiek wolny w domu Wesunasowem – zaproponowała Świentamejrā. Mejras zaakceptował, nie mówiąc wiele, kiwając głowami, mrucząc z zadowoleniem.

I tak ja został.

Pierwsze dwa lata w Chołodzie zacierają mi się w pamięci, jakby ktoś wymieszał wspomnienia ze sobą, zagniótł, jak się ciasto zagniata, i potem rozwałkował na płasko, tak jak mamulka ôdy mie ciasto na nudle kulała.

Więc pamiętam tak doskonale damas Wesunasa. Sporządzony był z bali, na parterze znajdowała się przestronna jesteba, czyli ogrzewana wielkim, odświętnym paleniskiem na drewno izba, w której żyło się wspólnie chołodnym arktycznem latem. Drewna zawsze brakowało, ale ogrzewanie chat drewnem było dla Chołodców tak ważne, że kiedy kto chciał przekląć kogo,

to mówił, że oby w twoim domu nigdy nie płonęło drewno. Zwykle nie udawało się poczynić krótkim latem zapasów tak dużych, aby drewna starczyło na ogrzanie damā przez całą zimę, więc zimą przenosilimy się na piętro, do małych pomieszczeń porozdzielanych przepierzeniami poczynionymi ze skór rozpiętych na stelażach, które to pomieszczenia ogrzewalimy za pomocą kulików – bo tak za Czukczami nazywali Ljaudīs kamienne lampy na wielorybi albo foczy olej, z knotami skręcanymi z puszycowej bawełny. Kominów Chołodcy nie znali, więc wnętrza damasów były zadymione, ściany czarne, a wszystko jeszcze do tego woniejące rybą, bo tak to jest, jak się pali wielorybim olejem.

Gdy Wesunas przyjął nas pod swój dach, damas – a słowo to określało zarówno budynek, jak i jego mieszkańców – mieszkał jeszcze na piętrze, w osobnych pomieszczeniach, ale najwyraźniejsze wspomnienia mam z letnich miesięcy, kiedy kocze i bajdary ściągano na wodę i zaczynało się łowienie ryb i wielorybów, i mieszkało się w dolnej jestebie, wszyscy razem, całe życie razem – śpi się razem, pokotem na futrach, wraz ze szczenięta-mi, a czasem i cielęciem reniferzym, jeśli akurat kto stwierdził, że choruje i trzeba mu się podkurować, je się razem, odpoczywa się razem, siedząc przy ogniu, cały damas, a więc Wesunas i jego żona Auszrā, czwórka ich synów, czyli bezżenni Wesunas i Baljaślāwas, i żonaci Dabaślāwas i Dabamejlas, ich żony i piątka wnuków i Dabamejlā, wdowa po zmarłym bracie Wesunasa, którą ja w życiu słyszał mówić może trzy razy, do tego z czwórka jej dzieci nieletnich, to jest dwójka chłopców, dwie dziewczynki, dalej trzy jukagirskie niewolnice, w tym ukochana przez Wesunasa mołodszego Intael, potem cicha, spokojna Ibisi, która, jak większość Jukagirów i w ogóle wszystkich tutaj, od dziecka mówiła w kilku językach – prócz jukagirskiego znała też eweński, koriacki i podobny do niego język Czukczów, po rosyjsku jednak znała tylko parę słów, a czy znała inźūs, czyli chołodzki, to nie wiedział ja, bo konsekwentnie odmawiała odzywania się po chołodzku, co było, jak ja rozumiał, oznaką jej buntu przeciwko byciu niewolnicą Wesunasa, i była jeszcze starsza Ilen, bardzo blisko zaprzyjaźniona z Auszrą, służąca jej zawsze radą i wsparciem, i jeszcze piątka dzieci niewolnic, nie wiadomo z kim spłodzonych, przynajmniej ja nie wiedział z kim, ale wiedział ja, że niewolnictwa nie dziedziczyły po matkach, będąc po prostu czeladzią damā, a gdy dorosną – wolnymi Ljaudīs, których miejsce w społecz-

ności jako dzieci niewolnic nie było zbyt wysokie, ale prawa i obowiązki mieli takie same jak każdy.

Do tego był jeszcze noszący kobiece stroje stary Koriak, który u siebie był enenalan, co znaczy po koriacku walkwas, ale porwany przez karjas od lat żył wśród Ljaudīs i jakoś to życie polubił, bo nie uciekł – odmawiał jednak konsekwentnie męskiej roboty przy reniferach albo połowach, bo jak każdy czukocki albo koriacki walkwas uważał, że gdy odwiedził go kruk Quikinnaku, który nauczył go rozmawiać z duszami, to niebiańskie dusze zmieniły go w kobietę i nie przystoją mu męskie zajęcia, pracował więc z kobietami i był cichy, skromny i nieśmiały, bo tak, w jego mniemaniu, powinna zachowywać się kobieta. Otrzymał też wtedy nowe imię: Gittingew, co po koriacku oznacza ślicznotkę, chociaż wcale śliczny nie był, gębę miał jak skóra garbowana w dębowej korze, taką ciemną, a jeszcze pobrużdżoną kanionami głębokiemi jak te, co woda wyrzyna w nadmorskim klifie tutaj. Nigdy nie dotknął jedzenia, póki mężczyźni nie skończyli jeść, chociaż wśród Chołodców takiego zwyczaju nie było, on jednak żył tak, jakby dalej był wśród swoich. Nie rozdziewał się nigdy do bani, jak to czynili Chołodcy, nikt go nigdy nie widział bez koriackiej bielizny, która miała kształt kombinezonu z rękawami do łokci i nogawicami do kolan, wiązanego na plecach, a którego cała konstrukcja miała uniemożliwić chutliwym mężom dobranie się do niewiasty, albowiem Koriacy, w przeciwieństwie do Czukczów, Jukagirów czy też samych Chołodców, w kwestiach cielesnych purytańscy byli jak najgorszy pruski protestant, co Bóg sam raczy wiedzieć, jak się w ogóle rozmnaża, no to i oni właśnie tacy byli. Jak dziewczę dziecię powiło, niezamężną będąc, to gnali ją precz, do lasu lub w senduchę, gdzie własne dziecko musiała zabić i zakopać, a i tak wracała zhańbiona – a na przykład wśród Czukczów morskich to mężczyźni często umawiali się, że żonami będą dzielić się, czasem nawet w pięciu, i tak żyli sobie razem w jednem domostwie, i postronny nawet nie wiedział, czyja żona kogo, nie mówiąc już o dzieciach. A u Koriaków znowu zupełnie na odwrót, mąż z jedną żoną całe życie i drugą sobie bierze tylko, kiedy pierwsza jest jałowa i dzieci nie daje, i wtedy w trójkę w jednym posłaniu legają. Ale to wyjątek, bo jak się dziewczyna wydaje, to nawet jak się jej wybranek podoba, to i tak musi uciekać przed nim, opierać się, aby dowieść swojej czystości, i dopiero jak ją jej wybranek przemocą weźmie, to wtedy może normalnie legać z nim.

Takie to mają obyczaje, o których wiem, bo mi o nich Gittingew opowiedział, albo i opowiedziała, sam nie wiem, jak to o niej czy o nim pisać, bo on też przecież wiedział, że mężem jest, w środku jeno mając kobiecego ducha. Bardzo lubiał przy tem gorzałkę i głośno rozmawiał z duszami, które po koriacku zwał uyiczit, i rozmawiał, kiedy był pijany, bijąc w swój jajai, płaski, krągły bęben z metalowymi dzwonkami, co w damaj Wesunasa poczytywano zawsze za dobry znak, chociaż uważano, że Chołodcom nie przystoi słuchać, gdy dusze mówią przez Koriaka, a nie przez ich własnego kerējasa.

Koriaka udało się pojmać tylko dlatego, że był enenalan i żył jako kobieta – Koriacy, podobnie jak Czukcze, wierzyli, że życie po śmierci osiągną tylko ci, co sami wybiorą moment swojej śmierci i nie oddadzą się wcześniej w niewolę, czukocki woj, jak ja już pisał, wolał raczej zabić swoje zwierzęta, swoje dzieci i swoją kobietę, zniszczyć, spalić swoją jarangę i na końcu zabić sam siebie, niżby miał się oddać wrogu.

Zapytał ja go kiedyś, czy zechce z moją duszą porozmawiać, i zaoferował mu butelkę kupionego od Jukagirów bimbru. Butelkę przyjął i natychmiast wypił, duszkiem, do dna, po czem stracił przytomność. Gdy się wybudził, powiedział mi, że moja uyiczit jest czarna, prawie jakby ja miał kala, złego ducha zamiast duszy, mówił, że widział ludzi ryjących w ziemi nory jak robaki, że widział ludzi we wnętrznościach stalowych wielorybów sypiących w płomienie czarny kamień, że widział pola pełne damasów i jarang z kamienia, wielkich jak góry, pomiędzy któremi biegało więcej ludzi, niż ich istnieje na świecie, widział sanie, które jechały po ziemi nieciągnięte przez żadne zwierzę i miażdżące ludzi jak człowiek depcze robaka, i widział ludzi siedzących w brzuchach ptaków i widział w tym wszystkiem mnie, Konrada Widucha, dziwnego Ruskiego, co mówi, że nie jest Ruski, tylko innostrannyj i nocami gada przez sen w językach, których nikt nie zna, jednym podobnym do ruskiego, a drugim zupełnie innym, i woła kobietę imieniem Sofie i dziewuszki Ninel i Wilena.

Zapytał ja go wtedy, czy dusze powiedziały mu, co się stało z kobietą o imieniu Sofie.

Utopiła się, powiedział. Zabrały ją morskie kalau, złe duchy. Ją i jej córki.

A ja mu nic, ani słowa nie powiedział o tem, że Sofie ukradła rybacką łódź i popłynęła do Vardø albo do Peczengi, nic.

Więcej ja też nie pytał. Nic tam łajdak nie może wiedzieć i głupie szamańskie wizje nie zakłócą mojego materialistycznego mirowozrienija, to jest Weltanschauung w stopniu najmniejszym, i nie wiem, czemu ja sobie w ogóle nagle te jego wizje przypomniał, zasranego czarodzieja, jebanego kerējasa, enenalana koriackiego, niech go piekło pochłonie i wszyscy syberyjscy diabłowie, i jeszcze dwóch, i te jego kalau.

Dość już tego pisania, ile można pisać, ile ja już tu piszę, od kiedy „Invincible" na wodzie, piszę i piszę, i po co to komu, to moje pisanie, na pewno nie tobie, czytelniczko, co cię nie ma, a ja do ciebie gadam już na gołos, nie tylko piszę, ale i gadam cały czas, bo przecież nie mogę mówić do Sofie.

Och, zawrzyj tyn gupi pysk, pierōnie jedyn, zawrzyj.

Czyś ty je wsie jeszcze czełowiek?

Załączę ja motor i popłynę poszukać, czy się przejście między krami nie otworzyło, bo tutaj tracę ja zmysły, tracę.

Zawrzyj pysk, zawrzyj pysk, już cia niy chca słyszeć nic!

LIPIEC/SIERPIEŃ 1946

No i tak pisał ja i pisał, a potem przestał pisać, bo połynia się otworzyła i dwa dni ja płynął, żagle postawił, bo wiało i płynęła „Invincible" aż miło, i ja znowu był Herr Kapitän, i zapomniał ja o tych wszystkich dawnych zmartwieniach, żagle ciągną „Invincible", ja w kokpicie siedzę i pinnę trzymam mocno w dłoni, sterując małymi ruchami, motor odstawiony, i myślę sobie: skoro płynę, to i dopłynę, inaczej być nie może, tak to po prostu jest, jak się płynie, to się dopływa, a ja żegluję, mile przesuwają się pod kadłubem jedna po drugiej.

Dopłynę.

Tak mi się zdawało, a potem droga się zamknęła i „Invincible" znowu uwiązła w lodach i znowu trzeba było ją lodowymi kotwicami przycumować do kry i czekać, aż lody puszczą, albo w nie w końcu wmarznąć i kolejnej zimy już nie przeżyć, nie przeżyć.

No więc jak będzie, nie wiem. Dopłynę albo nie. Moja droga Sofie, gdybyś tylko widziała, jak ja się życia trzymam, jak się Konrad Wilgelmowicz

życia kurczowo uchwycił i oddać się śmierci nie chce, pogłaskałabyś mnie ty po głowie i powiedziała, no, mołodiec, taki dzielny Konrad, mołodiec.

Tylko po co ja przy tem życiu jak głupi tak i trwam?

A skoro teraz piszę ja znowu w tym dzienniku niby pokładowem, to wracam do tego, o czem ja pisał ostatnio, nie notując dat, tylko codziennie zaczynając tam, gdzie skończył dnia poprzedniego. No więc było o Koriaku szamanie, co miał dziwne wizje, zatem wracając do tego wątku, ponieważ Koriak ów się jako mąż nie liczył, bo męskich zajęć odmawiał, to w damaj Wesunasowem brakowało dorosłych mężczyzn do pracy przy renach, przy łowieniu ryb na jukołę i przy polowaniu na foki i wieloryby, więc kiedy ja w damaj zamieszkał, to wszyscy się cieszyli, że mają nowe ręce do pracy. Kiedy się okazało, że nie mam ja pojęcia ani o łowieniu ryb, ani o hodowli reniferów, cieszyli się już nieco mniej, ale uznali, że tautā, chociaż głupi, jednak w końcu wszystkiego się nauczy.

Ljubow, jak ja już pisał, po mejrasie miała zostać wolną nałożnicą mołodszego Wesunasa, zwanego Jaunas, co znaczy właśnie „mołody", na co wcale nie miał ochoty Jaunas, zakochany w swojej Jukagirce mołodzieńczą miłością, całkiem taką, jaką ja miał do mojej Sofie, chociaż kiedy my się poznali, to ja wcale już taki mołody nie był, a miłość jednak pierwsza, wcześniej to człowiek z babami legał, ale nic tam się więcej nie działo. Ljubow jej zobowiązanie do bycia wolną nałożnicą syna naszego patejs damā zdawało się obojętne – ja ją poznał dobrze, kiedy my razem zimowali, i mnie zdawało się, że ona od swojego ciała oddzielona jest. Jak dziwnie by to nie brzmiało, to jednak tak.

Bo na przykład moja Sofie to była swoim ciałem, była z nim zjednoczona i pogodzona i kiedy my razem legali, to ona się z ciałem moim całą sobą zlewała i tak stawalimy się jednym na moment. Dlatego Sofie nie flirtowała nigdy, ani ze mną, ani z nikim, nikogo nie uwodziła, nie kusiła, nie nęciła, w tych wszystkich grach babsko-chłopskich, co ja w nie nigdy dobry nie był, igra się zawsze między obietnicą a spełnieniem, a u Sofie wszystko było proste: Sofie chciała mnie, Konrada Wilgelmowicza, to co, przede mną miałaby te wszystkie teatry godowe ludzkie odprawiać? Nie odprawiała. A innych nie chciała, wiem to i ja tego pewny, że nie chciała, więc czemu by miała coś obiecywać, kusić, a potem nie dotrzymać? Była w niej prostota, a jakże.

U Sofie wszystko było prosto. Ljubow, sprawa jasna, twarda błatna, też nie była żadną kusicielką, bo między worami kuszenia nie masz, wor chce, to wor bierze, błatna mu nie da, to ją nożem potnie, chyba że ona już innego, a inny mocniejszy i jeszcze na miejscu. Ale samotna? Samotna błatna w obliczu wora może liczyć tylko na siebie i na swój nóż, więc albo da, jeśli wor chce, albo nóż będzie w robocie. Więc i tu tego teatru, co ja go w romansach znajdował, nie ma. Ale Ljubow nie była swoim ciałem, Ljubow swoje ciało dzierżyła w ręku tak, jak się dzierży młot albo topór, i używała go tak, jak mogła. Jeśli jej ciało, całe, miało za sprawą czyjejś życzliwości coś ugrać, to proszę, Ljubow rozłoży nogi, chłop zrobi, co tam chce zrobić, a ona myślami gdzie indziej, jakby ktoś chciał na chwilę topora pożyczyć, no to proszę, rąb sobie, tylko oddaj niezepsuty.

Więc na mejrasie nie protestowała, bo obawiała się, że każą jej iść precz. Co to dla niej legać z ładnym chłopcem, chociaż dziwny dzikus syberyjski. Nie z takiemi legała, z gorszemi, co nie pytali, a brali, jak chcieli, ciało jej się przecież od tego nie popsowa, że ją łapy mużyków dotykają – a Sofie tak by nie umiała, bo Sofie była swoim ciałem, i gdyby kto inny niż ten, co go sobie jej miłość wybrała, jej dotykał, to jakby nie w ciało, tylko w nią samą, ten dotyk był. A tego nikt nie zniesie, żaden człowiek, żeby tak dotkniętym być, nie w ciało, tylko w samego siebie, w duszę.

A niemało tego było w miejscu, którego nazwy nie chcę wymieniać, i wcześniej, jak mnie męczyli na przesłuchaniach, owszem. Jak człowiek leży w koromysło związany, to jakby dusza się w nim rozdzierała, albo jak błatni kogo męczą po swojemu, to tak samo.

Ale dość już o tem, o tem jużeś pisał, Widuchu-najduchu, pisz o Ljubow w damasie Wesunasowem.

Tak i będzie o Ljubow. Ale tych uwag to ja już sobie nie życzę. Więc o Ljubow. Że ona ciało swoje jak narzędzie miała, pizdę tak samo, która, swoją drogą, po chołodzku się dokładnie tak samo jak i po naszemu nazywa, tylko odmienia inaczej, pizdā, pizdās, pizdāj, pizdān, a chuj na przykład inaczej, skaujas, i to znaczy też cierń. No więc gdy Ljubow, aby mieszkać w pokoju w damasie Wesunasowem, miała legać z niebrzydkiem Jaunasem, to cóż ją to, aby to gorzej, ciężej w życiu nie pracowała?

No ale Jaunas nie chciał. Ale Auszrā nalegała, bo jej się nie podobało, że syna jej złe języki obmawiają, że z jukagirską niewolnicą dzieci płodzi,

a z genāmi chołodzkimi nic nie chce. Więc Auszrā myślała, że jak mołodemu dziewkę inną, dziwną podsunie, to może jego afekt do Intael osłabnie.

Na początku nie było mowy, wtedy Auszrā zaczęła staremu Wesunasowi życie zatruwać i ten w końcu synowi powiedział: nałożnicę masz, to z nią i pokładaj się, bo tak na mejrasie powiedziano i tak się stanie. No i pilnował. A było to już w lecie, kiedy wszyscy spali w dolnej, wspólnej jestebie i oszukać Wesunas nie mógł, więc z Ljubow pokładał się, matka zadowolona, patrzyła, jak się kotłują pod reniferzymi skórami, a Intael siedziała przy ogniu i płakała.

Kiedy wstalimy rano ze spoczynku, a Wesunas całą noc białą przespał z Ljubow, to Intael dalej płakała i Auszrā uznała, że już ma nie płakać, a iść drapać focze skóry, na co Intael, że nie może przestać płakać, bo jej dusza cierpi tak bardzo, że chciałaby wyskoczyć z ciała, i za to bardzo zbiła ją Auszrā, krzycząc, że jak tak będzie robić, to Auszrā ją w senduchę wypędzi i każe iść precz, i psy za nią puści. Intael na to, że tak i ona na senduchę sama pójdzie, gnać jej nie trzeba, pójdzie i rzuci się do morza, żeby już nie żyć, a to usłyszał Jaunas i gnany wyrzutem sumienia zaraz do matki, że jak ona Intael wygna, to on też sam w senduchę pójdzie, bez malicy, bez rękawic, sam z mieczem jeno i albo zamarznie, albo się na Czukczów rzucał będzie tak długo, aż go zabiją, czyli niedługo zapewne, bo Czukcze to straszni wojennicy.

Wtedy matka w płacz, Intael też płacze, to i zawzięty Jaunas zaczął szlochać, a jak to ujrzał stary Wesunas, że wszyscy szlochają, to i on szlocha.

Przez całe moje życie ja tylu szlochających mężów nie widział co każdego jednego dnia w Chołodzie, a przecież ja szlochających i widywał, bo i na grubie, w szoli, co mołodszym, niezaprawionym zdarzyło się ze strachu nosem pociągnąć, a i na okręcie wojennym, a i na wojnie, jak jest strach i śmierć, to i mężowie szlochają, jak pocisk pancerze przebija i woda wali do środka tona za toną, ale w Chołodzie to każdy szlochał i ciągle, wojownicy straszni, com ich widział czełowieka na pół bez zmrużenia oka rozrąbać, okrutni, bo i pojmanych męczyli czasem strasznie, a szlochają jak baby od byle czego, to się mnie jednak w głowie jakoś nie mieści i ja się do tych szlochów nie przyłączył nigdy, przez co trochę ja uchodził za głupiego, no bo w ich mniemaniu, kto to nie szlocha, kiedy szlochać trzeba? No głupiec tylko, glauszas, bo w chołodzkim na głupiego tak samo mówi się jak na głu-

chego. Jakby głupi był na rozum głuchy. No i jak kto gołodny, a nie je – glauszas. Jak kto spragniony, a nie pije – glauszas. Jak na kogo z mieczem biegną, a ten się nie broni – glauszas. Jak komuś z geną legać się chce, a nie lega – glauszas. Jak szlochać potrzeba, a nie szlocha – glauszas, głupiec, głupiec, głupiec.

No i tak to ja głupi był, skoro nie szlochał.

No a matka Wesunasa mołodego niewolnicy Intael nie wygnała, Intael zaś płakała coraz więcej i więcej, bo mołody Wesunas coraz częściej legał z Ljubow, to jeszcze nic, ale na dodatek Ljubow odmówiła kobiecej pracy i powiedziała, że ona wajā i że będzie chodzić z mężami, a wajawadas Wesunas się zgodził, bo synowi trochę nałożnicy zazdrościł i liczył, że jak będzie z mężami chodziła, to może i jemu się na wyprawie okazja trafi.

Ale się nie trafiła.

Ljubow i ja razem przyuczalimy się do chołodzkiego życia. Na lekkich, czukocką modą urządzonych bajdarach, wiosłując jak szaleńcy, aż ramiona mdlały, zaganialimy wielkie stada biełuchy na płycizny, żeby tam je strzelać albo lancami kłuć, czego na głębokiej wodzie robić nie można, bo toną, więc tam się je kłuło i strzelało, bezradne, jakby czełowiek świnie w chlewie bił, jedna po drugiej, zatem nie dziwnym, że białymi świniami zwali je Ljaudīs, więc zabijało się najwięcej, jak się dało, ich na płyciznach, a one dawały się bić bez walki prawie, a później przychodziła najcięższa robota, bo się wyciągało wielkie, z tonę i ważące cielska na brzeg, a wszystko z lekkich, skórą krytych łodzi, do wody nikt nie wchodził, bo za zimna, umrzeć szybko można, i w ogóle z Ljaudīs to nikt nie potrafił pływać, bo i gdzie by pływać mieli, do wody tylko w bajdarze albo w koczu. A jak przy pomocy zespołu na lądzie i tych w łodziach już się je wyciągnęło, to i trzeba było oprawiać, zanim się w letniem słońcu zepsują, nieść do łodzi albo na plecach do podziemnych spiżarń, zaszywać w skóry, zakopywać...

Do bajader zakładało się specjalne skafandry sporządzane z wyprawionych czukocką modą żołądków i jelit morsich, co wodę powstrzymywały prawie tak dobrze jak nasze mantle gumowane i südwestki, przy czem wygląd miały dziwny, poszyte ścięgnami z kolejnych żołądków, tak cienkie, że prawie przeźroczyste, a czełowiek w nich wyglądał, jakby kto srogiego grubasa rzemieniem jak baleron pozwiązywał, bo się w takie fałdy układały. Ale przed wodą morską chroniły jak trzeba.

Foki też my się uczyli łowić, chociaż my to tylko strzelając z daleka, bo żeby tutejszym sposobem fokę podejść, to od dziecka się trzeba uczyć, a robią to, wdziewając strój specjalny z foczej skóry w kształcie wora, wypełnionego tak, że jak się człowiek weń odzieje i na lód położy, to zupełnie jak foka wygląda, i potem tak leżąc, się do foki doczołguje, naśladując jej niezgrabne podrygi i na koniec zarzuca na ogon foczy pętlę z rzemienia, szarpie, żeby od otworu fokę odciągnąć, i pałką albo nożem ubija. No i ta sztuka się ani mnie, ani Ljubow nigdy nie udała, ale ileż Ljaudīs uciechy z tego mieli, jak my próbowali, i gramolił się człowiek po lodzie, bo patronów szkoda, podrygiwał i zawsze jakiś ruch fałszywy i foka nagle hop do wody, i nie ma.

Wiele radości mieli też, jak się ja wzbraniał kastrować rena, bo robią to sposobem czukockim, który polega na tem, że jak się już złapie zwierzę w pętlę za szyję, to dwóch ludzi chwyta go za tylne nogi, a trzeci zębami miażdży mu mosznę. No i ja powiedział, że rena po jajcach gryzł nie będę i biorę się do noża, a Chołodcy w śmiech, patrzcie, glauszas, do reniferzych jajec z nożem, idiota, i Wesunas starszy mi pokazał, jak się zębami reniferze jądra miażdży. Dokładnie tak jak sobie moja czytelniczka wyobraża, dwóch trzyma rena za badyle, a Wesunas mu ogon zadziera, gębę otwiera szeroko i na jajcach zęby zaciska jak wilk, renifer wierzga i skuczy po reniferzemu, ale Wesunas wcale nie puszcza. Następnemu jądra odgryzła Ljubow, a ja myślał z pewnym niepokojem o tych dawno już wtedy minionych chwilach, w których jej krzywe zęby znajdowały się blisko moich jajec.

Chwile te były już dawno minione, albowiem płacze Intael na nic się zdały, i mołody Wesunas, chociaż ocalił dawną kochankę przed wygnaniem, to jednak z dwa razy od niego starszą Ljubow stali się nierozłączni do tego stopnia, że Auszrā, która planowała jeno odwieść syna od poprzedniej miłości, a nie popchnąć go w kolejną, zaczęła się już nieco martwić, bo co prawda nie w jukagirskiej niewolnicy, ale w ruskiej taucie teraz syn jej się durzył. Od ich jęków i kotłowaniny w nocy nie dało się spać, a najbardziej przeszkadzali staremu Wesunasowi, który nieraz w nocy wrzasnął na syna, żeby się jebać już przestał, bo ile to razy tak można jednej nocy, co spotkało się z paroma melancholijnymi uwagami Auszry i Wesunas, obrażony, wyniósł się spać na drugi etaż, do zimowych jesteb.

Swoją drogą, po chołodzku słowo to piękne, jebać, brzmi podobnie bardzo, jebtī. No ale też jebią się tak samo jak i my albo Ruscy, to i nic dziwnego, że słowo takie same. Dziwne raczej, że po niemiecku jakieś tam ficken, a przecież nie inaczej Niemiec Niemrę nadziewa niż mieszkaniec Chołodu albo Omska swoją babę, z tą różnicą może, że ani w Rajchu, ani w Omsku nikt się nie parzy tak otwarcie i przy świadkach, jak to czynią w Chołodzie, skoro dla Ljaudīs jebanie niczym wstydliwym nie jest. Oczywiście, nie jest tak, że przy jednem stole z jednej strony ktoś swoją jukołę zjada, a z drugiej ktoś się z babą tarmosi, bo to jednak w posłaniach dzieje się i raczej pod skórami reniferzymi, ale nie w samotności, skoro wszyscy w jednej jestebie śpią.

Odnośnie do stołów, to zdaje się, że ja nie napisał jeszcze, że w przeciwieństwie do Czukczy albo Jukagira czy Koriaka Ljaudīs bardzo dumni są z tego, że swój pokarm w miarę możliwości spożywają, siedząc na ławach przy stołach, które zwali stalas, nie zaś na siedząco lub w kuckach przy ognisku – tak Ljaudīs jedzą tylko w sendusze, gdy i tak śpią w jarangach.

No i znowu te dygresje, Widuchu-najduchu, i po co?

Zawrzyj pysk.

Wracając więc do złamanego serca jukagirskiej arby, to Intael w końcu przestała płakać, zamiast tego zaś którejś nocy naga stanęła nad łóżkiem Wesunasa i Ljubow, gdy z sobą legali, zerwała z nich skóry reniferze i zanim zdążyli na nią spojrzeć, to bez słowa poderżnęła sobie sama gardło pięknym i bardzo ostrym nożem kobiecym, geniszkō sektlō, który Wesunas dał jej kiedyś w prezencie, i poderżnęła dobrze, głęboko, krew chlusnęła z tętnic na futra, na nagie plecy i pośladki zajętego jeszcze jebaniem mołodego, i na tatuaże Ljubow, zaczęły się więc krzyki, Intael drgała na ziemi w agonii, mołody Wesunas rozszlochał się na dobre, przerażony nagle, a Ljubow naga wyskoczyła z piernatów, przeklęła, że wot, bladź, szliucha, futra zapaskudziła, chwyciła drgające jeszcze ciało Intael za grube, czarne włosy, których jako niewolnica w warkocze nie zaplatała, tylko nosiła rozpuszczone, i wyciągnęła Ljubow ciało Intael z damasa Wesunasowego, kopnięciem otwierając drzwi, i zanim ktokolwiek jej przeszkodził, pociągnęła po ziemi do wiecznie gołodnych psów i psom rzuciła ciepłe i drgające jeszcze ciało Intael na pożarcie, a gdy psy się do jej ciała dały, to już nikt nie odważył się im przerwać, bo mięso gołodnemu świ z paszczy wy-

ciąga tylko glauszas, co nie lubi swoich palców. A ja na przykład zbyt wiele ich już nie miał.

Wrzaski i ujadanie sprawiły, że mimo nocy ludzie powychodzili z damasów, niektórzy z orużjem, i tak i ujrzeli ją, jak wraca, naga mimo chłodu, wściekła, pokrwawiona, i nic sobie z nich nie robiła, mimo strasznych dźwięków psiej uczty, i Chołodcy patrzyli, i ja patrzył na nich, i widział ja, że Chołodcy się Ljubow bali, i ja się bał, i myślał, jak się od naszego zimowania zmieniła, od pożywnego jadła i pracy fizycznej nie ponad siły nabrała ciała, rozrosła, piersi i biodra się jej zaokrągliły, ale i w ramionach urosła, i nawet rysy miała już nie tak ostre jak wtedy, i tylko zęby dalej tak samo paskudne i krzywe.

Co się, suki, kurwy jebane bladź, patrzycie, spać szliucha nie dała, warknęła do wszystkich w nastroju takim, jakby czekała tylko, aż kto ją wyzwie, ale nikt nie wyzwał, i wróciła w posłanie. Lagi se mane, warknęła do mołodego Wesunasa, co znaczyło, chociaż niegramatycznie, że ma się z nią kłaść, i on pokładł się z nią bez zwłoki, a Ljubow pchnęła go na plecy, ustami i ręką doprowadziła do stanu, jaki się jej wydał zadowalający, i z krwi się nawet nie obmywszy, dosiadła go i ujeżdżała na oczach wszystkich, nawet skórami się nie przykrywszy, a takie to było ujeżdżanie, że Auszrā aż w końcu dzieckom oczy pozakrywała, żeby nie patrzyły, co uznaję za dowód, że granice wstydu, chociaż gdzie indziej niż moja mamulka na przykład mieli, to jednak gdzieś były.

A ja patrzył. A Ljubow krwawa parę razy znalazła wzrokiem moje spojrzenie i uśmiechała się do mnie triumfalnie i groźnie, chociaż nie było między nami wróżdy, zgodnie my w morze, do białuch i do fok, i do gowiedzi, i każdej innej roboty chodzili.

Zaczęli jej się też bać wtedy. Chociaż przecież to nie ona Intael życie odebrała, ale kiedy jej ciało wściekła wyciągnęła za włosy i cisnęła psom, wtedy dopiero zrozumieli, kim jest, jaka drzemie w niej siła i jaki gniew, i jaka bezwzględność.

A ja, cóż tam ja… Nie brakowało mi jej bliskości, chociaż ją ja przecież przez to wspólne zimowanie polubił, jedzoną pięćdziesiątkę ósemkę wybaczył. Ljubow całą sobą przywarła do mołodego Wesunasa i kiedy szukała mojego spojrzenia, gdy na nim skakała, to nie po to, aby dostrzec we mnie

zazdrość, ale by zatrzeć we mnie wspomnienie jej słabości, czego robić już nie musiała, bo ciało Intael psimi kłami szarpane dość pokazało jej siły.

Wesunas oferował mi jedną z jego domowych Jukagirek, ale powiedział ja wtedy, że ja niewolnicy nie dotknę, bo uważam, że żaden człowiek nie powinien należeć do drugiego człowieka. Wesunas bardzo wtedy się śmiał i pytał, czy dzieci też nie powinny należeć do ojca i matki, i jak ja mówił, że to co innego, to nie rozumiał, ale potem zobaczył, że ja konsekwentnie odmawiał wszelkich usług od niewolnic i traktował je jak równe wolnym kobietom, i coś się w nim zmieniło, i dużo później, jak my już lato i zimę, i następne lato w Chołodzie spędzili, to powiedział, że on mi jedną niewolnicę wolną uczyni, żeby ja tak sam nie był, bo przecież mąż jak nie jebie, to dusza w nim pleśnieje i kurczy się, a po co komu mąż o duszy spleśniałej i skurczonej, i że mam sobie wybrać, którą ma mi uwolnić, na co ja mu powiedział, żeby uwolnił wszystkie i jak któraś będzie chciała ze mną legać, to niech lega, ale u mnie już pięćdziesiąta zima na karku wtedy była i niech tam mołodzi jebią, mnie już nie trzeba.

Ale nie była to prawda. Ja powiedział tak, bo co – miał ja mówić, że po tym, jak starszyna lutlampą mi chwosta przypalał, to gorzej tam wszystko działało? Nie że wcale, ale gorzej. I że tak naprawdę jedyną babą, jakiej ja chciał, to Sofie była? Ale wiadoma rzecz, dobrze we śnie przytulić się do ciepłej baby… No sprzeczne się we mnie kotłowały myśli, ale rozwiązał je Wesunas, oświadczając któregoś dnia na mejrasie, że uwalnia wszystkie swoje niewolnice łącznie z Koriakiem, co chodził w babskich sukniach, bo go do tego przekonał czcigodny jego gastis Konrad, i że od teraz, jak chcą iść precz, to mogą, pościg za niemi nie pójdzie. Żadna nie poszła.

Był ja bardzo tym gestem zdziwiony, a jeszcze bardziej tym, że na mejras przeszedł on bez echa większego, wyzwala swoje arby, no to wyzwala, co komu do tego? Dziwiono się nawet, że uznał za stosowne czynić z tego obwieszczenie na mejrasie, bo i po co, co to kogo obchodzi, co patis damā w swoim damaj czyni ze swoim dobytkiem. Tej samej nocy przyszła do mnie wolna już Jukagirka Ibisi, co oznaczało po jukagirsku mleko, i legała ze mną, i dobra była, i cierpliwa, i okazało się, że jednak co ma działać, to działa, że wiele miesięcy sytego jedzenia, spokoju, wysiłku fizycznego, który nie powolną śmiercią jest, i okazało się, że jednak bardzo potrzebował ja tego, co zdawało się już mi czasem zamkniętem rozdziałem życia mojego.

Ibisi jednak dalej nie odzywała się po chołodzku, nie zmieniła tego obyczaju, nawet po oficjalnym wyzwoleniu. Może niespecjalnie w to wyzwolenie wierzyła, kto wie.

A czy wiedział ja, że Wesunas sūnus Wesunjas kazał jej do mojego posłania przyjść, nie ze swojej woli przyszła?

Teraz zdaje mi się, że wiedział ja doskonale, ale może zbyt surowym siebie samego ja sędzią. Ibisi legała ze mną co noc, Wesunas z tego bardzo kontent był, a potem poszlimy się pomieniać z Jukagirami, ale jakby za dużo orużja i patronów my brali na to pomienianie, i ja już wiedział, że idziemy na wojnę.

Wcale ja na wojnę iść nie chciał, bo ja dość już wojny miał, ale los Ljaudīs moim był teraz losem i moim życiem, i tak jak ja sobie poprzednich wojen nie wybrał, tylko przyszły do mnie, tak i ta przyszła.

Poszlimy więc któregoś dnia z Ibisi w senduchę, schodkami wykutymi w klifie i dalej, tak żeby być sami, poszlimy więc w senduchę, ja z wintowką, na wypadek gdyby spotkać niedźwiedzia albo w ogóle coś wartego kuli, szedł ja pierwszy, Ibisi za mną, bo nie ma takiej siły, która zmusiłaby jukagirską kobietę, aby szła obok mężczyzny albo przed nim, i gdy odeszlimy daleko od osady, to my usiedli na głazie, patrzyli w milczeniu na morze, a potem Ibisi śpiewała mi jukagirskie piosenki, bardzo smutne.

Nauczył ja się jednej z tych piosenek, chociaż było to trudne, bo melodie nie przypominają w niczym naszych, powraca cały czas jeden motyw, i szkoda, że na papierze oddać się tego nie da, no ale brzmi tak, że: joluge tanne, jo-oluge tanne, joluge tanne, jo-oluge tanne, mit ejre nun nul, lejtedgege, joluge tanne, jo-oluge tanne, joluge tanne, gonul onme jo, ta kojpede, gondo mit ejre Unmun tanne jo lejte de ge. Tak to właśnie brzmi, podśpiewuję to sobie pod nosem, gdy piszę te słowa, a znaczy tyle, że och, mój smutku, mój smutku, mój smutku, idziemy tak, myśląc o przeszłości, mój smutku, mój smutku, wspominamy, jak z chłopcami przechadzałymy się nad brzegami Unmun. A Unmun to po jukagirsku Kołyma. A skąd to wiem? Ano stąd, że wtedy jakoś wzruszony zapytał ja Ibisi, co to znaczy, i ona nagle mi powiedziała, po chołodzku, którem władała, okazało się, bardzo dobrze, opowiedziała mi, o czem to piosenka i że należy do innego plemienia Jukagirów, z którego pochodziła jej matka, a którzy nie żyją w sendusze,

tylko dalej na południe, na jugu, w tajdze, nad brzegami Unmun, czyli Kołymy.

Śpiewała ją, siedząc na kamieniu, a ja półleżał, z głową na jej kolanach, Ibisi głaskała mnie po włosach i jak już zaczęła mówić po chołodzku, to mówiła i mówiła, mówiła, że ona martwi się, że Wesunas idzie na wojnę z Jukagirami i że weźmie znowu jakie dziewczęta w niewolę, że ona tak ubolewa, że w Jukagirach nie ma takiego ducha jak w Czukczach oraz że ona, Ibisi, boi się, że mnie zabiją i że ja będę zabijał Jukagirów, też się boi, bo gdy na moich rękach będzie krew jej ludzi, to już nie będzie mnie dłużej lubiła. I wielki w niej smutek, joluge tanne, joluge tanne, że ta wojna idzie.

No to i obiecał ja Ibisi, że żadnego Jukagira ja nie zabiję, obiecał, nie wiedząc, czy dotrzymać będę mógł, i wiedząc też, że w tajemnicy się tego nie utrzyma, jakby ja zabił, bo chołodzcy mężowie większość wolnego czasu poświęcali na opowieści o swoich wojennych przewagach, kłócąc się często godzinami, kto którego wroga pogromił, kto pierwszy cios zadał, a kto ostatni. Więc jak którego zabiję, to Ibisi się dowie i mnie już lubić nie będzie. Co nie podobało mi się.

Bo jakoś ja się tam wtedy urządził już w tym życiu. Nie było dnia, żeby nie myślał ja o Sofie i Ninel, i Wilenie, a jednak żył ja, żył i dużo myślał o tem, że wreszcie żyję ja jak człowiek, nie jak przerażone zwierzę, i kiedy ostatni raz ja żył jak człowiek, chyba zanim jeszcze się domknęły bramy tej tiurmy, którą stała się Rosyja, bo przed Stalinem, za NEP-u, to się żyło, chociaż wtedy jakoś ja nie myślał o tem, że żyło się nam z Sofie jakoś, że oddychalimy jakoś swobodnie jeno dlatego, że my byli po stronie tych, co fundamenty i mury tego więzienia budowali.

Ale czy za cara Rosyja była inna? Nie była. Rosyja zawsze taka sama, a czy my z Sofie na wojnie domowej nie byli takie same opriczniki jak za Iwana Groźnego Maluta Skuratow, co wyrżnął nowogrodzian, czy jak my białych pędzili, oficerów rżnęli, Polaków, każdego, kto był przeciwko władzy radzieckiej, to czy my cegła po cegle tego więzienia nie budowali, aż się zamknęło i nad nami, kiedy NEP się skończył.

No i nie było wtedy życia poza naszymi ciasnymi czterema ścianami. W środku, tam gdzie bylimy tylko sami, ja i Sofie, i potem jeszcze dziewczynki, to tak, to się jakoś żyło, my, książki, które Sofie mi tłumaczyła cierpliwie, jakby mój łeb głupi miał nagle zmądrzeć, ale przecież to wszystko

stawało się coraz ciaśniejsze dookoła nas, coraz straszniejsze, a jak tu żyć, jak na dźwięk nieoczekiwanych kroków na schodach człowiek truchleje, tak i za życia truchłem się stając.

No i przebacz mi, moja dobra, mądra Sofie, ale po dwóch zimach w Chołodzie, wśród tych ludzi nieświadomych istnienia Stalina i Związku Radzieckiego, kochających walczyć, polować i płakać, zaczął ja żyć na nowo. Lubił ja towarzystwo Ibisi w moich piernatach, polubił się ja z jukołą, z reniferzą entrą, to jest wątrobą, i winem jagodowem, nauczył się jako tako języka, który przychodził mi z dużą łatwością, bo też jakoś do polskiego i ruskiego podobny, chociaż odległy się zdaje, nie tak jak na przykład do naszej godki albo do polskiego czeski, tylko jakoś odleglej, ale nie umiem tego konkretnie nazwać. Lubił ja polować, lubił pływać koczem po Arktycznym Oceanie, gdy my na foki chodzili i na morsy, lubił ja łowić czyry i muksuny w rzece na jukołę, albo wielkie nelmy z przerębla, spod lodu, na stroganinę, i tylko przy reniferach pracy nie lubił ja – tak i nikt mnie do niej nie przymuszał. Tautā gastis esti, mówili, czyli obcy jest gościem, to tłumaczyło wszystko, jak nie chce pracować z reniferami, to pracować nie musi i tyle. Będzie robił co innego.

No i nie chciał ja wcale tego wszystkiego stracić na jakiejś wojnie z Jukagirami.

Zaczęło się to zaś od tego, że Gabaidze zażądał wódki i że bez wódki on więcej z duszami rozmawiał nie będzie. Bardzo dobrze się ten mój Gabaidze w roli walkwasa odnalazł, po dwóch zimach i językiem władał, i wiedzę walkwasa posiadł, zarówno w zakresie podróży niebiańskich i rozmów z duszami, jak i w kwestiach politycznych, przynajmniej jak na ślepego i bezrękiego byłego wora w zakonie.

Wódka zaś się skończyła, bo na ostatnim pomienianiu z Jukagirami okazało się, że zamiast zwyczajem obwarowanej jednej skóry niedźwiedziej za butelkę, zażądali czterech albo dwudziestu skór foczych, albo dziesięciu morsich, i wajawadas Wesunas, chcąc nie chcąc, kupił tylko dziesięć butelek zamiast pięćdziesięciu, mówiąc, że po co Ljaudimas – bo tak się Ljaudīs odmienia – wódka, skoro ich dziadowie obywali się, pijąc jedynie pīwan z jagód wodianiki, dla szamana zaś mając saumasa, czyli krasnego muchomora, i wcale wódki nie znali, po co więc taka komuś.

Była to tylko dobra mina do złej gry i kiedy wódka się skończyła, zarówno Gabaidze, który wolał jednak wódkę od moczu Elēna, jak i sam Elēn, zmęczony nieco filtrowaniem przez swoje ciało muchomorów na potrzeby Gabaidzego, no więc oni obydwaj zażądali wódki. Albo wódka, albo dusze milczą.

Rēźis Mejraślāwas sūnus Ardaślāwjas na mejraj oświadczył uroczyście, że walkwasy są w prawie żądać wódki i argumentacja Wesunasa na nic się tu zdała. Posłano więc do Jukagirów umyślnego, umówiono na wiosnę pomienianie i każdy wiedział, że na to pomienianie pójdzie się w wielkiej kupie, bo jak Jukagirzy nie obniżą ceny za wódkę, to trzeba ją będzie zdobyć zbrojnie właśnie, i tak też się stało, Wesunas powiódł wojów na saniach w psy zaprzężonych na pomienianie, a wśród nich szlimy, i ja, i Ljubow, mielimy nasze wintowki i nadzieję, że od Jukagirów zdołamy patronów też kupić albo zdobyć, bo na ostatnim pomienianiu my u jednego widzieli mosina na plecach, nie tylko berdanki stare, ale wtedy sprzedać nie chciał. Ja zbroi nie chciał, ale Ljubow chciała i Wesunas mołody jej oddał swoją starą, z morsiej skóry, płytkami kościanemi nabijaną i tak zbrojna szła, a szlimy daleko, daleko, aż do miejsca, gdzie rosną drzewa, szlimy z saniami, psami, trzydziestu mężów i jedna Ljubow.

Jukagirzy na pomienianie przyszli, wódkę mieli, ceny obniżyć nie chcieli i pomienianie się skończyło, i kiedy odchodzili, to wiedzieli, że nie odchodzą w pokoju, my zaś odczekali tak długo, jak należało, jak nakazywał zwyczaj, zabraniający wszczynania wojny od razu na pomienianiu, więc wyczekalimy dwie noce i nocą kolejną poszli na nich, i jednak nie każda wojna podobna do każdej, bo ta była zupełnie inna niż jakakolwiek wojna, jaką ja wcześniej widział, bo też w Chołodzie była to moja pierwsza. Jak my się gotowali do natarcia, to ja wintowkę z pleców zdjął i zaczął patrony do magazyna wciskać, na co mi Wesunas rzecze, żeby ja tak nie robił, bo się strzelać nie będzie, bo to przecież nie z Czukczem wojna na śmierć i życie, ale z Jukagirem, a z niemi nie tak wojuje się, no i ja uradował się, że nie będzie mnie trzeba może w takiem razie Jukagira ubijać.

Tak i my poszli wojować, nie strzelając.

Obóz Jukagirów to było pięć jarang zbudowanych na drewnianych szkieletach i krytych reniferzymi skórami, bo też Jukagirzy na morze nie chodzili, na foki nie polowali ani ryb w morzu nie łowili, jeśli pływali, to tylko

w dłubankach, które najwyżej na rzekę nadają się, i całe ich życie kręciło się dookoła rena. Dlatego od Chołodców chętnie kupowali futra umka, bo tak niedźwiedzia zwali, po czukocku, a i u nas, to znaczy w Chołodzie, tak zwykle na niedźwiedzia mówiło się, kupowali je więc od nas za wódkę, którą nabywali z kolei za swoje, reniferze skóry od Jakutów, daleko na południe idąc w tajgę.

Wpadlimy więc między te jarangi, które wyglądały jak indiańskie tipi w książkach o przygodach Winnetou, co ja je czytał za bajtla, Jukagiry nie byli w ciemię bici i już na nas czekali, z toporami, z dzidami w rękach – i zaczęła się bitwa, ale bardziej taka, jak my się w innym życiu na ulicach Zaborza prali, jak my z kamratami lecieli na Dorotheendorf prać się z tamtejszymi i chociaż mielimy w rękach sztyle od łopat i oskardów, i krew się lała z rozbitych łbów, i zęby powybijane były, i kości połamane, to przecież trupów nie było, chociaż i noże tam w rękach błyskały, to jednak przed ostatecznym pchnięciem zawsze coś rękę powstrzymało, raczej przez pysk chlasnąć, nie w brzuch dźgać.

Tak i my z Jukagirami bili się. Miecze zostały w pochwach, toporami się wymachiwało, owszem, ale na postrach, po wintowki nie sięgał nikt, chyba żeby nienaładowaną berdanką jak maczugą wywijać, i krew się na śnieg polała, a ja dostał sztylem od dzidy jukagirskiej po plecach, a że ja zbroi z morsiej skóry nie miał, to mi dech odebrało i ja padł na ziemię, ale pomyślał, że dobrze, że przynajmniej Ibisi się nie odwróci ode mnie, no ale potem ja wstał i trochę już pogniewany w ogólnej kotłowaninie kolbą mojego karabinera parę zębów powybijał, i tak my Jukagirów przemogli, bo u nas była przewaga i w liczbie, i w sile, bo Jukagiry od Ljaudīs mniejsi i wątlejsi o wiele. Trup był jeden, po jukagirskiej stronie, starzec, co sczezł, bo Wesunas mołody trzasnął go w łeb pałką na foki i stare kości nie wytrzymały, i chłopina padł bez życia, nogami bardzo pociesznie śnieg kopając, a ja się cieszył, że to nie ja w agonii śnieg nogami kopię i że nie ja go ubił, to jeszcze bardziej, bo ja już, jak jak pisał, w żyzni nawojował się.

Po naszej pobiedzie zaczęły się pertraktacje i w końcu stary Wesunas i mówiący trochę po chołodzku starszy Jukagirów o imieniu Kudede, co oznaczało wątrobę, doszli do porozumienia, oddając Wesunasowi dwie mołode dziewczyny w niewolę, trzynastoletnią Lebe, co po jukagirsku

oznacza ziemię, wnuczkę tego, co zginął, i piętnastoletnią Ullum, co po jukagirsku oznacza szaleńca i co, moim zdaniem, nie wróżyło najlepiej.

Poza dziewczynami Kudede zgodził się sprzedać pięćdziesiąt butelek samogonu o wyjątkowo paskudnym, nawet jak na mój niewyszukany gust, smaku po starych cenach. W zamian za to Wesunas uroczyście ślubował przyjść rodzinom z tego obozu z pomocą, gdyby zostały najechane przez Czukczów, co wyraźnie nie spodobało się naszym wojom, bo wojnę z Czukczami mało kto lubił, bo na wojnie z Czukczami nie traciło się zębów, ale życie, łupy małe i tylko chwała wieczna z tego, unźitan ślawas, ale jakoś mało im było pilno do tej chwały.

Tak i my wrócili do Chołodu w triumfie, Ibisi, gdy dowiedziała się o śmierci starca, tak i przestała przychodzić w moje piernaty. Wesunas, skoro był ja gościem, zaproponował mi Ullum do łoża, ale ja nie chciał, a że i Ullum nie chciała, to przekonał się tej nocy Wesunas, skoro prawie skończył jak kastrowany renifer, gdy zacisnęła zęby na jego przyrodzeniu, on wył, a ona puściła dopiero, gdy nożem rozwierali jej szczęki. Po tem wydarzeniu Auszrā wzięła Ullum pod swoją opiekę i nie pozwoliła jej dotykać nikomu i wcale Wesunasowi pogryzionych klejnotów opatrzeć nie chciała, powiedziała, żeby się sam leczył, a Wesunas, obrażon, poszedł spać sam, do osobnej z zimowych jesteb, bo wtedy my w zimowych spali jeszcze, jako że to była wiosna, kiedy już zupełnie jasno, ale jeszcze śnieg nie płynie.

Ibisi ja prosił i błagał, ale ona milczała, po chołodzku nie chciała mówić już i już do mnie nie wróciła, a pewnego dnia, latem, poszła w senduchę rwać kirsznā ōgā, i jak poszła, tak zniknęła i nie wróciła nigdy już, i bardzo mi się do niej ckniło, zwłaszcza również jak ja słyszał, jak to Ljubow po mołodym Wesunasie skacze, i tem bardziej mi się ckniło, jak ja myślał o tem, że drugi raz baba ode mnie w pustkę i niewiedzę o jej losie odeszła, jak wcześniej Sofie, i do żadnej o to żalu mieć nie mogę, bo każda swój powód słuszny miała.

Jedno tylko nie dawało mi spokoju. Butelki wódki zdobyte na Jukagirach zapakowane były w zbite z drewnianych desek skrzynki, wymoszczone starymi ścinkami szmat, trocinami i wszelakim śmieciem, wśród którego, rozpakowując zdobycz, Wesunas znalazł strzępy gazet. Pokazał mi je potem – nie znając pisma, chociaż rozumiejąc jego sens i istotę, odnosił się doń z nabożnym szacunkiem, może nawet strachem. Pierwszą gazetową

kulką, jaką ja rozprostował, była „Литературная Газета”, jej pierwsza strona, z 10 listopada 1937 roku, czyli ukazała się prawie pięć miesięcy po moim aresztowaniu, i na samej górze strony machali do mnie z mównicy Mołotow, Woroszyłow, malutki Stalin, Kalinin, Szwernik, Jeżow, Dimitrow, Mikojan, Kaganowicz i Ukrainiec Czubar, i co do tego ostatniego to się nawet ja zdziwił, że go razem z resztą starych bolszewików jeszcze nie wsadzili.

To znaczy, że go nie wsadzili do 10 listopada 1937, skoro na pierwszej stronie „Litieraturnoj Gaziety” jeszcze łapką w rękawiczce macha, ale od tego czasu minęło tyle lat, że już go na pewno nie ma między żywymi, albo ja nic o Ojczyźnie Światowego Proletariatu nie wiem, a zdaje się, że wiem.

Pod zdjęciem był urwany fragment dokładu Mołotowa na dwudziestolecie rewolucji październikowej i o znaczeniu naszej pobiedy, obok zaś o tem, że w dwudziestolecie naszej rewolucji miliony wolnych grażdan świętują to wielkie święto... Zmiął ja gazetę z powrotem i schował za pazuchę z myślą, że przyjemnie będzie sobie nią rzyć wytrzeć po sraniu, jak w dawnych czasach, skoro tu papieru nie bywało i musiał ja tę sprawę inaczej załatwiać.

Druga gazeta jednak mnie zafrasowała o wiele bardziej. Był to duży strzęp „Wieczornej Moskwy” z 3 lipca 1941, z wielkim zdjęciem Stalina skurwysyna i na górze wielkimi literami wybitem hasłem, że wszystkie nasze siły dla heroicznej Armii Czerwonej i naszej sławnej Czerwonej Floty i wsie siły naroda dla rozgromienia wroga, naprzód ku zwycięstwie. Niżej apel Stalina do towarzyszy, grażdan, braci i sióstr i bojców naszej armii i floty, a niżej to tak zniszczone, że nieczytelne, tylko tyle że wiarołomny napad hitlerowskich Niemiec na naszą rodinu nastąpił 22 czerwca.

Wtedy zrozumiał ja, że gdzieś daleko, w świecie, z którego ja był uciekł, wybuchła wojna. Tego się można było spodziewać, bo jeszcze w miejscu, którego nazwy nie chcę ja wspominać, docierały wieści, że Hitler, że Czechosłowacja, Austria, no ale tutaj było widać, że wojna Niemców z Ojczyzną Światowego Proletariatu, i nawet przez chwilę ja się zastanawiał, co Poloki w związku z tem robią, po której są stronie, no bo przecież nie po sowieckoj chyba...? A do tego Stalin już nie tylko do towarzyszy zwraca się, ale pisze: bracia i siostry, jakby nigdy z tego seminarium nie wyszedł, cóż

to musi dziać się w Ojczyźnie Światowego Proletariatu, że wódz takim językiem posługuje się…

No ale. Wojna mnie mało obchodziła. Kłopot dla mnie był inny: oto w pudle z kupioną od Jukagira wódką strzęp wieczornej moskiewskiej gazety, której poza Moskwą dostać nie dało się. Nie wiedział ja wtedy, który był miesiąc i dzień miesiąca, ale z moich rachub wynikało, że gazeta ta musiała być dość świeża. A dostępna tylko w Moskwie, więc musiała tu przyjechać w kieszeni czyjejś albo teczce prosto z Moskwy, a ciągle było lato.

Zdawało się mi, od kiedy ja do Chołodu przyjechał, że uciekł ja jak na inną planetę, a tu nagle widzę gębę Stalina na pierwszej stronie moskiewskiej gazety, tutaj, w letniej szerokiej jestebie damasa Wesunasowego, gdzie poza tymi strzępami gazety nie ma nic, co przypominałoby mi o świecie, z którego ja uciekł.

Skoro ta gazeta tak rychle przez Jukagirów, a wcześniej pewnie Jakutów, trafiła tu, to przecie mogli za nią trafić i jej czytelnicy, z ich psami, orużjem, wintowkami, automobilami i wszystkiem, na co się zdadzą wtedy chołodzkie zbroje, takie jaką ja poprosił, aby mi sporządzili, po tem, jak zwadę z Jukagirami przypłacił ja złamanym żebrem.

Wesunas dopytywał się, kto widnieje na tym obrazie, wyraźnie przestraszony jego wiernością i szczegółowością, i musiał ja tłumaczyć mu, na czem polega fotografia, co go wcale nie interesowało, ale wąsata twarz wajawadasa Stalina owszem. Tłumaczył więc ja, że to wajawadas i rēźis wszystkich Ruskich, chociaż to, że w jednej osobie te dwie różne role można złączyć, było dla Wesunasa tak nie do pojęcia, jakby mnie kto powiedział, że jeden czełowiek będzie naraz mąż i żona, i z tego jednoosobowego stadła dziatki się narodzą.

Jakże to rēźis i wajawadas jeden czełowiek – zachodził w głowę. Bo to nie jest przecie tak, że rēźis zwierzchnikiem wajawadasa, ani na odwrót, oni obaj uzupełniają się, ulegając sobie na różnych polach, wzajemnie trzymając się w szachu, sprawiają, że władza, to znaczy walstis, власть, Macht równoważy się i ludzie swobodnymi są. A jak jeden i wajawadas, i rēźis, i może walkwas jeszcze…? Tak i ja potwierdził, on i walkwas najwyższy owszem, milionom ludzi o tym, co dusze czują, mówi, ale to fałszywe słowa.

Czyli on alme! – stwierdził Wesunas. Alme? – nie zrozumiał ja. Alme to po jukagirsku jak nasz walkwas, albo enenalan u Koriaków, choć u Jukagira

wszystkie walkwasy złe, ale i u nas się co jaki czas tacy znajdą, dziadowie nasi mówili, że to czarne walkwasy, oni dusze oszukują i ludzi oszukują, zamiast do nieba się unosić, zstępują w podziemia, gdzie mieszkają zmarli i złe dusze, i przynoszą na górę do żywych i dusz to ich zło, i jak który umarł, do kogoś żal mając, to czarny walkwas zstąpi ku takiej duszy i jej żal, i gorzkość przyniesie na górę.

No to tak i Stalin alme, zgodził się ja chętnie, bo to sama prawda była.

A czy potężny on, czy wiele wajōn on ma, wiele eświn, dopytywał dalej Wesunas, na którem słowo milion, które wyrażał ja po chołodzku, mówiąc tūśantī tūśintijōn, czyli tysiąc tysięcy, nie robiło żadnego wrażenia. Więc znowu ja musiał opowiadać, że koni ma wiele, ale o wiele od koni straszniejsze tanki są i aeroplany, i korable stalowe, i automobile, a że Ljaudīs o tem kochali słuchać, to opowiadał ja, i jak ja zaczął opowiadać, to rychle się cały damas zleciał wysłuchiwać, cóż tam za niestworzone rzeczy tautā znowu prawi i raczej nie wierzyli oni w słowo ani jedno.

Niestety kolejną jesienią, kiedy jeszcze jasno było, pewnego dnia przeleciał nad nami aeroplan.

Był to nieduży, dwuosobowy dwupłatowiec, zdaje mi się, że polikarpow R-5, taki sam, jakimi ratowali polarników z „Czeluskina", co było głośną sprawą swojego czasu. Niestety nie tylko przeleciał, ale jeszcze zatoczył nad nami krąg, jeden, drugi, całkiem nisko, aż było widać odziane w skórzane pilotki okrągłe główki pilota i obserwatora w otwartych kokpitach, słońce błyskało w ich goglach. Musieli oni zauważyć nas. Aeroplan leciał z dziwną lekkością, która może jeno dziwna mi się zdała, bo już zapomniał ja widoku aeroplanu, leciał, przecinając polarne niebo fałszywym akordem, jakby ktoś zły klawisz w fortepianie nacisnął, leciał, warczał, pokrążył i odleciał, a ja tylko marzył o tem, aby mieć pod ręką jaki pulemiot, Maschinengewehr, z którego ja mógłby tej jego lekkości sięgnąć długą serią, ciągniętą aż się woda w chłodnicy zagotuje, żeby przeciąć aeroplan wpół, sprowadzić ciągnący za sobą ogon dymu niczym kometa na ziemię albo w ocean, jak my polskie aeroplany w Konarmii z nieba czasem ściągali, albo jak oni nasze, dosięgnąć serią tej jego pysznej niedosiężności, a potem pojść w senduchę albo na bajdarze w ocean popłynąć, odnaleźć wrak i sprawdzić, czy aby który lotnik nie przeżył, a jak przeżył, to dobić.

Żeby nie wrócili tam, skąd przyjechali, żeby tam nie rozwiązały im się języki, albo klawiatury maszyn do pisania, żeby na kolejne biurka nie trafił raport z ich odkrycia, z każdego kolejnego biurka na kolejne pęczniejący, z papieru zamieniający się w więcej papieru, z raportu w plan wyprawy, z planu wyprawy w wyprawę samą, okręt stalowy, ludzi, aprowizację, sanie spalinowe, psy, orużje, sanie, paru enkawudzistów dla trzymania wszystkiego pod kontrolą, i w końcu podniebne spojrzenia lotczików zamienią się w ruską ciężarówkę, z której wysypie się zbrojny wintowkami, odziany kożuszkami i uszankami koniec Chołodu.

Ljaudīs przyglądali się maszynie bacznie, bez obawy, z ciekawością raczej, a potem wszyscy przyszli na mejran, wezwali tautę, czyli mnie, i kazali sobie opowiadać o latających bajdarach, o których ja już wcześniej mówił, ale nie wierzyli oni, a tu, proszę, rzeczywiście przylatuje, wielkości bajdary, widać, że dwóch tam siedzi, i warczy to strasznie, czyli niepraktyczne zupełnie, bo jakże to tak warczącą bajdarą fokę podchodzić, przecie spłoszy się, więc tłumacz, tautā, tłumacz.

No to opowiadał ja. Że to po prostu takie latające ustrojstwo na olej – bo jak ja miał tłumaczyć, że na benzynę, kiedy co to benzyna nie wiedzieli oni przecie – i że to nie złe dusze ten warkot powodują, tylko to po prostu maszyna, jak wintowka albo lewōles, jak mówili na rewolwery, których w osadzie łącznie były cztery sztuki. Pokiwali głowami, udawali, że rozumieją, nic nie rozumieli oczywiście.

Mówił ja też, że aeroplan nieważny, aeroplan to nic, nie ma tu gdzie wylądować, to nie ptak, żeby wylądował na sendusze, musiałby mu kto zimą lód przygotować, wygładzić, inaczej rozbiłby się przy lądowaniu. Aeroplan wysłany na zwiad, jak na karjas, z aeroplana obserwator ujrzał zabudowania osady, której nie ma na ruskich kartach. A co to karta, pytają, więc narysował im ja kartę Chołodu i okolic na śniegu, a oni w śmiech, że kto to potrzebuje rysować, skoro przecież dusza w czełowieku i zawsze wie, gdzie iść, bo cały świat się w niej przegląda, jak czełowiek może się w tafli wody przejrzeć. No więc ja próbował tłumaczyć, że świat bywa większy, niż im się zdaje, i wtedy w duszy się nie mieści, i do tego potrzeba karty, a na to odpowiada Mejraślāwas, czy skoro na ruskich kartach Chołodu nie ma, to czy jest Śēweras.

A na to ja ich pytam, co to Śēweras, a oni znowu w śmiech, no jak to co, i wszyscy pokazują paluchami na Nord, север, po polsku północ, tak i ja rozumiem, i mówię, że u każdej karty cztery świata strony, i mówię, jak się po rusku nazywają: восток, запад, север, юг, a ci w jeszcze większy śmiech, cóż to za idiota smutny ten nasz tautā, nic nie wie, i tłumaczą, że Śēweras to nie tylko siewier, Nord, kierunek, ale wielki ląd na siewierze, tauto głupi. Śēweras albo, jak wolisz, po rusku Siewier. Ląd na północy, na którem wielka, dymiąca góra, rozumiesz? Głupi tautā. Glauszas.

No więc odpowiedział im ja, że takiego lądu na naszych kartach nie ma, albowiem po zbadaniu przez Georgija Uszakowa wysp Komsomolec, Bolszewik, Pionier i Rewolucji Październikowej ostatnie białe plamy z karty oceanów zostały usunięte. Wtedy Chołodcy zaczęli pytać, jakie białe plamy na karcie, no to ja znowu zaczął tłumaczyć, co to karta, strasznie się śmiali, a potem jeszcze bardziej, kiedy ja powiedział, że no nie ma na kartach, bo wiadomo, że tutaj już żadnego lądu dalej na Nord nie ma, co radzieccy naukowcy potwierdzili przecież jednoznacznie.

No i na kartach morskich i wszystkich innych na s/y „Invincible" też nic nie ma, to ja sprawdził bardzo szybko po tem, jak ja na jacht Małego i Dużego przyszedł. Od razu. Ale Dużemu i Małemu nic ja nie mówił, nic.

Kiedy w końcu śmiać się przestali, to nie pytali już nawet, co to naukowiec, ani co to radziecki, bo poza nowoczesnymi metodami wojowania świat poza Chołodem w ogóle ich nie obchodził. Próbował ja na przykład Chołodcom wyjaśnić, co to kino, stukali się wtedy tylko palcem w ucho, że ja niby glauszas, po co to patrzeć, jak namalowani na płótnie nieprawdziwi ludzie coś robią, skoro można na żywych ludzi patrzeć, albo widzieć dusze i rozmawiać z nimi, jeśli kto walkwas, albo przez walkwasa. To jakby kto wolał patrzeć, jak kto babę w piernatach obraca, niż samemu obracać, no do czego to podobne?

No ale wtedy jak my o Siewierze mówili, to nie pytali już Chołodcy, co to naukowiec, tylko śmiejąc się, powiedzieli, że każdy wie, że na siewierze jest ląd zwany Śēweras, co na zimę kryje się w lodach, ale latem można tam dopłynąć koczami, tylko trzeba wiedzieć jak, trzeba wiedzieć, gdzie lody puszczają, trzeba umieć czytać lód tak, jak umieją oni, i którędy iść, to ich dusze wiedzą. Na tem lądzie zaś jest ognista góra i gorące źródła, i urodzajna senducha, i chodzą po nim wspaniałe kholuty.

Kholuty? – nie zrozumiał ja. Na co Wesunas mi mówi, że takie stworzenia wielkie, największe, jakie chodzą po ziemi, chociaż Czukcze głupi mylnie twierdzą, że one podziemne, że ryją korytarze w ziemi, albo że mieszkają w rzekach, ale Czukcze na Siewier nie pływają, żywego kholuta na oczy nie widzieli, więc to prawdą nie jest i są to stworzenia naziemne, ogromne, o długim giętkim nosie jak wąż i o wielkich kłach, no ja powinien wiedzieć, bo jak oni mnie z karjasem znaleźli, to my mieli z Ljubow poczynionego boga z kholuciego kła, duszę kholuta, kholut-aibi, jak to mówią Jukagirzy.

Boga z kholucich kłów, pytam się głupio, a oni na to, że no nie Boga, tylko boga, duszę, dziw poczyniony, aby duszę jakiego stworzenia w jakim miejscu ująć, i że jak Wesunas naszego kła zobaczył, to od razu pomyślał, że nas kholut-aibi odwiedził, i myślał, że my mądrzy, że boga, dejwasa poczynili.

Do dzisiaj nie zrozumiał ja, czem się różni dejwas, bóg poczyniony, aby duszę ująć, od prawdziwego Dejwasa Patera, Boga Ojca, co u nich na mejrasie stoi – o to ja już więcej nie pytał, pytał za to ja, bo się we mnie ciekawość zbudziła, jeśli chodzi o te kły mamucie, taka, jakby to ja był polarnik Uszakow, czy kto z nich widział takiego kholuta i co to za słowo, to mi mówią z pewnym zażenowaniem, że słowo jukagirskie, bo w języku ich ojców i pradziadów słowa na kholuta nie było, a w języku Jukagirów, jakkolwiek żałosnym i nienadającym się do niczego poza rozmową z niewolnikami, to akurat jest. No to ja dopytywał dalej, czy widzieli kholuta, skoro tak, na co oni, że tak, tak, oczywiście, ale ja już, żyjąc między Chołodcami dobry czas, wiedział, że niefrasobliwie niezbyt rozróżniali oni bycie świadkiem naocznym od posiadania kuzyna, którego jukagirska nałożnica znała pewnego walkwasa, który słyszał o tem, że wśród Czukczów jest pewien starzec, co widział kiedyś Koriaka, co miał sen, w którem widział kholuta, więc dopytywał ja, zaciekawiony, jeszcze i jeszcze, no i w końcu okazało się, że na własne oczy nie widział nikt, ale fakt, że kholuty chodzą sobie radośnie po Siewierze, jest absolutnie bezsporny, w przeciwieństwie na przykład do istnienia Kijowa i jego kniaziów. To nie jest rzecz pewna.

Kiedy ja im mówił, że kniaziów w Kijowie nie ma od tysiąca lat, ale Kijów jak najbardziej, wielkie miasto, piękne, i ja w nim był wiele razy, to oni tylko kiwali głowami, że tak, tak, jeden tautā mówi tak, drugi tautā mówi nie,

może jest tak, a może inaczej, natura świata jest nieodgadnioną, poza tym nie są to nasze chołodzkie sprawy, więc nie trzeba o nich rozstrzygać, może jest Kijów, a może go nie ma, jest kniaź albo kniahini, albo ich nie ma, po co tu strzępić języki i marnować dūmas, natomiast co do kholutów to tylko tautā może mieć wątpliwości, jako że sprawa jest rozstrzygnięta jednoznacznie od dawna, i tylko głupi Czukcza może wierzyć, iż kholuty żyją pod ziemią, skoro dowiedzione jest bez żadnych wątpliwości, iż żyją na Siewierze.

W każdem razie, kiedy dowiedzieli się, że na ruskich kartach Siewiera nie ma, a więc nawet największe ruskie korable tam nie popłyną, to bardzo byli zadowoleni z siebie i mówili, że no przecie ani Jukagir na Siewier nie chodzi, ani Czukcza na swych bajdarach, bo to kocza trzeba, i kiedyś ruscy Pomorcy na koczach chodzili, ci, którzy do Chołodu na Wielkie Pomieniania przypływali, i to oni wiele pokoleń temu pokazali Chołodcom Siewier, bo tam dobra starczy dla wszystkich, ale no oni to co innego, oni od cara uciekali, a skoro ten car nowy Stalin nie wie gdzie, to i dobrze.

Kiedy ja pytał, czy na Siewier pływali, to po zapewnieniach, że naturalnie, oczywiście pływali, to w końcu wyszło, że ostatnim znanym im człowiekiem, który przebywał na Siewierze, był dziad rēźisa Mejraślāwasa, który, jak się nagle okazało, podobnie jak pradziad Wesunasa również miał meźōs dūmas i zdarzało mu się słyszeć gołos boga, i popłynął, dziecięciem będąc, na Siewier ze swoim własnym dziadem, a czy kholuta tam widział, to nie wiadomo, bo niewiele mówił. Ale na pewno widział. No na pewno, jakże nie widzieć by miał? A teraz zwyczaje dziadów Ljaudīs zatracili, perorował Mejraślāwas, języka zapominają, Dejwas Patē milczy, świat się kończy.

I wszyscy w płacz oczywiście, jak zwykle.

O aeroplanie wszyscy poza mną rychło zapomnieli, albowiem jego pojawienie się przysłoniły ważniejsze wydarzenia: oto bowiem zniknęła większa część reniferów.

Trzeba tu, moja droga a nieistniejąca czytelniczko, zauważyć, że hodowla reniferów u Chołodców nie wyglądała tak, jak u ciebie to może w gospodarstwie wyglądać, że się trzyma kilka krów, wygania na pastwisko, aby się najadły, a potem zagania do obory, aby je wydoić. Chołodcy mleko reniferze bardzo sobie cenili i pili je chętnie – w przeciwieństwie do na przykład

Jukagirów albo Czukczów, którzy gdy dorosłymi będąc, mleka się napili, to zaraz na wymioty ich zbierało – ale ich renifery chodziły po sendusze luźno, półdzikie, a znajdowanie ich, wyłapywanie i dojenie było tak po mojemu, biorąc pod uwagę ilość pozyskanych kalorii, wysiłkiem niewspółmiernym do efektów, które mogliby osiągnąć, po prostu na nie polując, z łukiem czy wintowką, jednak posiadanie gowiedzi było dla Ljaudīs sprawą wielkiej wagi duchowej, należało do długiej listy rzeczy, które w ich mniemaniu czyniły prawdziwymi ludźmi, jak pływanie na koczach i mieszkanie w damasach, nie zaś w jarangach.

Zwołano więc mejras, który obradował krótko i uradził, że trzeba spytać walkwasa. Spytali więc najpierw Gabaidzego, a ten, pijany, odmówił wszelkiej pomocy, bełkocząc coś o tem, jak raz szedł Newskim Prospektem i widział tam dziewczynę, która musiała być Francuzką, taka była piękna i tak kołysała dupą, tak kołysała, jakby pancernik pruł fale, i że on, Gabaidze, nigdy nie wybaczy sobie, że wtedy nie zaciągnął jej w jaką bramę, że takiej kołyszącej się francuskiej dupie odpuścił on.

Zapytano więc Elēna.

Karzeł po trzydniowym poście, zażyciu dużej ilości muchomora, wypiciu butelki wódki i wykonaniu szeregu skomplikowanych rytuałów związanych z biciem w bęben i okadzaniem wnętrza damasa rozmawiał z duszą gowiedzi, wspólną duszą całego stada reniferzego, która zapowiedziała, że spadną na Ljaudīs wielkie nieszczęścia, jeśli nie zaczną mu składać ofiar.

Gdy wzięto Elēna na spytki, okazało się, że chodzi nie o duszę jednego renifera, lecz o potężną, podziemną, a więc złą duszę całego bydła – coś na kształt bóstwa – której imienia już nikt nie pamięta, albo nie chce się pamiętać, i która powiedziała, że jeśli nie postawią temu bezimiennemu bogu posągu na mejrasie i nie zaczną składać ofiar, to on zabierze wszystkie renifery i pozostaną Ljaudīs z samym morzem, jak najgorsi z Czukczów, a jakże tak żyć bez gowiedzi?

Gdy patīs damōn usłyszeli o stawianiu posągu bezimiennemu bóstwu, to Mejraślāwas zaczął zawodzić i szlochać, i rwać włosy z białej brody, a Wesunas sięgnął po rewolwer, wycelował w walkwasa i oświadczył, że walkwas ma to odwołać, albo żegna się z życiem i pójdzie psom na pożarcie, jak biedna jukagirska niewolnica jego poszła, wtedy jednak powstrzymała

go Auszrā, i słusznie, bo gdyby wajawadas zabił walkwasa, to ryzykowałby nawet wygnanie – on i cały ród jego.

Uznano jednak, że walkwas musiał się w rozmowie z duszą gowiedzi przesłyszeć, lecz tego samego dnia, kiedy powrócilimy z mejrasa do domostwa naszego, to ujrzelimy, jak stary Koriak Gittingew tańczy w dolnej jestebie wokół ognia, który dymi straszliwie i wonnie, bo zda się, że enenalan coś do ogniska dosypał, i wali on w swój jajai, dzwonią dzwonki, nim tańczącym wstrząsają dreszcze i rozlega się basowy pomruk gołosu, jak się okazuje natychmiast, ducha gowiedzi, który chołodnickim językiem pozbawionym koriackiego akcentu, z jakim zwykle mówił – jeśli w ogóle mówił, bo gadatliwy nie był Gittingew – w każdem razie jął żądać, aby postawić go na mejrasie i składać mu ofiary, bo jeśli tak nie będzie, to cała gowiedź odejdzie i nie będą mieli już gowiedzi Chołodcy, i żyć będą jak najubożsi z Czukczów, co jeno z tego, co da im morze, żyją, nie posiadając żadnego zwierzęcia na własność.

Wesunas, przerażony, wyszedł z damasa i udał się na naradę z rēźisem. Duch gowiedzi mówił przez Koriaka dobrą godzinę, a potem opuścił go wraz z długim, grzmiącym pierdnięciem, co przyjęto w damasie z ulgą, albowiem na dłuższą metę jego dudniące zawodzenia były dość męczące, poza tym, jak wiadomo, Ljaudīs uważali słuchanie duchów mówiących ustami walkwasa-tauty za coś raczej niestosownego, acz oczywiście nie ośmielali się mu przerywać.

W końcu rēźis z wajawadasem uradzili, a mejras się zgodził na to, że postawią bóstwo ducha gowiedzi, ale nie na mejrasie, bo to byłaby zbyt wielga obelga dla Dejwasa Patera, postawili więc je na klifie, ponad osadą, ale tak, aby Dejwas Patē nie mógł go ujrzeć, nawet gdyby otworzył oczy. Dla pewności najpierw rēźis, a potem wajawadas zapytali Boga, czy mogą postawić niewielkie bóstwo pewnej pomniejszej, ale uprzykrzającej im życie, duszy, Bóg nie odpowiedział, więc uznano to za milczącą zgodę.

Bóstwo był to udatny bałwan, przedstawiający człowieka o reniferzej głowie, wyrzeźbiony dość schematycznie, ale zręcznie, wspólnie przez wszystkich patins damōn – nikt poniżej tej rangi zwierzchników domostw nie miał prawa go dotknąć. Następnie, gdy bóg gowiedzi już stał, zgromadził się wokół niego cały mejras, razem z domownikami i niewolnikami, Elēn z pomocą Gittingew palił wielki ogień, na którem z grzybów gotował

saumasa, po czem rozdawał go wszystkiem świętą, blaszaną łyżką, której pochodzenie wydawało mi się fabryczne, rosyjskie, i wszyscy pili, i ja też pił, Elēn bił w swój jajai i intonował śpiewy, na które odpowiadali mu wszyscy, i ja też odpowiadał, a potem duch gowiedzi przemówił przez Elēna i zażądał ofar.

Przyprowadzono więc pięknego, wielkiego renifera o nadzwyczajnie jasnej sierści, wykastrowanego grubego samca, rēźis Mejraślāwas poderżnął mu gardło, Elēn zbierał tryskającą krew do wiadra, po czem wszyscy podchodzili doń, i ja podszedł, i on naznaczał twarze nasze krwią, i tak i moją naznaczył, a potem znowu pilimy saumas, który smakował jak grzybowa zupa, i Elēn z koriackim walkwasem śpiewali, i potem duch gowiedzi przemówił ponownie, tym razem już sam, nie przez usta Elēna, i powiedział, że nie uszanowalimy go, wystawiając go poza mejrasem i że chce, aby złożyć mu ofiarę ludzką, że potrzebuje on żony, inaczej cała gowiedź, wszystkie renifery odejdą, i wtedy wystąpiła Ullum i ku przerażeniu Auszry, która się nią od czasu, gdy nie dała się zgwałcić Wesunasowi, opiekowała, oświadczyła, że słyszy wyraźnie gołos boga gowiedzi i że ją wzywa do siebie, aby się z nim połączyła i z nim żyć będzie ze swoimi przodkami pod ziemią, tam gdzie mieszkają dusze umarłych, powiedziała to, słaniając się na nogach, a oczy uciekały jej w głąb czaszki, Auszrā krzyczała, że jest geną wajawadasa – który leżał niedaleko na sendusze nieprzytomny od saumasa – i że nie pozwala, ale ludzie popchnęli Ullum ku Elēnowi, ona podeszła, słaniając się, Elēn zdjął z głowy swoje rogi i nałożył na głowę Ullum i dokonało się. Auszrā przestała krzyczeć, bo nie lubiła krzyczeć po próżnicy.

Następnego dnia zwołano mejras i tak naprawdę dopiero wtedy zrozumiał ja, co się wydarzyło, bo podskakując dookoła ognia przy bogu gowiedzi, niewiele ja z tego pamiętał. Na mejras sześciu mołodzieńców wystrojonych w najlepsze zbroje przyniosło Ullum w łodzi, niedużej bajdarze, do której zamocowano uchwyty, przez co, niesiona na ramionach, mogła służyć jako lektyka. Miała na sobie najlepszą suknię Auszry, na głowie wieniec z gałązek polarnej płożącej się brzozy, Elēn uderzał w bęben, a cały mejras śpiewał: Śwentā esti, ślutā esti, śwentā esti, ślutā esti! Ślawas, ślawas, ślawas! Łódź spoczęła na miejscu, w którem zwykle stał rēźis, Ullum zaś siedziała w niej jak na tronie, jej twarz była nieporuszona jak twarz mojej

matki, kiedy nie było gacha w domu, a ja prosił o pięć fenigów na bōnbony, których ja i tak nie dostawał nigdy.

Chołod, który podchodził kolejno damasami, zaczynając od najznamienitszego, czyli od rēźisa, jął składać u jej stóp dary: suknie z najpiękniej wyprawionej reniferzej skóry, wyszywane kołpaki, pęki najlepszej jukoły, bukłaki z pīwanem, tolkuszę, niedźwiedzie futra, wszystko w najlepszym gatunku. Składając dary, każdy całował Ullum w rękę. Ja niewiele miał do oddania, bo co ze mnie za myśliwy był, ale ja lubił sobie wcześniej coś tam skrobać igłą w morsim kle, czego w dawnych czasach nauczył mnie w Kaiserliche Marine pewien stary mat, który ośmiokrotnie opłynął Horn na barku „Potosi", pływając z Hamburga do Chile po chilijski saltpeter, a wcześniej jeszcze pływał na wielorybnikach, i tam nauczył się piękne obrazy wydłubywać igłą w kłach kaszalota, i mnie tego nauczył, ryło się igłą, a potem napuszczało wyryty obraz tuszem i nazywa się to po angielsku scrimshaw. Od kiedy my się zbuntowali, to ja igły ani kawałka kości słoniowej w rękach nie miał, no a w Chołodzie morsich kłów było pod dostatkiem, igłę też dało się zdobyć, tusz zaś ja zrobił z sadła niedźwiedziego i sadzy. Ja żaden artysta, ale czas to wypełniało, a najchętniej to ja rył nagie baby, to znaczy po polsku się mówi gołe, o które Wesunas i Auszrā pytali, czy to są jakieś dusze, którym chcę się przypodobać, i potem ja wziął trzy kły morsie, jeden duży i dwa małe, i na dużym wyrył ja, jak umiał, nagą kobietę i podpisał ją łacińskimi literami Sofie, a na dwóch mniejszych dwie dziewczynki, ubrane rzecz jasna, to przecie moje córki, to ich gołych rył nie będę, i też ich imiona, i tak postawił je sobie ja obok posłania, tak jak kiedyś na wojnie domowej przy posłaniu ja stawiał fotografię Sofie, jak już my się poznali bliżej na taczance na stepie ukraińskim.

Tych ja Ullum nie oddał, ale oddał ja jej trzy inne, na dwóch były nagie baby, na jednym pilchowicki kościół, który ja z pamięci próbował odtworzyć, i nawet mi się zdawał podobny, łącznie z wężem, co się na krzyżu na szczycie wieży kościelnej wije.

Przyjęła moje podarki bez słowa, jak wszystkie inne, długo przyglądała się kościołowi i uśmiechnęła się, widząc nagie kobiety.

Potem podarki przynosili inni, Elēn ciągle śpiewał i w osadzie było święto: pito pīwan i wódkę, ucztowano przy ustawionych w koło na mejrasie stołach, śpiewano pieśni o wyprawach wojennych, na których wieczną

chwałę zdobyli ci, co dokonali czynów niezapomnianych, powracając do domu z licznym łupem, prowadząc tabuny koni i wielkie stada krów, co uświadomiło mi, że zapewne nie ułożono ich tutaj, w sendusze, nad brzegiem Arktycznego Oceanu, lecz przyszły tu z Chołodcami skądinąd.

Święto trwało dwa dni, słońce nie zachodziło i nikt nie szedł spać, ludzie drzemali przy stołach, pokrzepiali się wódką i pīwanem z kirsznā ōgā, śpiewali, jedli i znowu pili, kłaniali się Ullum, całowali ją po rękach, prosili o błogosławieństwa, których udzielała, naznaczając czoła proszących własną śliną i moczem, i sama też jadła, piła, a gdy zasypiała, nie opuszczając swojej łodzi, to cały mejras milkł, aby jej nie zbudzić, a gdy znowu otwierała oczy, to witali ją wszyscy pieśnią, i tylko Auszrā, jako jedyna, chociaż uczestniczyła w obrzędach, to nie radowała się, popłakiwała nawet, zasłaniając twarz rękawem reniferzej tuniki.

W końcu rēźis Mejraślāwas ogłosił koniec biesiady i że czas odejść na spoczynek i przygotować się do wielkiego dnia, ale najpierw Ullum, jako władczyni Chołodu, ma sobie wybrać mołodzieńca, który będzie jej towarzyszył tej nocy. Ustawili się więc wszyscy najpiękniejsi w swoich strojnych zbrojach, z orużjem, którem zaczęli potrząsać, pohukiwać, aby udowodnić swe męstwo, jeden zrobił salto w tył, drugi stanął na rękach i tak zaczął się przechadzać, a opadająca malica odsłoniła jego przyrodzenie między uwiązanymi do pasa futrzanymi nogawicami, i musiał być z niego bardzo dumny, bo przechadzał się długo. Ullum zaś nie zastanawiała się długo i wskazała na mnie.

Ja w ogóle tego nie zauważył, bo ja przecież już wtedy był stary chłop, do tego jeszcze dobrze sterany życiem niezbyt zdrowem, był ja zresztą pijany i zmęczony, i tak ja sobie trochę drzemał przy stole, głowę wsparłszy na przedramionach. Ale i reszta Ljaudīs nie rozumie, co się dzieje, mołodzieńcy patrzą po sobie zdziwieni, ten, co na rękach, dalej chodzi po mejrasie na rękach, pokazując, co tam ma, a ona wskazuje palcem na mnie, Chołodcy zaczynają szemrać, aż w końcu rēźis poczuł, że już czas wkroczyć, podszedł do mnie, potrząsnął mnie za ramię i mówi, że władczyni na mnie wskazuje, ja chyba nawet nie wiedział, co to znaczy, ale już ciągną mnie za ręce i tak idę, Ullum wychodzi z łodzi, wprowadzają ją do dolnej jesteby najznaczniejszego damasa w Chołodzie, którem jest damas rēźisa, czyli damas Mejraślāwasa, ja idę za nią, w jestebie niewolnice Mejraślāwasowe

rozdziewają ją i mnie również, po czem nagich wyprowadzają nas z jesteby na zewnątrz i prowadzą do bani, w której już napalone, i gdy drzwi otwierają, to para aż bucha i pachnie ziołami, w łaźni myją nas, nie pozwalając nam zrobić niczego samym, obsługując tak, jak nikt w Chołodzie nie obsługiwał nikogo, nawet rēźisa z wajawadasem. Z łaźni do jesteby wracamy okręceni skórami reniferzymi, tam też napalone i ciepło, a przede wszystkiem – niewolnice znikają i nie ma nikogo, luksus w Chołodzie nieznany.

Ullum położyła się na posłaniu i ja widział, że jest ledwie przytomna, i nie miał pojęcia, co należy mi robić, no ale uznał ja, że jak mnie sobie wybrała ze wszystkich mołodzieńców, starego chłopa, to nie skorzystać byłoby głupio, bo tylko glauszas, jak dziewczyna leży goła i ochocza, do roboty nie bierze się. No więc ciało mnie tam i chyba zareagowało odpowiednio, podchodzę ja, kładę się obok niej i powoli, delikatnie, żeby nie przestraszyć, zabieram się do roboty, a ona wtedy odsuwa mnie.

No jak odsuwa, to odsuwa, na siłę babie narzucać się to zawsze poniżej godności Konrada Widucha było, Konrad Widuch zawsze uważał, że to one się mają prosić, a nie że ja się starał będę, bo co to baba, żeby tak o nią zabiegać, nie pogniewaj się, moja przecudna, acz nieistniejąca czytelniczko, ale to prawda. Baba to baba, chłop to chłop, i jednego, i drugiego kwiatu pół światu jest. Zawsze to odstręczało mnie, jak nas w porcie z okrętu puszczali na przykład i jak w wyposzczonych matrosów naszych wstępował małpi rozum na widok pierwszej lepszej, i wychodzili z siebie, na głowach stawali, jak nie przymierzając ten w Chołodzie jeden mołodzian, wierszem mówili, nadskakiwali, i po co, żeby tylko pizdy zaznać? A co w tem takiego niezwykłego? Ja sobie siedział po prostu w szynku, z piwem, i myślał sobie ja: a co ja gorszy od tych bab? To ja o nie zabiegać mam? Niech się one starają, żeby kąska wspaniałego Konrada Widucha zażyć! No i co, nie przysiadały się, opędzając się od kamratów moich jak od much natrętnych? A przysiadały się. Czy zawsze? Nie zawsze. Ale często. A jak. A jak przysiadały się, to ja z nimi i gadał jak z czełowiekiem, a nie tak, jak się kamratom moim wydawało, że do baby mówić trzeba, słodkie słówka albo marne wiersze. I co, czy ja pizdy damskiej nie zaznał, nie starając się? A zaznał, i to lepiej niż tamci, bo to one chciały, a nie ja im narzucał się. No.

Ale i tak samo było z Sofie potem, jak już na żadną babę nie spojrzał się. Jak ja widział, że jej nie chce się, to mnie się miało chcieć? A co to za przy-

jemność jebtī, jak jej nie chce się? To człowiek sam sobie ręką tak samo zrobi i przynajmniej nie będzie musiał patrzeć, jak ta oczami przewraca albo coś. Tak i lepiej.

No więc jak Ullum odsunęła mnie, to ja się odsunął bez oporu, chociaż, przyznam, nie bez żalu.

No i potem przypomniał sobie ja, co mi powiedziała na początku uczty Auszrā, jaki los czeka ją.

Więc zapytał ja, czemu mnie wskazała. Ullum na to, że dlatego, że ja tautā, nie chciała w tę noc z Chołodcem być. No to ja dalej pytam, czego ode mnie chce, a ona na to, że chciałaby mi głowę na kolanach położyć i żeby ja ją po włosach głaskał, i śpiewał coś do snu. Ja jej na to, że nie znam jukagirskich kołysanek, a ona na to, żeby ja śpiewał moje własne.

I tak my siedzieli do rana, ona nie spała ani mnie nie chciało się wcale spać, i śpiewał ja jej wszystkie piosenki, jakie mi przychodziły do głowy. Te co mi mamulka śpiewali, ale i kościelne pieśni po polsku i niemiecku, nawet *Te Deum* ja jej śpiewał, bo i czemu nie, dobry Jezu a nasz panie, daj nam wieczne spoczywanie, i śpiewał ja jej *Der Hamborger Veermaster*, którą przed wojną jeszcze i zanim mnie do Kaiserliche Marine wzięli w Ruhrgebiet ja nauczył się od miłego, bezrobotnego hamburczyka nazwiskiem Kiesel, co ją śpiewał, na cyi przygrywając, i śpiewał ja jej *Internacjonał*, albo takie co ja z dzieciństwa pamiętał, my sōm chopy, my sōm chopy, my mogymy wandrować, my mogymy w cudzyj ziymi szwarne panny, szwarne panny miyłować, albo moja mamuliczko, na kolana padom, i tak dalej.

Potem Ullum śpiewała mi po jukagirsku, joluge tanne, joluge tanne, joluge tanne, potem coś mówiła, a ja nie rozumiał, więc pytam ja, co mi to opowiada, a ona na to, że to bajka jest, więc ja poprosił, żeby bajkę po chołodzku opowiedziała, i opowiedziała, a bajka była o trzech chłopcach, co pojechali do lasu na saniach, do których zaprzęgli zajęcy i szli tak długo, aż spotkali dom Jakutów, weszli do środka i tam była kobieta z synkiem, ale bez męża, bo mąż poszedł do lasu. Kobieta ich nakarmiła i pyta – zostajecie czy idziecie dalej, a oni na to, że zostają i żeby dała trochę trawy ich psom. Kobieta wyszła z chaty i zamiast trawy dała zającom ludzkie włosy, i wróciła do domu, i kazała dziecku pilnować chłopców, ale oni odcięli sobie swoje małe palce i dali je dziecku do jedzenia, i uciekli. Kobieta wróciła do domu, zobaczyła, że jej syn ssie obcięte palce chłopców, pyta go, gdzie oni, a on, że

uciekli, więc kobieta nabiła go na rożen i piekła nad ogniskiem, po czem poszła za chłopcami, tropiąc ich po ich śladach, ale chłopcy szli po śliskim lodzie na rzece, i kobieta na tym lodzie poślizgnęła się i upadła, i rozerwał jej się brzuch, a z brzucha wypadło dziecko, kobieta patrzy na to dziecko i mówi – chłopcy musieli zgubić dziecko. Wzięła dziecko i wróciła do domu, i tam widzi, że jej syn jest już upieczony, położyła go więc na zewnątrz, przy ścieżce, którą jej mąż ma wracać z lasu. Mąż wraca i widzi dziecko upieczone, więc podnosi je i mówi, że jego żona zapewne chciałaby, aby je zjedli razem. Wraca więc z dzieckiem do domu i pyta, czemu je zabiła, a ona na to, że było niegrzeczne, kazała mu pilnować chłopców jukagirskich, co tu przyszli, ale oni dali mu swoje małe palce i uciekli, więc musiała go zabić za karę. Wtedy mąż powiada: no to musimy je zjeść. I je zjedli. Następnego dnia zaś wstali z posłania i sami umarli.

No i widzisz, moja czytelniczko nieistniejąca, tutaj Konrad Widuch opowiedział ci bajkę jukagirską, a po co, a po to, że mu wcale co dalej opowiadać nie chce się.

Ale opowie, bo opowieść ma swoje prawa, bo opowieść, jak się już ją tyle opowiada, sama już rządzi się, a nie ten, co ją pisze, nie Konrad zarządza nią, ale opowieść sama wie, jak się opowiedzieć.

Do rana my więc siedzieli z Ullum, opowiadając sobie i śpiewając, potem ja jej bajki opowiadał po naszymu, po niemiecku, po rusku, po chołodzku, a potem ona, i cały czas leżała mi na kolanach, a ja ją głaskał po grubych, czarnych włosach, a potem rozległo się bicie bębna Elēna i do jesteby weszły niewolnice Mejraślāwasowe, i podały mi moje odzienie, ale nie odziewały mnie już, bo zajęły się odziewaniem Ullum w najlepsze z sukien, jakie znajdowały się w jej darach, i przystroiły jej głowę w koronę z poroża reniferzego i wyprowadziły na mejras, gdzie wsiadła do łodzi i mołodzieńcy w najpiękniejszych zbrojach unieśli łódź z Ullum, i ruszyli w stronę klifu. Za nimi szła Auszrā, już nie ukrywając łez. Po klifie mołodzieńcy wspinali się powoli, Ullum musiała się mocno trzymać, ale wnieśli ją i dary, nie uroniwszy niczego, Elēn już czekał przy bogu gowiedzi, cały przebrany za renifera, chociaż karłowatego – miał na głowie czaszkę reniferzą z porożem, na plecach spływającą z tej czaszki skórę renifera, w ręku jajai, w które uderzał krótką pałką, przy nim tańczył enenalan Koriak, tylko w przeciwie-

ństwie do Elēna ubrany po koriacku w skromny kobiecy strój do tańca, nogawice w pasy i wyszywany kubrak do kolan.

Gdy tylko łódź z Ullum wnieśli przez krawędź klifu, a za nimi dookoła ognia i ducha gowiedzi zgromadzili się już wszyscy mieszkańcy, to Elēn i Gittingew zaczęli rozdawać saumas, ususzone muchomory, najpierw dostała Ullum, a potem wszyscy po kolei, i ja też dostał.

Potem wszyscy śpiewali, Elēn i Koriak bili w jajai, ja się trochę jeszcze zastanawiał, gdzie jest Gabaidze, bo tu go nie było wcale, ale potem poczuł ja, jak saumas krąży już w moich żyłach, i zapomniał ja o Gabaidzem, i duch gowiedzi zaczął przemawiać przez Elēna, wszyscy śpiewali šwentā esti, šlutā esti, šwentā esti, šlutā esti!, Ullum wstała i chwiejąc się, wyszła z łodzi, niewolnice Mejraślāwasowe rozdziały ją z szat, pozostawiając na głowie tylko reniferzą koronę z poroża, bóg gowiedzi grzmiącym gołosem bez Elēnowego akcentu powiedział, że bierze sobie tę Jukagirkę za genę, i z tysiąca kierunków ten gołos rozlegał się, Ullum legła na brzuchu na kamieniu, a bóg gowiedzi w ciele Elēna wziął ją sobie za genę, wszyscy śpiewali šwentā esti, šlutā esti, šwentā esti, šlutā esti!, bóg gowiedzi wypełnił Elēna, który nagle stał się ogromny, jakby unosił się nad ziemią, i zszedł z Ullum, która jęczała cicho, prawie nieprzytomna, i w końcu bóg gowiedzi powiedział, że żąda swojej girtwās, co znaczy żertwy, aby jego genā razem z nim mogła powrócić pod ziemię, tam gdzie mieszkają dusze zmarłych, i wtedy spośród Chołodców wyszedł rēźis Mejraślāwas, przystąpił do Ullum leżącej na kamieniu i starannie, jednym szybkim ruchem, wyćwiczonym na setkach szyj reniferzych, poderżnął jej gardło. Gittingew odwrócił się i nie chciał na to patrzeć – Koriacy nie składali nigdy ofiary z ludzi, a jedynie z psów i reniferów, dźgając włócznią w serce, nie podrzynając gardła, psy potem na włócznie nadziewając za żuchwy i dookoła osad rozstawiając.

No ale Chołodcy składali, i właśnie podrzynając gardło, i tak właśnie wszyscy poza Koriakiem podchodzili, a Elēn naznaczał czoła chołodzkie krwią, aby wszyscy mieli w tej żertwie udział, i ja podszedł, i patrzył ja z bliska na ciało Ullum, nagie i stygnące, i myślał ja o tem, że jest ona już z bogiem gowiedzi i ze swoimi przodkami, tam gdzie chciała, i moje czoło też Elēn naznaczył, i miał i ja swój udział w tej żertwie.

Następnego dnia powróciły renifery.

Bóg gowiedzi zrobił swoje.

Potem powróciła zima. Po zimie powrócił dzień, a z dniem powróciła wiosna.

Po wiośnie powróciło ciepło, śnieg rozmókł, stopniał i wtedy powrócił mały, dwupłatowy aeroplan, ten sam, co krążył nad Chołodem rok wcześniej, a że ten sam, to wiem, bo zapamiętał ja numer boczny. Różnica była taka, że tem razem zamiast wystających spod brzucha kół miał dwa długie pływaki.

Ljaudīs, słysząc warkot motoru, wylegli tłumnie na mejras, a potem poza palisadę osady, na cypel, na czarną plażę. Aeroplan zrobił dwa kręgi, po czem zniżył swój lot i korzystając z tego, że przy bezwietrznej pogodzie morze było spokojne niczym rybny staw w Pilchowicach, wylądował zręcznie na wodzie, a potem jął się powolnie kierować w stronę czarnej plaży.

Pamiętam, że powiedział ja, że to sowiecki aeroplan. I że trzeba ich zabić, bo za nimi przyjdą kolejni. Że nie można ich wypuścić żywcem pod żadnym pozorem, wtedy Ljaudīs zaczęli mi przypominać, że kiedy aeroplan pokazał się tutaj ostatni raz, to tautā mówił, że nie może wylądować, a proszę, wylądował i płynie po oceanie jako łódź, więc może tautā w ogóle nie wie, co gada, i niech już lepiej zamknie się. Poza tym, jest jeszcze święte prawo gościnności, zabić gościa to strasznie zła rzecz, wszystkie dusze się wtedy od czełowieka i całego plemia jego odwrócą i odejdą. Co tautā rozumieć powinien, skoro dzięki gościnności Ljaudīs wśród nich żyje od lat. Poza tym Ljaudīs z Ruskimi na zdrowie i z pożytkiem mieniali się, to dlaczego teraz znowu by się pomieniać nie mogli?

Ja im wtedy próbował tłumaczyć, że te Ruskie, z któremi oni mieniali się, to uciekali przed takimi, jak ci, co tu przylecą – bo że przylecą znowu, to ja był pewien. Na co moi drodzy gospodarze: a więc ci, co przylecą, jak tautā rzecze, to są od cara? Bo tamci, Pomorcy na koczach drewnianych, to oni od złego cara bieżali. No to wtedy ja, głupi, mówię, że nie od cara, bo cara to oni zabili, ale że sami są od cara gorsi, co ja wiem, bo ja był wśród nich prawie dwadzieścia lat, dlatego ja ich znam. Oni gorsi od cara, bo tak samo zachłanni, tak samo nienawidzą, kiedy ktoś jest od nich inny i wolny – i tak ja opowiadał, opowiadał, przywołując całą moją nienawiść do świata, który ja sam budował, własnemi rękami, własnym orużjem, własnym tru-

dem i krwią, i krwią cudzą, com ją wrogom Ojczyzny Światowego Proletariatu osobiście utoczył.

Ljaudīs kręcili tylko głowami na to, tautā głupi, tautā głuchy, glauszas tautā.

Kiedy aeroplan powoli dopływał do plaży, na pływaku stał już gość, który wylazł z kokpitu obserwatora, w krótkim kożuszku spiętym tą nowomodną zastiożką, co się zamiast guzik po guziku tak jednym suwem zamyka i otwiera, jakby człowiek palcem przez pizdę damską przesunął.

Na nogach miał do tego piękne bryczesy, na łydkach spięte lotniczymi opinaczami, na łbie pilotkę i gogle, rękę zaś, którą machał do przyglądających się mu Chołodców, skrywała łokcia sięgająca lotnicza rękawica.

Ubijcie go, powiedział ja do Wesunasa, lecz wajawadas odparł, że ktokolwiek by na gościa rękę podniósł, pierwszy z jego ręki zginie. To przynajmniej nie mówcie, że my u was, ja i Ljubow. Tak i nie powiemy, zgodził się, a ja w tłumie przesunął się do ostatniego szeregu, żeby w oczy się nie rzucać z moją żółtą, chociaż nieco posiwiałą, brodą, która jednak wśród czarnych i czasem ciemnorudych bród chołodzkich zbyt by się w oczy rzucała. Ljubow podeszła do mnie, sama z siebie, w swoim męskim stroju, ale z włosami już długiemi, zaplecionemi po chołodzku w warkocze, odżywiona, wypiękniała od dobrego życia i miłości, i tylko z tem samem spojrzeniem podejrzliwem co wtedy, kiedy ja ją poznał nad trupem nieco przez nią napoczętym. Nosiła już wtedy w żywocie dziecię Wesunasowe, mołodego Wesunasa znaczy się.

Swoją drogą, myślał ja często wtedy, co napiszę, zanim wrócę do tego, co mi Ljubow powiedziała, a i teraz o tem myślę czasem, jaka byłaby ta kobieta, pięćdziesiątka ósemka, z którą Ljubow uciekła i którą Ljubow zabiła i spożywać poczęła. Jak by się ta moja przygoda z Chołodem potoczyła, gdyby naszedł je ja trochę wcześniej, przed jej śmiercią, i nie pozwolił Ljubow jej zabić, a może nawet zabił Ljubow w jej obronie? Zawsze mi się wydaje, że byłaby piękna jak Sofie i na pewno kochałaby mnie, swojego wybawcę, tak jak Sofie mnie kochała, a może byłoby zupełnie inaczej, może miłości by między nami nie było wcale, może ona tylko Ljubow by już kochała, jak pies, co kocha swojego pana, nawet kiedy ten go kijem bije, a może byłaby zła, gorsza od tej prostej, okrutnej błatnej, której okrucieństwo było okrucieństwem amoralnym, zwierzęcym; ludzie bywają gorsi,

kiedy okrucieństwo im smakuje dla samego okrucieństwa, nie dla celu, który mają osiągnąć. Ljubow była okrutna, kiedy potrzebowała, nie kiedy miała na to ochotę, a tamta, pięćdziesiątka ósemka, może byłaby dobra jak moja Sofie, a może byłaby straszna i okrutna ja my...?

A zresztą, Sofie i Sofie, kiedy wreszcie przyznasz przed sobą, Konradzie Wilgelmowiczu, że ta twoja Sofie zaślepiona swoją ideą też bywała okrutna? Przynajmniej dopóty, dopóki nie urodziła twojej pierwszej córki, bo gdy urodziła, to zmieniła się bardzo, z każdem dniem z dzieckiem na rękach wielka idea komunistyczna jawiła się jej bledszą, a jak przyszedł głód na Ukrainę, o czem my wiedzieli doskonale, to nie umiała się już zdobyć na żadne usprawiedliwienie tych okrucieństw, których się tam dopuszczała nasza przecież partia.

Ale wcześniej, przyznajże, Konradzie Wilgelmowiczu, czy komunistka Sofie miała litość dla bywszych ludzi, dla dawnych kapitalistów, panów, popów, gdy my im wymierzali sprawiedliwość rewolucyjną? Nie miała. Powiesz, owszem, Konradzie, że i oni dla takich jak my litości uprzednio nie mieli, ale czy to przekreśla jej okrucieństwo? Uprzednia zbrodnia nie przekreśla zbrodni będącej jej następstwem, nawet jeśli ją usprawiedliwia, to nie przekreśla. Okrucieństwo w odpowiedzi na okrucieństwo pozostaje okrucieństwem, nawet jeśli uzasadnionem. A czy każde z naszych było uzasadnione, czy za nasze czyny słusznej kary nie ponosimy, nie ponieśliśmy?

Nie. Okrucieństwa nasze były złe, ale i okrucieństwa nam wymierzone przez naszych byłych towarzyszy były złe.

A czem nasze dzieci zawiniły, Ninel i Wilenka, czem?

Czy naprawdę utopiły się, jak powiedział przeklęty Koriak?

I znowu dygresje, Konradzie Wilgelmowiczu. I znowu będziesz się ciskał?

Zawrzyj pysk.

Do rzeczy może, do opowieści, z powrotem, opowieść czeka na wasz ołówek, Konradzie Widuchu-najduchu, aeroplan pływający kołysze się na delikatnych falach przyboju, co liżą czarną, kamienistą, bazaltową plażę nieopodal Chołodu, sowiecki pilot czy tam obserwator ręką Chołodcom przy-

jaźnie macha, na pływaku stojąc, a ty sobie o okrucieństwie rozważania snujesz...

No więc o czem to ja pisał? Że przysunęła się do mnie Ljubow i zaczęła mnie zagadywać, co nie było częste, bo jej miłość z mołodym Wesunasem kwitła w najlepsze, i jak to mołodzi zakochani, poza sobą czełowieka nie znali, ani ojca, ani matki, a co tam dopiero Konrada Wilgelmowicza, skromnego waszego sługę. Jakiego znowu sługę? A tak mi się napisało, w jakiejś książce ja to musiał kiedyś przeczytać, to i w głowie zostało. Ale przysunęła się do mnie, przestraszona jak i ja przestraszony był, i pyta nagle tem samem gołosem, co go miała, jak my razem bez nadziei przez senduchę śniegiem zasypaną szli, przysuwa się i pyta, co robimy, przecie jak nas tu znajdą, to doniosą, a jak doniosą, to wiadomość dotrze tam, gdzie zawsze dociera, i co wtedy, przecież wiadomo, że ani Дальстрой, ani Народный комиссариат внутренних дел, czyli Dalstroj i NKWD, nigdy nie pozwolą, żeby dwójka zeków przebywała na nienależnej im wolności, ile by to ich wysiłku i środków miało kosztować, bo to po prostu było zasadą ich świata. Kto zamknięty, ten ma być zamknięty.

Mamy tu dobre życie, Konradzie Wilgelmowiczu, mówiła Ljubow, a jak się o nas Dalstroj dowie, to chociażby mieli tu aeroplanami, tych, no, parszutystów chociażby zrzucą tu, a nie odpuszczą biednej Ljubow i biednemu Konradowi, to co robimy, Konradzie Wilgelmowiczu, co robić, pytała, niczym Lenin przerażona nagle Ljubow, a ja nie wiedział, co powiedzieć, ani ja się siły nie miał sycić tem, że jak trwoga, to do Konrada Wilgelmowicza, nie do kochanka mołodego, bo bał się ja tak samo, tak samo bał się ja, że wraz z nimi przyjdzie tutaj Rosyja.

Ty wiesz, że jak Rosyja gdzie przychodzi, mówiła Ljubow, to przychodzi niepowstrzymywalna, okrutnie obojętna i obojętnie okrutna, jak powódź, jak lawina, i przechodząc, nie zostawia za sobą nic, tylko zgliszcza i szczątki. A może ja to mówił. Nie wiem.

Pływaki aeroplanu dotknęły czarnego piasku, zazgrzytał metal, lotnik zeskoczył na plażę, drugi wyłączył motor, który zgasł, wydając z siebie westchnienie ulgi, śmigło szarpnęło, przeskoczyło i zatrzymało się.

Ty wiesz, ja widziała, mówiła Ljubow, jak Rosyja przyszła z całą swoją wspaniałością na Kubań w trzydziestym drugim roku, ja jeszcze nic o życiu nie wiedziała, a to ja widziała na własne oczy, jak na Kubaniu, gdzie suchy

patyk w ziemię włożysz i on wzrośnie, i da plon, bo ziemia tak urodzajna, na tym Kubaniu ja widziała, jak ludzie umierali z gołodu na drogach, i ja ich ciała przekraczała, jakby ja kałużę przeskakiwała, łany pięknej, grubej pszenicy złociły się po horyzont, świat szło nią wyżywić, a w tych łanach na koniach strażnicy zbrojni i jakbyś kłos wziął, to strzelają, tak Rosyja przychodzi, i po nas też tak przyszła, po mnie i po ciebie, chociaż ja błatna, a ty pięćdziesiątka ósemka, to Rosyja przychodzi po wszystkich tak samo, pożera, trawi i wysrywa nas, zwykłe gówno. Rozumiesz ty?

Ja rozumiał.

Lotnik machał do zgromadzonych w pewnej odległości od aeroplanu Chołodców, z kokpitu zaś gramolił się pilot, po czem razem przycumowali samolot, opasując liną jeden z nabrzeżnych głazów.

A ty wiesz, że tę dzieweczkę, co ja ją zabiła i chciała zjeść, szeptała mi Ljubow do ucha, uwiesiwszy się ramienia mego, to nie ja ją zabiła, a Rosyja. To Rosyja sobie wymyśliła, żeby ludzi zagarniać, jak się ryby w sieć zagarnia, i wysyłać tu, na siewier i na wostok, bo że ja siedziała, to jedno, ja błatna, złodziejka, ale co ona była winna, nic nie była winna, niczego, a wsadzili ją z takimi jak ja i ja ją musiała zabić, ale to nie ja ją zabiła, tylko Rosyja, rozumiesz? A oni tu przyniosą Rosyję, ona tu przyjedzie za nimi…

Tak i ja już nie mógł tego słuchać, jak ona gada, i odepchnął ja Ljubow od siebie, i powiedział jej tylko, że nam trzeba się skryć przed nimi, skoro nie możemy ich ubić teraz, oni nas tu zobaczyć nie mogą, bo jak zobaczą, to będą wiedzieć, kto my, i wrócą, i powiedzą, raport napiszą i z tego raportu w końcu przyjdą po nas wochry, wszyscy…

Tak i my z Ljubow ubieżali w osadę i zza palisady patrzyli, jak Chołodcy z pewną rezerwą, ale przyjmują sowieckich, ruskich lotników jak gości, jak obstąpili aeroplan, przyglądając mu się z zaciekawieniem, obmacując aluminiowe pływaki, pokryte płótnem skrzydła i sklejkowy kadłub, potem zaś powiedli obydwu najwyraźniej zachwyconych lotników do Chołodu, na mejras, gdzie niewolnice z wszystkich damasów rozstawiały już stoły.

Patrząc, jak idą radośni do naszej osady, bo tak ja już wtedy o Chołodzie myślał, że to nasza osada, nasz dom, więc patrząc, powiedział ja do Ljubow, pamiętam to dokładnie: oni nie mogą stąd odlecieć, Ljubow. My nie możemy na to pozwolić im. Rozumiesz ty?

A Ljubow wtedy mówi: a ty się na motorach znasz, czy nie? Ty dobry mechanik. Tak i ty idź, i jak tu będzie biesiada, ty im aeroplan popsowaj. Tak i nie odlecą. A jak nie odlecą, to się zobaczy, na co będzie czas, co my będziemy mogli tu zdziałać, czy nie?

Tak i następnie była biesiada, ale i ja, i Ljubow powiedzielimy Wesunasowi, że nas nie będzie, że my schronieni, i żeby powtórzył swoją obietnicę, że o naszem istnieniu nic Ruskim nie powie. Obiecał ponownie, skwapliwie, wcale ja nie uwierzył.

I tak patrzylimy przez półprzeźroczyste błony z rybich pęcherzy w oknach damasa Wesunasowego, jacy zachwyceni, siedzieli niedaleko, aż było słychać, jak gadają do siebie językiem takim raczej akademickim niż bezpieczniackim, pewnie jacyś akademicy to właśnie, polarnicy, nie sołdaty, słyszelimy z Ljubow wyraźnie, jak ten, co siedział w kabinie obserwatora, mówił do pilota, że to niemożliwe, niemożliwe, ale odkrylimy na Sybirze nieznany lud, czy ty zdajesz sobie sprawę, Anatolij, jaką to odkrycie ma wagę? Czy ty słyszysz ich język? Ja geograf, nie lingwista ani antropolog, ale ten język nie brzmi jak języki Jukagirów albo Czukczów, ani jak uralskie, ani tunguskie, ani turkijskie, no słuchaj ty, brzmi trochę jak łotewski, ale nie tylko, bo do rosyjskiego też podobny, no to jest indoeuropejski język, czy oni może są jakimiś potomkami Tocharów, czyś ty słyszał, Anatolij, o Tocharach? W szkole wojskowej takich rzeczy nie uczą raczej, co? A pilot mu na to, że tak po gębach patrząc, to oni tak trochę na białych ludzi wyglądają, ale azjatyckich gęb też tu sporo widać, i pomieszanych też.

I tak sobie gwarzyli, skurwysyny, na stoły tymczasem niewolnice wnosiły jedzenie, jukołę, pīwan, tolkuszę, mleko reniferze, kopalgyn z niedźwiedzia, którego ostry zapach czuć było i w damasie, rēźis wygłaszał przemowę po chołodzku, sławiącą legendarną, starożytną zasadę gościnności Ljaudīs, następnie zaś Wesunas przemówił do lotników swoją łamaną ruszczyzną, zapytując ich, czy w tej latającej łodzi przybyli tutaj jako wysłannicy cara, czy raczej przed carem ubieżali, czy też może przybywają na pomienianie?

Odpowiedzi już ja nie słyszał, bo grzebał w jukach, co mi jeszcze po wochrach zostały, szukał ja zapałek z nadzieją, że jeszcze jakieś posiadam, oraz jakiejś zdatnej do mojego planu szmaty.

Bez zapałek mój plan nie mógł się powieść. Ljaudīs rozpalali ogień na specjalnej, płaskiej podstawie z twardego drewna, wyciętej w kształt człowieka lub zwierzęcia, każdy damas miał swoją, którą otaczano wielką czcią i taką samą czcią darzono rozniecony na niej ogień – wisiała ona przy głównym wejściu do damasa, a ową cześć oddawano jej, naznaczając ją sadłem i krwią każdego zabitego zwierzęcia. Był to zresztą zwyczaj jukagirski, co powiedziała mi Ullum, chyba kiedy jeszcze żyła, ale może i po śmierci, ja nie pewien. Ale powiedziała. Zapytany o to wtedy, Wesunas prychnął oczywiście tylko, że nie może to być, jak już to Jukagirzy próbują prawdziwych ludzi nieudolnie naśladować, ale gdy go nie było, to Auszrā potwierdziła, że jeszcze za czasów jej prababki Ljaudīs nie czcili wcale ognia w taki sposób i że zwyczaj ten przyniosły jukagirskie niewolnice.

No ale pamiętam ja bardzo dobrze, jak my kiedyś spoczywali wszyscy w letniej jestebie damasa Wesunasowego, Auszrā siedziała przy ogniu zajęta wyszywaniem złotych zwierząt na swoim odświętnym wysokim kołpaku, Ljubow obok niej czyściła niezbyt, moim zdaniem, umiejętnie zamek swojego mosina i zapytała Auszrę, swoim łamanym, niezdarnym chołodzkim językiem, że jak to jest, że tyle wśród Ljaudīs gadania o tem, jak pozostają wierni obyczajom przodków, a w sumie ciągle się gdzieś okazuje, że to jest zwyczaj jukagirski albo czukocki, albo koriacki, to co w sumie jest tak, żeby było naprawdę chołodzkie?

Nic, wzruszyła ramionami Auszrā. To tylko gadanina taka. Kocze i domy mamy od Pomorców, my sami, zanim na Chołod my przyszli, wcale w domach drewnianych nie mieszkali ani po morzach nie pływali, tylko za gowiedzią chodzili, ale nie za renami, tylko za karōwą. Bajadery mamy od Czukczów morskich, renifery trzymać też my się od nich i od Jukagirów nauczyli. Jemy to, co nam siewierna ziemia daje, ale jak polować na białe świnie morskie, na foki, morsy i niedźwiedzie, to wszystko się nasze pradziady uczyły od Czukczów, a nasze prababy uczyły się od ich kobiet, jak sadło z foczej skóry wydzierać, jak lampę na łój zwierzęcy sporządzić, wszystkiego, bo my, dawno temu, w stepach żyli i gowiedź zwykłą, po rusku karōwy, trzymali, nie renifery. Ty znasz, co to step, Ruska?

Ja z Tambowa, mateczko, u nas step po horyzont.

No to ty znasz. Tam karōwy my trzymali, tak powiadają. Ale dawniej, niż ktokolwiek by pamiętał. Ale tu my uszli. A tu taka karōwā nie wyżyje. Tylko

ren. Ogniowi cześć oddawać też nas nauczyli Jukagirzy, jak wodoodporne kurty z wnętrzności morsa poczynić też oni, jak robić harpuny na wieloryba, a jak na fokę, jak fokę podchodzić, wszystko. A i nasz saumas to kiedy co innego było, nie zaś grzyby, ale tu to nie rośnie, i jak z grzybem obchodzić się, to też my się dopiero tutaj nauczyli, to znaczy nie my, a nasi pradziadowie i prababki.

Kiedy to mówiła, słyszał ja, jak z posłania Wesunasowego zaczęło rozlegać się sapanie i pomrukiwanie, aż w końcu sam Wesunas wyskoczył i zaczął się oburzać jak tokujący indor, że cóż to za bzdury Auszrā wygaduje, że my, Chołodcy, to niby wszystko od innych, a może naszego Dejwasa Patera to my też od innych, może to nie on tutaj Chołodców przywiódł…?

Na to Auszrā mu rzecze, że wie on tak samo dobrze jak ona, że ten Dewas Patē, co u nas na mejrasie stoi i milczy, to go sporządził prapradziad naszego rēźisa, albowiem poprzedni miał oczy i usta otwarte, a skoro już nie mówił do nas, ale milczał, to w końcu ci, co go jeszcze słyszeli, usłyszeli, jak mówi, aby go spalili i sporządzili nowego, z zamkniętymi oczyma i ustami.

Wesunas aż się zatchnął z oburzenia, zamachał rękami, poczerwieniał w sposób, który jednoznacznie dowodził, że to musiała być prawda, bo wielu ja takich jak on w życiu widział i wszyscy wyglądali tak samo, kiedy ich z przykrymi faktami kto skonfrontować raczył, czy to był niemiecki reakcjonista, czy bolszewik, czy anarchista, eser czy socjaldemokrata, czy moja pobożna bardzo starka, jak kto bardzo w co wierzy, a mu się co takiego powie, co mu do wierzeń jego nie przypasowuje się, to wszyscy czerwienieją tak samo. Moja starka jak ja jej na złość mówił, że Boga nie ma, że religia to jest po to, żebymy my, raby, się przeciwko panom nie buntowali, też tak na pysku czerwieniała, żegnała się pospiesznie, po czem waliła mnie ścierą przez łeb.

Próbował więc co z siebie Wesunas wykrztusić, ale zanim odzyskał dech, czyli dūmas, to Auszrā mu rzecze, że przecie nawet nazwa Chołod nie nasza, bo to po rusku jest, bo tak tysiąc lat temu, a może pięć tysięcy lat, w każdem razie niedługo po stworzeniu świata naszym przodkom Ruscy odpowiadali, gdy my pytali, jak to miejsce zwą. Że Chołod. Bo zimno.

No i znowu dygresje, a przecież ja tylko chciał napisać, że ja musiał zapałki znaleźć, bo chołodzki, uroczysty sposób wzniecania ognia przez obraca-

nie za pomocą małego łuku drewnianego wiertła na świętej podstawce do tego, do czego ja ognia potrzebował, wcale nie nadawał się. Chołodcy mieli, owszem, kupowane od Jukagirów zapałki, widywał ja tu jednak głównie po chińsku opisane, nie nasze, ruskie, to znaczy nie nasze, co ty też gadasz, Widuchu-najduchu, od kiedy ruskie to twoje, nigdy ci tu nie pozwolili myśleć, żeby ruskie twoje było. No więc mieli chińskie sztrachecle, to jest zapałki, jak również trochę staromodnych fojercojgów na naftę, jednak nafty bardzo rzadko udawało się im dostać – a ognia zapałkami lub fojercojgiem rozpalonego nie szanowali, święty ogień trzeba było pomalutku niecić, wiertełkiem, podrzucając doń drobniutkiego pyłu drzewnego, aż dymek pójdzie i w końcu płomieniek malutki, takie z tym smutne pierdolenie się.

No ale znalazł ja w końcu zapałki moje, więc może do rzeczy już, bo zbrojny w szmatę i zapałki wyszedł ja na tyły damasa Wesunasowego, potem do palisady i przez palisadę przelazł ja, a jak ja przez palisadę przelazł, to poszedł ja czarną plażą aż do aeroplanu sowieckogo, który zupełnie przez nikogo niepilnowany, zaryty pływakami w czarnym piasku stał sobie przy plaży, tyłem lekko się jeno unosząc na co większych falach przyboju, a jak ja się do samolotu dostał, to najpierw poszperał ja w kokpitach i znalazł ja tam wspaniały Selbstladepistole, to znaczy pistolet samoładujący się, niemiecki walther PP w brązowej skórzanej kaburze, z dwoma pełnymi magazynkami, który ja sobie przywłaszczył natychmiast, albowiem, jak uczył wódz rewolucji, grab zagrablennoje, po czem odnalazł ja wlew do zbiornika z paliwem, mieszczącego się w środkowej sekcji górnego płatu, i tak go ja odkręcił, wepchnął weń szmatę z nadzieją, że paliwo złapie, i owszem, złapała, następnie zaś przeżegnał się ja trzykrotnie, licząc, że zdążę, po czem korzystając z bezwietrznej pogody, szmatę podpalił i ubieżał.

No i zadziałało, i jak, za przeproszeniem mojej słodkiej nieistniejącej czytelniczki, jebnęło, to ino roz.

A ja bieżał i bieżał, na klif, znaną mi ścieżką, tak żeby mnie przy samolocie nie znaleźli, i z góry ja patrzył, jak ruskie lotniki wybiegają z osady i biegną, nagle otrzeźwiali, machają rękami, krzyczą, a ich piękny samolocik płonie i płonie, górne skrzydło zupełnie od kadłuba oderwane, nad kadłubem i silnikiem strzelające piękne płomienie, aluminiowe pływaki rozjechały się nieco i kadłub przechyla się, i w końcu te smutne szczątki, które z niego pozostały, sycząc, gasną w morskiej wodzie.

No i tak wy już nie polecicie nigdzie, moje duszki, pomyślał ja sobie bardzo zadowolony, tem bardziej że i pistolet ja do tego piękny zdobył, a o takim niedużym waltherze PP to ja zawsze marzył, od kiedy ja taki pierwszy raz na oczy zobaczył. Ten, co go ja wtedy ukradł, to wcześniej należał do łotewskiej policji, co ja wywnioskował z napisów na zamku, co też kazało mi już wtedy wywnioskować, że Łotwa jako kraj chyba już nie najlepiej się ma, skoro sowiecki pilot łotewski pistolet nosi.

A który to był rok, miesiąc, dzień, tego ja nie wiedział wtedy, ani nie wiem ja tego teraz, jaki dzień wtedy był, ale w atlasie politycznym świata, co leży w szafce nawigacyjnej s/y „Invincible", wydanym z datą 1 stycznia 1946, i Litwa, i Łotwa, i Estonia przynależą już do Ojczyzny Światowego Proletariatu, co moje ówczesne podejrzenia potwierdza.

No ale cóż mnie tam Łotwa z Litwą obchodzą, kiedy ja tu tylko między lodami drogi szukam, drogi, którą mógłby ja ujść stąd i wrócić na Siewier, na Šēweras…

Ano tak.

Wiem, wiem, że ja wcześniej o tym nie wspominał.

Och, cicho już. Wszystko po kolei.

No a myślałaś sobie, moja droga i nieistniejąca, że gdzie ja chcę płynąć? Do świata wrócić? A po co ja miałby do świata wracać. Mojego świata nie ma już. Żadnego z tych światów, co były mojemi. Nie ma. Czy ja głupi? Wcale nie. Ja wiem. Nie ma, nie ma do czego wracać.

Jedynie na Siewierze… Może na Siewierze.

No ale jeszcze, jeszcze wytrzymajcie, Konradzie Wilgelmowiczu. Jeszcze trochę. Dajcie opowieści płynąć jej torem, tak będzie lepiej. Wracajcie tam, gdzieście ją porzucili, już zostawcie dygresje, już starczy…

Trzim pysk. Już mōm dość.

Do opowieści wracajcie, ex-towarzyszu Widuchu, wracajcie.

A ty myślisz, że co, bydziesz mi rozkazywała? Że jo je co, yno od opowiadanio? To niy ma tak.

Ale to jeszcze opowiem. A potem już nic. Potem już albo popłyna, albo zostana.

No to nazod, do tego, kaj jo bōł.

Jak jo spolył tyn ich fliger. Aeroplan. Genau.

Ja się chował potem w sendusze, ja patrzył, jak oni rozpaczają, i ja się ich rozpaczą cieszył, chociaż wcale ja nie wiedział, co dalej, i spróbował skrycie do osady wrócić, co tak nie do końca się mi udało, bo skrycie to jednak w dzień polarny trudno, w każdem razie zszedł ja po schodach z klifu i chciał się przemknąć do osady jakoś chyłkiem, ale oczywiście widzieli mnie, widziało mnie wielu. I każdy się domyślił, głupi nie są. Ale milczeli, chociaż dla Ljaudīs wyrządzić coś takiego gościom wielka zbrodnia, coś jak dla nas matkę uderzyć, tak bezwzględna u nich ta zasada gościnności, bo tak to chyba być musi tak daleko na siewier, że ludzie się nawzajem do swoich jarang i domów wpuszczają i przygarniają, zapłaty nie żądając, nikt tu w końcu nie ma pieniędzy, a odpłaca się tylko wzajemnością. Tak i przecież dzięki tej zasadzie tylko Ljubow i ja moglimy w Chołodzie zamieszkać jako ludzie wolni, bo uznali nas za swoich, za gości.

A tu ja i taką zbrodnię popełnił, Ruskim ich bajdarę latającą spalił.

Dlaczego milczeli? A dlatego, że jak wszyscy ludzie na tym świecie, których ja w mojem długiem życiu widział, potrafili doskonale odwracać wzrok, kiedy im co nie pasowało. Jak wszyscy. Że farorz Scholtis z babą od starego Pokory ma bajtla, to każdy wiedział, i nawet pewnie biskup wiedział, i co z tego, wszyscy wzrok odwracali, bo co tam komu przyszłoby z tego, że aferę by się zrobiło. Poza tym w Chołodzie każdy damas był osobnym światem, a ja należał do damasa Wesunasowego, więc cóż ich to tam obchodziło, niech się Wesunas z tym upora.

Ale to jeszcze nic.

Takie wice się u nas opowiadało, co się mówiło właśnie, „ale to jeszcze nic!". Tylko nie potrafię sobie przypomnieć żadnego, tylko ten sztichwort pamiętam, ale to jeszcze nic.

Nie uciekajcie w dygresje, Widuchu-najduchu. Odwagi.

Odwagi? Zamknij się lepiej. О, лучше заткнись.

Ja już nie wiem, który gołos jest prawdziwy, który jest mój, który gołos pisze.

Ale co to za różnica? Może oba są prawdziwe.

Może tak być.

Więc pisz już, Widuchu-najduchu, pisz, dlaczego to jeszcze nic. Bo jak nie, to ja opowiem, twoja nieistniejąca czytelniczka.

A opowiadaj se.

Naprawdę chcesz tego? No proszę, oto twoją ręką ja władam.

Jak jo był mały, to starszy kuzyn, od bracika mojej mamulki synek, chytoł mie czasym za rynce i tak mie mojōm własnōm rynkōm po pysku proł i godoł: patrz sam jako, bajtel, czyś ty ogup, co się sōm po pysku pieresz?

Tak właśnie ja zrobię, Widuchu-zły duchu. Piszę twoją ręką.

Więc piszę. Oto widzę cię, jak idziesz przez pusty teraz mejras, wchodzisz do damasa Wesunasowego, ale nie zostajesz w dolnej, letniej jestebie, lecz po drabinie wchodzisz na drugi etaż i tam się kryjesz, ze strachu, że cię zabiją, a nawet z większego, że cię wygnają, znowu na poniewierkę, już byś wolał, żeby zabili, niżbyś miał powoli umierać w sendusze, potem słyszysz, że wszyscy wracają, słyszysz, że lotników przyjmuje pod swój dach rēźis Mejraślāwas, że ogłasza to wszem wobec na mejrasie, że są jego gośćmi.

Oto więc widzę, jak się kryjesz i jak słyszysz, że z pierwszego etaża wykrzykują twoje imię, Konrad, Konrad, gdzie Konrad, kude Kōnradas sūnus Wilkelmā, kude?

Wiesz, że cię znajdą, głupi, wiesz.

Wiem.

No więc wygrzebujesz się z zimowej jesteby, schodzisz po drabinie niechętnie, pytają, czegoś tam szukał, a ty, że nic, nic, tylko gdzieś ci się coś zapodziało, wtedy wchodzi Wesunas, widzi cię i pyta, prosto z mostu, czyś ty tę bajdarę jak ptak latającą spalił, nieszczęśniku, a tobie tysiąc kłamstw się ciśnie na usta, ale słyszysz, jak usta twoje mówią prawdę.

Tak było. Dlaczego usta twoje prawdę powiedziały wtedy? Możeś miał dobrego nosa, Konradzie Wilgelmowiczu, możeś miał. Więc mówisz prawdę, Wesunas bardzo zafrasowany każe siadać do stoła i mówi, że szczęście ja mam, w sensie, że ty je masz, Konradzie Wilgelmowiczu, że oni jeszcze w żadnym damasie gośćmi nie byli, tylko całego mejrasa, bo jak całego mejrasa, to nikomu nie będzie się spieszyło tam spaloną bajdarę odpłacać, gdyby oni od początku byli w którem damasie, tak jak teraz w Mejraślāwasowem, toby kłopot był, a teraz to mniejszy.

A na to nagle rzecze Ljubow, wchodząc, też chyłkiem, do damasa: ich ubić trzeba.

Wesunas marszczy brwi, nie podoba mu się ten ton, co to znaczy trzeba, jak ty do patejs damā odzywasz się, a Ljubow to powtarza, na co z posłania dla niewolnic wyłania się Lebe, co od czasów wojny z Jukagirem urosła i w oczach Ljaudīs już całkiem dorosła jest, chociaż jak dla mnie, to znaczy dla ciebie, Konradzie Wilgelmowiczu, to nie ma więcej niż piętnaście lat.

Więc wyłania się ta nieco podrosła Lebe, która od czasu, kiedy odeszła Ibisi i siebie w ofierze złożyła Ullum, bardzo jest samotna i w ogóle nie odzywa się, a teraz mówi.

Mówi, że ja widziała, co Ruscy potrafią zrobić złego.

Teraz jeszcze z niewolnicami podrostkami będę radzić ja? Kogo jeszcze zapytać mam o radę, może do psów pójdę, posłucham, co mi powiedzą, piekli się Wesunas, na co Auszrā mu rzecze, zamknij się, capie stary, jakeś ją tam po dupie macał, to zupełnie dorosła ci się zdawała, chociaż krew księżycowa się jeszcze z niej nie lała, a ty byś i tak w nią chwost swój pchał, więc jak ma coś do powiedzenia, to zamknij pysk i posłuchaj.

Na to Wesunas w płacz, w szloch, że oto nadszedł koniec Chołodu, nie masz już czełowieczestwa między Ljaudīs, skoro i niewolnica się do patejs damā niepytana odzywa i patis damā ma jej słuchać, oto jest koniec wszystkiego, no to wszyscy z szacunku dla łez męskich cierpliwie czekają, aż wielki woj i wajawadas Wesunas sūnus Wesunjas się wypłacze, po czem gdy już otarł łzy, Lebe rzecze: ja widziała, co Ruscy potrafią złego zrobić.

Niech mówi, wspaniałomyślnie Wesunas zgadza się, uznawszy okrutną zasadę rzeczywistości, więc Lebe mówi. Ja się urodziła u Jukagirów nie tu, ale na jugu. Pudi. Południe. Daleko, między drzewami. Tam gdzie Ibisi, ale jeszcze dalej, dalej w górę rzeki Unmun. Drzewa. Las. Jak ja była mała, dziecko, to do nas przyjechali Ruskie uriadniki. Tacy jak ci. Przyjechali na saniach. Bez psów, za to z piecami w środku. Dużo dymu. Ninge jul. Dużo żołnierzy. Ninge koj. Powiedzieli sowchoz. Powiedzieli renifery ruskie. Starsi powiedzieli jasak płacić, na co ci, że nie jasak, sowchoz. Starsi nie wiedzieli, co sowchoz. Ruscy kazali iść. My szli. Wielkie jarangi z drewna, jak u Chołodu, ale inne. Sanie na kołach bez psów. Że my tam mieszkać teraz. Uczyć pa ruski. Uczyć malować słowa. Lenin. Potem mężów zabrali, a moja emej i ca'ca, i ja do las. Emej matka. Ca'ca brat. My szli. Pościg

z psami. Moja emej pies złapał. Ja i ca'ca uciekli. My widzieli, jak Ruscy zabijają mężów. My widzieli straszne miejsce, z daleka, ale widzieli. Mój ca'ca marł tam, strzelił ktoś. Straszne miejsce, dużo jarang, jarangi jak drzewa wysokie, między nimi rzemienie z kolcami. Dużo zła. Złe duchy. Joje. Dużo. Ninge joje. Dużo śmierć. Am. Śmierć. Ninge am. Ninge joje. Ninge joje.

Duchy mówią przez dziecko, powiedział stary Koriak, słysząc słowa Lebe. Duchy dobre i mądre. To, co ona widziała, i ja widział. Я видела. Ja widziała.

Ty Ruskich znasz? – pytasz ty, Konradku-niejadku, pytasz po rosyjsku, a Gittingew na to odpowiada niezłym rosyjskim, że owszem, znam ja ich dobrze.

Wesunas, zdziwiony, zapytał, czemuś to nie mówił nigdy, jak my w głowę zachodzili, czemu to już tamci starzy Ruscy, brodaci i w futrach, i na koczach do naszych podobnych, na pomienianie nie przypływają, na co Gittingew zdziwił się tak samo, jak to ja się miał odzywać niepytany, tak to niewieście nie uchodzi. A nikt o Ruskich go nie pytał. Mówił jednakże o sobie w rodzaju męskim, ale czy to wynikało z tego, że źle mówił po chołodzku, tego nie wiem. Gdy się odezwał po rusku, to było w rodzaju żeńskim.

No to skąd ty Ruskich znasz, pytam cię teraz, powiedział zirytowany Wesunas, a Gittingew zaczął mówić, skromnie opuściwszy wzrok, jak w jego mniemaniu przemawiać powinna kobieta.

Moja Sofie nigdy wzroku nie spuszczała, przed nikim.

A ktoś cię pytał, czy twoja Sofie wzrok spuszczała, Widuchu-najduchu, jakie to ma znaczenie, kogo to w ogóle obchodzi, co?

Mnie obchodzi. Nic mnie bardziej nie obchodzi niż to.

A mnie, twoją nieistniejącą czytelniczkę, to na przykład w ogóle, rozumiesz ty? Sofie nie żyje, rozumiesz?

Tak nie mów. Tego nie wiesz, suko.

No i do kogo ty tak i mówisz, do kogoś, kto nie istnieje? Głupek. Glauszas. Więc wróćmy do naszej historii, mój ex-towarzyszu, ex-Parteigenosse Widuch, wróćmy do tego, jak stary Koriak rzecze Wesunasowi, że Ruskich zna, a ty słuchasz, no a on opowiada, po chołodzku, ja się rodził w Pałanie, wiecie wy gdzie Pałana? Daleko, daleko stąd, na Kamczatce, nad Ochockim

Morzem. Tam pięknie, ciepło, drzewa rosną, niedźwiedzie są brązowe, nie tak strasznie białe i wściekłe jak tu. Brązowy niedźwiedź to bardziej człowieka boi się. Jak ja się rodził, jak ja dziecię był, za cara, to w Pałanie Ruskich było może dwudziestu, Kozaki, urzędnik jakiś, poczmistrz, oni w swoich domach, a poza tym my w naszych domach zimowych podziemnych i letnich na górze, i jeszcze Kamczadale też tam żyli, i my jasak płacili, ale żyli po swojemu, my się żegnali przed cerkwią, a pop nam błogosławił, ale my się z tego śmiali, bo pop z duszami rozmawiać nie umiał, głupi był, glauszas. Ojciec mnie nauczył wszystkiego, co Koriak musi umieć, a jak jeden Kozak chciał nam zabierać, co nasze, więcej niż za jasak należało się, tak i my, jak on na ochotę poszedł do lasu, na łów, tak i my z ojcem poszli za nim niewidzialni jak duchy i my go ubili, i nikt nie wiedział, ani nikt nie zważał, poszedł i nie wrócił, to inne Kozaki więcej, niż należy, zabierać bały się.

Potem przyszło złe. Przyszedł Lenin. Popa zabrali, to dobrze, bo on głupi był, glauszas. W cerkwi zrobili w środku na nowo inną cerkiew, nazywało się to сельский клуб, wiejski klub, i tam trzeba było już chodzić i słuchać, nie można było nie przyjść, i tam o Leninie opowiadał inny głupi, glauszas, i mówił, że kołchoz będzie i że renifery wspólne będą, i każdy będzie pracował po równo. Nic on nie rozumiał, jak to u nas było, nic. Wiele złych dusz tam też przyjeżdżało, łodzie latające, co się nazywają aeroplan, i wiele innych. Pudełko, które mówi i się nazywa radio, bardzo, bardzo zła dusza.

Lenin mówił dużo o sprawach, które nie były naszymi sprawami. Lenin zła dusza.

Mój tatko mówił: zabij go. A ja mojemu tatce, co już stary był, że zabić go trudniej, inaczej niż za cara. Dużo było sołdatów, dużo. Dużo wintowek, takich jak Konrad i Ljubow przywieźli, co wiele razy strzelają. Kołchoz zrobili, zabrali renifery. Gołod był. W Pałanie pocztę otwarli, wysoki maszt, co się nazywał radio. Zła rzecz.

Ja już wtedy do lasu chodził, bo we mnie już wstąpił enen, a mój enen, musicie wiedzieć, to Ten, Który Przemierza Świat, Notakavya, to jest niedźwiedź, i ja już mieniał się w kobietę, i ja wiedział, że ja będę enenalan. A Lenin nie pozwalał, żeby enenalan rozmawiał z duszami. Nie rozumieli, co to znaczy, że mężczyzna staje się kobietą i jaka pochodzi z tego moc. Głupcy. Oni mówili nawet, że nie ma dusz, to my ich pytali, czy kamień jest

i drzewo, i woda, i niedźwiedź, to oni, że jest, a to my w śmiech i stara enenalan, co znała wszystko, śmiała się najgłośniej i pytała ich, czy potrafią odróżnić kamień i drzewo, i wodę, i niedźwiedzia, a oni, że tak, a ona, że to jak dusz ma nie być, jakby duszy nie miała woda wodnej, a drzewo drzewnej, a niedźwiedź niedźwiedziej, to wszystko byłoby to samo i tak samo, a nie jest, bo różni się człowiek i kamień, i woda, i niedźwiedź, bo każde ma inną duszę, więc jak może nie być, a oni na to swoje głupstwa, ale my już ich nie słuchali, bo prawdę enenalan powiedziała.

I potem ja już miała kobiecą duszę i był enenalan, i poszła ja precz z Pałany, i żyła w lasach, i rozmawiała z duszami, i potem poszła ja do innych Koriaków i do Czukczów, u których kobiety żyją, z kim chcą, zamiast zachowywać czystość i żyć tylko z jednym mężem jak my, Koriaczki, i dalej, i ja widziała strasznych ludzi w lasach, co jedli innych ludzi z gołodu, dużo tego ja widziała i ja wiedziała, że to Ruscy zamykają ludzi i każą pracować tak, jak u Koriaków nawet kobiety nie pracują, i nie dają im jeść, i oni potem jedzą innego człowieka, wycinają mięso z pośladków i pieką nad ogniskami, a potem umierają sami.

Ja to wszystko widziała i ja pomyślała, żeby iść dalej, do Czukczów, żeby dalej od Ruskich, i tam ja żyła, i tam tylko raz na zimę przyjeżdżał ktoś, i tam Czukcze nawet po rusku nie mówili, i ja się czukockiego nauczyła, i tam mnie patis damā Wesunas w niewolę wzięli, a jak ja zobaczyła, że tu nie ma ani cara, ani Lenina, to ja pomyślała, że ja i w tej niewoli ostanę, bo u Ruskich niewola o wiele gorsza.

A jak oni tu przyjdą, to wszystkim zabiorą wszystko i nikt nie będzie miał nic, i będzie gołod i marcie z zimna, to ja mówię, Gittingew, a moje słowa są prawdziwe.

I tak skończył mówić, odwrócił się skromnie, spuścił wzrok, jak przystało skromnej Koriaczce, i zajął się drapaniem resztek tłuszczu z foczej skóry.

Wesunas, Auszrā, synowie, wszyscy długo milczeli.

W końcu Auszrā jęła na Wesunasa patrzeć znacząco, a on odchrząknął i powiedział, że Konrad sūnus Wilkelmjas miał rację, żeby im tę łódź latającą tak spalić, i nie zasługuje w związku z tym na żadną karę.

A gdzie Ljubow jest? – zapytał stary Wesunas.

Wyszła, jak Koriak mówił, i powiedziała, żeby ja za nią nie szedł, odparł mołody Wesunas z posępną miną. Powiedziała, że z ruskimi ljotczikami idzie legać.

I tyś jej pozwolił?

Ona sama sobie pozwoliła, odpowiedział mołody zgodnie z prawdą, przeciągając palcami po czarnych, natłuszczonych foczym sadłem włosach. Ona moje dziecko nosi. A jednak poszła. Jak ja powiedział: nie idź, to ona, że ja głupi, glauszas. I poszła.

Tak i poszła. Przed damasem rēźisa okrzyknęła się jak należy, jak chołodzki zwyczaj każe, i czekała, aż ją zaproszą, i zaprosili. A czy ja był przy tem? Nie. Ja siedział i słuchał, jak Gittingew mówi o swoim dorastaniu w Pałanie, ale o czem ja tak naprawdę myślał, nie pomnę.

Słyszę ja teraz z mojej kabiny, jak tam daleko grzmi pękający lód. Ciepło.

Muszę płynąć.

Opowieści daj płynąć, Widuchu-najduchu!

Nikt nigdy nie wiedział, jak to jest być mną, rozumiesz? I zamknij pysk, naprawdę zamknij go, bo ja i tak cię słyszę, słyszę to, że o nikim nikt tego nie wie, słyszę, jak mówisz, że wracajcie do opowieści, Konradzie Wilgelmowiczu, do brzegu, co u Ljubow, a ja słyszę, jak grzmią lody, jak pękają, bo gna je zapadni wiatr, spiętrza, a one pęcznieją, zbijają się w sobie i otwierają moją drogę.

Wyszedł ja na pokład przed chwilą rozejrzeć się, sprawdzić, czy moja kotwa w krze, do której ja przycumowany, jeszcze trzyma, i trzyma jeszcze, ale niedługo puści ona.

Otwiera się wyjście z tej połyni. Popłynę ja, popłynie Konrad Widuch, przez samego siebie nowo mianowany Kapitän zur See, ex-Maat w Kaiserliche Marine, ex-Parteigenosse w Spartakusbund, ex-towarzysz i ex-członek WKP(b), Всесоюзной Коммунистической Партии (большевиков), popłynie s/y „Invincible” i wrócimy tam, i może będzie tam jeszcze do czego wrócić.

A teraz wracam ja do mojej opowieści. A ty już, suko, nie mów do mnie, nie odzywaj się. Zawrzyj pysk.

Więc wracając do Ljubow, co zostawiła mołodego Wesunasa z sercem złamanem i poszła, jak powiedział, legać z lotczikami, i stanęła przed we-

jściem do damasa Wesunasowego, i okrzyknęła się, i ją wpuszczono. Tak i będę opowiadał.

Ale opowiadał ja będę, bo chcę, a nie bo mi każesz, suko.

Zaprosili i weszła, podchodzi do lotczików i mówi po rusku, do bani ze mną chodźcie, myć się. Oni na to, zaskoczeni, ty Ruska! Ja Ruska, a wy chodźcie ze mną do bani myć się, mamy tu wiele do rozmowy i ja wam wiele pokazać mogę dobrego, a i wiele ważnych rzeczy powiem wam ja.

Tak i Mejraślāwas, oburzony, mówi, czemu ty tu do gości moich po rusku mówisz, a ona na to, że mówi do nich tak, jak rozumieją, żeby ich uhonorować, jak gości znakomitych rēźisa Mejraślāwasa.

A skąd to ja wiem? A chuj cię to obchodzi, suko. Powiedziała mi. Albo coś. Chuj cię to obchodzi.

Więc mówi ona, ja tu chcę gościom twoim oddać honor, uświetnić ich, a ty, rēźisie, protestujesz?

Acz pewnie nie tak gramatycznie to powiedziała, bo Ljubow nigdy dobrze po chołodzku mówić nie nauczyła się.

Idź precz, suko, czy my Czukcze, żeby gościom od razu do łoża wchodzić? U nas takiego obyczaju nie ma, u nas dopiero gdy gość się na dobre rozgości i stanie się domownikiem, to wtedy dostaje nałożnicę, swoim uroczystym tonem wykładał Mejraślāwas, co oczywiście nie było prawdą, ale Chołodcy lubili myśleć o sobie, że lepsi są od innych. Jak wszyscy.

Ja twoich gości do łaźni zapraszam, a ty ich puścić nie chcesz, oni chcą iść, rzecze Ljubow, ale ja tego nie słyszał na własne uszy, tylko raczej tak mi się zdaje, ale myślę, że tak mówiła, puścić gości nie chcesz, to co z ciebie za gospodarz, rēźisie? Czy tak się gości traktuje?

I Mejraślāwas ustąpił, ruskie lotcziki zaś, które oczywiście od razu wiedziały, skąd się tu wzięła ta mówiąca z wyraźnym południoworosyjskim akcentem błatna, postanowiły udać się z nią do bani, ciekawe opowieści oraz tego, co ma pod chołodzką malicą, a co, jak im się zdawało, wprost im obiecywała.

Zresztą może było jakoś zupełnie inaczej, za szybko się rzeczy działy i sam nie wiem. Może to było drugiego dnia po tym, jak ja aeroplan spalił? Albo trzeciego?

Bez wątpienia jednak Ljubow znalazła się z dwoma sowieckimi lotczikami w bani, w której napaliły niewolnice Mejraślāwasowe. Awiatorzy nazywali się zwyczajnie, Kola jakiś tam i Antolij też jakiś tam, baby dawno żaden z nich pewnie nie widział, nie wiadomo zresztą, nie miał ja bowiem okazji z niemi porozmawiać wcale. Ljubow w bani rozdziała się, jak to zwykli czynić Chołodcy, a Kola i Anatolij, jak mi zdaje się, też się rozdziali. A jej brzuch zaokrąglony już, niewielki jeszcze, ale już widać było, że nosi.

Ljubow mówiła mi potem, że z niemi dwoma naraz legała, co dość mnie interesowało i słuchał ja, jak mówiła, bo czegoś takiego ja nigdy w życiu nie robił, ani żeby z babami dwiema, ani żeby ja, chłop jaki cudzy i baba. No a Ljubow sprośności mówić lubiała.

Co? Że ja też lubiałem? A zamknij pysk, suko, a już nie mów do mnie ty, bladź, suka, szliucha!

No więc Ljubow. Wlazła z nimi do bani, oni ją coś wypytują, czy ona długo tutaj, co to za ludzie, nikt o takim plemieniu nie słyszał, po gębach nie wyglądają na Azjatów jak Czukcze, obyczaje też inne, a Ljubow do nich, że dość gadania, bierzcie się do roboty, bo ja za porządnym ruskim chujem mocno stęskniła się, no a oni co, chłopy, to dwa razy powtarzać im nie trzeba, kiedy goła baba mówi, żeby się do roboty brali, to się biorą, obaj naraz, a co potem zdarzyło się, to ja nie wiem dokładnie, bo tego Ljubow powiedzieć mi nie chciała, zamiast tego wolała sprośności opowiadać o tem, że jednym ja zajmowała się, gdy drugi mnie tam lizał, minetę robiąc jak najlepsza kuroczka moja, no kto by pomyślał, że i mużyk tak potrafi, no a potem ja uznała, że i starczy już, bo ja tak wcale do ruskiego chuja nie tęskniła, mnie mój chołodzki mołodiec całkiem podoba się i uczucia do niego wyższe posiadam, więc tak i ja wzięła długi nóż do sprawiania ryb na jukołę, a potem topór i ja się z lotczikami skończyła, jak im chuć całkiem zmysły pomieszała.

I tutaj byś zapytała, suko, że jak to tak, sama ona jedna, niewiasta, a ich chłopów dwóch i z nimi się skończyła? No i możesz sobie pytać, suko, ale to ja ją widział, jak wyszła goła z tej bani, a w każdej ręce trzymała za włosy urżniętą ludzką głowę ruskiego lotczika, i tak poszła na mejras, i rzuciła te głowy pod Dejwasa Patera posąg, i tak i koniec był z gościami, i okrzyknęła się Ljubow, że rēźisie, oto wychodź ty, bo oto ja twoich gości ubiła i łby im urżnęła.

No i rēźis wyszedł i byłby ubił Ljubow na miejscu, bo już szykował swój rewolwer, gdyby w tem czasie nie dobiegł do niej mołody Wesunas i nie zasłonił jej swoim ciałem, a zabić syna wajawadasa rēźis nie mógł nawet w obliczu zbrodni tak straszliwej jak zamordowanie znajdujących się pod jego opieką gości.

Potem już na mejras zbiegła się cała osada i się zaczął zgiełk, po prostu polnischer Reichstag, wrzaski, potrząsanie orużjem, szlochanie i wszystko, co zwykle tam się u Chołodców odbywało na mejrasie, a potem w końcu zapanował porządek, mimo ogólnego poruszenia, Ljubow się jednak odziała, głowy lotczików leżały tam, gdzie leżały, krew z nich kapała na kwiatki polarnej wierzby płożącej się u stóp boga, i wszyscy w końcu zgromadzili się tak jak zawsze, dookoła Dejwasa Patera, stanęli damasami, a rēźis zażądał, aby wajawadas ukarał swoją domownicę Ljubow śmiercią za tę straszną zbrodnię i niech umiera powoli, bo skoro pogwałciła święte prawo gościnności, to wszystkie dusze odwrócą się od Ljaudīs i będzie to koniec Chołodu.

I wtedy wyszedł ja. I ja wtedy mówił przed nimi, a moje słowa były prawdziwe.

Wy nie rozumiecie, co ona zrobiła. Ljubow. Ona zratowała was.

Wy nie wiecie, co Rosyja jest. Nawet ona nie wie. Ale ja wiem. Bo ja jej służył, Rosyi, chociaż we mnie ani kropli ruskiej krwi nie ma, bo ja Konrad Widuch z Pilchowic, rodzony Prusak, chociaż słowiańskiego języka, ale ja jej służył, ja myślał, że ja służę sprawiedliwości, że ja bronię słabych tego świata, ja nie wiedział, że ja służył nie sprawiedliwości, ale Rosyi był bolszewik i ja nie mogę nawet powiedzieć, że mi oczy się potem otwarły, bo się nie otwarły, ja je ze strachu zaciskał najmocniej, aż Rosyja przyszła i po mnie, jej sługę, i połknęła mnie, i wysrałaby mnie, zgówniałego, gdyby ja jej z pyska nie uciekł, jak ryba czasem z pyska niedźwiedziego wyślizgnie się, na czas jakiś, zanim ją niedźwiedź zaś łapą nie przygniecie albo do pyska znów nie weźmie.

No, wy nie wiecie, co Rosyja jest. Wy słuchajcie mnie, bo moje słowa są prawdziwe.

Że ona ich zabiła, to ona uratowała was, na czas jakiś przynajmniej. Bo jak Rosyja przyjdzie, to przyjdzie tak, że tu z waszego życia nic nie zostanie. Rosyja przyszła do Koriaków, Jukagirów, Czukczów, Kamczadalów

i wszystkich ludów jak wy, co żyły i miały to nieszczęście stanąć na drodze jej puchnięciu, jej wzrostowi, i jak Rosyja przyszła do nich, i przeszła po nich, to nie zostało nic tylko gówno, po tem co pożarła, i została. Wy nie widzieli, jak oni żyją, tam, na południu, na Kamczatce, nad Bajkałem, a ja widział, co z nich zostaje, kiedy przychodzi Rosyja, półtrupy, a ich życie nie ma formy i sensu, jak ci wasi, co przestali słyszeć gołos boga, tak samo.

Wy nie wiecie, jak Rosyja przychodzi, kiedy przychodzi. Rosyja jak przychodzi, to przychodzi wielka, chociaż jej ludzie marni, słabi, ale przychodzi wielka i nie jest w stanie znieść obok siebie niczego, co nie jest Rosyją, więc wszystko w Rosyję zamienia, rozumiecie, w Rosyję, czyli w gówno. Żeby wszystko było takie same, jak to gówno. Jak dużo jagód zjesz, to gówno może bardziej czarne będzie, niż jakbyś tylko jukołę albo tolkuszę, albo mleko, albo kopalgyn jadł, ale gówno to gówno, nie różni się jedno od drugiego, tak jak jukoła od tolkuszy i od jagody, rozumiecie to wy? I jak Rosyja przyjdzie i zeżre was, i wysra, to już nie będzie różnicy między Ljaudīs, Czukczą, Koriakiem i Jukagirem, i Ruskim, wszystko będzie jedno gówno, ruskie gówno, rozumiecie wy?

Nie, ta Rosyja, co o niej ja mówię, to ona nie ma nic wspólnego z temi, co wyście z niemi na pomieniania spotykali się, nic, zrozumcie to. Nic. Oni, chociaż Ruskie, to przed Rosyją uciekali tak jak i ja uciekał, i Ljubow, i każdy. I gdyby ci, co tu przylecieli, odeszli z Chołodu wolno, to wróciliby tu w wielkiej masie, na korablach stalowych i na saniach bez psów, i dlatego ja ich aeroplan spalił, ale zabić ja ich odwagi nie miał, a ona miała i ona zratowała was.

Bo jak Rosyja przyjdzie, to jedna osada nie może bronić się, może tylko uciekać. Wyście póty bezpieczni, póki Rosyja o was nie wie nic. A kto wie, czy już tam jaki Koriak albo Jukagir co nie naopowiadał jakiemu ambitnemu komisarzowi w Dalstroju.

W Rosyi nikt nie jest wolny, nawet potężny komdyw albo komisarz, wy nie wiecie, co to komisarz albo komdyw, ale to nie ma znaczenia, nawet najpotężniejszy z ludzi w Rosyi niewolnik jest, gówno. Ljubow zratowała was, tak, i zrozumcie to. Powinniście jej wdzięczność okazywać, pieśni jej śpiewać, a nie zabić chcieć.

Widzicie te głowy dwie u stóp Dejwasa Patera? Powinniście nabić je na kije, wynieść na klif i tam postawić, tak jak Koriaki z psami robią, zabijają

w ofierze i nabijają przez żuchwę na kije, i stawiają dookoła wiosek swoich, żeby strzegły, tak i te głowy niech strzegą Chołodu przed Rosyją, rozumiecie wy?

Ljubow wielka wasza gieroinia. Rozumiecie?

Nie rozumieli.

Ljubow ocaliła was. Na jakiś czas. Teraz Rosyja nie przyjdzie. Obcięte łby nie pójdą dalej, nie opowiedzą, rozumiecie?

Bo jak Rosyja przyjdzie, to u Rosyi wy raby i już na zawsze. Rozumiecie?

Tak jak przyszła do Jakutów. Jak przyszła i do Czukczów, do Kamczadalów, do Koriaków. Wy Gittingew posłuchajcie, ona wie. Ona wam powie. Nie dusze przez niego wam powiedzą, on sam. On powie. Albo ona, ja nie znam. Ale powie. Jak jest, jak Rosyja przychodzi, całą swoją objętością i masą, i ciężarem, jak przychodzi tak, jakby się ziemia obsuwała powoli, jak do Koriaków przyszła, albo do Jakutów jak przyszła. I wy nie rozumiecie, a zrozumcie, przed Rosyją wy się nie obronicie, bo was niemnożko. Czy polarna wierzba uchroni się przed spływającym lodowcem? Was małowiela. A ich mnogo. A Rosyja, jak przychodzi, jak rozlewa się, to jak powódź, jak te wielkie fale na morzu, co wstają, kiedy lodowiec ocieli się, kiedy wielki kawał lodu oderwie się i w morze spadnie, i nagle na plaży przybój zamienia się w ścianę wody i prze, i zmiata, i potem cofając się, zabiera ze sobą wyciągnięte na brzeg łodzie, suszące się sieci, ludzi, foki, bogów, jeśliście jakich na brzegu postawili, zabiera wszystko i idzie taka fala, i idzie, ale Rosyja gorsza, bo fala się cofa, a Rosyja nigdy. Rozumiecie? Gdzie Ruski postawił nogę, tam i zostaje on. Nie wycofa się. Jak przyszli Ruscy nad Bajkał, wiecie, co to Bajkał? Nie wiecie. Nieważne. Słodkie morze, daleko na południu. Jak przyszli Ruscy nad Bajkał, a kiedy przyszli, trzysta lat temu, to tam gdzie ruski Kozak syberyjski nogę postawił, to tam już Rosyja. Rozumiecie? Więc jakby Ljubow nie zabiła ich, to za nimi przyszliby inni.

Zresztą w końcu i tak przyjdą, bo Rosyja nienasycona. Ja to wiem.

Ale wy też wiecie, wy rozumiecie, wy przecież tu, w Chołodzie, nie z własnej woli żyjecie. Wy tu przyszli, bo wy uciekali przed czymś. Szukali schronienia dla siebie. Przed czem wy uciekali?

Wy rozumiecie. Może i przyjdzie wam uciekać i stąd. Dalej. Bo jak Rosyja przyjdzie, to przyjdzie tu ktoś taki, kim ja był kiedyś, waszego Dejwasa

obali i będzie wam mówił, co macie robić, i każdy z was będzie rab.

Eświ mówić chce, wrzasnął nagle ktoś. Eświ mówić chce. Rozstąpili się i spomiędzy Ljaudīs wyszedł Gabaidze, bezręki i ślepy, wyszedł, przepychając się, ze swoim kijem uwiązanym rzemieniami do kikuta przedramienia, puszczą mnie, puszczą, wyszedł i zaczął mówić, nie dał mi skończyć.

Wy nie wierzcie mu, bo słowa jego są kłamliwe. Rosyja niech przyjdzie. Rosyja da wam bogactwo i pomyślność. Rosyja nie ma względu na człowieka. W Rosyi, chociaż żyjemy, to dla Rosyi żyjemy, i chociaż umieramy, to dla Rosyi umieramy. Ja nie Ruski, tak samo jak on, co łże. Ja Gruzin, ale w Moskwie rodzony. On zły człowiek. On ręce odjął mi i oczy wyłupił, ale prawdy mi nie zabrał. Rosyja wielka jest. Rosyja wolna jest. Rosyi wy nie bójcie się. Rosyja sprawiedliwa jest. Rosyja przyniesie wam dużo jukoły. Rosyja przyniesie dużo wódki. Dużo drewna. Zimy staną się krótkie, a lata długie i ciepłe. Ja to wiem, bo ja w Rosyi żył całe życie. Wy nie obawiajcie się. Wy zabijcie tę sukę, co Ruskich ubiła, ciała ich pochowajcie, a jak Rosyja przyjdzie, to wy nie powiecie, co z nimi stało się. Powiecie, że pomarli sami. A Rosyja okaże wam serce. Bo wiedzcie: jak Rosyja już raz przyszła tu, to przyjdzie i drugi raz. Wy się nie trwóżcie, wy raczej otwórzcie bramy i czekajcie, i przyjmijcie ją z otwartymi duszami. Bo i tak nie możecie nic innego zrobić. Ja to wiedział. Przed Rosyją nie ucieknie nikt.

Wtedy ja wyszedł, doskoczył do niego i ponieważ ja był bez orużja, to ja go, ślepego, pięścią uderzył w twarz, aż obalił się, i kopał go ja nogami po brzuchu i głowie, aż mnie nie odciągnęli, krzyczac, że ścierwo ty, gówno ty, ciebie zeżarła i wysrała, i chodzisz taki, i żyjesz, jak żywe gówno, gnijesz, jak żyjesz, i żyjesz, jakbyś gnił, ścierwo, gówno, bladź. Tak i odciągnęli mnie.

A potem był znowu Polnischer Reichstag, szloch, krzyk, potrząsanie orużjem, oficjalne groźby, argumenty, że cóż to jest za sytuacja, żeby jeden tautā z drugim, nam, prawdziwym Ljaudīs, mówił, jak należy potraktować tak straszną zbrodnię, jaką jest zabicie gościa, a potem inni, że nie gościa zabiła ona, ale węża, smoka, złą duszę, która się pod postacią tych dwóch wkradła między Ljaudīs, i mogłem być ja, który to mówił, ale może kto inny, no i taki był krzyk.

A potem w końcu zdecydowali, i rēźis wypowiedział, że Ljubow nie zabiją, bo nosi, ale zostanie ona wygnana, a wtedy mołody Wesunas powie-

dział, że skoro ona wygnana, to on z nią odchodzi, a wtedy stary wajawadas Wesunas sūnus Wesunjas powiedział, że skoro odchodzi ze swoją nałożnicą jego syn Wesunas, z nim odchodzi cały damas Wesunasowy i Chołod nie będzie już miał go za wajawadasa, i że odchodzimy na Siewier.

Oczywiście rozległ się wielki szloch, a następnie Chołodcy jęli wybierać nowego wajawadasa i wybrali, po czem zajęli się swoimi sprawami, kiedy damas Wesunasow pakował się na wygnanie.

I tak my odeszli z Chołodu, a ciężko mi było odchodzić.

Ale my odeszli.

A teraz już płynę ja znowu. Lody nagle rozstąpiły się, rozegnane wiatrem. Nie wiem już, jaki jest dzień ani miesiąc, ale może i wiem, ale nie zważam na to. Rano obudził mnie dźwięk kadłuba, trzeszczącego, bo przez obijacze napierała nań kra, do której był ja przycumowany, wyszedł ja z kabiny do kokpitu, a tam co, dookoła jak okiem sięgnąć otwarte morze, tam i ówdzie kra, ale nagle rozrzucone tak rzadko, tak pusto, całkiem jak wtedy, kiedy my Chołod opuszczali.

Więc płynę ja. Zrozumiał ja wreszcie, jak działa urządzenie zawieszone na rufie „Invincible" i po uwiązaniu pinne dwoma linkami, ten połączony z płatem, co ustawia się do wiatru, mały ster utrzymuje moją, już moją łódeczkę na kursie. A ja siedzę w kokpicie, odziany w olejowany sztormiak i südwestkę Małego, morze równe jest jak stół, wieje z jużnego zapadu, a nawet bardziej Süd-Südwest, „Invincible" płynie sama, a ja siedzę i notuję te słowa w mojej przeznaczonej na te zapiski księdze Logbook.

Teraz napiszę ja, jak my z Chołodu odeszli z damasem Wesunasowem.

Wiele było płaczów i szlochów, oczywiście, inaczej nie sposób w Chołodzie zrobić cokolwiek.

Było pakowanie dóbr z damasa do koczy: narzędzi, ubrań, sprzętu, zapasów jukoły i kopalgynu, i wódki, i grzybów.

Było wyłapywanie gowiedzi: i w największem z trzech koczy spoczęła skrępowana czwórka renów, trzy samice i byk, których rzężenie i ryki towarzyszyły nam w całej podróży.

Po trzech dniach wszystko było gotowe i cały damas Wesunasow, wszyscy domownicy, niewolnicy i goście, czyli ja i Ljubow, nieodprowadzani przez nikogo i nie żegnając się z nikim, zepchnęli załadowane, ciężkie ko-

cze na wodę, wiosłami odepchnęli się od brzegu, postawili pojedyncze kwadratowe żagle z foczych skór i popłynęlimy, odziani w skafandry z wyprawionych specjalnie wnętrzności morsa, lepszych niż ten olejowany sztormiak, co go mam na sobie, gdy piszę te słowa, i popłynęlimy na Siewier, na Siewier, popłynęlimy, za każdem koczem ciągnąc po dwie bajdary, na Siewier.

Nastrój był grobowy. Wesunas przestał szlochać i nie odzywał się ani słowem, siedział na dziobie największego z koczy owinięty w niedźwiedzią skórę, w swoim hełmie i z berdanką na kolanach, milczał, nie patrzył w oczy nikomu, a szczególnie mołodemu Wesunasowi i Ljubow, których głupota, w połączeniu z jego meźōs dūmas ściągnęła na głowy całego damasa ten straszny los. Nie mógł przecie pozwolić Wesunas, aby noszący jego imię syn udał się na wygnanie sam, bo to okryłoby cały damas hańbą.

Tylko razem odejść my mogli. A ja, co ja miał do gadania, gdyby ja został, to wyrzucono by mnie za bramy i zostałby ja sam w sendusze, a ja nie chciał już być sam w sendusze, więc siedział i ja w koczu, oparty o wysoką falszburtę, drżący z zimna i strachu, i patrzył ja, jak sterują synowie Wesunasowi, trzymając kocze niedaleko od siebie, i płynęlimy dwa dni, a potem był sztorm.

I to nie byle jaki, polarny sztorm, na moje marynarskie oko było ze czterdzieści węzłów wiatru i fale takie, w których skryłby się ceglany pilchowicki dom, w którem ja się rodził i wychował.

A kocze niewiele większe od Marinekutter Klasse II, a w przeciwieństwie do kabinowego s/y „Invincible" zupełnie otwarte, z ludźmi i dobrami wystawionymi na fale i wiatr, chociaż wysokie dzioby i falszburty sprawiały, że aż tak wiele tych fal się przez pokład nie przelewało.

Co się przelewało, wylewalimy czerpakami, cały czas pracując, aż nam ręce przemarznięte mdlały, i raz za razem, fala i fala, jazda w dół, sternik do wiatru steruje, i jazda w górę, sternik steruje od wiatru, żeby kocz miał prędkości dość, i ten straszny huk, kiedy kadłub walił się z fali w dół, uderzając o wodę, przy którem ja zawsze myślał, że rozpadnie się, że nie wytrzyma, w końcu co za szkutnicy z Chołodców, co te kocze na oko budują, żadnych planów ani obliczeń nie czyniąc, Polnische Wirtschaft po prostu, nie to co SMS „Helgoland" z pancernej stali, na którem ja pływając, bał się pocisków z armat brytyjskich, a nie tego, że kadłub rozpadnie się na fali.

Jeden tak się i rozpadł, najmniejszy. To znaczy nie rozpadł, ale po kolei. U steru stał tam syn najmołodszy Wesunasi, Baljaślāwas, co go też ja znał najmniej, bo my przez wszystkie moje lata w Chołodzie nawet pięciu słów nie zamienili. Oprócz Baljaślāwasa przy wiośle sterowym kocz ten niósł drugiego po Wesunasie mołodym syna Wesunasowego, jego żonę, małomówną kobietę, która nie znosiła mnie i Ljubow z milczącą, zaciętą konsekwencją, ich liczny przychówek, którego imion ani liczby nie spamiętał ja, bo co mnie cudze dzieci obchodzą, było tam też dwanaście psów, skrzynka jakuckiego samogonu, dwie berdanki i jedna stara, kapiszonowa strzelba, i worek prochu, dużo jukoły zaszytej w worki z foczej skóry i tak samo zakonserwowanego kopalgynu z białego niedźwiedzia, były tam lance i harpuny i noże – do sprawiania ryby i foki, i rena, była tam też deska do świętego ognia, bo ten syn Wesunasow miał już swoją, był ich prywatny jajai, ubiory letnie i zimowe, sanie rozebrane na części i czego tam jeszcze nie było, to nie wiem.

Baljaślāwas stał więc przy wiośle sterowym, całym ciężarem wparty w penne, widział ja go dokładnie, bo żeglowali niedaleko, i widział ja dokładnie, jak przekraczając grzbiet fali, poślizgnął się na mokrym pokładzie i zamiast pociągnąć do siebie uchwyt wiosła, odepchnął go, opierając się na nim całym ciężarem, i zamiast łagodnie odpaść od wiatru, to wyostrzył raptownie, i gdy kocz już miał się wspinać pod falę kolejną, to zamiast tego gwałtownie dziobem stanął do wiatru, po czem odwrócił się bokiem do fali, która uniosła go i wywróciła, wysypując w czerń polarnej, lodowatej wody Baljaślāwasa, brata jego Dabamejlasa wraz z żoną jego, przychówkiem, psami, zapasami, saniami rozłożonymi na części, orużjem i narzędziami, i wszystkiem, i niewolnicą jukagirską Ilen, ulubienicą Auszry, wszyscy i wszystko bezgłośnie, bo jakikolwiek krzyk i tak był niesłyszalny w huku morza, a my tylko przelecieli obok i dalej wspinali się na kolejną falę, i walili się w jej doliny, jakby tamtej łodzi nigdy nie było, jeszcze przez chwilę mignęły głowy psie i ludzkie, dwa grzbiety fal za nami, jakieś paczki czy zawiniątka, dno wywróconego kocza, fala, zjazd z fali, fala, zjazd i już nie ma nic, jakby tamtych nigdy nie było, były trzy kocze, są dwa, na tem, na którem ja płynął, na wiośle sterowym stary Wesunas, na drugim Wesunas mołody, fala, zjazd z fali, uderzenie kadłuba o wodę, trzeszczenie drewna, i zdawało mi się, że ten sztorm nie minie już nigdy, a potem minął tak, jak-

by go nigdy nie było, ja już zasnął, wciśnięty w mokre futro pod falszburtą, a kiedy ja obudził się, to kocz nasz sunął po morzu zupełnie równym, chociaż wiało, ale morze marszczyło się tylko drobną łuską.

Jak to jest, że jak coś złego trwa, to nie sposób uwierzyć, że kiedykolwiek minie, a jak mija, to uwierzyć się nie da, że trwało? Jakby przeszłość nie miała znaczenia, a wszystko, co się ma, to to, co teraz...?

Jak ja sobie przypomnę, jak mnie na przesłuchaniach w koromysło związali, jak mi pękały stawy i kości, i co...? Gdzie to cierpienie? Jakby go nigdy nie było, bo wspomnienie bólu co ma z bólem wspólnego, nic, a wspomnienie strachu ze strachem co? – też nic.

Ale o tym jużeś pisał, Widuchu-najduchu, o tym już nie pisz.

Zamknij się.

No już, już.

No więc zostały dwa kocze, na które przed nadchodzącym sztormem wciągnęlimy i rozłożyli na części bajdary, aby ich nie utracić, a na tych koczach my, a pod nami i przed nami morze, i tak żeglowalimy, Chołodcy zmieniali się przy sterze, a w końcu, zmęczeni, i mnie kazali za sterem stanąć, tak i ja stanął i sterował, i patrzył na gęstniejące pola kry, i gdy gęstniały, gęstniały też mój strach i obawa: wypłynęlimy za późno, za późno, za późno.

A oni wcale nie wiedzą, gdzie płynąć.

Znacie to, ja to u Maya czytał, o Winnetou, że się u nas myśli, że skoro jakiś Indianin żyje całe życie na prerii czy w innym lesie, to zna ją tak, jak jej nigdy żaden biały poznać nie może? Znacie. Wszystkie te książki takie same. Indianin czarodziejski, mądry, wszystko wie. I ja tak trochę o Chołodcach myślał, jacy to oni mądrzy nie są. Skoro chcą płynąć na Siewier, to na pewno wiedzą gdzie i wiedzą kiedy. Mnie się zdawało, że za późno latem wypływamy, ale co ja tam wiem, tautā, Chołodcy na pewno wiedzą lepiej.

Otóż nie wiedzieli. Nie mieli kompasu, tylko żółty kryształ, przez który spoglądali przez chmury, szukając słońca, ani sekstantu nie mieli, tylko laskę Jakuba, to jest Jakobsstab prymitywną, nie mieli kart, i nagle, po tygodniu żeglugi, zrozumiał ja, że sami nie wiedzą, ani gdzie płyną, ani gdzie są.

A lód gęstniał i niedługo trwało, gdy nasze dwa kocze lód uwięził.

Zaczęło się wtedy wyciąganie ich na krę, co się udało wielkim wysiłkiem i kosztem utraty trzech psów, co poszły pod lód i nie wypłynęły. Jednak kocze stanęły na lodzie, a między koczami nasze jarangi, aby my odpoczęli, i nawet Wesunas nie mówił już nic, że na cóż to nam przyszło, że w jarangach jak Jukagir mieszkamy.

W ogóle mało było mówione przez kogokolwiek. Więcej tak i milczelimy, bo co było gadać.

Ja próbował zapytać Ljubow, co o tym myśli, bo trochę ją ja obwiniał o to, ale nie o lotczików śmierć, ale o to, że nie poszła na wygnanie sama, tylko że przez nią i Wesunasa mołodego na wygnanie poszlimy wszyscy, co w sumie wyszło na tak samo, jakby Rosyja przyszła do Chołodu.

Bo nadziei na przetrwanie tej podróży na Siewier nie miał ja wcale.

Po dwóch dobach patis damā Wesunas powiedział, że kocze będziemy ciągnąć po lodzie, z pomocą psów i renów. Co do przydatności renów jako zwierząt pociągowych wielkie miał ja wątpliwości, które potwierdziły się, gdy jedyny nasz samiec, chociaż trzymany na rzemieniach, po rozcięciu pęt krępujących mu nogi, wpadł w szał taki, że nie było go szansy utrzymać na rzemieniach, wyrwał je z rąk i ciągnąc za sobą rzemienie, popędził przed siebie po lodzie, aż zniknął nam z oczu, gnał zaś po swoje bez wątpienia zatracenie.

Gittingew powiedział, że to zły znak, co było tak jak mówienie o sznurze w domu powieszonego. I bez enenalana wiedzielimy, że to zły znak. Z rodu rena, co ubieżał, narodzić się miała w Siewierze nowa gowiedź, bez byka samice nie poczną.

Więc ciągnęlimy kocze, jak ruski burłak ciągnie barkę, tyle że po lodzie, i co chwila trzeba je było przepychać przez zwały spiętrzonego lodu, i szybko, po kilkunastu godzinach, wszyscy powiedzieli Wesunasowi, że zginiemy, ciągnąc je tak, i że trzeba nam kocze porzucić, lekkie zapasy zapakować do bajdar i bajdary ciągnąć na saniach.

Wesunas w szloch. Ale nikt go już nie słuchał i zaczęło się przepakowywanie tego co najważniejsze: pożywienia, ubrań, orużja. Jak jest orużje, to pożywienie będzie i olej do lamp, i skóry, byle było czem zwierzę zabić. Wzięlimy więc harpuny i lance, i dzidy, berdanki i moją, i Ljubow wintow-

ki, a zdobyty na lotczikach pistolet ja w sekrecie cały czas trzymał przy sobie, za głęboką pazuchą mojej chołodzkiej malicy. Wzięlimy psy i nasze jarangi, a wszystko inne zostało, zabilimy pozostałe reny, bo Wesunas powiedział, że gowiedź w Siewierze nałapiem nową, więc tę my zabili, ściągnęli skóry, wzięli mięso i poszlimy przez lód z lekkim ciężarem, i szlimy.

I szli, i szli. I szli.

Jak to ja mam napisać, żebyś wiedziała, kurwo jedna nieszczęsna, co to jest tak iść? Skoro ty pewnie najdalej to na targ do miasta pojechała na kole albo poszła piechotą, jak cię ojciec od roboty w gospodarstwie puścili.

I jak ci to napisać, skoro nie wiesz? Tak jak ci ja o torturach pisał, i co, będziesz wiedzieć ty, co to znaczy, że mnie w koromysło spinali albo podwieszali za ręce za plecami związane, wyłamując je ze stawów?

No to słuchaj, jak to jest, jak czełowiek ciągnie swój ciężar po lodzie, przestawia nogę za nogą i nie wie, kiedy spał, kiedy jadł, kiedy usiadł, nie wie, czy idzie tak kwadrans, godzinę czy dwa dni, bo świat biały, niebo białe i ziemia biała, a czełowiek idzie, nogi mu mdleją, koniec nosa odmarza i czernieje, czernieją palce, ale idzie, nie pamięta, kiedy ściągnął buty, więc palce u nóg też mu pewnie sczerniały, ale idzie. Godzinę czy tydzień?

Nie wiem.

I nic więcej z tego marszu nie sposób opowiedzieć.

A nie, opowiedzieć mogę, jak zapolował na nas niedźwiedź. Gołodny musiał być, bo nie bał się wcale i nie z ciekawości do nas podchodził, lecz zaczaił się, schowany, za lodową górą, co się od lodowca oderwać musiała była i tak w morze wmarzła, a za nią siedział sobie niedźwiedź, nos czarny łapami skrywszy, żeby go na śniegu nie było widać, i gdy my przechodzili, to mielimy go na zawietrznej, więc on nas czuł, a nasze psy go nie, i wyskoczył zza tej wmarzłej góry i na kogo skoczył, jak to na kogo, na Wesunasa mołodego. Czego może nie wiecie, to się prawie nigdy nie zdarza, żeby niedźwiedź zaatakował dużą grupę ludzi, i to jeszcze z psami. Samotnego czełowieka, dwóch – tak. To chętnie. Ale w grupie ludzie bezpieczniejsi są o wiele, nie licząc samicy z mołodymi, nie dajcie bogi samicę od mołodych rozdzielić, taka nie boi się niczego.

Ljubow ujrzała to pierwsza, zerwała z pleców wintowkę, strzeliła do tarmoszącego jej wybranka niedźwiedzia i chybiła, więc próbowała przełado-

wać, szarpiąc się z zamkiem, który jak na złość zaciął się zupełnie, bo tak to, o czem ja pisał, bywa czasem z mosinem, że po strzale gliza puchnie w komorze i żeby ją wyrwać, to najlepiej walnąć w zamek młotem albo kamieniem.

Niedźwiedź tymczasem, szalony z gołodu, chudy, o zapadniętych bokach, nie zważał na wściekły skowyt psów ani na przeraźliwy krzyk Auszry. Mołody Wesunas nie krzyczał. Wesunas stary nie sięgał po rewolwer, wiedząc, że słabe, pistoletowe naboje mogą niedźwiedzia tylko połechtać, sięgnął więc po włócznię, w paru skokach dopadł zwierza i z rozpędu całym ciężarem ciała wbił mu grot włóczni w bok i naparł na drzewce, aby weszła głęboko.

Niedźwiedź puścił mołodego, podniósł się na tylne łapy i odwrócił się do Wesunasa starego, który teraz drzewce puścił, odskoczył.

Wtedy ja strzelił z mosina i trafił, i był to siódmy niedźwiedź przeze mnie ubity, z dwudziestu trzech, które ja ubił w całem życiu mojem, co w niczym nie zmieniło tego, że Wesunas mołody leżał na ziemi z przetrąconem kręgosłupem.

Żył, chociaż o tem przekonalimy się dopiero później, gdy my Ljubow odeń siłą odciągnęli, żył i mówił, że niedźwiedź wyssał zeń duszę, bo nie może poruszyć ręką ni nogą, dusza więc musiała opuścić jego ciało i prosił, abymy go zabili.

Ljubow szlochała, wyła wręcz, mój miły, mój mileńki, to nic, to nic, wyzdrowiejesz, jeszcze będę po tobie skakała, dwóch mężów ją trzymało. Wesunas stary i Auszrā nie płakali. Uklękli przy swoim synu, rozścielili na lodzie reniferze skóry, położyli go na nich i rozbierali delikatnie, a Wesunas stary kazał jeszcze stawiać jarangę.

Gdy już stała, podłogę w jarandze wymościli skórami, podnieśli we dwójkę skórę i delikatnie przenieśli syna swojego do jarangi, Auszrā rozpaliła ogień na rytualnej podstawce, co trochę trwało, okryli syna skórą niedźwiedzią, po czem zawołali Gittingew, aby weszła do środka, i zamknęli oba wejścia do jarangi, męskie i kobiece.

Rozległo się bicie w bęben i koriacki śpiew enenalana, trwało to długo, my na zewnątrz wszyscy czekali, a potem rozległ się strzał rewolwerowy.

Ljubow bardzo płakała, ale rozumiała przecież, że skoro Wesunasa mołodego opuściła dusza, to inaczej nie można.

Auszrā i Wesunas wyszli z jarangi bardzo poważni, nie płacząc wcale. W ciągu dwóch dni stracili trzech synów, pozostał im jeno Dabaślāwas i jego żona Sudēślāwā, ich dzieci i siostra Wesunasa, wdowa i jeszcze jej dzieci, i niewolnica Lebe, Gittingew i Ljubow, i ja, i zabity niedźwiedź.

Ciało mołodego Wesunasa z przestrzeloną głową rodzice złożyli do jednej z bajdar, wystrojone w zbroję, hełm, z orużjem przy boku, po czem zapytali Ljubow, czy jako nałożnica ich syna zechce udać się z nim w ostatnią podróż. Ljubow początkowo nie zrozumiała, wtedy Auszrā wytłumaczyła jej, że kobiecie samej trudno osiągnąć Nāwis, czyli niebo. I dlatego chołodzka kobieta chętnie wybiera się tam ze swoim zmarłym mężem, kładąc się z nim do pogrzebowej łodzi, w której podrzyna sobie gardło, zanim oboje zostaną spaleni.

Słysząc te słowa, Ljubow zarepetowała swojego mosina, wymierzyła w Auszrę i zapytała, czy może Auszrā nie życzyłaby sobie udać się do Nāwejs ze swoim synem, bo jakby co, to pajechali, załatwić to można razdwa. Auszrā odpowiedziała spokojnie, że bardzo chciałaby towarzyszyć swojemu najlepszemu synowi w tej drodze, ale nie wolno jej opuścić męża i to z nim będzie szła do Nāwejs i jeśli Ljubow nie chce, to nikt jej nie zmusi, bez obaw, i niech już do niej nie celuje z orużja, bo Auszrā tego nie lubi i może w nocy przyjść do Ljubow, jak to się jeszcze raz powtórzy, i swoim kobiecym nożem, geniszkō sektlō, oduczyć Ljubow nadużywania praw gościnności.

Ljubow opuściła orużje, a wtedy siostra Wesunasa, Dabamejlā, powiedziała, że ona chętnie uda się w podróż do Nāwisa z mołodym Wesunasem, tylko wcześniej trzeba zaślubiny odprawić, i był to trzeci raz, kiedy ja ją mówić słyszał.

Ljubow, wściekła, podbiegła do niej i zaczęła krzyczeć po rusku, ty nie w swojom umie, zwariowałaś ty, dzieci chcesz osierocić, kiedy my wygnani, ty głupia, oszalała, na co Auszrā powiedziała, że jeszcze jedno słowo, a będzie się inaczej rozmawiać z Ljubow, że ma milczeć, a dzieciom Dabamejli to ona przecie będzie matką i to lepszą, bo u niej mąż, a u Dabamejli nie. I że teraz już zaślubiny.

Więc odprawiono je, chociaż skromne to było wesele. Słońce jeszcze nie zachodziło, ale lizało już łakomie horyzont i było widać, że niedługo przyjdzie jesień, a za nią ciemności i ja się bał, że nie zdążym na Siewier, a jeszcze bardziej, że żadnego Siewiera nie ma, ale zdawało mi się, że nikt poza Ljubow mojego strachu nie podzielał. Wszyscy pozostali przy życiu zgromadzili się przy świetle kamiennej lampy, jedlimy, co tam do jedzenia mieli, pilimy wódkę, ale niedużo, a pīwan już się skończył, Dabamejlā siedziała obok martwego Wesunasa o czole przestrzelonem i trzymała go za rękę, po czem, gdy skończylimy skromną ucztę, położyła się obok niego w łodzi, podkasała futrzaną tunikę i kobiecym nożem skaleczyła się w srom, aż krew pociekła, co miało oznaczać, iż swadźbę tę skonsumowano, po czem przyłożyła sobie nóż do gardła, lecz ręka jej drżała.

Wszyscy czekali cierpliwie, dzieci Dabamejli, co imion ich nie pomnę, bo i po co, chlipały cichutko, łez widać nie było na skrytych pod futrzanymi kapturami policzkach, w końcu Wesunas podszedł do siostry swej, delikatnie ujął jej dłoń z kobiecym nożem, samemu jednak nie dotykając jego rękojeści, i poprowadził jej dłoń pewnie, tnąc tętnicę, tchawicę i przełyk, aż do kości. Nie broniła mu.

Kopała chwilę nogami, po czem kopać przestała. Ciała w łodzi obłożylimy tą odrobiną drewna, którą zabrano z koczy, i oblali olejem foczym, Ljubow nie przestawała płakać, inni nie płakali, tylko zachowywali uroczystą powagę, ja też nie płakał, bo co mi z łez przyjdzie, nic. Auszrā wyniosła z jarangi święty rodzinny ogień na rytualnej desce, podpaliła pogrzebny korab swojego syna, a potem ostatni pozostały przy życiu syn Wesunasow wraz z żoną i dziećmi, których od siebie nie odróżniałem, i wraz ze mną zajęlimy się sprawianiem ubitego niedźwiedzia, Gittingew zwijał jarangę i poszlimy dalej.

I tak my szli, ciągnąc za sobą bajdary, tak my szli.

Po drodze umarło jeszcze dwoje dzieci. Czemu? A nie wiem. Skąd ja wiedzieć mam, czemu mrą dzieci chołodzkie, skoro i jeszcze jedzenia nie brakowało, i było czem jarangę w nocy ogrzać? Mrą, to mrą.

Potem znowu ubilimy niedźwiedzia i znowu ja był ten, co to zrobił, bo z wszystkich tutaj najlepiej ja strzelał, i położył ja go jednym strzałem, i znowu było co jeść i co dać psom, potem słońce jęło zachodzić, ale zanim zaszło, ujrzelimy na horyzoncie szeroki, płaski szczyt wysokiej i rozległej

góry, a potem rozciągającą się na wostok od niej rozległą równinę przykrytą już śniegiem, ale wolną od lodu, wznoszącą się czarnymi klifami ponad zamarzły ocean na dobre dwadzieścia sążni.

Tak oto i Siewier, powiedział Wesunas i rozszlochał się.

Tak i my dotarli, i to w ostatnim momencie dotarlimy, w ostatniej chwili, zanim nastała zima i noc.

Wiele my przed tą zimą uczynić tam nie zdołali, znaleźlimy miejsce odległe od góry, z klifem nadmorskim przeciętym głębokim wąwozem, przez który udało się bajdary wciągnąć na stały ląd, potem ubilimy jeszcze niedźwiedzia i tyle co jarangi wkopali nieco w ziemię, na zimowanie, i potem przyszła ciemność i chołod, potem ziemia drżała, a od góry dochodziły nas długie, przeciągłe grzmoty, niepodobne wcale do takich, co przy burzach odzywają się, i przyszły zimowe wiatry, i zasypały jarangi śniegiem, i jedlimy niedźwiedzia, a potem jedlimy psy, ale wszystkich my nie zjedli, potem zaczęlimy chorować, nasze ciała pokryła wysypka, która zamieniła się w ropiejące wrzody, i wszyscy bylimy bardzo słabi, tylko Ljubow nie chorowała, ale wszystkie dziatki oraz Jukagirka Lebe pomarły, i nawet ich ciał nie było jak spalić, a potem my wyzdrowieli, a dziateczki pozostały martwe, jak były, i Lebe też, i jej mi jakoś bardziej niż dziatek żal było, i trochę dość miał ja już tego umierania.

Po chorobie zostały mi blizny na tych moich kalekich rękach, po tych wrzodach. Teraz, gdy piszę tu tym ołówkiem, to na nie patrzę i próbuję wymyślić ja, czy jest w tym jakiś sens większy, w tych wszystkich śmierciach i w tym, że oni umarli, ja zaś żyję, a Sofie, Wilenka i Ninel znajdują się w tym zawieszeniu, ani żywe, ani martwe, tak jak Ibisi, no i co, Konradzie Wilgelmowiczu, mędrcze, masz tu sens, wymyślił go ty jakiś?

Chuja masz w garści, najduchu-zły duchu i nic więcej, nie sens.

Wiosny doczekał patis damā Wesunas sūnus Wesunjas, żona jego Auszrā, będąca już jeno cieniem samej siebie, przeżył i ja, co oczywistym powinno być dla ciebie, nieszczęsna, ale co jednak zaznaczę, przeżyła Ljubow i dzieciątko, które powiła, córeczka, której na imię dała Nadieżda, co po rusku oznacza nadzieję, przeżył też Dabaślāwas i żona jego Sudēślāwā, po zimie również brzemienna, i Gittingew, ten jednak rozpaczał, zawodził i mówił, iż czuje, że staje się głuchy na dusze, bo kobiecy duch w jego ciele odwraca się, i on, Gittingew, na powrót staje się mężczyzną, i tam gdzie

wcześniej miał piękną pizdę kobiecą, teraz odrasta mu korzeń, pęto, zobaczcie – pokazywał chętnie, chociaż ze smutkiem, swój zwiędły chwost, który wcześniej podwiązywał sobie rzemieniem, co ja wyraźnie widział, że tam żadnej pizdy nie było, ale Gittingew był zdania innego.

Z tym, że Ljubow córeczce dała imię, to sprawa była skomplikowana. Skoro ojciec dziecięcia nie żył, to jego imienia podjął się wysłuchać stary Wesunas i usłyszał chołodzkie imię Auszrā, na cześć oczywiście babki dziecka.

Ljubow na to, że ni chuja, dziecko będzie się nazywało Nadieżda.

Na to Wesunas, zdziwiony, że jakże to, to skoro on imię Auszrā usłyszał, jakże tak nazywać dziecko imieniem, co go one nie wypowiedziało, na co Ljubow, że chujaś usłyszał, dziadu stary, a doczka ma na imię Nadieżda, i jeszcze słowo, i będziemy ostrzem gadać, stary durniu.

Wesunasowi już nawet na szloch się nie zebrało, bo stracił gdzieś całą swoją godność i siłę wajawadasa, skurczył się i zwiądł i co, córeczka została Nadieżda.

Przyszła więc wiosna, co oznaczało, że kolejną zimę przeżylimy, chociaż, jak ja już pisał, nie wszyscy. Ale przeżylimy.

Wiosną wróciły niedźwiedzie i znowu mielimy co jeść, jak my z Ljubow dwa ubili i cieszylimy się, że się udało psów nie zjeść wszystkich i że dwie suki się oszczeniły i miot był bogaty.

Na początku niezgorzej się to wszystko zapowiadało, mimo że dzieci choroby nie przetrzymały, to przecie jedno już się narodziło, a drugie w drodze, a potem ustąpiły śniegi, obnażając senduchę nadzwyczaj obfitą, gęsto porosłą wysokiemi trawami i turzycami, pomiędzy któremi płożyła się arktyczna brzoza i wierzba, i moroszka, i kirsznā ōgā, i rozległe łany puszycy, a wszystko jakby gęściej na tej wulkanicznej skale, jakby żyźniejsze, jakby pod cienką warstwą rozmarzającego gruntu wcale nie było wiecznej zmarzliny, i roztoczyły się w tej żyznej sendusze strumienie i znaleźlimy też jezioro, w którem woda była niezbyt głęboka, ale bardzo przejrzysta, o dziwnym, kobaltowoniebieskim blasku, i pływały w nim wielkie golce, jak nic zdatne na jukołę, byle je złowić, więc zaczęlimy czynić wędki i haczyki i po paru tygodniach nauki pierwsze ryby nam udało się złowić. Niestety

nie pasł się w tej bujnej sendusze żaden renifer, co bardzo nas zmartwiło, bo liczylimy, że gowiedź się znajdzie, bo jak tu żyć bez gowiedzi?

No a jednak jakoś i my żyli.

Nad nami góra grzmiała i dymiła, a my żyli i żyła też Nadzieja, Nadieżda, malutka córeczka Wesunasowa, przy piersi Ljubow, która teraz poza dzieckiem świata nie widziała.

Potem puściły lody, więc spuścilimy bajdarę na wodę i razem z milczącym Dabaślāwasem, wziąwszy wintowkę Ljubow i moją, i dwa harpuny, i długie rzemienie, popłynęlimy w nadziei, że uda nam się ubić bēlan swīnan, białą świnię morską, z której dużo mięsa i sadła jest, a których stado widzielimy nieodlegle, jak przewalały się na płyciznach, co najmniej z pięćdziesiąt.

Niestety białych waleni nie dostalimy, a za to przydarzyło się nam nieszczęście, bo miast białej świni ujrzało nasze łodzie małe stado morskich wielkich, czarno-białych szwertwali, na które po rusku mówi się kosatka. Tutaj ja takich nie widział nigdy, ale wcześniej tak, jak my z kajzerem na Nordfahrt płynęli, na północy Norwegii. Ja chciał wiosłować do brzegu, bo mnie było trochę strach, ale Dabaślāwas powiedział, żeby się nie bać, one ludzi nie atakują, i było to najdłuższe zdanie, jakie ja od niego słyszał, no to ja się nie bał, ale potem taki szwertwal podpłynął do nas i zaczął krążyć wokół naszej bajdary, ja chciał strzelać, ale Dabaślāwas powiedział, że nie, bo to nieszczęście, nie wolno, no to ja nie strzelił, a szwertwal podpłynął do naszej bajdary i tak ją trochę jakby przyjaźnie nosem trącił, w efekcie czego bajdara wywróciła się do góry dnem, do morza poszły oba nasze mosiny, dwa harpuny oraz Dabaślāwas, który oczywiście nie umiał pływać, więc parę razy się zachłysnął, zamachał rękami w rękawach futrzanej malicy i kombinezonie z morsich wnętrzności, zachłysnął się jeszcze raz i szybko utonął, i poszedł w dół, jak kamień, podobnie jak nasze orużje.

Taki to był nieszczęśliwy przypadek.

Ja nie utonął, co jasne, skoro słowa te piszę, nieszczęsna, ale wiele do tego nie brakowało, woda przecie lodowata i pewnie by ja do brzegu nie dopłynął, gdyby nie rzeczony szwertwal w biało-czarne plamy, co, jakby zmartwiony naszym kłopotem, jakby przepraszając, pływającą do góry dnem bajdarę nosem odwrócił i – wierz lub nie, nieszczęsna – do mnie przysunął. Zdołał się ja, cały mokry, ciężkie buty futrzane z nóg skopawszy,

do bajdary wdrapać, nie wywracając jej ponownie. Wiosło pływało nieopodal i chociaż bał się ja, że szwertwal mnie za rękę chapsnie, to jakoś ręką się ja do wiosła dowiosłował i potem wiosłem już dalej, i mimo przemoczonej, ciężkiej malicy, nogawic i kombinezonu z morsich wnętrzności, do brzegu ja dostał się.

Mosiny dwa, patrony, Dabaślāwas – poszli, jak ja pisał, na dno. Dabaślāwasa śmiercią to ja nie przejmował się – albo mi on brat, albo swat? Nie gadał ze mną wcale, jak my jeszcze w damasie Wesunasowem mieszkali, nie gadał, bo zajęty był swoją żoną i dziatkami.

Tak, wiem, że jak każdy, nieszczęsna. Każdy swojego w życiu patrzy, tylko ja patrzeć czego nie miał, bo czego ja patrzył, to odeszło ode mnie, jak Sofie i dziewczynki, jak Ibisi w senduchę.

Dabaślāwas więc, nie umiejąc pływać, umarł, i co mi po tym, nic. Umarł, to umarł, pisać więcej ołówka szkoda. Gorzej, że na dno oceanu poszły dwie wintowki, triochliniejki moje kochane, i dwadzieścia patronów, a te, co nam pozostały, to były zupełnie bezużyteczne przecie, bo do berdanki patrona triochliniejnego nie załadujesz. Tyle i nam zostało ogniowego oruża, stara berdanka Wesunasa, jego rewolwer i pięć kul do niego, i mój pistolet zabrany lotczikom z samolotu, do którego miał ja patronów szesnaście, w dwóch magazynach. Ale czy taki patron pistoletowy, wątły, niedźwiedzia położy?

Położy, gdyby mu do czoła przyłożyć, jak karōwie, ale czy to niedźwiedź poczeka cierpliwie, aż Konrad Wilgelmowicz mu pistolecik do czoła przyłoży?

Nie poczeka.

Dlatego nad utratą dwóch mosinów bolał ja o wiele bardziej.

Nad Dabaślāwasem boleli za to w milczeniu jego rodzice i ciężarna Sudēślāwā, która mimo ciąży zdecydowała się towarzyszyć mu w ostatniej podróży, jeśli tylko odnajdzie się ciało.

Mądra decyzja, bo dziatki i tak nie wyżyją tutaj, w Siewierze, powiedział Gittingew. Zwłaszcza jak orużje przepadło. Dusze nas opuściły, kiedy Ljubow pogwałciła święte prawo gościnności, mówił, i wszyscy kiwali głowami, a Ljubow prychała jak wściekła kotka na to i mówiła, że może chołodzkie dzieci i nie wyżyją, ale ona z rodu takich, co i gorsze nieszczęścia zno-

sił, i jej dziecię wyżyje, i będzie tłuste jak mors, a jakby żona Dabaślāwasa swoje urodziła i jej, Ljubow, pod opiekę oddała, to nawet i to chołodzkie wyżyje, bo nie ma matki niż Ljubow lepszej i troskliwej bardziej.

Trzy dni później Gittingew znalazł ciało Dabaślāwasa wyrzucone przez morze i pogrzeb się odbył, i Sudēślāwā położyła się obok swojego męża, i nie potrzebowała pomocy Wesunasa, aby otworzyć sobie gardło, bajdarę z niemi my podpalili i puścili na wodę, i płonąca odpłynęła, i my zostali na brzegu, zostali Auszrā i Wesunas, i została Ljubow i Gittingew, i malutka, zawinięta w futra Nadieżda.

Auszrā i Wesunas zostali jednakże nie na długo.

Po śmierci Dabaślāwasa skurczyli się i zwiędli oboje. Przestali się nawet kłócić. Wesunas oddał mi swoją berdankę, a Ljubow oddał swój rewolwer. Przestał polować, przestał wychodzić z jarangi. Auszrā przestała pracować, darlimy z Ljubow skóry focze sami i nawet Gittingew nam pomagał, chociaż czynił to z wstrętem, bo przecież nie był już kobietą, ale koriackim wojownikiem, który utracił swój dar enenalana, a Auszrā, której ja nigdy nie widział spoczywać, Auszrā, która jeśli nie spała, to pracowała, jeśli nie darła skór, to coś reperowała, jeśli nie reperowała, to wyszywała czerwone kołpaki, jeśli nie wyszywała, to kroiła jukołę albo rozbijała składniki na tolkuszę, ta Auszrā, która cała była zaprzeczeniem gnuśności, nie wstawała nawet z posłania. Przestali też jeść i pić, a pewnego dnia zniknęli.

Ja był z Gittingew na łowach. Ach i zapomniał ja, że Gittingew nie nazywał się już Gittingew, czyli ślicznotka, od kiedy kalau, złe duchy, odebrały mu jego kobiecość, tylko Wapakalanu, co oznacza Czełowieka-Muchomora, i które to imię jakoś bardziej mi pasowało do jego ogólnej aparycji. Więc Wapakalanu i ja wzięlimy berdankę i harpun z nadzieją, że dobędziemy nerpy albo łachtaka i udało nam się rzeczywiście małą nerpę strzelić, i to tak, że padła, zanim wskoczyła do wody, tak i my ją do naszego obozowiska nieśli, a gdy my wrócili, nie było ani Ljubow z córeczką, ani Wesunasa i Auszry.

Ljubow wróciła po jakimś czasie, zbierała w sendusze moroszkę i kirsznā ōgā z dzieckiem przywiązanym na piersi i z moim pistoletem na wypadek, gdyby spotkała niedźwiedzia. Którego nie spotkała.

Wesunas i Auszrā nie wrócili już nigdy. Nie wzięli ze sobą oruża, nie zabrali bajdary ani wioseł, wyszli w tym, co nosili na co dzień, i zniknęli.

Wapakalanu nie wydawał się zdziwiony. Dusze w nich marły, powiedział. A kiedy w starym człowieku dusza mrze, to trzeba wyjść z jarangi i odejść. Czukcze, którzy są złymi ludźmi, zabijają swoich starców, jednak Koriacy i Chołodcy, jako ludzie prawdziwi i posiadający meźōs dūmas oraz prawdziwą duszę, którą Wapakalanu nazywał po koriacku, uyiczit, zachowują się bardziej elegancko, nie dopuszczając się ojcobójstwa i matkobójstwa, bo też starzy ojcowie i matki, jeśli żyją za długo, to sami któregoś dnia jako ludzie dobrze wychowani wychodzą z jarangi i udają się w senduchę, i idą, aż umrą, albo do morza się udają i tam toną, i dobre to jest i sprawiedliwe.

O tem, żeby Chołodcy tak robili, to ja wcześniej nie słyszał, no ale wraz z odejściem Auszry i Wesunasa nie było już kogo o to spytać.

Ja też odejdę niedługo, powiedział Wapakalanu. Jestem już bardzo stary. Mam pięćdziesiąt lat. Utraciłem mojego kobiecego ducha. Kruk Quikinnaku wskaże mi drogę.

Odszedł przed zimą, zniknął bez słowa jak i oni wcześniej.

A my zostali sami, Ljubow i ja, i dziecko, jej mała, czarna główka i oczka jak węgle czarne.

Potem przyszła zima i my tę zimę w trójkę przeżyli, i znowu udało nam się nie zjeść wszystkich psów, ale kilka my zjedli.

I ja sobie wtedy myślał: i co zostało z mojego życia, jaranga z błatną i dzieckiem nie mojem, na jakiejś wulkanicznej wyspie, co jej nie ma na mapach, chociaż przecież dymiącą górę widać z wielu mil, to nie tak jak płaskie wybrzeże Nordsee, co znika człowiekowi z oczu, jak się na dziesięć mil od brzegu odsunie, taką górę to widać w promieniu i trzydziestu albo więcej, da się to policzyć, ale nie pamiętam wzoru.

No i co zostało? Zgliszcza.

A w Chołodzie to ja urządzać się zaczął już. W Chołodzie to mi się żyło w sumie nie najgorzej, najlepiej chyba od czasów, jak ja jeszcze na grubie robił. I ta myśl ze mną została.

A potem przyszła wiosna.

A wiosną odszedł ja.

No i co, moja nieszczęsna czytelniczko?

Myślałaś sobie, nieistniejąca, fajny chłop ten Widuch. A ja odszedł.

Tak, kurwo, dobrze słyszysz.

Ja odszedł, w nocy, bez słowa, zostawił jej mój pistolet i rewolwer Wesunasow, ale zabrał berdankę, sanie i kilka psów, ale nie wszystkie, i zostawił ja Ljubow i Nadieżdę same w jarandze na Siewierze, i uciekł ja, w nadziei, że mnie z powrotem do Chołodu przyjmą, albo że może Stalin już umarł i będzie się dało do życia wrócić albo dostać się na Alaskę, może Chołodców zabrać, przekonać, załadować na kocze i uciec na Alaskę…

A czemu ja jej nie zabrał ze sobą?

A co ona mi, Ljubow… Ani ona mi siostra, ani matka, żeby się o nią starał ja!

Taki ze mnie chuj. Taki gizd. Myśli tylko o sobie. Jak dziecko nie z jego krwi, to zostawił, z babą, same. Baba jak mu nie daje – bo my już na Siewierze ze sobą z Ljubow nie spali – to już chuj z tą babą.

No i zostawił ja. Pomyślał o sobie. O siebie się ja zatroszczył. Iść przez lód, póki nie puści, z dzieckiem? Nie sposób. Nie przeżyje. Poszedł ja sam, po lodzie, w końcu zjadł ja psy i co, resztę już znacie, napatoczyło mi się tych dwóch idiotów i wspaniała „Invincible", której jestem teraz Herr Kapitän.

I koniec, tyle pisania.

Aha, jeszcze jedno, jakby cię interesowało, nieszczęsna a nieistniejąca, gdzie płynę, to płynę na Siewier. Niedaleko góry jest osłonięta z trzech stron płytka zatoka, otoczona wysokiemi klify, gdzie będzie się dało zakotwiczyć „Invincible" i jakoś dostać na ląd, zabrać ze sobą Ljubow i Nadieżdę, tylko Wiery, kurwa mać, brakuje. Także może myślę tylko o sobie ja, ale nie do końca, więc nie aż taki ze mnie gizd i chuj, skoro po nie wracam ja, więc czy ci ulżyło, moja droga nieistniejąca, nieszczęsna czytelniczko?

No. Już więcej nie piszę.

SIERPIEŃ, ALE JUŻ NIE WIEM JA KTÓREGO ROKU,
NIE WIEM TEŻ, CZY SIERPIEŃ.
ALE LATO, I KOŃCZY SIĘ ONO.

A jednak napiszę jeszcze. Bo to trzeba opisać.

Płynął ja trzy tygodnie w dzień bez nocy, nic ja nie pisał, ale nawigował ja, jak trzeba, sekstantem znajdował słońce, wyznaczał kąt jego, w tablicach znajdował ja, co trzeba, i rysował krzyżyk na karcie, korygując za pomocą chronometru wcześniejszą zliczoną pozycję, i naszedł ja Siewier, i nawet jak kartograf prawdziwy zanotował ja na karcie kontur brzegu, wziął namiar na szczyt dymiącej góry i zaznaczył na karcie, ja znalazł i zatokę, stanął na kotwicy, pociągnął motorem do tyłu, trzymała.

Tak, trzy dni temu Siewier znalazł ja, no górę zobaczył po prostu ja przez lornetkę, to już i łatwo było. Morze otwarte. Lodu nie ma. Opłynął więc ja Siewier i nawet przez lornetkę widział naszą jarangę. Dym się nie unosił nad nią żaden, ale, pomyślał ja, nic to nie znaczy, może ognia nie zrobiła, może poluje, może cokolwiek. Dopłynął ja więc do zatoki, stanął na kotwicy, pociągnął, żeby chwyciła, i chwyciła, sondą zmierzył ja głębokość, sonda nie była w metrach, tylko w fathomach, i było ich trzy, co daje idealną głębokość na kotwiczenie, łańcucha puścił ja dwadzieścia metrów, niech leży na dnie.

I po co piszesz o kotwiczeniu, Widuchu-zły duchu, czy to ważne...?

Wszystko ważne jest.

No więc z bakisty wyjął ja gumowy ponton, długo machał pompką, wziął wiosełko, sztucer Małego i powiosłował ja do brzegu, wyciągnął ponton maleńki na plażę i poszedł dziarskim krokiem przez senduchę, ja, zbawca, Herr Kapitän Konrad Widuch, przybyły tu, aby uratować Ljubow Władimirownę Zacharową i jej dzieciątko, co się nie wiem jak powinno nazywać, Nadieżda Wesunasowna Wesunasowa?

Co za różnica.

W końcu przyszedł ja w miejsce, gdzie stała nasza jaranga. Była na wpół zwalona, tylko od strony morza wyglądać mogła na zamieszkaną. W środku był trup Ljubow, zasuszony szkielet obciągnięty pergaminową skórą, jakby leżący tu od lat, na brzuchu, z wyjedzonymi pośladkami, w jej dłoni mój walther, zupełnie zardzewiały, z zamkiem zatrzymanym w tylnym położeniu, na pustym magazynie, a więc wystrzelała cały, zapewne w niedźwiedzia, i nie pomogło. Że to na pewno Ljubow, łatwo rozpoznał ja po tatuażach. Dziecka nie było nigdzie. Dookoła trupa walały się czaszki lisów polarnych, kilkadziesiąt.

Wyszedł ja przed jarangę i pomyślał ja sobie, że ja gorszy czełowiek niż Stalin.

Potem zaczął chodzić ja po sendusze, szukając trupka dziecięcego. Nie znalazł ja go.

Znalazł ja za to co innego.

Od strony góry dojrzał ja cztery potężne kształty, poruszające się wolno, jakby krokiem rozkołysanym. Podniósł ja do oczu lornetkę i zobaczył ja co? – kholuty.

Były cztery, rude w kolorze, kosmate, z futrem zwisającym ku ziemi w długich strąkach, z kłami wielkimi, wygiętymi i ruchliwemi, między niemi trąby. Szły gęsiego, jeden za drugim. Na karku największego, który szedł pierwszy, zauważył ja małą ludzką postać, zerwał ja sztucer z pleców, przeładował, ale gdy nadeszły, był w nich majestat, który sprawił, że powoli odłożył ja sztucer na ziemię i podniósł ręce do góry, poddając się.

Na karku największego kholuta siedziało dziecię, które bez wątpienia było Nadieżdą, córką Ljubow, miało jednak co najmniej pięć albo sześć lat. A mnie przecie nie było tutaj tylko kilka miesięcy. A była to bez wątpienia ona i była zupełnie naga, i bardzo brudna. Kholut ukląkł na przednie nogi, a dziewczynka z wdziękiem cyrkówki zsunęła się po jego trąbie na ziemię i podeszła do mnie, a ja dalej stał z podniesionymi rękami.

Nadieżda chwyciła mnie za mój olejowany sztormiak, pociągnęła, ja ukląkł przy niej. Spojrzała mi w oczy, ja coś powiedział, nie pamiętam ja co, a ona wydała z siebie nieartykułowany okrzyk, odskoczyła ode mnie i pobiegła do zwalonej jarangi. Ja poszedł za nią. Nadieżda usiadła przy trupie swojej matki i zaczęła porządkować lisie czaszki. Kholuty podążyły za nią i stanęły w niedużej odległości od jarangi, a ja zrozumiał, że chociaż ona niema, to dusza jest w niej potężna, jest Nadieżda potężną enenalan.

A może ja to zrozumiał chwilę później, kiedy nagle oczy uciekły jej w głąb czaszki, jakby straciła przytomność, i powiedziała niskim, męskim gołosem: numelen homma namealau oveka opta neyeitek, a ja zrozumiał, że to po koriacku, chociaż po koriacku ja znał tylko kilka słów, i że znaczy to tyle, co że również ja, to znaczy ona, Nadieżda, ale w pierwszej osobie, że również ja powinnam w końcu wrócić do domu, i ja zrozumiał, że przemawia przez nią potężna kala, albo i sama Gittingew, co może odzyskała

kobiecego ducha i stała się tak potężna, że podróżuje do nieba i niebiańską ścieżką zstępować może, i przemawiać ustami, kogo chce, a już na pewno potężnej walkwasy, i tylko gołos jej został starego chłopa, Czełowieka-Muchomora.

Potem nagle jakby się ocknęła, zerwała się i wybiegła z jarangi, a kiedy ja wyszedł za nią, to już jej nie było, więc usiadł ja na pniu drewna, co my go tu razem jeszcze z Dabaślāwasem przynieśli zaraz po tem, jak my uznali, że będzie to dobre miejsce na obozowisko. Nadieżda wróciła po jakimś czasie, w rękach niosąc pieśca w jego szarej, letniej szacie, ze skręconym karkiem. Z pogryzionych przedramion ciekła jej jasna, piękna krew. Przyklęknęła przy pniu, położyła na nim lisa i ostrym kamieniem jęła odcinać mu głowę. Podał ja jej mój jakucki nóż, co towarzyszył mi od czasów, jak ja wochrów zabił, uciekając z miejsca, którego nazwy ja nie wymieniam.

Przyjrzała się nożowi, jakby nigdy nie miała w ręce podobnego, pokazał ja jej, co z nim czynić, wydała z siebie na to przeciągłe, pełne zadowolenia aaaaaaaaaaooaaaaaaa i urżnęła lisią głowę, i położyła ją na wyschłej mumii Ljubow, po czem wzięła mnie za rękę i zaczęła ciągnąć, mówiąc aaaaaaaaooaa i wskazując w kierunku zatoki, w której ja zakotwiczył.

Kholuty szły za nami i kiedy my odpływali z Siewieru, ja i niema, chociaż mówiąca gołosem koriackiego enenalan dziewuszka, co powinna mieć rok, a ma sześć, to stały na klifie i patrzyły na nas, jak płynęlimy na Zachód, w stronę Alaski, do Kotzebue, aż w końcu Siewier skrył się za horyzontem, w końcu za horyzontem skryła się dymiąca góra, a to już jest naprawdę koniec tego pisania, bo co innego mam teraz do roboty, koniec i szlus.

POSŁOWIE

Jak domyślają się już może P.T. Czytelniczki i Czytelnicy tej książki, Borghild Moen, urodzona jako Ninel Widuch, córka Konrada Widucha i Sofii Moen, w 2019 roku popłynęła znaleźć Siewier, a ja towarzyszyłem jej w tej wyprawie. Rejs trwał łącznie cztery i pół tygodnia i żadnego Siewieru nie znaleźliśmy, z jednym zastrzeżeniem, o którym później.

Płynęliśmy głównie w milczeniu, ja czytałem powoli kserokopię drugiego notesu Konrada Widucha i póki lektury nie ukończyłem, nie mówiliśmy o tych zapiskach i ich autorze wcale.

Porozmawialiśmy raz, bardzo lakonicznie, bo z każdą mijającą milą Borghild robiła się poważniejsza i cichsza, a kiedy w przypływie szczerości zapytałem jej, czy naprawdę spodziewa się znaleźć Siewier, nieznany nikomu innemu ląd, czy spodziewa się znaleźć go pod koniec drugiego dziesięciolecia XXI wieku, kiedy całą powierzchnię Ziemi sfotografowały już satelity i można ją sobie obejrzeć w odpowiedniej aplikacji, to Borghild przygasła jeszcze bardziej, jakby nigdy wcześniej o tym nie pomyślała, chociaż to przecież niemożliwe. Musiała o tym pomyśleć. Pokazała mi pochodzącą z s/y „Invincible" wyblakłą, starą, potarganą mapę morską, z głębokościami opisanymi w fathomach i z konturem Siewieru, nakreślonym podobno ręką Widucha.

Gdzie? Tego nie napiszę, chociaż wiem gdzie. Zanotowałem współrzędne w notatniku.

Płynęliśmy tak długo, aż w końcu, po wielu dniach pustego, samotnego morza zamrugała kontrolka aktywnego reflektora radarowego, która nie zapaliła się od tygodni – oznaczało to, że ktoś nas widzi na radarze. Niedługo później na horyzoncie ujrzeliśmy duży okręt o białych nadbudówkach i granatowym kadłubie. Na wyświetlaczu AIS-u nie było go widać, musiał mieć ten system wyłączony, jak to często robią okręty wojenne, zmierzał szparko w naszą stronę na kolizyjnym kursie i niedługo przez lornetkę

udało się już odczytać na granatowym kadłubie białe, rosyjskie litery: Береговая охрана – czyli Straż Graniczna – i nazwę okrętu: „Rusłan".

Chociaż nie miał on charakterystycznego dla wszystkich marynarek wojennych szarego koloru na nadbudówkach i kadłubie, to przed mostkiem na dziobie srożyła się na biało pomalowana armata, w stronę rufy z tyłu nadbudówki celowały dwie wieżyczki z rosyjskiego odpowiednika systemu CIWS, na flagsztoku łopotała zaś bandera rosyjskiej Straży Granicznej, zielona z niebieskim krzyżem świętego Andrzeja. Dziś wiem, że był to okręt patrolowy – lodołamacz klasy Iwan Susanin. Wtedy tego nie wiedziałem. Pół mili od nas zatrzymał maszyny.

– Jesteśmy na wodach międzynarodowych? – zapytałem Borghild, niespokojny.

– No nie do końca, to rosyjska wyłączna strefa ekonomiczna, ale mamy pełne prawo tu przebywać, póki nie prowadzimy połowów, czy czegoś tam... To nie są rosyjskie wody terytorialne. Keep her steady – odpowiedziała.

Nie odrywaliśmy oczu od lornetek, trzymając nasz kurs.

– Wywiesili flagę K – poinformowałem, niezwykle dumny, że z pamięci rozpoznałem flagę złożoną z dwóch szerokich pionowych pasów, żółtego i niebieskiego.

– Czyli każą się zatrzymać.

– Mają prawo? Co robimy?

– Wiesz, Szczepan, kiedy okręt wojenny sygnalizuje, że masz się zatrzymać, to się zatrzymujesz, nie zaś rozważasz, czy ma prawo.

Zrolowaliśmy grota i bezana do masztów, następnie genuę na roller, silnik chodził na jałowym biegu. Niedługo później rozszczekały się obydwie VHF-ki, stacjonarna w kabinie i ręczna przypięta akurat do mojej kamizelki. Mówili po rosyjsku, kazali się zatrzymać, Borghild sięgnęła po radio, po rosyjsku odpowiedziała, że się zatrzymuje i czeka na dalsze instrukcje.

Od pogranicznika oderwał się czarny kadłub RIB-a, wspiął się w ślizg mocą potężnego silnika i po chwili był przy nas. Oprócz sternika siedziało w nim czterech uzbrojonych, ponurych chłopów w czarnych mundurach, hełmach i z AK-74 w rękach. Zrozumiałem nagle, że mój karabin, spoczywający w kabinie, zamiast być bronią, a więc czymś służącym do obrony,

stał się zagrożeniem. No bo co się stanie, kiedy go znajdą? Dadzą się przekonać, że sztucer służy do obrony przed niedźwiedziem polarnym, czy na przykład uznają nas za sabotażystów?

– Mój karabin – szepnąłem do Borghild po angielsku.

– Masz prawo go mieć. To nie są rosyjskie wody terytorialne, a nawet jakby były, to istnieje prawo nieszkodliwego przepływu. Ale nie są.

Gumowa burta RIB-a delikatnie dotknęła naszej burty, na nasze knagi poleciały dwie cumy, a z RIB-a na „Isbjørn" swobodnie wskoczył niemłody już człowiek, solidne chłopisko o pękatym brzuchu, jasnych oczach i gładko ogolonej twarzy. Przy spinającym czarny mundur pasie miał starą skórzaną kaburę z pistoletem, pod szyją widniał trójkącik tielniaszki w biało-zielone pasy. Na mundurze nosił dwie gwiazdki miczmana.

Powiedział po rosyjsku, że przeszukają nasz jacht. Borghild odpowiedziała, że to bezprawne, niezgodne z konwencją genewską, nie zamierza jednak stawiać żadnego oporu, fakt ten jednak zostanie odnotowany w dzienniku pokładowym i zgłoszony władzom Norwegii.

Pogranicznik zaczął się mitygować, spokojnie, spokojnie, powiedział życzliwie, żeby się nie denerwować, to tylko formalność, i poprosił o dokumenty. Borghild poleciła mi zejść do kabiny i je przynieść. Gdy tylko wstałem, szczęknęły zamki kałasznikowów na RIB-ie, a ja poczułem się cokolwiek nieswojo, jednak pogranicznik na naszym jachcie zbeształ natychmiast swoich podwładnych, że zdurnieli chyba, uspokoić się, i poszedł za mną.

Sięgnąłem do schowka pod stołem nawigacyjnym i podałem mu dokumenty „Isbjørn" i nasze, ledwie na nie spojrzał, zainteresował go tylko mój paszport.

– Polak? – zapytał, a ja uznałem, że to nie jest może najlepsza okazja do tłumaczenia, kim są Ślązacy.

Chociaż pewnie mógłbym powiedzieć, że górnicy, jak w Donbasie, unikam jednak bywania idiotą.

Oddał dokumenty, rozejrzał się po kabinie bez żadnej szczegółowej kontroli, przyjrzał naszej elektronice, zapytał o mrugającą kontrolkę aktywnego reflektora radarowego, łamanym rosyjskim wyjaśniłem, co to jest, pokiwał głową z uznaniem, powiedział, że charoszaja maszyna, wyszedł na ze-

wnątrz, z gracją niedźwiedzia polarnego przeskoczył z powrotem do RIB-a, po czym życzliwie powiedział, że mamy się stąd natychmiast wynosić najkrótszą drogą tam, skąd przypłynęliśmy. Borghild zauważyła, że wiatr nie sprzyja, na co pogranicznik w randze miczmana doradził, abyśmy użyli silnika, co tu tak ładnie terkocze, i poszli na chuj.

Borghild zapytała, jakim prawem każe jej zawracać, konwencja genewska i tak dalej, na co ten odpowiedział życzliwie, że jak natychmiast nie zawrócimy, to jacht zostanie aresztowany, a my sobie inaczej porozmawiamy. Albo może dojdzie do kolizji z okrętem...? Ten nasz reflektor radarowy może przestać działać. A u nich na wachcie popiją albo zasną i co, nie zauważą takiego jachciku nawet... No, pojechali.

I pojechali, a my zawróciliśmy, wielki biało-granatowy „Rusłan" zaś towarzyszył nam, idąc powoli dwie mile za naszą rufą, przez całe dwie doby. Na radio nie odezwali się już ani słowem, AIS mieli wyłączony, po dwóch dniach bez słowa zawrócili, a my popłynęliśmy prosto do Tromsø, gdzie stanęliśmy w marinie Skattøra i skąd złapałem lot do Oslo, i dalej do Katowic i wróciłem składać do kupy moje rozwalone nieobecnością życie.

Jak już pisałem, z Borghild o dzienniku Konrada Widucha rozmawialiśmy jeszcze tylko raz.

Nie powiedziała mi, czy nasze spotkanie w barze hotelu w Pyramiden było przypadkowe, ani wtedy, ani nigdy potem. Szukałem Konrada Widucha w pilchowickich księgach parafialnych i nie znalazłem ani jednego, nazwisko Widuch było związane raczej z Przyszowicami i Gierałtowicami, w moich Pilchowicach Widuchów było dwóch: Anton i Josef – jak widać żaden nie był Konradem.

Znalazłem dwóch Konradów Widuchów w Das Bundesarchiv, gdzie zachowała się część archiwów kajzerowskiej marynarki wojennej, a w zasadzie znaleźli ich dla mnie zajmujący się tym specjaliści, jednak żaden z tych Konradów nie służył na SMS „Helgoland", do tego jeden urodzony był w Przyszowicach, drugi zaś w Berlinie, pewnie syn emigrantów ze Śląska. Ten z Przyszowic zgadzał się nawet rokiem urodzenia z Konradem Widuchem z notesów, które tak pracowicie przepisywałem, cóż z tego, skoro zginął 31 maja 1916 roku, zatopiony razem z lekkim krążownikiem SMS „Frauenlob".

Pytanie o politruka Konrada Widucha przy Armii Konnej zadałem dwóm polskim historykom i trzem rosyjskim, z których jeden zgodził się przeprowadzić kwerendę w rosyjskich archiwach, nie przyniosła ona jednak żadnego efektu. O Chołod zapytałem kilkunastu antropologów kultury i etnografów z całego świata, większość uznała mnie za wariata.

W *The Koryak* i w *The Yakut* Waldemara Jochelsona o Chołodzie nie ma ani słowa, najmniejszej wzmianki, niczego – nawet jak „nieznany lud mieszkający w drewnianych domach". Nic. Natomiast zwyczaje Koriaków i Jukagirów Konrad Widuch zdaje się opisywać bardzo wiarygodnie, co właśnie mi te dwa monumentalne dzieła Jochelsona potwierdziły.

Nie znalazłem też nigdzie śladu s/y „Invincible", chociaż jachtu o tej nazwie, korzystając ze swoich kontaktów wśród irlandzkich żeglarzy, szukał dla mnie pochodzący z Galway Paedar de Burca. Ani śladu takiego jachtu – a jednak, na pokładzie „Isbjørn" widziałem chronometr, barometr i higrometr opisane tą nazwą.

Co powiedziała mi Borghild, to jak odnalazła s/y „Invincible", a odnalazła go w 1961 roku, prowadząc badania fauny morskiej na Alasce, a przy okazji wypytując o jacht, którym, jak chciała wierzyć, jej ojciec dotarł na Alaskę, tak jak obiecał Yann-Berowi.

I dotarł. S/y „Invincible" niszczał, wysztrandowany na miękkim piasku mierzei na północ od Kotzebue. Wrak był zupełnie splądrowany, jednak Borghild po dwóch tygodniach picia w lokalnym barze poznała w końcu myśliwego z plemienia Iñupiat, który w zamian za sto dolarów i noc pełną pasji sprzedał Borghild dzienniki Konrada oraz mapy z jachtu.

– Ta noc z nim to w zasadzie nie była część umowy, był bardzo przystojny mimo popsutych zębów, a ja byłam młoda… – dodała jeszcze, śmiejąc się i ściskając puszkę z piwem.

Dlaczego jeden dziennik czytałem w oryginale, drugi w kserokopii – nie wiem. Nie odpowiedziała mi na to pytanie.

Na żaden ślad Konrada ani dziecka nie wpadła później, nic. Przez całe sześćdziesiąt lat nic.

Nie wiem zatem o Konradzie Widuchu nic poza tym, co wynika z jego dzienników, które tutaj P.T. Czytelniczkom i Czytelnikom w mojej skromnej redakcji przedstawiłem.

Zmieniłem też odrobinę ortografię słów w języku Chołodu, który Konrad Widuch zapisywał ze słuchu tak, jak mu się zapisywać wydawało słusznym. Tutaj z pomocą przyszedł mi dr Marek Majer z Uniwersytetu Łódzkiego, który na podstawie przedstawionych mu manuskryptów zaproponował zapis konsekwentny z językoznawczego punktu widzenia, a przy tym bliski polskiej ortografii, zgodnie z którą Widuch usiłował język chołodzki oddawać.

Warto tutaj dodać, iż dr Majer w języku chołodzkim rozpoznał język indoeuropejski, pokrewny, jego zdaniem, językowi prabałtosłowiańskiemu.

Frazy, które Konrad Widuch notował po śląsku, oddałem za pomocą właściwej śląskiej pisowni, poza tym starałem się zachować specyficzny idiom Widucha, nie zmieniając ani jego swoistej gramatyki, ani większości ortografii, poprawiając tylko te ortograficzne błędy, które zapewne raziłyby delikatne oczy polskiego czytelnika zbyt mocno, stąd Widuchowe „kturyh" zapisałem jako „których", a „łuć" jako „łódź".

W oryginalnym rękopisie roiło się od tych błędów, jak mi się teraz zdaje, ale nie mogę tego sprawdzić. Wszystko, co mam, to mój własnoręczny odpis.

Czy nie mógłbym dopowiedzieć tej historii, uzupełnić jej o jakieś chociażby domniemania na temat dalszych losów Konrada? Nie mógłbym wymyślić teorii wyjaśniającej ten nieprawdopodobny i niewyjaśniony przez Borghild zbieg okoliczności, które doprowadziły do spotkania w Pyramiden mojego i jej, córki człowieka pochodzącego z Pilchowic i noszącego nazwisko popularne w Przyszowicach, skąd pochodzą rodziny moich rodziców, nazwisko, które nosiła również moja prapraprababka, więc może mojego dalekiego kuzyna?

No cóż, gdybym był przedstawicielem polskiej szkoły reportażu, zrobiłbym tak bez wątpienia, w końcu polega ona na zmyślaniu, ja jednak jestem tylko powieściopisarzem i prawda bywa dla mnie ważniejsza od dobrej historii.

Pozostawiam więc moje P.T. Czytelniczki i moich P.T. Czytelników w takiej samej niewiedzy na ten temat, w jakiej tkwię ja sam. Nie wiem, co stało się dalej z Konradem Widuchem, Widuchem-najduchem, Widuchem-złym duchem, jak lubił o sobie pisać. Nie wiem nawet, czy istniał, chociaż cieszę się, że mylił się co do istnienia czytelniczki jego zapisków. Jeśli istniał, nie

mam pojęcia, co mogło mnie z nim łączyć i czy Borghild rzeczywiście spotkałem przez przypadek.

Po tym, jak rozstaliśmy się w Tromsø, nie spotkaliśmy się już nigdy więcej. Utrzymywaliśmy kontakt, jednak ograniczał się on w zasadzie do pozdrowień tyle życzliwych, co zwięzłych.

W grudniu 2021 roku napisała mi, że sprzedała „Isbjørn" i że jest w szpitalu w Londynie. Wymieniliśmy kilka esemesów, z których zrozumiałem, że to raczej luksusowe hospicjum. Pisała, że pozwalają jej pić whisky, ale nie bardzo jej smakuje. Zmarła kilka dni później i pomyślałem, że to ostatnia z długiej serii śmierci bliskich Konrada Widucha.

Chyba że żyje jeszcze dziewczynka, która dosiadała kholutów. Nigdy nie wiadomo.

Kończąc, dodam, że kilka godzin po tym, jak w 2019 roku zawróciliśmy, przegonieni przez rosyjską straż graniczną, kierując się po ortodromie w stronę Tromsø, sprawująca wachtę Borghild zawołała mnie na pokład. Gotowałem obiad w kambuzie, ociągałem się z wyjściem, ponagliła mnie jednak bardzo podnieconym głosem, więc wybiegłem, nie ubrawszy się nawet. Podała mi lornetkę, pokazała ręką kierunek, podała namiar, dziesięć stopni, może dwanaście. Patrz.

Podniosłem lornetkę do oczu, skorygowałem ostrość i ujrzałem.

Na horyzoncie, na wpół zamglony, majaczył zarys wielkiej góry o rozległym szczycie, nad którym unosił się słup białego dymu.

Gliwice–Longyearbyen–Gliwice,
2021–2022

PRZYPISY

[1] Samogłoski z makronem w zapisie języka chołodzkiego czytamy jako samogłoski długie (przyp. red.).